

WYBÓR PISM ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

TOM VIII

ZYGMUNT KACZKOWSKI

WYBÓR PISM

Z PRZEDMOWĄ IGN. CHRZANOWSKIEGO

TOM VIII

GRÓB NIECZUI

Część II.

Z PORTRETEM AUTORA



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1900

300213



68568

Дозволено Цензурою.
Варшава 28 Июля 1898 года.

XIV.

Zdając dalszą sprawę z wypadków zaszłych na balu u kasztelanowej Kamieńskiej, przechodzimy teraz z kolei do Flawiusza.

Młody ten człowiek, który dotychczas zawsze tylko w półcieniu nam się pokazywał, nie mógł być jeszcze przez nas obejrzanym wszechstronnie i osądzonym wedle słuszności. Najsprawiedliwszy sąd o nim wydadzą zapewne jego własne uczynki — ale i uczynki mają wartość różną w różnych okolicznościach. Ażeby zaś te okoliczności okazały nam się w swoim właściwym świetle, potrzeba nam koniecznie rzucić okiem w Flawiusza przeszłość.

Owóż tedy Flawiusz przyszedł na świat pod konstelacją najszcześniejszą.

Widzieliśmy go w kolebce, w owym małym domku w Wiśniczu, w stanie najopłakańszym. W kolebce jeszcze zaparł go się jego rodzony ojciec — matka gasła powoli pod ciężarem choroby, w jego domku maleńkim mieszkało ubóstwo, zgryzota, wstyd i choroba — a śmierć i nędza zaglądały przez okna. Wkrótce potem jeszcze i te obydwie fury otoczyły jego kolebkę; — matka umarła a jego dziadek, nim przyrzeczoną sobie kamienicę w Warszawie rzeczywiście odebrał, długo jeszcze w wielkiem ubóstwie i prawie w nędzy mieszkał w Wiśniczu...

Pierwsze tedy widzenia, jakie Flawiusz na samym wstępie na świat odebrał, były zabijające. Świat, ziemia, życie

i sami ludzie przedstawiali mu się z swej najczarniejszej, odrażającej strony — a lubo był on jeszcze niemowłędem natenczas a wreszcie dzieckiem malutkiem, zaledwie pierwsze belkotającym słowa i patrzącem w świat niby niewidzącemi oczyma — niechaj nikt jednak nie myśli, żeby wrażenia, i w tak jeszcze dziecięcym odebrane wieku, nie miały swojego wpływu na umysł i serce człowieka. Młodziutka dusza stawiającego pierwsze kroki na ziemię dziecięcia jest jako najdelikatniejsza gąbka, która pomimo wiedzy swojej z nienasyconem łakomstwem wszystko połyka, co się koło niej przesuwą — a co połknie i wsiąknie w siebie podówczas, zachowywać zwykła daleko głębiej, niżeli wszystkie późniejsze, lubo daleko większe i ważniejsze, zdobycze. Nieraz starzec, już u grobu stojący, stargawszy pamięć latami i pracą, zapomniawszy wszystko co widział i przeżył przez cały ciąg swego długoletniego życia — zapomniawszy wojny, jakie odprawiał, urzędy, które sprawował, zapomniawszy nawet liczbę lat swoich i liczbę własnych swych dzieci — ale łzy matki, uronione nad jego kolebką, gorejące światła przy jej katafalku i czarny chleb nędzy, co go ze łzami połykał, zachowuje zawsze w tak świeżej pamięci, jak gdyby się to działo dopiero wczoraj.

Lecz idźmy dalej. Kiedy dziadek Flawiusza odebrał w istocie kamienicę, przekazaną mu pod ciężkimi warunkami w Warszawie, położenie jego z początku jeszcze wcale się przez to nie poprawiło. Kamienica ta bowiem była właściwie prywatnym pańskim pałacem i wskutek tego było jej urządzenie tego rodzaju, że nie mogła prawie żadnych przynosić dochodów. Był to właściwie tylko materyał, z którego można było zrobić kapitał przynoszący dochody, ale zrobić dopiero za pomocą znacznych pieniężnych wkładów. Staruszek wiedział o tem, a wiedząc także że nie ma na to żadnych funduszy, zaczął się starać o nie z największą, na jaką go stać było, skrzętnością. Jak więc z jednej strony całą siłą jeszcze pracował, tak znowu z drugiej strony przerabiał się w niesłychanego skąpca i to nawet do tego stopnia, że mieszkając z małym Flawiuszem w jednej nieopalonej izdebce na stry-

chu, żył tylko czarnym chlebem i wodą. Było to bardzo piękne, bardzo nawet szlachetne poświęcenie się tego poczciwego staruszka, które miało wartość jeszcze o tyle większą, ile że celem jego nie było wcale dobro jego własne, tylko dobro i przyszłość Flawiusza. Ale poświęcenie się to było li jednostronne, bo staruszek, lubo tym sposobem fundował pewny sposób do życia dla swego wnuka, zaniedbywał jednak prawie zupełnie jego wychowanie. Zaniedbanie też to miało dla Flawiusza skutki najgorsze. Chodził on wprawdzie niby to do szkół, ale nie się zgoła nie uczył. Był to natenczas chłopiec nadzwyczaj burzliwego i prawie dzikiego temperamentu, w skutek którego nie tylko że się nie dawał żadnym środkiem do nauki nakłonić, ale wyrobił w sobie nawet najszałeńszą namiętność do nieznającej żadnych granic swawoli. Swawola ta przechodziła nawet często wszelkie dotychczas praktykowane granice i kilkunasto-letni Flawiusz skończył nareszcie na tem, że musiał szkołę na zawsze porzucić.

Lata te wszystkie strawił Flawiusz, mało powiedzieć, w dokuczliwościach albo nawet w cierpieniach, bo prawie w ustawicznych męczarniach. Życie jego ówczesne było to życie występnego człowieka, skazanego na karę. Bito go w szkole za niepoprawność w swawoli, uporze i zuchwalstwie, zamykano do szkolnych więzień i stawiano pod pręgierzem hańby i wstydu dla odstraszenia innych — a kiedy skarany już podwójnie albo potrójnie w szkole do domu wrócił, to w domu zastawał zwykle tylko nową chłostę, nowe więzienie, obostrzone jeszcze do tego głodem. Widząc takie zachowywanie się jego, staruszek gryzł się nieraz do tego stopnia że się chwiał w swoim postanowieniu i prawie na siłach upadał — ale pomimo to był jeszcze o tyle Nielitościwszym dla niego i w postępowaniu z nim trzymał się nie łagodnych francuzkich, ale staropolskich, jaknajsurowszych środków. Mieszkańcy tej kamienicy, słysząc prawie codziennie jęki tego nieszczęśliwego chłopca, litowali się nad nim i wnosili za nim prośby do dziadka — i była to litość najsprawiedliwsza — Flawiusz bowiem nie tylko że pokutował okropnie, ale któż wie jeszcze, ażali nie po-

kutował więcej, niżeli za swoje własne, za nieodpuszczone jeszcze grzechy swoich rodziców?

W istocie rzeczy było natenczas coś dziwnego, coś szczególnie nienaturalnego w tym chłopcu. Pomimo to że się niby nic zgoła nie uczył, rzeczą jednak było najjaśniejszą dla wszystkich, że daleko więcej wiedział i umiał, niżeli wszyscy jego rówieśnicy. Wiadomości jego wprawdzie nie popłacały, bo w owych czasach, gdzie od szkółek najmniejszych aż do najznakomitszych uczonych wszelka nauka była zakuta w alwarowe kajdany i nieprzyznawano rozumu nikomu, kto nie miał pieczęciami zaopatrzonego patentu na niego, wiadomości samorodne popłacać nie mogły — ale te wiadomości mimo to były istotne i nieraz nawet zadziwiające. Oprócz tego leżała pewna sprzeczność i w charakterze tego osobliwego chłopca. Szalencie ten bowiem zapamiętały nieraz przywódca zgrai lampartów ulicznych, uparty, nieugięty, zuchwały, miewał już wtedy częstokroć chwile, w których w największej ciszy zasiadał samotnie w kąciu i zapadał w zamyślenie tak głębokie i długie, jak gdyby był już człowiekiem dojrzałym i o najważniejszych rzeczach rozmyślał. Po takim zamyśleniu zbliżał się zwykle do starca i takie mu dawał pytania, że staruszek bardzo często na nie odpowiedzieć nie umiał a zawsze nie mógł się dosyć nadziwić, skądby się takie myśli brały w tym wrzekomym nieuku i swawolniku?

Będąc zaś tak twardego i niby niewzruszonego serca, że pod najsurowszą chłostą ani jednej łzy nie uronił, po takim zamyśleniu nieraz tak gwałtownemi i niepowstrzymanemi zalewał się łzami, że i sam dziadek w końcu z nim się zawsze rozpłakał, lubo nigdy nie wiedział rzeczywiście łez tych przyczyny. Z tego wszystkiego należało nietylko to wnosić, że w Flawiuszu pod widomą powłoką nieuctwa i lenistwa znajdują się mniej widome, lecz niemniej przeto znamienite zdolności; — ale było także rzeczą niezaprzeczoną, że pod zwierchnią, zardzewiałą a może i pokalaną skorupą serca, wrą bardzo ludzkie, bardzo prawdziwe, może nawet najpiękniejsze uczucia.

Stary fehmistrz, a późniejszy marszałek książęcy, wi-

dział to wszystko, lecz zamiast korzystać z tych pocieszających objawów i za ich pomocą starać się swojego wnuka wszelkimi siłami na inną drogę sprowadzić, tylko się tem pocieszał; — a będąc naówczas tem tylko zajęty, ażeby dla niego pewną materyalną podstawę uzyskać, poprawę podstawy moralnej odkładał tem spokojniej do późniejszego czasu, im był pewniejszym, że ją później tem silniejszymi środkami będzie mógł przedsięwziąć.

Bądź co bądź wszakże, nam tylko na to główną zwrócić należy uwagę, że Flawiusz, przyszedłszy na świat pod najnieszczęśliwymi warunkami z każdego względu, pierwsze wrażenia odbierał i pierwsze sobie wyrabiał pojęcia pod tegóż świata najboleśniejnymi ciosami i grzęznąc ustawicznie w jego najpoziomszym osadzie. Patrząc na to i widząc, że w tych tak nieszczęśliwych dla niego okolicznościach nawet najlepsze chęci jego dziadka przeciw niemu się przysięgły, zdawało się, jakoby nad nim jakaś straszna klątwa wisiała, jakoby stanął u jego boku jakiś duch złośliwy, nieubłagany, który ująwszy go silnie za rękę, prowadził go w jakąś przepaść, z góry już przygotowaną dla niego. Pomimo to jednak widzimy także, że na przekór owemu duchowi pomsty, czy przekłętwa, czy przeznaczenia, który go tak grzązkami ścieżkami wprowadzał w życie — już zawczasu wystąpił jakiś duch dobry, jakiś stróż-anioł, czyli mówiąc właściwie, jego własne czysto-ludzkie sumienie, które ostrzegając go silnym głosem o grożącym mu niebezpieczeństwie, obudzało w nim ciągle głębsze, wnetrzniejsze myśli i czyste, ciepłe, wzruszające uczucia.

Pomiędzy tymi dwoma pierwiastkami zaczęła się już naówczas zawzięta walka, która o tyle była jeszcze gwałtowniejsza i krwawsza, o ile się odbywała w organizmie niespokojnego, gorączkowego prawie temperamentu.

Dalszej kolei tej walki nie potrzebujemy powtarzać ze szczegółami. Jest ona dla każdego bardzo łatwo domyślną, kto tylko o tem ciągle pamiętać będzie, że była ta walka wcale przeciwna walkom podobnym u ludzi innych, gdzie pierwiastek zły prowadzi zwykle wojnę li podjazdową, okolicznościową, a przedewszystkiem zaczepną. Tutaj pier-

wiastek zły, mając przez lat kilkanaście jak najswobodniejsze pole dla siebie, ufortyfikował się, że tak powiem, i w umyśle i w sercu, i jeżeli dziś był zmuszony występować do boju, to był to długo jeszcze dla niego bój tylko odporny. Skłonności dobre, czyste, szlachetne, które się kolejno obudzały z uspienia, musiały szturm przypuszczać do tej uzbrojonej złego ducha warowni i jeżeli im się udało tylko kawałek muru utracić, albo jakąś maleńką basztę w gruzy zamienić, było to dla nich naówczas już ogromne zwycięstwo.

Z taką walką zawziętą w swem wnętrzu wyjechał Flawiusz do Paryża na nauki — i bawił tam cztery lata.

Szalony swawolnik, zastawszy tam wtedy cały naród w najszaleńszej swawoli, jakie przechodził koleje losu, przez jakie nieraz brnął topieliska i jak ekscentryczne znów zato obudzał w sobie uczucia i myśli — niewiadomo nam jest dokładnie. To wszakże możemy powiedzieć z pewnością, że — jak widok naszych własnych niedobrych przymiotów i niechwalebnych nałogów, doprowadzonych do ostatnich swych rezultatów przez innych, raczej odstrasżające, niżeli kuszące na nas zwykł sprawiać wrażenie — tak i Flawiusz, widząc podówczas w Paryżu ludzkie szaleństwo do ostateczności już posunione, raczej się w swym szaleństwie ochłodził, niżeliby się miał w niem utwierdzić. Cztery lata zresztą teoretycznej i praktycznej nauki, przy wrodzonych znamienitych zdolnościach, nie mogły na niego wywrzeć innego wpływu, jak tylko zbawienny, i lubo Flawiusz nie powrócił z Paryża całkiem już poprawiony i przetworzony, co nawet było niepodobieństwem, powrócił jednak przynajmniej okrzesany zupełnie, oswobodzony z swej pierwotnej dzikości, a przez to znacznie usposobiony do przyjmowania uczuć czystych i myśli szlachetnych.

Niewypowiedzianie szczęśliwy dla niego przypadek zdarzył, że powróciwszy z Paryża i osiadłszy stale w Warszawie, dostał się w opiekę mężowi znamienitego światła, nauki i charakteru, którym był owoczesny książdz podkanclerzy. Mąż ten, górujący rozumem i swoim wyrobio-

nym, znanym z niewzruszności, charakterem, tak dalece nad niedoświadczonym i chwiejnym, lubo także zuchwałym i zdolnym Flawiuszem, że chcąc nie chcąc musiał sobie zdobyć nad nim stanowczą przewagę; — mąż ten, mówimy, oprócz tego wszystkiego był jeszcze kapłanem, a o ile już z tego samego powodu wpływ jego na Flawiusza musiał być zbawienniejszym, nie potrzebujemy dowodzić.

Jakoż w istocie rzeczy pod wpływem tego znakomitego męża i pod wpływem innych ludzi, z którymi za jego pośrednictwem bliższe pozawiazywał stosunki, Flawiusz się prawie całkiem przetworzył. Umysł jego nie stały i wałęsający się od jednej zasady do drugiej, osadził się teraz na pewnej, może także ekscentrycznej cokolwiek, ale niemniej przeto moralnej podstawie; — z pomiędzy różnych niepewnych, nieświadomych celów ludzkiego życia, wystąpił teraz przedeń cel jeden, jasny, pewny, szlachetny; — jego burzliwe serce ułagodziło się o wiele w swoich dawniejszych wybrykach i otworzyło się uczuciom czystym, ludzkim i pięknym — i odtąd Flawiusz, jeśli nie umiał się jeszcze na niem postawić, to już wiedział przynajmniej doskonale, jakim być winno stanowisko zacnego człowieka w tem życiu i co do tego potrzeba.

Podczas tego przetwarzania się jego moralnej istoty, oczywiście że owa uzbrojona warownia, którą sobie zły duch w jego wnętrzu zbudował, runęła w gruzy — ale te gruzy jeszcze w nim pozostały...

Flawiusz był już naówczas wyłącznie pod wpływem pierwiastku dobrego — pracował on nad sobą z całym możliwym wysileniem, ażeby się stać dobrym, szlachetnym i zacnym, i to mu się coraz lepiej udawało; — ale te gruzy owej przekłętej warowni jeszcze nieokrzesane, obrukany głaz jakiś wystawiał zeń swoją straszliwą głowę, i albo rzucał cień brudny na jego uczucia i myśli, albo rzucając się sam w jego drogi, wykrzywił jego zamiary i czyny... Flawiusz tedy był jeszcze zawsze w ustawicznej walce, jeśli nie z sobą samym, to z owemi nieszczęsnymi

pozostałościami swojej własnej przeszłości, które zwykle, jak wszystkie plugawe chwasty, głębokie mają korzenie i zawsze długo, a często nawet nigdy, nie dadzą się z gruntu wyplenić.

Wszakże największą pracę miał Flawiusz z najgłośniejszym chwastem swej duszy, którym była ta myśl, zaprawdę straszna i zabijająca, że sam nie wiedział, skądby się wziął na tym świecie, i wskutek której wyrósł w nim domysł, że nie jest właściwie członkiem, tylko jakąś nienaturalną naroślą, jakimś pasożytem... że jest sam chwastem ludzkości. Ta myśl go trapiła jak widmo, jak mara straszna, i nie dawała mu spokoju we dnie ni w nocy, odbierała mu chęć do pracy i osłabiała w nim czasem jego silną wolę uzacniania siebie do tego stopnia, że miewał chwile, w których opuszczał ręce zupełnie i brzydził się nawet sam sobą...

Usiłowania jego, ażeby tę myśl buntowniczą uspokoić w sobie gruntownie, usiłowania czynione na wszystkich drogach możliwych, nie przynosiły żadnego skutku. O tajemnicy tej wiedział li tylko jeden dziadek, ale ten, jakśmy to już widzieli powyżej, był niewzruszony w milczeniu. Były już między nim i Flawiuszem daleko gwałtowniejsze sceny niżeli ta, którą nam się widzieć zdarzyło, ale i te nie wymogły na starcu. Powiadał on że przysiągł przed krucyfiksem i nie mógł złamać przysięgi... Inne poszukiwania także żadnego nie przyniosły owocu. Flawiusz tedy został pod przekleństwem tej myśli i pod fatalnym jej wpływem na całe swoje usposobienie, który, lubo wśród zajęć i pracy nie zawsze dawał mu się uczuwać, napełnił jednak jego serce na zawsze najnieznośniejszą goryczą, która o tyle jeszcze była fatalniejszą dla niego, ile że jej towarzyszyło przekonanie, że na nią nie masz żadnego ratunku...

O tym ratunku, o środkach wydobycia się przynajmniej z pod tak ustawicznego wpływu tej myśli, Flawiusz przemyślał ciągle i bezustannie — ale nie nie mógł wymyśleć... Czasem tylko obudzało się w nim jakieś tajemne przecucie, które mu powiadało, że gdyby znalazł

ciche, spokojne, kochające serce kobiety, któreby się chciało dla niego poświęcić i dla którego onby się mógł także poświęcić, byłoby to wielką ulgą dla niego, stałoby się może nawet z czasem radykalnem lekarstwem... Jakiś kącik swój własny, oddalony od tego świata, o którym mu się zdawało że nim pogardził — a w tym kąciku jakaś skromna, pełna miłości i współczucia dla niego istota taka, któraby nietylko zdjęła z jego serca połowę tego nieznośnego ciężaru, ale i sobą samą zastąpiła mu świat ten, w którym ciśniony ustawicznie tymże ciężarem, nie widział dla siebie żadnej przyszłości, zdawało mu się, że już to samo byłoby zbawieniem dla niego. A cóż dopiero powiedzieć o tem, jeżeliby za pośrednictwem takiej istoty wszedł w kółko jakiejś zacnej, statecznej, poważanej rodziny, gdyby go ta rodzina przyjęła za swego, zastąpiła mu matkę nieboszczkę, zastąpiła mu nieznanego ojca — któż wie, czy wtenczas nie potrafiłby całkiem zapomnieć o tem, o czem teraz z taką goryczą musiał ustawicznie pamiętać?

Takie przeczucia odzywały się ciągle w jego strapieniem sercu, myśli o tego rodzaju ratunku snuły mu się ciągle po głowie — i Flawiusz rozpatrywał się z tą myślą po świecie i szukał wszędzie takiej istoty — ale jak zawsze tak i tutaj, poszukiwania umyślne póty pozostały bez skutku, póki im w pomoc nie przyszedł przypadek.

Owo więc tedy, dnia jednego o rannej godzinie wszedł Flawiusz do kościoła świętego Krzyża. Wstępował od wtenczas już coraz częściej do świątyń pańskich — nie wiemy, czyli go tam ciągnęła już rzeczywista, serdeczna potrzeba modlitwy — pewną wszakże jest rzeczą, że widok wspańskiego przybytku Pana zastępów, skąd tylu ludzi wynosiło ulgę stanowczą w swoich najcięższych strapieniach, ujmował i jemu o wiele tego nieznośnego ciężaru, który go tak nielitościwie przytłumiał.

Dnia tego wszakże, stojąc przy wstępie do presbiterium, kiedy się przypadkiem oglądnął, ujrzał przy bocznym ołtarzu klęczącą na schodach bardzo piękną dziewczę. Była to młoda panienka, która miała rączki złożone

przed sobą, duże czarne oczy wpatrzone w główny obraz ołtarza a w tych oczach lży żywe i takie rzewne że nie można było patrzeć na nią bez głębokiego wzruszenia.

Tą panienką była podkomorzanka Stasia, która, odebrawszy w wigilią dnia tego wiadomość o wyzdrowieniu matki z ciężkiej i niebezpiecznej choroby, wyszedłszy ranniem z ochmistrzynią swoją do miasta, najpierwej do kościoła wstąpiła, aby Panu Bogu dziękować za tę serdeczną pociechę.

Widok Stasi z takimi łzami w oczach wzruszył Flawiusza do głębi — jej piękność zrobiła na nim odurzające wrażenie. Zdawało mu się, jakby po długiej bezsilnej nocy, z jej oczu uderzył dla niego świt ranny, zapowiadając najwspanialszy wschód słońca.

Flawiusz doczekał na miejscu aż póki Stasia nie skończyła modlitwy — a kiedy wyszła z kościoła, poszedł za nią. Doprowadziwszy ją aż do domu, w którym mieszkała, wypytał odźwiernego o wszystko, czego mógł się od niego dowiedzieć. A kiedy powziął o niej wiadomość, że była córką jakiejś szlachcianki wdowy, mieszkającej gdzieś w dalekim zakątku od granic Rusi, zdało mu się że nie mógł trafić szczęśliwiej, i puściwszy wodze swoim uczuciom, rozkołysał w sobie najrozkoszniejsze marzenia.

Flawiusz nie znał szlachty polskiej i ani śnił o tem, że ta, im dalej zamieszkała od owych wielkich gościńców, którymi cywilizacya do Polski wpływała, o tyle tylko pewniej być może nieprzystępną dla niego i o tyle prędzej się przyczyni do zamienienia jego rozkosznych marzeń w puste złudzenia...

Wszakże mniejsza to było w obec tego, że puściwszy wodze swoim nieokiełzanym uczuciom tych wszystkich złych nałogów, które po swoim wychowaniu pierwotnem jeszcze zawsze przechowywał w sobie. Jakoż zaraz naówczas owe zbrukane gruzy, które ze zburzonej złego ducha warowni w nim pozostały, zaczęły zeń po kolei wystawiać swoje szkaradne głowy i za przywództwem namiętności a umilknięcia rozsądku, jego postępkami kierować...

Widzieliśmy w swoim czasie te postęпки, które go

miały zbliżyć do podkomorzanki, i zaprawdę mogliśmy się nad nimi tylko litować... Po owej scenie z młodym Rudnickim w dzień św. Katarzyny, pisał on jeszcze list do podczaszynej przemyskiej, ale i to się już na nie nie zdało.

Wszakże wkrótce potem Stasia wyjechała do matki — a w Warszawie zaczęły chodzić coraz głośniejsze wieści o przyszej wojnie.

Z różnych stron różne czyniono do tego przygotowania.

W jedną stronę rzucił się Jędrzej — Flawiusz rzucił się w drugą stronę.

Obydwie te strony zeszyły się z sobą — najchwalebniej, ale najnieszczęśliwiej — bo tylko na to, ażeby jedną wspólną podzielić klęskę.

Klęski takie przytłumiają zwyczajnie umysł, rozdzierają częstokroć serce.

Ale młodzi ludzie, mający jeszcze ufność w sobie i przyszłość przed sobą, opierają się zwykle takim strapieniom, budując sobie zaraz jakieś nowe nadzieje.

Tylko stary skarbnik, zbliżający się już do kresu swego życia i roli, upadł na chwilę pod ciężarem tego strapienia: młodzi dotrzyмали placu temu ciosowi i poszli dalej w drogę swego żywota.

Flawiusz nawet nie miał ani jednego dnia swobodnego do podziału utrapień publicznych, bo prawie równocześnie z ukończeniem wojny, naszyły go utrapienia jego własne, daleko bliższe.

W dniach onych bowiem jego dziadek staruszek zakończył życie.

Śmierć ta niespodziewana wcale, dotknęła go bardzo boleśnie — Flawiusz dopiero teraz uczuł w całej pełni swoją samotność.

Wszakże w parę dni po pogrzebie do żaloby i smutków przyłączyły się jeszcze nowe obawy. Staruszek został ranny przy sypaniu okopów nad Wisłą i umarł nagle, nie zostawiając żadnego rozporządzenia swoim majątkiem.

Dawniej kiedyś Flawiusz roił sobie nadzieje, że po

śmierci dziadka, kiedy mu się dostaną w ręce jego papiery, znajdzie w nich niezawodnie jakiś ślad swojego pochodzenia. Rzucił się tedy zaraz do tych papierów i przeglądał je z tem większą ciekawością, ile że szukał w nich rozwiązania dwóch kwestyi najważniejszych dla siebie kwestyi majątku i imienia.

Ale praca jego na nic się nie przydała. Ani o jednym, ani o drugim nie było tam ani śladu.

Nie pozostało mu tedy nic, jak udać się do ksiąg miejskich. Jakoż księgi te były wymowniejsze cokolwiek od dziadkowych papierów, ale tylko cokolwiek. Flawiusz znalazł w nich testament swojego dziadka, który mu kamienicę legował na wieczne czasy — ale nic więcej. Uspokojony przynajmniej z tej strony, chciał znaleźć jeszcze, kto był właścicielem tej kamienicy przed dziadkiem — ale o tem tam ani śladu nie było. Karty poprzednie były wszystkie wydarte — i zdawało się, że to było zrobione umyślnie...

Wypadek ten rozdrażnił na nowo w Flawiuszu przykre uczucie jego położenia i nową go napęłnił goryczą. Niecierpliwy młodzieniec zaczął na nowo czynić poszukiwania i rozpytywał o to najsędziwszych starców całego miasta, ale nikt mu nie nie umiał powiedzieć. Nikt żadnego dawniejszego właściciela tu nie pamiętał. Jakaś stara przekupka z przedmieścia, która niegdyś w sieni tej kamienicy sprzedawała owoce, pamiętała wprawdzie jeszcze jednego burgrabiego w tym domu i pamiętała także, że przez jedną zimę mieszkała tam pani tego domu, jakaś wojewodzina albo kasztelanowa gdzieś od Rusi Czerwonej, ale jak się nazywała, skąd była, to jej zupełnie uleciało z pamięci... Flawiusz chciał dojść czegoś z herbu umieszczonego nad bramą, ale i tu wszelkie dochodzenia nie przyniosły żadnego skutku, bo wieleż to domów używało tego herbu, a pomiędzy nimi także nie jeden tylko używa go z ową małą odmianą.

Całą tedy korzyścią jego z tych poszukiwań było, że się tylko tą starą myślą zniepokoił na nowo i na nowo

zaczął myśleć o daniu sobie jakiejś statecznej podstawy w tem życiu.

Wtedy obudziła się w nim także uśpiona cokolwiek myśl o pięknej podkomorzance. O niej, o jej domowych stosunkach, o jej rodzinie a nawet i o Rudnickim, Flawiusz wiedział już wszystko, i zdawało mu się, że pomimo to wszystko, doprowadzenie do celu tej myśli nie było niepodobieństwem. Im więcej o tem myślał, tem więcej się tylko rozmarzał i — jak to zwykle bywa u młodych, obdarzonych gorącym sercem, bujną wyobraźnią i pewnym wywiązującym się stąd pociągiem do ekscentryczności — doprowadził się na koniec w marzeniach swoich do tego stopnia żądry i niecierpliwości, że postanowił, choćby go to miało kosztować życie, pojechać koniecznie za podkomorzanką i dotrzeć do dna tej sprawy.

Właściwy czyli świadomy mu cel tego postanowienia był może niezupełnie dorzecznym, ale był to w każdym razie jeden z jego najszcześliwszych instynktów...

Bądź co bądź wszakże, nawinął mu się wtedy chorąży koronny, który do swoich majątkowych rachunków szukał jakiegoś zdolnego człowieka. Flawiusz z woli swojego dziadka sposobił się był w Paryżu najwięcej w naukach matematycznych, a pracując i tam i potem w Warszawie w wydziale finansów, miał gruntowne wiadomości w tym względzie. Chorąży wiedział o tem już dawniej, lecz nie śmiać mu proponować takiej pracy u siebie, prosił go tylko o radę — ale Flawiuszowi nie mogło nic lepiej wypaść na rękę, jakoż zabrał się zaraz i pojechał z chorążym na zamek leski.

Rozmarzony swoją wypiętrzoną nadzieją, nieumiejący się niczego dorabiać tylko wszystko zdobywać, ufny w blask jakiś spadający nań z chorążego, a do tego jeszcze lekceważący sobie do najwyższego stopnia całkiem przez siebie nieznaną szlachtę prowincjonalną — Flawiusz szturm przypuścił od razu i był prawie pewnym zwycięstwa. Szturm ten wszakże, o ile znów niedorzeczny a nadto jeszcze, ze względu na konszachty z Małdrzykiewiczem, trochę podstępem wojennym pachnący, całkiem mu się nie udał. Kula

skarbnika wprawdzie go ominęła, ale z nią ominęło go to wszystko, w co położył swoje rachuby...

Niepowodzenie to zasmuciło go bardzo, ale pomimo to nie zrzuciło go z tropu. Scena jego działania przeniosła się do Lwowa i otworzyła mu teraz pole daleko łatwiejsze i obszerniejsze. Pierwszym aktem na tem nowem polu był, jak dla innych, tak dla niego, bal u kasztelanowej Kamieńskiej. Bal ten wszakże, to złowieszczy, to zupełnie fatalny dla innych, dla niego wypadł daleko szczęśliwiej, niżeli się sam nawet spodziewał. Podkomorzyna przyjęła go uprzejmie, Stasia nie odmówiła mu tańca, a skarbnik — którego się najwięcej obawiał ze wszystkich — skarbnik nie tylko że się sam zbliżył od niego, ale go nawet do siebie zaprosił. Rozważywszy sobie te wszystkie zdarzenia, Flawiusz się nie posiadał z radości...

Owo więc — kiedy po owym balu u kasztelanowej Kamieńskiej, wrzekomo szczęśliwy Jędrzej, zamknąwszy się w swoim mieszkaniu, krwawe zwodził zapasy z bólem, zgryzotą i obawą o całą przyszłość, całkiem nieszczęśliwy dotychczas Flawiusz był najszczęśliwszym z śmiertelnych. Powtarzając sobie każde niemal słowo uprzejmej podkomorzynej, otwartej i zupełnie swobodnej Stasi i uprzedzając grzecznego skarbnika, sam się ścisnął za ręce, skakał niemal po swoim pokoju i mówił do siebie.

— Najukochańszy Flawiuszu! ty jesteś najszczęśliwszym hultajem z całego świata! masz więcej szczęścia, niżeli rozumu! wysypują się kwiaty jak z rogu obfitości na ciebie! Nie masz majątku a wychowałeś się jak pierwszy panicz w Paryżu. Nie masz ojca, ale masz najlepszych opiekunów i dobrodziejów bez końca. Kieszenie twoje nie znają próżni, pierwsze osoby się dobijają o ciebie, pierwsza panna kocha się w tobie... i czegoż ty jeszcze chcesz od ładajakiego świata.

Tak się ciesząc, marzył najrozkoszniejsze sny i najśodsze nadzieje.

Flawiusz miał miłość wesołą, i tej miłości pełen, pełen też był najswawolniejszego humoru.

Przyzwyczajony zdawna do nagłych przechodów od

najszaleńszej pustoty do nieutulonych łez i żałoby, i dzisiaj jeszcze przerzucić się z jednej ostateczności w drugą, było u niego dziełem jednego momentu.

Teraz przyszła kolej na wesołość i dobry humor.

W takim też usposobieniu udał się zaraz nazajutrz do pomieszkania skarbnika, aby jaknajprędzej zadość uczynić jego uprzejmemu wezwaniu.

Dosyć daleko od miasta, bo na rogu ulic Halickiej i św. Jana, gdzie dzisiaj kamienice zbite jedna przy drugiej, stał wówczas jeden samotny dom murowany o piętrze. Dom ten wyglądał na kształt wiejskiego pałacu w włosko-francuzkim guście, a mając przed sobą dosyć obszerny dziedziniec, był ogrodzony od frontu ogromnemi sztachtami i takąż bramą, pomiędzy dwie wielkie murowane kolumny ujętą. Dom ten obszerny, mieszczący w sobie cokolwiek już staroświeckie ale duże komnaty, zajmowała podkomorzyna w całości i ułokowawszy się sama na piętrze, bratu swojemu oddała trzy dostatnie komnatki w przyziemiach.

W tej chwili była to już poobiedna godzina i skarbnik, zabrawszy miejsce wygodne przy dużym kominie, paląc lulkę turecką z ową oryentalną powagą, z jaką wszyscy starzy się przybierali do tego aktu, rozmyślał sobie swym staropolskim rozumem wszystkie te nowomodne sprawy, które od niejakiego czasu kręciły się koło niego i w które sam mimowoli dosyć blisko się wplątał.

Lecz jakiegokolwiek tam zdanie miał o tych rzeczach i ludziach, pewna jest jednak, że w tej chwili z tego wszystkiego, jeśli go nie najbliżej obchodził, toż przecie najczęściej na myśl mu się nasuwał Flawiusz. Powodów do tego mogło być bardzo wiele, bo oprócz tej tam jakiejś miłości Flawiusza dla Stasi, skarbnik zanadto wiele faktów pamiętał z przeszłości, i na ostatnim balu zanadto zbliżka porównywał Flawiusza z starostą bełzkim, ażeby mu się nie miały natrącić różne ciekawe domysły; — ale pomimo to przecież najgłówniejszym powodem, dla którego mu się Flawiusz ciągle na myśl nasuwał, było to — że strzelał do niego. Skarbnik strzelał do człowieka, który nie przyszedł go ani zabijać ani napadać i nie mógł sobie tego

zapomnieć... Skarbnik go ani zabił, ani ranił, ale mógł go i ranić i nawet zabić — i już to samo zdało mu się tak ciężkim grzechem, że nietylko nie mógł go sobie zatrzeć w pamięci, ale czuł to w swoim sumieniu, że powinien temu człowiekowi dać za to jakąś ze swojej strony naprawę. Wedle sumienia skarbnika był to dług prosty, zaciągniony na rachunek Flawiusza — skarbnik żadnych długów nie cierpiał i byłby bardzo kontent z tego, gdyby i ten na nim nie ciążył. Skarbnik myślał nad tem, jakby to zrobić...

Ale w tem wszedł Flawiusz do niego.

Flawiusz witał go, sadząc się na grzeczność a nawet i lekkie pochlebstwa — skarbnik był mu rad bardzo, a lubo na jego przybycie nie ruszył się z miejsca, przyjął go jednak serdecznie i poufale, mówiąc do niego:

— A! otóż to mi kawaler! parolista jak mało! umiesz nawet dotrzymywać parolu myślom, bo wiedz o tem asińdzi, że właśnie sobie myślałem, jakby to dobrze było, gdybyś się teraz pojawił. Proszę tedy, owo naprzeciw mnie miejsce... siadaj sobie asińdzi wygodnie, a pogadamy od ciemnej gwiazdy. A palisz asindzi lulkę?

Flawiusz zabierał miejsce, odpowiadał że nigdy lulki nie pali, ale go trochę dziwiło, takie powitanie, jak gdyby z tronu, jednak nie brał go sobie do serca, bo skarbnik był przytem wszystkiem niewątpliwie serdeczny. Skarbnik to chwilowe zadziwienie uważał dobrze, ale pomimo to trzymał się ciągle tego samego tonu, który odrazu i nie bez celu uchwycił.

Zaczęła się tedy długa rozmowa *de publicis in spe et in actu*, która trwała przeszło godzinę i która wypadła bardzo na korzyść Flawiusza. Skarbnik bowiem przekonał się z niej, że ten człowiek tak dotychczas wątpliwy dla niego, nietylko ma sentymenty, lubo wedle niego trochę zanadto szerokie, jednak bardzo ciepłe i bardzo szlachetne; ale przekonał się także, że ten człowiek ma wiadomości gruntowne i tak szczegółowe, że nawet o wielu rzeczach swojskich, osobliwie z ostatnich czasów, pod wielą względów jest w stanie każdemu bardzo ciekawie dać ob-

jaśnienia. Skarbnik, z usposobienia swego nadewszystko dokładnego wyrozumienia spraw narodowych ciekawy, uczuł się przez to w samej rzeczy dla Flawiusza ujętym — i kiedy się przedmiot przez nich obrabiany wyczerpał, zawołał z serca do swego gościa:

Ale to waść, panie bracie, jak mi Bóg miły, darmo chleba nie psujesz. Młody jesteś, ale miło się z tobą rozmówić. Trochę tam jeszcze latasz po regionach niebieskich, z którychbyś chciał i to i owo sprowadzić na ziemię, a co się ani waści, ani nikomu nie uda: ale bodajby i tak! Nie bić tego, który nie chce ująć, jeno przyczynić, choćby też się skończyło na samej chęci. A lubo już i te same chęci szumią srodze i sypią takie iskry ze siebie, jakby chciały z pół świata spalić: no! toż ja się ich przecie nie boję. Pokazało nam się aż nadto jawnie, że gdybyśmy byli wszyscy tyle iskier mieli w sobie, byłoby nam wcale nie zaszkodziło, jeno pewnie pomogło. A chociaż to teraz podobno już niebardzo pora tym iskrom, toż i dziś nie zawadzą. Powiadano już dawniej, że lepiej dmuchać niż chuchać — a ja powiadam że liche to piwo, które nie szumi. Diabeł tam komu po gołowasach sęsatach! Młodzi niech mają krew i fantazyą a starzy powagę i rozum, to i dobrze będzie na świecie. Dopiero kiedy młodzi się zaczną po za siebie oglądać, a starzy po kolei przemądrzeją na powrót, nie będzie już o czem i mówić. Ale kto wie, czy kiedy do tego nie przyjdzie, boście wy młodzi, pomimo całej krwi i fantazyi, jakoś cudnie zmądrzeli. Powiedz że mi waść przecie... bo to ja bardzo tej młodzięży dzisiejszej ciekawy. Człowiek wie, jaki świat był przed nim, wie, jak bywało za niego, nim zestąpi do grobu, chciałby wiedzieć, co też nastanie po nim? Powiedz że mi waść z łaski swojej, któżto waści tam wysłał na te nauki paryzkie? boś mi wspomniał nawiasem, że rodzice już wtedy nie żyli. Czyś to tak sam z własnej tam pojechał ochoty? czy się zdarzył jaki opiekun?

— Ot! nie wiem sam, co mam panu majorowi powiedzieć — rzekł na to Flawiusz, rzucając niespokojny wzrok

na skarbnika — ale już to właściwie mówiąc, to mnie mój dziad nieboszczyk do Paryża wyprawił.

— Dziad po ojcu, czy też po matce? — zapytał skarbnik.

— Po matce.

— A więc Francuz rodowity podobno...

— Tak, Francuz.

— Hm! toż to dlatego i ciągnął za edukacją francuzką! A czy żyje jeszcze dziad waści?

— Nie! niestety! już nie żyje! umarł przeszłego roku, a raczej zginął przypadkowo przy sypaniu okopów nad Wisłą...

— Przy sypaniu okopów! — zawołał skarbnik — proszę waści! taki już zgrzybiały staruszek!...

— A czy pan znałeś mojego dziada? — zapytał Flawiusz porywezo.

— Ja? — odpowiedział skarbnik z zastanowieniem, widząc że niechcący zawiele powiedział — ja go wcale nie znałem, tylko się tak domyslałem, że już musiał być starym...

— Pan pewnie nie znałeś mojego dziada? — zapytał jeszcze raz Flawiusz, porywając skarbnika za rękę.

— A jeśli znałem? — zapytał na to skarbnik, patrząc bystro mu w oczy.

Tu Flawiusz w dziwnem znalazł się położeniu. Przebiegła mu myśl przez głowę, czyli też skarbnik coś nie wie? Ale była to myśl przelotna jak błyskawica, a na jej miejsce narzuciło mu się pytanie, co lepiej? czy rozmawiać otwarcie o dziadku fechtmistru z karmazynowym wujem podkomorzanki? czy mieć rozsądek i nie rzucać fechtistrzów w drogę wzrastającej jego przyjaźni dla siebie? — Tam go ciągnęło serce, tu rozum, i rozum prze-mógł tym razem.

— Ale nie znałeś go pan, panie majorze! — rzekł wreszcie Flawiusz — bo przecież byłbym i ja o tem coś wiedział. Ale szkoda, że pan go nie znałeś — dodał młodzieniec, zapadając napowrót w krzesło — był to człowiek wielkiej zaćności! Całą starość swoją poświęcił na to

aby mnie kiedyś dobrze było na świecie. Niestety! nie zawsze podobno umiałem to w nim uszanować!...

— Jakże? więc rzeczywiście się tyle dla waści poświęcał?

— O! panie! — zawołał na to Flawiusz z zapalem — możesz przejść ziemię od krańca do krańca a nie znajdziesz takiego poświęcenia w rodzicach dla dziecka, jakie miał ten staruszek dla wnuka! poświęcenie to wprowadzie i mnie kosztowało niemało, lecz w końcu...

Tu Flawiusz umilkł i westchnął — skarbnik go obserwował przez chwilę z uwagą a potem spytał:

— Proszę cię, panie, czy było istotnie tak wielkich poświęceń potrzeba? czy wam się dawał niedostatek uczuć?

Flawiusz milczał. Skarbnik mówił dalej po chwili:

— Coś ci ciężko na sercu. Ot! wiesz co, panie bracie, jeżeli łaska, popraw się w krzesło i zrzuć ten ciężar ze serca. Jak ci dobrze życzę, tak twoje słowa a choćby i łzy nawet, nie padną na kamień...

Ale jak dla Flawiusza, który jeszcze w swem życiu nigdy tak przyjaznego głosu nie słyszał, i to było już dosyć. Na samo wspomnienie tego, że gdyby chciał, miałby się przed kim wywnętrzyć, oddech mu się zaparł w piersi i łzy mu stanęły w oczach — lecz pomimo to nie dopuścił głębszego wzruszenia. Zerwał się z krzesła, ścisnął skarbnika z całej siły za rękę i rzekł drżącym już głosem:

— Dziękuję panu! z całego serca panu dziękuję!...

Ale prawie natychmiast dodał z uśmiechem:

— Ot! dziecięce to jakieś smutki i żale! ktoby słuchał podobnych zwierzeń. Nie szanowałbym pana, gdybym go chciał bawić takimi bajkami.

— Ale mylisz się, panie! — rzekł na to skarbnik — mylisz się całkiem, bo jeżeli co być może miłem dla starca, to najmiłszymi pewnie młodych sere szczere zwierzenia, które nietylko jak cudny balsam odżywiają jego zakrzepłe uczucia, ale nadto jeszcze przenoszą go w piękne czasy jego własnej młodości, która już tylko jak kwiatek uwieźdły przedstawia się w mglistej jego pamięci.

— Być to może i zapewne tak bywa — odpowiedział Flawiusz — ale nie każde zwierzenia mają tę własność cudowną. Ja przeżyłem młodość bardzo prozaiczną i pospolitą a do tego jeszcze zanadto niepodobną do tej, która się panu dostała w udziale, ażeby mogła w panu obudzić jego własne wspomnienie. Krótko mówiąc, szkoda słów na to... Ale to już szósta godzina — dodał Flawiusz, prędko dobywając zegarka — a ja jeszcze chciałem pani podkomorzynie złożyć moją atencją. Czy przyjmą mnie panie?

— Jeśli są w domu, to zapewne i przyjmą, odpowiedział Nieczuja — ale cóż będziesz tam robił? U kobiety włosy długie a resztę wiesz już... Ja z mojej strony, babskiej konwersacyi — choćby nigdy na życiu! I tobie, panie bracie, tak radzę... Ot! lepiej siadaj, każemy sobie tu przynieść winka, a jeśli lubisz nowomodną herbatę, to i tę nam tu przyszlą... chyba żeś się już znudził ze starym?

— Ale do czegoż znowu! — zawołał Flawiusz — szczerze panu mówię, że nie pamiętam, kiedym się bawił tak dobrze jak dzisiaj. Jabym tu z panem siedział choćby i dobę całą; ale nie mogę zapomnieć o paniach. Muszę być u nich koniecznie.

— Ej! a co ci tam po tem? — rzekł na to skarbnik, patrząc w oczy Flawiuszowi tak dziwnym wzrokiem, że Flawiusz aż zadrżał troszeczkę; ale skarbnik mówił dalej: — Wierz mi, że z kobietami to czas jak kamień w wodę wrzucony i nietylko ten czas, który się z niemi przegawędzi napróżno, ale jeszcze nieraz i więcej: bo to kobiety lubią się posługiwać nami, jak służbą...

— Już co w tem, to się z panem wcale nie zgadzam — rzekł wreszcie Flawiusz, zbierając sobie całą odwagę — i choćby przyszło nawet ciężkie odbywać służby, wypełnię je z przyjemnością, a obowiązku mego nie zapomnę.

— Ha! kiedyś już taki służbisty, to chodźmy — odpowiedział skarbnik z uśmiechem, i wzięwszy świecę do ręki, prowadził go sam po schodach na górę.

Flawiusz postępował za nim powolnym krokiem i dzi-

wnie sobie myślał o tym niezrozumianym przez siebie szlachcicu, tak karmazynowym a tak liberalnym, tak serdecznym, a przecież przytem tak jakoś dziwnym.

Ale wtem weszli na górę.

Pani podkomorzyna miała dziś kilka osób w salonie.

Przyjęła ona swojego nowego gościa bardzo uprzejmie, ale i sztywnie — a Stasia, która podobno w tej chwili spodziewała się całkiem kogo innego, jeszcze sztywniej od matki.

Ale na tę sztywność u dam Flawiusz w oka mgnieniu sobie poradził.

Flawiusz, jak to już wiemy skądinąd, był to człowiek, który mimo swojej młodości, bardzo obszerne miał doświadczenie; znał on świat niemal we wszystkich jego życia kierunkach, miał dosyć bystre pojęcie i pewną siebie wymowę, a przytem posiadał tę giętkość subtelną myśli i ten polor gładziutki, które w gruncie rzeczy pustym są blichтром, ale na wadze pięknego świata przeważają nieraz brantowne złoto. Flawiusz, kiedy chciał i miał humor po temu, umiał sobie ujmować nietylko świat piękny, lekki, ale i mniej piękny i cięższy cokolwiek, do tego stopnia, że gdyby ten przymiot był w stanie zapewnić szczęście życia, on byłby był najszcześliwszym z ludzi. Wszakże oprócz tego przymiotu posiadał on jeszcze i drugi, jeśli nie więcej, to już przynajmniej drugie tyle ważący w świecie, a tym przymiotem była niespracowana świadomość wszystkich dziennych wypadków. Mając najrozliczniejsze, bo wszystkich warstw społeczeństwa dosięgające, stosunki, potrzebną do takiego zawodu ciekawość i pamięć, a przytem w tej chwili prawie żadnego innego zajęcia, wiedział on o wszystkim, co się działo gdziekolwiek, i stąd do wszystkich tych sprawek drobnutkich, które z osobna zdają się niczem, lecz razem wzięte przecież są niemal głównym warunkiem życia i powodzenia na wielkim świecie, byłby mógł być najdzielniejszą sprężyną.

Z drugiej zaś strony podkomorzyna, w swojej nowej roli na wielkim świecie, była w tem położeniu, że jej czegoś nie dostawało. Weszła ona w ten świat bez trudności,

ale żyć w nim dalej i tak się prowadzić, aby choć przynajmniej nie bardzo często parafia nie pokazywała swego zabijającego kopytka, było dla niej niesłychaną trudnością. Strzegła się ona dotychczas z całą możliwą siłą i nie grzeszyła jeszcze ani razu grzechem śmiertelnym; ale grzeszków małych przeciwko etykiecie wielkiego świata, różnych niepowodzeń i niedogodności było już tyle, że podkomorzyna była w prawdziwej rozpacz o swoją przyszłość. Ktoś, jakiś pomocnik, wyręczyciel, doradzca, a choćby tylko sprawozdawca z zdarzeń codziennych, był jej jak zbawienie potrzebny — a tu jak na nieszczęście nikogo takiego nie było. Skarbnik był do tego zaciężki, o Jędrzeju i słych zaginał, a nikt inny podobny się nie nawijał.

Przy tych okolicznościach tedy miał Flawiusz bardzo łatwą rolę przed sobą, i tę rolę po mistrzowsku odegrał.

Pół godzinki konwersacyi potocznej, w której całe setki grzeczności na wszystkich rozsypał, a podkomorzyńkę jak ołtarz uwieńczył, oświecił i okadził, wystarczyło mu na to, ażeby ją całkiem ujął dla siebie — a kiedy w drugiej półgodzinie rozwinął swe wiadomości obszernie o wszystkich domach, mieszkających we Lwowie, o zapowiedzianych wieczorach i balach, o teatrach, kazaniach, mszach modnych i wszystkich innych rzeczach, modnych na wielkim świecie: podkomorzyna nie mogła się posiąść z radości i zaśpiewała hymn prawie tak samo radosny w swem serce, jak załoga okrętu Kolumba, kiedy się jej na oceanie pokazały zielone brzegi nowego świata.

Zaraz też, korzystając z zajęcia się całego towarzystwa konwersacją Flawiusza, wzięła nieznacznie skarbnika pod ramię i zaprowadziwszy go w framugę okna, ową wiekuistą powiernicę salonowych tajemnic, rzekła z niecierpliwością do niego:

— Proszę cię i cóż się tam od Flawiusza dowiedział, bo był podobno u ciebie ze dwie godziny?

— A nicem się nie dowiedział, bom też i na nic nie kroił; to tylko mogę powiedzieć, żeście mi go niepotrzebnie wymalowały tak strasznym, bo to wcale jakieś nie złe chłopczyko.

— A któż ci go znowu wymalował tak strasznym? Skarbnik spojrział z zadziwieniem na siostrę i odpowiedział.

— Jeżeli się nie mylę, to podobno ty sama...

— Ja? a toż skąd znowu? Ja ci powiem przeciwnie, że mi się ten Flawiusz nawet wcale podoba.

— Podoba ci się? a to niech Bóg błogosławi...

— Ale bo tobie zawsze te żarty! — rzekła podkomorzyna z uśmiechem — on mnie się z tego względu podoba, że jak widzę, bardzoby mi to było na rękę, gdybym go mogła częściej przyjmować... On tak wie wszystko i tyle ma o świecie racyi, a ja tu siedzę tak jak na wyspie... W najdrobniejszych nawet rzeczach nie mam się kim posłużyć...

— Więc chcesz jego przyjąć na służbę?

— Proszę cię, mówmy seryo, bo niema czasu... Jak uważałeś, czy on się istotnie kocha w Stasi?

— Być może, nie wiem jeszcze — rzekł skarbnik seryo — ale to wiem, że gdyby się nawet kochał, to da sobie to łatwo wyperswadować.

— Więcby to nie nie szkodziło, gdyby się zbliżył cokolwiek do naszego domu?

— Byle nie w ten sposób, żeby go to upoważniało do utwierdzenia w sobie jakich szalonych nadziei.

— Tak! ale to śliska droga... ja to znam... nieporozumienia w takich rzeczach zachodzą tak łatwo...

— Nie! tutaj niema takiej obawy. Będę i ja go trzymał na smyczy i mam nie złe lekarstwo na niego. A gdyby nawet tak było, żeby miał w samej rzeczy szaleć za Stasią, to wolę go mieć blisko siebie, niżeli w oddaleniu zupełnem. W takim stanie rzeczy przynajmniej potrafię zapobiedz temu, aby jakim nowem szaleństwem nie zaszkodził co Stasi. Dlatego owszem, sam jestem za tem, ażeby go nie odstręczać zupełnie.

— Więc mogę go prosić o niektóre drobne grzeszności?

— Możesz, on nawet jest już naprzód przygotowany do tego...

Tak więc, jak tylko porozjeżdżali się goście a Flawiusz sam jeszcze z woli podkomorzynnej pozostał, matka Stasi obsypała go takim mnóstwem szczegółowych zapytań a nareszcie poleceń, że Flawiusz wyszedł z jej salonu obładowany jak wielbłąd, ciągnący z karawaną do Mekki.

Ciężar ten wszakże był tak lekkim dla niego, że nie wazący na skrupuły ani tych ani innych ciężarów młodzieniec, już leżał w łóżku u siebie, a jeszcze nie mógł przyjść do siebie z radości.

Dla nieszczęśliwych przez całe życie czasem i lekko-myślność jest szczęściem.

XV.

Tak więc Flawiusz, po długich trudach, niepewnościach i niepowodzeniach, wstąpił wreszcie stanowczo na ową drogę, po której, wedle swego mniemania, a może i rzeczywiście, miał już prostobiegnąć do swego szczęścia...

Ale podkomorzyna ze Stasią znajdowały się w położeniu prawie zupełnie przeciwnem.

Wszedłszy w wielko-światowe życie i wzięwszy jego wszystkie obowiązki na siebie, były te obydwie kobiety w ustawicznej pracy od świtu do nocy — a praca ta była jeszcze o tyle uciążliwsza dla nich, ile że od niej całkiem odwykły, a może nawet do niej nie były przygotowane. Do tego jeszcze podkomorzyna, kobieta niecierpliwa, pełna ambicyi a nie próżna kaprysów, chciała koniecznie, aby jej się wszystko winęło jak z płatka: a tu jej się wszystko nie wiedzie! — Więc raz jej pomieszkanie było zaszczerpłe i umeblowane ubogo — to powóz zanadto stary — to liberya zamało paradna — to szory na koniach zaliche — to jej własna suknia nie tak zrobiona jak u hrabinej albo kasztelanowej — to Stasia wyglądała za blade — to jakaś wizyta oczekiwana ją ominęła — to jej ktoś nie zaprosił na wieczór — dosyć że zmartwień i zgryzot było już tyle, żeby ich nawet nikt nie policzył. Więc stąd tylko ciągle i coraz nowe zajęcia, coraz nowe wydatki i coraz

nowe kłopoty — na które wszakże podkomorzyna, przez wzgląd na siebie samą, nigdy ani jednym słówkiem się nie uskarżyła przed bratem, owszem, nawet powiadała przeciwnie:

— Żebyśmy też miała trzy lata potem siedzieć o chlebie i wodzie w Zagórzu, to muszę mieć tutaj wszystko tak, jak potrzeba.

Pocziwy skarbnik zaś mówił na to:

— Ej! a na cóż ci tego? przecież nam na to wszystko wystarcza — ale gdy płacił prawie codziennie rachunki krawcom, rymarzom, cukiernikom, winiarzom i innym kupcom, nie raz ciężkie mu się wydobywały westchnienia.

Tymczasem, właściwie mówiąc, podkomorzyna nie miała wcale na co się skarżyć. Bo lubo to życie we Lwowie kosztowało mnóstwo pieniędzy i trudów, podkomorzynie się pod tym względem wiodło, jak można najlepiej. Zyskała sobie poważanie i wziętość w całym towarzystwie — nikt nie dostrzegał żadnej na niej śmieszności — jej salon nie był nigdy pustym, kiedy była u siebie — Stasia uchodziła powszechnie nie tylko za milionową, ale i za najpiękniejszą pannę we Lwowie — coraz to nowa i coraz znakomitsza młodzież przybliżała się do niej: — a do tego jeszcze, kiedy podkomorzyna rozgłosiła zawczasu, że da wieczór tańczący u siebie, aby się naprzód dowiedzieć, czego się może spodziewać, przekonała się całkiem dowodnie, że będzie mogła zebrać u siebie towarzystwo takie, jakie się jej tylko podoba.

Jakoż jeśli ją to wszystko niezupełnie cieszyło i jeżeli jej ten cały pobyt we Lwowie przynosił więcej zgryzoty niżeli szczęścia, to w gruncie rzeczy nie były temu winny jej drobnostkowe kłopoty, ale poprostu myśl ta, zatruwająca zupełnie wszystko, że główny cel dla którego tutaj przybyła był zupełnie chybiony.

Jędrzej, jak zniknął wówczas z balu, tak i wieść o nim zginęła!

Ośm dni pełnych minęło od tego czasu — a o Jędrzeju ani nawet najmniejszej wiadomości nie było.

Podkomorzyna naradzała się o tem wielokrotnie ze

skarbnikiem; — skarbnik, mający pomimo wszelkich pozorów jakąś instynktową w nim ufność i mający może nawet niektóre jeszcze do dalszej cierpliwości powody, uspakajał ją wszelkimi możliwymi środkami; ale podkomorzyna nie dała sobie o tem ani mówić.

Ośm dni minęło — i niespokojna matka zawsze spokojniej a przynajmniej milczącej Stasi zniecierpliwiła się do tego stopnia, że jej niecierpliwość przeszła już w oburzenie. Podkomorzyna była pewną że Jędrzej już nigdy nie wróci i miała go po prostu za zdrajcę — a gdyby miał nawet kiedy powrócić, to była ona tak oburzona, tak w głębi serca rozgniewana na niego, że byłaby była w stanie mścić się na nim li tylko za to, co z jego powodu przeniosła i przecierpiała.

Dzisiaj był to już dzień dziewiąty od dnia balu u kasztelanowej.

Podkomorzyna przez cały ranek była jak zwykle zajęta z krawcami i modystkami — przez całe południe wizytami oddawanymi ze Stasią — przez całe poobiedzie konferencyami z cukiernikiem, pasztetnikiem, kucharzem o przygotowaniu do balu — a teraz, przy zbliżającej się szarej godzinie, była sama w komnacie. Chodziła ona niecierpliwie krokami od kąta do kąta i chciała rozmyślać nad tem, coby jej jeszcze nie dostawało do tego, ażeby wieczór u niej nie był gorszym od innych — ale te myśli całkiem się jej nie składały, bo co moment się jej nasuwało pytanie: na co ten wieczór? dla kogo? dlaczego? i co on mieć może za styczność z tym celem, dla którego przyjechała do Lwowa? — Podkomorzyna chciała wmówić w siebie koniecznie, że ponieważ o Jędrzeju niema co myśleć, wieczór ten będzie na to, na co wszyscy dają wieczory, którzy mają córki dorosłe — ale pomimo to, przecież ciągle jej się na myśl nasuwał Jędrzej.

Nie mogąc sobie dać rady sama ze sobą, zadzwoniła nareszcie i kazała prosić do siebie skarbnika.

— Proszę ciebie, kochany Marcinie — rzekła ona do brata wchodzącego krokiem powolnym — muszę jeszcze raz z tobą pogadać otwarcie o tych naszych zgryzotach.

Co się dzieje! co się dzieje! tego już pojąć nie mogę. Nie wiem już nawet sama co myśleć. Bo jużciż przecie to jest niepodobieństwem, żeby Jędrzej ciągle myślał o Stasi i nie był u nas ani razu dotychczas! I cóż ty myślisz o tem?

Skarbnik na to najpierwej drzwi zamknął szczelnie od tych pokoiów, w których znajdowała się Stasia, potem usiadł na krześle i tak odpowiedział:

— Ja myślę to samo dzisiaj, com myślał wczoraj i co od kilku dni myślę ciągle.

— Cóż tedy?

— Myślę tak, że Jędrzej ma zawsze szczerę intencję, ale są jakieś fatalne przeszkody.

— Ale cóż za przeszkody? Bo że ktoś mieć może przeszkody do ożenienia, to przypuszczam, ale przeszkód takich, żeby się nawet nie mógł pokazać w tem domu, ja nie pojmuję.

— I ja ich nie pojmuję zupełnie, ale je mogę przypuszczać, bo to różne bywają kolizye, a zwłaszcza w mieście, gdzie wszyscy mają siebie ciągle na oku.

— Kolizye być mogą, to prawda, ale to zawsze tylko kolizye takie, które przeszkadzają do ożenienia... jednak nie zmuszające do unikania.

— Mogą być nawet i takie.

— A, to przyznam ci się, że jeśli Jędrzej się tak daleko zaawansował z wojewodzianką inflantską... ale i to być nie może! bo przecież całemu światu wiadomo że o wojewodziankę się stara starosta bełzki...

— Otóż to jest ten szczegół — rzekł na to skarbnik — który mnie bałamuci najwięcej. Bo gdyby nie to, to jego kunktaeya z nami dałaby się łatwo policzyć na kark jego delikatności dla wojewodzianki, ale kiedy ona już widocznie tak mało liczy na niego, że się pozwala otwarcie starać o siebie starości, to delikatność z jego strony już nie ma miejsca. Jednak musi to coś być w tem koniecznie...

— Ale co jest! nie nie jest! — zawołała podkomorzyna, — Jędrzej jest wietrznik, bałamut, lekkomyślnik, ma sobie nas za nic — i owóż wszystko! A może też

i nigdy nie myślał rzetelnie o Stasi, bo to ci warszawscy panicze to różne miewają zachętki. Uczęszczali oni do niezłej szkoły w Warszawie, sam król im dawał prelekcye. Ale poczekaj-no, panie Jędrzeju, znamy my się na farbowanych lisach! Powiadam ci że mnie taka pasya porywa na tego panicza, że gdybym mogła, tobym go przynajmniej na jaki rok zamknąć kazała o chlebie i wodzie. Wyobraź sobie, ni stąd ni z owąd tak zbałamucić dziewczynę i pójść sobie na cztery wiatry, to, jak Pana Boga Kocham, jest zbrodnia! Proszę cię, czy obserwujesz ty Stasię? czy uważasz ty, jak ona teraz pobladła, jak osowiała, jak nie jada, nie sypia... bo i ona już trochę zachwiała się w swojej wierze, i ona to czuje, że nie wiedziała sama komu miała zaufać. O! chybaby Pana Boga nie było na niebie, gdyby takie zbrodnie uchodziły bezkarnie! I ja ci to mówię, ja ci przysięgam, że jeśli nas Jędrzej oszukał, to nie masz tego poświęcenia, nie masz ofiar tak ciężkich, którychbym nie poniosła z ochotą, aby mu za to jak należy zapłacić! I będziesz widzieć, że mi Pan Bóg w tem dopomoże, bo On widzi nasze uczynki i nie chce tego, abyśmy się katowali niewinnie.

— Ale poczekaj-no, moje dziecko! jeszcze tu niema czego się tak bardzo unosić. Miejmy jeszcze cierpliwość, wszakże nie nas nie nagli. Przykro mi o tem pomyśleć, żeby nas Jędrzej miał wziąć za zabawkę dla siebie; jakkolwiek i ja go z jego postępowania z nami usprawiedliwić nie mogę, jednak takiej lekkomyślności nie mogę mu w żaden sposób przypisać; poznałem go całkiem innym i całkiem inne mam też o nim wyobrażenie, a stare oko bardzo rzadko się myli. Jednak gdyby nawet i tak być miało w istocie, jak o nim tuszysz, toż i to jeszcze nie byłoby naszą zgubą, nie byłoby śmiercią. Dziewczęta łatwo się bałamuca, ale też i odbałamucają się często...

— O! już co w tem, to cię bardzo przepraszam. Odbałamucenie tutaj nie byłoby takie łatwe... Ja znam tę dziewczynę i wiem, jak głęboko siedzą w niej wszystkie uczucia...

— I ja to wiem także i dlatego mnie to boli tak bar-

dzo. Jakoż daję ci słowo moje na to, że takiego występku ja sam nie przypuściłbym płazem. Ja się nie zrywam za lada słówkiem do szabli, ale kiedy ją wezmę w rękę, to oddaj się Bogu! Ucinało się kark dwuletniemu ciałkowi za jednym cięciem, kiedy się jeszcze było wyrostkiem — płałało się potem po innych karkach daleko lepiej — toż i dziś jeszcze nie zdrewniała mi ręka! I daję ci słowo na to, że już ja o tem pamiętam. Ale i na to daję ci słowo, że nam to nie ucieknie. Miejmyż tedy cierpliwość i wy-czekajmy do końca. Sądzić dziś ostatecznie, to jest jeszcze zawczasu. Ktoś tu jest winien, ale kto i dlaczego zawinił, to jeszcze nie jest nam jasne. Jędrzej winien, to pewna: ale co się stało tej winy powodem, jeszcze to różnie być może. A może też i my sami winniśmy tutaj cokolwiek?

— My? a toż jakim sposobem?

— Uważ mnie, moje dziecko, bo to ja różnie sobie to myślę. Człowiek jest to stworzenie bardzo kapryśne, a każdy inne miewa kaprysy. Jednemu naprzykład zachce się czegoś, nie może dostać, idzie też zaraz z kwitkiem i zapomina o swoim zachceniu. Drugiego trudność lub opór tylko tem więcej drażni i dopiero wtedy jego zachcenie nabiera ognia. Trzeci zaś znowu, zachciawszy czegoś i znalazłszy łatwość otwartą, ochładza się w swoim zachceniu — nie bierze zaraz, ale też i nie porzuca na zawsze — bo myśli sobie: dobra rzecz, ale mi o nią nie pilno, bo ją mieć mogę każdego czasu. Owóż także być może z Jędrzejem. Przyjęła go podczaszyna z otwartymi ramiony, przyjęłaś ty go może także cokolwiek więcej jak wdzięcznie, Stasia już zgoła się z afektami nie tai, a na co mu się więc bardzo ubiegać i na co śpieszyć?... Małżeństwo to kawałek niewoli — swoboda każdemu miła — a Jędrzej młody — a to teraz zapusty...

— Być może w tem trochę prawdy — rzekła na to podkomorzyna z namysłem — ale nie ze wszystkiem. Bo gdyby Jędrzej się tak kochał w Stasi, ja ona na to zasługuje i jak ja to rozumiem, toby nie mógł znieść tego, żeby jej nie widział codziennie, kiedy jest od niej o kilka kroków. Ale masz zresztą słuszość! Myśmy zanadto po-

czciwie, zanadto otwarcie postępowali z Jędrzejem... myśmy go tak traktowali, jakby nam świadczył łaskę... To było źle, to go zepsuło, to nadeło tego panicza, który też sobie teraz za nic ma szlachcianeczkę... Bardzo ci dziękuję za tę uwagę. Będę z niej korzystała. I to mi nawet wielką przyniesie ulgę. O! nie uwierzysz, jak ja jestem w stanie teraz z nim postępować! Żeby się tylko nie chował przedemną... a nie u mnie... a tak w świecie, gdzieidziej... No, już to tylko mnie zostaw, dam sobie radę!... Ale bo też ty, braciszku, mógłbyś coś zrobić z twej strony, bo i tybyś się mógł do tego przyczynić...

— Ej! ja tam już nie do tego! nie miałem ja nigdy wprawy do takich misterności gabinetowych, to i dziś nie mam. Po staropolsku, poprostu, to się tam jako tako rozmówię, i wyrąbię się czasem nie źle; ale te tam wasze językowe szermierki, to owe cięcia krzywe, domniemane, dwuznaczne, podstępne... to już chyba mi się samo ze siebie udało...

— Ale nie o to tu idzie, mój bracie! Bo przy tem wszystkim byłaby przecież rzecz niezła, żeby się czegoś o nim dowiedzieć. Jakoś to w świecie mężczyźni ze sobą żyją i wiedzą o sobie nawzajem... młodzi bywają zwykle otwarci...

— Ale nie wszyscy, nie wszyscy! — rzekł na to skarbnik z westchnieniem — a przynajmniej nie Jędrzej, i to mnie też boli najbardziej.

— No! ale przecież, przecieżby się można czegoś dowiedzieć... I ty nawet bez tego źle robisz, że tak mało gdzie bywasz. Ot! prosił ciebie do siebie starosta bełzki...

— Ale do niego nie pójde...

— A to dlaczego?

— Tak, bo nie pójde... w takich domach nigdy nie bywam...

— Nie rozumiem cię, przecież starosta...

— Moje dziecko, ja starostę znam dawniej, niżeli wszyscy i wiem też o nim może co więcej, niż wszyscy. A zresztą kto wie, czy kiedy nie przyjdzie mi mieć bar-

dzo pieprzną rozmowę z tym panem, a dziśby trzeba go karmić miodem... jakośby to potem nie licowało ze sobą..

— Nie pojmuję doprawdy, o co ci idzie, bo to bardzo grzeczny kawaler... lecz mniejsza o to. Ale przecież wojewoda inflancki...

— A, co u wojewody to będę. Nawet myślę już o tem...

— Ale bo ty myślisz i myślisz — rzekła na to podkomorzyna z uśmiechem — a to tak w mieście nie można, bo tu każdy dzień liczą. U wojewody nawet należało ci być już dawno. Panna Melania była tak grzeczna, że ze starościną halicką była już u mnie, a nawet ja byłam już u niej...

— No, to i ja do nich pójde, pewnie już pójde...

A kiedy to mówił skarbnik, Stasia drzwi odemknęła cokolwiek i wetknawszy główkę do tej komnaty, zapytała:

— Czy wolno? bo jeżeli nie wolno, to nie będę państwu przeszkadzać.

— Ale wolno, moja rybeczko — rzekł na to skarbnik — przecież nie mamy przed tobą sekretów.

Weszła tedy Stasia do komnaty, ale była istotnie zmienioną. Jej twarzyczka, tak świeża i takim blaskiem młodości promienna, jak kwiat dopiero dzisiaj rozkwitły, była teraz bledszą cokolwiek; po pod jej cudownemi, w alabastrową oprawę ujętemi oczami, wymalowały się jakieś cienie niebieskie — a po całej twarzy był tak widoczny wyraz smutku rozlany, że nie można go było nie dojrzeć. Wszakże Stasia musiała wiedzieć o tem i wiedząc także, że każdy jej smutek udzieli się pewnie jej wujowi i matce, usiłowała przybrać wyraz nietylko spokojny, ale nawet wesoły. Tak też samo i ci oboje, będąc dopiero co to żalem, to smutkiem, to gniewem wzruszeni, a obawiając się o to, ażeby widok takich usposobień u nich nie zrobił na Stasi nieprzyjemnego wrażenia, rozpromienili sztuczną radością swe twarze. I tak z poczeiwej troskliwości o siebie, wszyscy mieli wesołe twarze — tylko jeszcze tak prędko nie umiał nikt dobrać głosu i myśli wesołych.

Jakoż trwało przez chwilkę milczenie.

Ale to milczenie, jakkolwiek krótkie, było jednak aż nadto wystarczające, aby przekonać wszystkich, że napróżno usiłują się złudzić nawzajem i prędzej czy później, muszą się odkryć przed sobą. Pierwszy to uczuł skarbnik i chodziło mu już tylko o to, ażeby tej rozmowie jakiś mierny ton nadać i nie wywoływać smutków takich, których nie było czem jeszcze ukoić. On tedy rzekł wesoło do Stasi:

— Cóż, moja rybko, widzę jakąś chmureczkę zamyślenia na twoim czole? czy myślisz tak mocno o jakim balu? czy się jaki stroik nie udał?

— Nie, mój wujaszku, najmniej myślę o strojach... ale poznało się tylu ludzi, widziało się tyle rzeczy, toż jest i o czem pomyśleć.

— No, toż i chwala Bogu! bo ja już sądziłem, że myślisz o rzeczach takich, o których myśleć nie trzeba. Powiadali nam starzy, że człowiek o wszystkim myśleć powinien, co go dotyczy, ale ja mówię, i mówię to z doświadczenia, że przecież są rzeczy, o których staranie trzeba całkiem zostawić Bogu.

— Ja to wiem, kochany wujaszku — rzekła na to z westchnieniem Stasia — i nawet tak robię. My kobiety zresztą już z położenia naszego w świecie, często zmuszone do tego. Nasza rola jest bierną — cierpliwość naszym obowiązkiem najpierwszym a drugim zaraz poddanie się z pokorą, jeśli się ta cierpliwość na nie nie przyda...

Bo i to bywa czasem!... I ja wierzę w to z góry, z samej obawy tylko, ażeby mnie Pan Bóg nie chciał przekonać...

Podkomorzyna i skarbnik spojrzeli na siebie znaczącym wzrokiem, a matka rzekła:

— Jest to obawa, śmiem utrzymywać, nieugruntowana zupełnie, ale nie jest naganna... Kto chce zawsze być w stanie tak sobie postąpić, jak mu należy, ten w każdym wypadku powinien być przygotowanym na wszystko...

— Ja jeszcze podobno — odpowiedziała Stasia — nie jestem przygotowana na wszystko, ale pomimo to nie obawiam się wcale, ażebyśmy mogła sobie fałszywie postą-

pić, bo postęпки z mojej strony całkiem tutaj nie mogą mieć miejsca...

— A, co temu — rzekł skarbnik — tobym śmiał się sprzeciwić. Bo rola kobiety jest wprowadzić bierną, ale nie całkowicie, bo przecież są całe drogie w jej życiu, na których jest i powinna być czynną. Lecz gdyby nawet była zupełnie bierną, to przecież i bierność jeszcze nie wyklucza postępków. Wszakże to i w bierności pozostaje nam prawo przyjmować albo odprawiać — a czy się przyjmie, czy się odprawi, jest to zawsze postęp.

— Wujaszek mi naznacza zanadto wielki zakres działania — rzekła na to z wymuszonym uśmiechem Stasia — bo ja jestem w tem położeniu, że mogę tylko przyjmować, a o odprawie ani mowy tu nie ma. Gdybym nawet chciała, to nie mam kogo odprawić...

— Nie masz teraz, lecz kiedyś w czasie mieć możesz — rzekł skarbnik.

— Nie rozumiem zupełnie, do czego wujaszek zmierza — odpowiedziała Stasia, zamyślając się nad tem.

-- Ja zmierzam do tego — zaczął mówić dalej skarbnik... ale w tym momencie chwyciła go jego siostrzenica gwałtownie za rękę i zawołała:

— O! nie!... już ja rozumiem... ja się domyślam...

Jakoż zaraz złożyła ręce jak do modlitwy i mówiła błagalnym głosem:

— Ale proszę państwa, jeśli macie litość nademną, nie mówmy o tem! Gdybyśmy o tem mówili, wszyscybyśmy płakali. A ze łzami bądźmy ostrożni, bo któż wie, ile nam ich jeszcze będzie potrzeba w przyszłości!

Tu znowu podkomorzyna i skarbnik spojrzeli po sobie i nie wiedzieli co mówić — a tymczasem Stasia jeszcze dodała z westchnieniem:

— A zresztą... może już tylko tyle szczęścia jest dla mnie, ile nadziei; nie odbierajcież mi jej jeszcze dopóty, póki mi jej sam Bóg nie odbierze!...

Te słowa, wymówione głosem tak rzewnym, że chwytały prosto za serce, prawie do łez wzruszyły skarbnika, który też zaraz przystąpił do Stasi i całując ją w czoło, rzekł do niej:

— Bądź spokojną, moje dzieciątko, nie zasmuci cię Pan Bóg tak bardzo, nie zasłużyłaś sobie na to u Niego. Szatan-by to był nie człowiek, któryby wzbudził taką ufność ku sobie na to, aby ją zdradzić!

Podziękowawszy wujowi za tak sympatyczne uczucia, Stasia pokreśliła się jeszcze chwilkę w komnacie i wyszła. Nie chciała ona dłużej przeciągać tej rozmowy, która wedle niej nie mogła żadnego innego mieć celu, chyba tylko wywołanie nowego smutku i napełnienie się nawzajem niepotrzebną goryczą.

Kiedy oboje starsi zostali znowu sami w komnacie, rzekł skarbnik cichym głosem do siostry:

— W tem nieszczęściu to mnie przynajmniej pociesza, że nasza Stasia okazuje tyle rozsądku i taki hart charakteru. Gdyby to tak na inną, byłoby to już łez i lamentów bez końca.

A na to odpowiedziała podkomorzyna:

— Jest to wprawdzie tylko moc panowania nad sobą, ale i to jest dobre, i trzeba umieć z tego korzystać.

A kiedy tych słów domawiała podkomorzyna, zaczęło się już zmierzchać zupełnie. Służący wszedł, wniósł światła do tej komnaty, ale zarazem zaanonsował Flawiusza.

— A! otóż to mi jest człowiek — zawołała na tę wiadomość podkomorzyna — na którego można liczyć z pewnością. Nigdy sobie tego nie przebaczę, że miałam o nim pierwiej tak niekorzystną opinią. Stasiu! Stasiu! nasz Flawiusz przyszedł z raportami i sprawunkami.

— No! i czegoż jeszcze? — spytała podkomorzyna lokaja, który wyczekiwał jej odpowiedzi.

— Czy jaśnie pani przyjmuje pana Flawiusza — odpowiedział służący

— Ale oczywiście! wszakże przyjmuję zawsze! niema się o co pytać.

— W tej też chwili weszła Stasia z drugiej komnaty — a Flawiusz z antykamery.

— Ach, mój panie Elawiuszu! — zawołała podkomorzyna do niego — jakiż pan jesteś nieopłacony! Cóż moje bilety, koronki, kolia?...

— Wszystko jest, wszystko w jaknajlepszym porządku, tylko niech mi pani pozwoli, abym się rozpakował.

To mówiąc, Flawiusz położył wielki pakiet na stole i zaczął go rozwijać pomału. Kobiety wraz z skarbnikiem obstały go z ciekawością a podkomorzyna mówiła:

— A! już to pana, to nie opłacić na wagę złota.

Tymczasem Flawiusz podawał po kolei porobione przez siebie sprawunki, mówiąc:

— Oto najpierwej jest kolia, przerobiona zupełnie na model tej, jaką miała księżna na balu u kasztelanowej. Jest taka sama oko w oko jak tamta, i ani jeden cień jej nie chybi, bo trzeba pani wiedzieć, że póty męczyłem mojego jubilera, póki się nie zakradł do garderoby księżnej i nie przerysował tam sobie całej tej kolii. Mogę tedy zaręczyć panią że kiedy ją księżna u pani obaczy, przysięgnie na to, że to jej własna i kto wie, czyli jej to humoru nie pozbawi na cały wieczór...

— Ach! wybornie, wybornie! Patrz-no, Stasiu, co to za kolia cudowna! a co to było przedtem za czupiradło!

— Ale to jeszcze nie koniec na tem — rzekł Flawiusz, dobywając drugi pakiecik — bo oto z reszty pozostałych szmaragdów zrobiliśmy bransletę dla panny Stanisławy, która jest znowu podług modelu takiejże samej branslety księżnej generałowej...

— Ach! i dla mnie coś jeszcze! — zawołała podkomorzanka, biorąc bransletę do ręki — pan doprawdy jesteś jak czarnoksiężnik! skądże się tyle wzięło szmaragdów?

— Niech-że pani ją włoży na rączkę — rzekł Flawiusz — i niech się nią ucieszy a nie nikomu nie mówi. Bo to ja posiadam sztukę rozmnażania drogich kamieni, której mnie nauczono w Paryżu, ale nie powiadam o tem nikomu, boby mi ludzie nie dali pokoju ni w dzień, ni w nocy.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to skarbnik — a widzicie, jakiegom wam sprokurował sztukmistrza! Nie głupi-to byli owi chłopci zagórscy, którzy się żegnali przed tobą... cha, cha, cha! co, panie Flawiuszu?

— Nie, ale seryo — rzekła na to podkomorzyna,

oglądając bransoletę — bo nie pojmuję doprawdy: bo i koliera teraz jest większa i jeszcze na bransoletę zostało...

— A widzi pani, otóż w tem sztuka. Ale niech się pani nie troszczy, nie przybyło tam ani jednego kamienia, tylko rozkład dano im inny...

— O! rozkład inny — rzekł na to skarbnik — oczywiście, że rozkład inny, jak to teraz ze wszystkim na świecie. Co dawniej wystarczało ledwie jednemu, tem się dziś dzielią setki i tak to jakoś umieją między siebie podzielić, że niby każdy ma tyle co wszyscy razem: a tymczasem...

— A tymczasem co? — spytał Flawiusz.

— A tymczasem nieprawda.

— Ej! panie skarbniku! zdaje mi się, że nieutrzymałobyśmy się z tem zdaniem w racjonalnej dyspacie?

— A to spróbujmy.

— Owszem, z największą chęcią... tylko niech pierw pooddaję moje sprawunki.

— A! cha, cha, cha! a rejterada? a co?

— Ale nie rejterada...

— Proszę cię, mój braciszku, dajno teraz panu Flawiuszowi troszeczkę pokój, bo jeszcze mamy tu dużo rzeczy...

— Otóż tu są koronki — rzekł Flawiusz, dobywając trzeciego pakietu — naprawione jak można było najlepiej, bo przez haftarkę pani kasztelanowej Kamieńskiej, rodowitą Brabantkę.

— Ach! prawda, cudownie, ani znać nawet. Ale jakto pan umiesz dostać się wszędzie?

— Francuz z Brabantku — rzekł skarbnik — to się to łatwo porozumieją. Boć to przecie Angielczycy oboje...

— Flawiusz musiał się śmiać z tej skarbnikowskiej definicyi, a tymczasem dobył czwartego pakietu, mówiąc:

— A to są bilety na reprezentacyą sceniczną i afisz przy nich. Będą reprezentować dramat wielki francuzki...

— Bardzo, bardzo panu za wszystko dziękuję i powiadam panu raz jeszcze, że jesteś nieopłacony. Sama już nie wiem, jak mam panu dziękować... Ale siadajże pan te-

raz przynajmniej a nim się z sobą porachujemy, jakie pan dla nas porobiłeś wydatki, opowiadaj pan nam jeszcze, co słyhać w świecie?...

— Cóż paniom powiem, czegobyście już nie widziały? Jutro mamy wielki wieczór u pana starosty trembowelskiego, pojutrze daje bal księżę Jabłonowski w swoim pałacu na Zielonem...

— Co do balów bliższych to wiemy, bo mamy już zaproszenia... lecz co do dalszych? jakie są widoki? co mówią?

— Co do dalszych, mówią najpierwej o balu u pani podkomorzyny sandomirskiej.

— Ach! i o tem już wiemy — rzekła podkomorzyna — ale do tego balu mamy jeszcze ze dwa tygodnie.

— Więc mówią także o jakimś balu a przynajmniej bardzo licznym wieczorze, który ma dać wojewoda inflancki.

— No, to ciekawe, i cóż to będzie.

— Niewiedzieć jeszcze właściwie co będzie, bo mówią także że kto wie, czyli na tem wieczorze nie odbędą się także zaręczyny panny wojewodzianki.

— Ach! to jeszcze ciekawsze — a z kimże?

— Otóż to jest najciekawsze ze wszystkiego, że wszyscy wiedzą o zaręczynach, a nikt nie wie kto jest pan młody. Jakies to tam w tem dziwne sekrety...

— No, ale przecież? jakież wymieniają nazwiska? bo mnie się zdaje, że może być wymienione li tylko jedno, a to starosty bełzkiego.

— Tak jest, to jedno; ale przytem wymieniają i drugie, a to jest pana Jędrzeja Rudnickiego.

Te słowa zrobiły formalne zamieszanie w całym gronie. Było tak, jakby nagle kto strzelił, albo jakby wielka porcelanowa waza spadła nagle z konsoli i rozbryzgnęła się w drobne kawałki — tak wszyscy jednozgodnie się wstrzęśli.

Ale była to tylko jedna chwilka.

Skarbnik bowiem po zadrgnieniu odchrząknął tylko i usiadł w krześle, podkomorzyna nawet zaczęła mówić natychmiast, jakby nie nigdy nie było — tylko Stasia

zbladła jak śmierć i musiała się oprzeć plecyma o krzesło, z obawy ażeby nie spadła — ale pomimo to przecież trza jej to przyznać, że z dziwną przytomnością wytrzymała ten cios i dała przez to dowód zadziwiającej siły nad sobą.

Tu wszakże musimy nadmienić, iż lubo Flawiusz całkiem umyślnie powiedział tę wiadomość i może nawet powiedział ją w takim celu, ażeby zbadać, jakie ona zrobi na słuchających wrażenie — nie była to jednak wiadomość przezeń zmyślona, ani nawet nakręcona do tego celu, bo w samej rzeczy naówczas mówiono powszechnie w mieście o blizkich zaręczynach wojewodzianki inflanckiej i wymieniano przytem istotnie i starostę bełzkiego i Rudnickiego.

Jakoż i to jeszcze musimy tutaj nadmienić, iż lubo Flawiusz, wymawiając Rudnickiego nazwisko, chciał jaknajpilniej uważać, jakie na kim to zrobi wrażenie, uwaga jego jednak na nie się nie zdała; podkomorzyna była bowiem już na to przygotowaną i stąd do tego stopnia przytomną, że zawołała natychmiast:

— Ej! i cóż też pan mówi? Gdzież to być może, żeby się Rudnicki żenił z wojewodzianką! Wszakżesz ona ledwie nie starsza od niego, ani piękna, ani posażna... i do czegoż też to podobne? a zresztą my znamy trochę bliżej tego pana Rudnickiego i o ile wiemy od niego, nie ma on wcale myśli żenienia się teraz... Ma on dosyć kłopotów w domu z swoją macochą, która jest siostrą rodzoną starosty... A potem i to, czy podobna też jest rywalizacya taka? Jmć pan Rudnicki z starostą bełzkim, z bratem swojej macochy? Ale i na co tu tego wszystkiego? powiedz pan tylko sam, czy to podobna jest partya: Rudnicki z panną Melanią?

— Jest to partya — rzekł Flawiusz — zapewne że niestosowna cokolwiek, ale ci państwo chowali się razem...

— Otóż to jest! a cóż to ma do rzeczy! to jeśli jakie dzieci chowają się razem, to już się mają potem pobierać ze sobą?...

— No, to niekoniecznie... ale tutaj tak mówią.

— A cóż też ludzie nie mówią!

— Zapewne... ja też temu nie bardzo wlerzę. Ale pro-

sze pani, czy Rudnicki istotnie nie ma myśli żenienia się? — spytał Flawiusz.

— Alboż ja wiem? przyznam się panu, że nie miała ani potrzeby, ani zresztą prawa zapytywać go o to. Ale tak sędzę, że kto sprzedaje majątek, ten nie myśli się żenić.

— On sprzedaje majątek...

— Sprzedał już nawet, jak nam o tem powiadał pan podstoli drohicki, który tymi dniami stamtąd przyjechał i wczoraj był u nas...

— A to Rudnicki — rzekł Flawiusz nie bez pewnej pociechy — kiedy sprzedał, majątek pewnie za granicę wyjedzie?...

— I o tem nic nie wiem, ale to przynajmniej jest podobniejsza, niż jego jakieś tam zaręczyny ze starą panną.

Wiadomość o zaręczynach Jędrzeja z Melanią podkomorzyna przeczyła tak uporczywie dlatego, ażeby zatrzeć jaknajzupełniej wrażenie, jakie ta wiadomość zrobiła na Stasi — i podkomorzyna osiągnęła swój cel w zupełności — Stasia bowiem po tem zwrocie rozmowy odetchnęła swobodnie i była tak jakby nic nie słyszała.

Ale i Flawiusz także pocieszył się tą rozmową nie-mało, bo zapewnienie podkomorzynej że się Jędrzej żenić nie myśli, nie tylko wlało weń przekonanie, że i podkomorzyna nie na niego nie liczy, ale dało jeszcze bardzo szerokie pole jego wybujałym nadziejom.

Taki zwrot ostateczny tej niespodziewanej rozmowy także się i skarbnikowi podobał — ale owej nielitościwej wiadomości o Jędrzeju nie mógł on Flawiuszowi zapomnieć — jakoż rzekł zaraz z kolei:

— Otóż macie waszego jmc pana Flawiusza! Co od Brabantek albo od jubilerów przyniesie, to wcale nie złe, ale co od naszej szlachty przyniesie, to podobno już mu się nie tak udaje...

Na te słowa Flawiusz spojrział na skarbnika z uwagą, ale nie tracąc jeszcze humoru, odpowiedział z uśmiechem:

— A! bo nie trza szukać ewangelicznej prawdy w wiadomostkach brukowych!

— Ale dajno spokój, braciszku, naszemu panu Flawiu-

szowi — rzekła natychmiast podkomorzyna — już ja i tak nie wiem, jak mam się wywdzięczyć za te grzeczności, które nam tak wiele przynoszą pożytku, a ty jeszcze więcej wymagasz...

A skarbnik na to:

— Ja jestem wprawdzie więcej wymagającym od ciebie, ale to nie bez słusznej przyczyny, bo trzeba ci wiedzieć, że kiedy ty jeszcze dłużną jesteś panu Flawiuszowi za jego przyjaźń, jam z mojej strony już mu zgóry zapłacił...

— A to jakim sposobem? — zapytał Flawiusz.

— Jakto? alboż to zapomniałeś? wszakże darowałem ci życie...

— Pan mnie? cha, cha, cha! to jest wyborne! otóż to znowu jakiś żart staropolski a chciałbym wiedzieć, doprawdy, jak mi go pan wytłómaczy?

— Ale ja nie żartuję doprawdy... i gotów nawet jestem złożyć na to dokument.

— A to ciekawym jaki?

— A ten naprzykład? — zawołał skarbnik — i w tym momencie dobył z kieszeni pieczętkę i złożył ją z brzękiem na stole.

Była to ta sama pieczętka, którą Flawiusz niegdyś zgubił był u skarbnika, umykając po strzale wymierzonym ku sobie.

Kiedy Flawiusz tę pieczętkę obaczył, porwał ją prędko, poznał — i stanął jak wryty.

Nie spodziewał on się nigdy, żeby ta pieczętka, lubo podczas owej podróży rzeczywiście zgubiona przez niego, była w ręku skarbnika; — nie spodziewał się stąd także, żeby skarbnik tę scenę, w której omal że człowieka nie zabił, kiedykolwiek przed nim mógł wspomnieć... Flawiusz tego się nie spodziewał i cieszył się tem niepomału, że mógł się oprzeć na tej nadziei — nie dlatego, żeby mu chodziło o ów strzał, który mu wtedy nie szkodził, a dzisiaj tem mniej jeszcze mógł mu szkodzić w oczach skarbnika — ale dlatego, że te *słowa* mogły mu szkodzić, które ów strzał wywołały. A słowa te, gdyby je skarbnik

pamiętał, mogły mu szkodzić istotnie, bo Flawiusz niemi powiadał skarbnikowi wyraźnie: — „Przychodzę ciebie wyrzucić z majątku, który posiadasz bezprawnie...” Z temi słowami przyszły mu także na pamięć jego konszachty z Małdzykiewiczem... o czem wszystkim szalony wtedy, szalony dzisiaj, a zawsze lekkomyślny młodzieniec jaknajzupełniej zapomniał.

Obaczywszy teraz ową pieczętkę, wszystko to mu stało w pamięci — i Flawiusz zmieszał się i nie wiedział co mówić.

Ale skarbnik tak źle nie myślał — jakoż zaraz rzekł do niego wesoło:

— A co, panie bracie? a złapałem waszeci? no! pamiętaj-że sobie, nie zadawać nigdy kłamstwa staremu, bo mnie waść na niem nie złowisz...

— Ach! gdzież też znowu! — mówił Flawiusz wciąż w zamyśleniu — ale patrzajże pan, jak to i młoda pamięć nie jest fundamentem, na którymby można budować na wieki... ja o tej pieczętce zapomniałem zupełnie.

— Ale ja pamiętałem — rzekł skarbnik — i pamiętałem jeszcze tem więcej, ile żeś mi tym herbem wcale zaimponował. Bo to ja przecież choćby i z pamięci wyrecytuję i opiszę ci wszystkie herby nasze, a tego nawet i w herbarzu szukałem na próżno. Szukałem go nawet i w herbarzu francuzkim...

— O! — zawołał na to Flawiusz z uśmiechem — inny to wcale jest ten herbarz, w którym ten herb wypisany.

— A więc to pewnie jakieś godło mieszczańskie...

— O! nie, zupełnie...

— Może po owym dziadku, który mieszkał w Wiśniczu...

Wymienienie dziadka a zarazem Wiśnicza zrobiło na Flawiuszu prawie takie samo wrażenie, jakie jego wiadomość o Rudnickim zrobiła na Stasi. Zadrżał i wpatrzył się dziwnie ciekawemi oczyma w skarbnika. Ale przyszedł prędko do siebie — i kiedy podkomorzyna wyjęła mu z ręki ową pieczętkę, aby ją bliżej oglądnać — on odpowiedział skarbnikowi:

— Ale nie, wcale nie...

— A więc to już chyba jaki znak farmazoński...

— O ho ho! — zaśmiał się Flawiusz — już też i panu się coś marzy o farmazonach...

— Tedy już nie wiem wcale, coby to było?

— Ale nie, nie zgoła nie jest! ot tak sobie fantazya! zmyślane godło i koniec.

Flawiusz odpowiedział skarbnikowi przytomnie, ale Bóg nie wie, czegooby nie dał był za to, gdyby był mógł z nim teraz pomówić na osobności, tak go to wspomnienie o Wiśniczu zajęło. Jakoż już myślał o tem, aby i dalszą rozmowę ze Stasią poświęcić a ze skarbnikiem się gdzieś na stronę usunąć — ale podkomorzyna była od niego ciekawszą.

Jakoż położyła ona teraz obojętną przez siebie pieczętkę na stole i powstawszy z kanapy, dała oczyma znak skarbnikowi, że mu chce coś powiedzieć. Posłuszny skarbnik wyszedł za nią do drzwi drugiej komnaty, gdzie go ona natychmiast zarzuciła mnóstwem zapytań: co to jest za pieczętka? co ma znaczyć? skąd przyszedł do niej? dlaczego Flawiusz się na widok tej pieczętki tak zmieszał? i tak dalej bez końca. Ale skarbnik, nie lubiący nigdy więcej mówić jak trzeba, a nadewszystko nie ufający wstrzeźliwości ust kobiecych, zbył ją ogólnikami i nie powiedział.

Przez ten czas Flawiusz, zostawszy sam na sam ze Stasią przy stole, rad sposobności swobodniejszej rozmowy, zaczął zaraz pytaniem:

— A cóż też pani myślisz o godle wrytem na tej pieczętce?

— Ja nie zgoła nie myślę — odpowiedziała Stasia — bo przyznam się panu, że się najmniej zajmuję wiadomościami o herbach.

— Pani masz słuszość zupełną. Jest to nauka tak pusta, jak i herbów znaczenie. W średnich wiekach, kiedy mieć herb znaczyło niemal to samo, co piastować urząd znamienity i pożyteczny, bo poświęcający krew, mienie i życie dla kraju, i nauka herbów była potrzebną; ale dziś, kiedy herby stały się tylko pustym blichтром, rodzą-

cym dumę i próżność i pogardę dla nieherbowych współbraci, nie warto zaprawdę i dnia jednego strawić nad tą nauką. Ale pani mi coś, coś zamyślona; czy ma pani do takiego usposobienia świadome siebie powody? czy jest to tylko usposobienie takie, które nie wiedzieć skąd przychodzi i nie wiedzieć gdzie znika?

— Czy pan uważa istotnie, żeś smutniejsza dzisiaj niż zwykle?

— Tak, pani.

— Ale zdaje mi się — rzekła Stasia z uśmiechem — że się pan myli.

— Teraz się może już mylę, bo widzę uśmiech na twarzy pani.

— Widzi pan, to pan wywołałeś ten uśmiech.

— Ach! pani! jeśli to prawda, to pani mnie czynisz najszczęśliwszym z ludzi.

— I powiedzże mi pan, cóż w tem być może za szczęście?

— Pani możesz jeszcze pytać się o to! Mieć taką własność, żeby umieć wywoływać uśmiechy na smutne twarze, żeby móżdż rozpędzać chmury osiadające na czole i rozweselać serca przyciśnione żalobą — wszakże już to jest szczęściem dla człowieka tak wielkiem...

— Pan jesteś bardzo pocziwy...

— Już to jest szczęściem dla każdego człowieka — mówił dalej Flawiusz — a cóż dopiero mówić o mnie, kiedybym mógł mieć wpływ tak szczęśliwy na usposobienia pani?

— To już nie jest nowiną dla mnie, bo stąd tylko widzę, że pan jesteś grzecznym, a o tem się przekonuję codziennie.

— Ale nie, pani, to nie jest grzeczność, bo niech mi pani wierzy, że jest to żywe uczucie mojego serca...

— Żywe — przerwała Stasia — ale i grzeczne.

— Tak! to zapewne — zawołał Flawiusz z uśmiechem — uczucia mają różne przymioty... ale muszę pani powiedzieć, że o nich rezonować nie lubię. I tak powinien każdy, kto je szanuje. Bo uczucia można pojmować, mo-

zna brać i uczuwać nawzajem, ale o nich rozmawiać, to jest grzech, a przynajmniej, to anatomia.

— Na to się zgadzam, ale to nie może stanowić reguły. Bo, jak to panu pewnie wiadomo, są ludzie, z którymi razem czuć można i trzeba, są inni, z którymi można rozmawiać tylko...

— A ze mną? — zapytał Flawiusz z przymileniem.

— Z panem nawet i rozmawiać nie można! — zawołała Stasia z uśmiechem i wstała z krzesła.

— O pani! — zawołał Flawiusz, rozumiejąc wcale przeciwnie te słowa — czemuż nie umiem wypowiedzieć tego, co czuję w tej chwili!

— Czy pan istotnie coś czuje? — zapytała Stasia, nie mogąc ukryć uśmiechu.

— Czy pani się zdaje, że ja nie czuć nie mogę?

— O! nie, to nie; ale tak jakoś sentymentalność panu całkiem jest nie do twarzy...

— Ah! jeśli tak jest, to jest rzeczywiście okropne! — zawołał Flawiusz — czyż już ja żadnych uczuć nie jestem zdolny?!...

— Pan jesteś zdolny wszystkich uczuć na świecie, ale głową, nie sercem...

— I pani seryo ma takie przekonanie?

— Nie — odpowiedziała Stasia z uśmiechem — chciałam pana tylko podrażnić...

— Wiedziałem o tem! — zawołał Flawiusz, oddychając z głębi piersi — pani jesteś aniołem dobroci!

W tym momencie powróciła podkomorzyna i oboje zabrali dawne swe miejsca.

Zaczęła się znowu konwersacya ogólna, a skarbnik mówił:

— No i cóż tam więcej słyhać w tym waszym świecie? Powiadaj że nam dalej, boć to przecie nie musi być koniec na tem, coś nam dotąd powiedział.

— Na dzisiaj koniec, bo już nie wiem nic więcej.

— Koniec o balach, wieczorach i zaręczynach, lecz inne rzeczy? Boć to przecież są jeszcze gry, pojedynki...

— O pojedynkach nie wiem, ale gry istotnie są wiel-

kie. Największa, o ile słyszę, jest u starosty belzkiego co piątek. A! ale któż to jest ten pan starosta belzki? Jakaś to osobliwsza figura. Poznałem go na balu u kasztelanowej, ale przyznam się, że mi się wcale nie podobał. Jakiś ekleiwy, nudny, wywiędły, jak śledź holenderski — a tymczasem jest on tu bardzo *en vogue*. Na jego piątkach gromadzi się cała krema tutejsza.

— Więc nie podobał ci się starosta belzki? — zapytał skarbnik.

— O! wcale nie. Najlepszy dowód, że mnie już parę razy do siebie zapraszał, a pomimo to ani myślę być kiedy u niego. Mam też w tem moje powody...

— No i jakież na przykład?

— Może marne cokolwiek, ale dla mnie wystarczające. Zaprasza wszystkich na wieczory piątkowe, a mnie prosi, abym go kiedyś rano odwiedził.

— A! bo może chce mówić z tobą sam na sam?

— Tak i ja się domyślam. Ale te rozmowy sam na sam już mnie nudzą nakoniec. Każdy chce ze mną rozmawiać sam na sam i każdy chce się czegoś dowiadywać ode mnie: to o Paryżu, to o rewolucyi francuzkiej, to o obyczajach tamtejszych, to nakoniec dają mi jakieś pytania takie, na które nietylko że odpowiedzieć nie umiem, ale już nawet i nie wiem, co mają znaczyć? Mają mnie tu wszyscy za jakieś tajemnicze stworzenia... ale dlaczego? żeby ich pozabijać, nie wiedzą.

— Temu jednak nie ma się co dziwić tak bardzo — rzekł skarbnik.

— Czy mi to pan major wyjaśni?

— A dlaczegożby nie?

— To proszę.

— Rzecz to bardzo naturalna i prosta. Dotychczas przyzwyczajeniśmy byli widzieć rozum, gładkość obyczajów i polor światowy li tylko w szlachcie...

— Tak! — przerwał Flawiusz prędko — ale to niekoniecznie ta być musi przyczyna.

— Ta jest, a żadna inna, a przynajmniej ja nie wiem o innej.

Flawiusz się troszeczkę zamyślił, — a skarbnik był już dyskretnym i milczał. A nawet sam zwrócił rozmowę do innego przedmiotu, pytając:

— Więc nie myślisz być u starosty bełzkiego?

— Nie myślę.

— A jabym ci radził, żebyś był u niego, choćby i rano. Mając cię rano u siebie, zaprosi cię potem na wieczór.

— Ale kiedy ja mu dziękuję i za rano i za wieczór.

— A jabym cię nawet prosił o to, ażebyś był u niego.

— Czy panu co na tem zależy?

— Może mi i zależy.

— Więc cóż panu zależy?

— Bo widzisz mnie — mówił skarbnik — jabym się potem od ciebie coś o nim dowiedział. Bo to i dla mnie jest jakaś zagadkowa figura... Prosił mnie do siebie na te swoje wieczory i sam nie wiem co robić... Nie mam i ja też ochoty, ale kiedy jeszcze z parę razy swoje zaproszenie powtórzy, to może się trza będzie nakoniec rozgrzeszyć... A dobrzeby było, gdybym ciebie pierwaj wysłał na rekonesans do niego...

— Kiedy bo ja jakoś wcale nie mam ochoty do tego... Jakiś skwaszony arystokrata...

— Niby też to pierwszy będzie arystokrata, z którym będziesz miał do czynienia...

— Tak, zapewne, że to nie pierwszy — rzekł na to Flawiusz z uśmiechem — ale ten ma coś istotnie tak nie-miłego dla mnie...

— A! to chyba i takiej bagateli nie chcesz już zrobić dla mnie! — rzekł na to skarbnik, wstając niby zachmurzony ze swego miejsca i odchodząc od stołu.

— Ale panie skarbniku! — zawołał Flawiusz — biegnąc czempredzej za nim — ale pójdę już, pójdę... tylko pan się nie gniewaj... pójdę już pewnie...

— Już to ten pan Flawiusz — rzekła na to podkomorzyna — to pocziwy z kośćciami...

Flawiusz spojrział z wyrazem wdzięczności na podkomorzyne, a wtem wszedł służący i zapowiedział:

— Wielmożny pan Jędrzej Rudnicki.

Ta niespodziewana zapowiedź zrobiła pewne wrażenie na wszystkich. Stasia oblała się najżywszemi rumieńcami — skarbnik się wpatrywał w lokaja, jakby mu nie wierzył, że to jest prawda — Flawiusz się zmieszał cokolwiek i nie wiedział sam gdzie ma patrzeć — a podkomorzynie się cała twarz nagle zmieniła, ale podobno od gniewu. Jakoż rzekła ona do lokaja natychmiast:

— Pan Rudnicki... nie przyjmuję!... przeprawić.

Na tę niespodziewańszą jeszcze odpowiedź Stasia prawie wystraszonemi oczyma spojrzała na matkę — matka zrozumiała to spojrzenie i odpowiedziała jej cicho:

— Trza nam się ubierać, wszakże mamy jechać na wieczór.

Jednak jak Stasię to nieprzyjęcie Jędrzeja prawie przestraszyło i zapewne niewymowną napełniło goryczą, tak dla Flawiusza stało się ono powodem niewymownej radości. Szczęśliwy Flawiusz wytłómaczył je sobie jak tylko można było na największą dla siebie korzyść, i był stąd w tej chwili pod niebem... i z tej wysokości z taką dumą powiódł wzrokiem do koła, jak gdyby już cały świat należał do niego:

Tymczasem podkomorzyna spojrzała na zegarek i rzekła:

— Ale nam już istotnie trza myśleć o ubieraniu. Mamy być dzisiaj u pani podkomorzynej lwowskiej; będzie to wieczór nudny cokolwiek, ale to trudno... opuszczać go nie możemy.

A do Flawiusza dodała z uśmiechem:

— A więc i pana już wypędzimy.

— Mościa dobrodziejko! — zawołał na to Flawiusz — niechże mnie pani pędzi, a dobrze.

I całował ręce podkomorzynej, i jeszcze chciał zegnać się ze Stasią, ale skarbnik go wziął za ramię, mówiąc:

— Ale chodźno, chodź, bałamucie! bo mi jeszcze moje kobiety pozbawisz wieczoru...

Z temi słowy zabrał prawie gwałtem gadatliwego gościa i prowadził go do siebie. Pod wrażeniem niespodziewanej uciechy Flawiusz nie wiedział sam, co się z nim dzieje. On już o wszystkim, a nawet i o tem zapomniał,

że miał pytać skarbnika o Wiśnicz i dziadka. Ale skarbnik nie był pod wrażeniem żadnej uciechy i pamiętał o wszystkim, o czem mu należało pamiętać. A więc stanąwszy pod drzwiami swojego mieszkania, kiedy Flawiusz zmierzał prosto do bramy, zapytał go skarbnik:

— A waść gdzie ciągniesz? Trza jeszcze wstąpić do mnie, przecież jestem twoim dłużnikiem...

— Pan moim! nie o tem nie wiem.

— A koronki? a bilety? a kolie?

— Ach!... no, ale to już niech będzie do jutra... bo mi się także śpieszy na wieczór...

— Ale bo ja nie lubię chować cudzych pieniędzy...

— To nic... Proszę pana bo już dziś nie mam czasu..

— Ha! kiedy ci już tak bardzo pilno — rzekł skarbnik — to się i nie sprzeciwiam. Ale będziesz-że przynajmniej u starosty bełzkiego?

— Ale będę już pewnie i niezawodnie... Dobranoc panu.

Nim skończymy ten ustęp, przypatrzmy się jeszcze Jędrzejowi, choćby tylko na chwilkę.

Owo więc Jędrzej, kiedy już uznał nareszcie, że bez narażenia się na konieczność wystąpienia z swej niezdecydowanej roli może oddać wizytę podkomorzynie, był niewymownie szczęśliwym. Jechał on tam pełen takiego uczucia, z jakim chory po długich i nieznośnych cierpieniach wyjeżdża pierwszy raz na świeże powietrze — nadzieja widzenia Stasi napełniała go niewymowną rozkoszą. Kiedy już stał w antykamerze i lokaj poszedł go anonsować, ani mu się śniło, ażeby go jeszcze coś mogło rozdzielić od jego szczęścia.

A tymczasem lokaj powrócił i zapowiedział, że pani podkomorzyna go nie przyjmuje.

Ta niespodziewana wiadomość uderzyła weń jakby piorun z najpogodniejszego nieba, na którym już z całym blaskiem świeciło majowe słońce.

Schodząc pomału ze schodów, Jędrzej był ledwie przytomny.

Tysiąc myśli powstało mu w głowie, tysiąc uczuć od-

zywało się w sercu. Jędrzejowi zdawało się przecież, że widział jasne światła w wielkiej komnacie, że słysząc tam było głosy rozmawiające, wesołe — i podkomorzyna pomimo to wszystko go nie przyjęła! — to nie mogło mu się pomieścić w głowie.

Na dole przed domem stał jego powóz. Służący obaczywszy go powracającego, chciał pod bramę podjechać, ale Jędrzej zawołał na niego zdaleka:

— Zaczekaj!

Przystąpiwszy zaś bliżej, dodał:

— Zaczekaj tutaj na boku, ja tu zaraz powrócę.

To rzekłszy, zawinął się w płaszcz, poszedł na drugą stronę ulicy, wszedł do przeciwległego domu i stanąwszy w progu, pod zastoną ciemnej, nieoświeconej sieni — stamtąd zaczął czynić swe obserwacje. Targany najsroższą niepewnością, młodzieniec nie mógł tak odejść z niczem, chciał się koniecznie czegoś więcej dowiedzieć, a przynajmniej domyśleć; w ostatnim razie chciał choć cień Stasi zobaczyć w oknie...

Jakoż tak patrząc, widział najpierwej światła w wielkiej komnacie — a więc podkomorzyna była tam także i do przyjęcia go nie było żadnej przeszkody. Podkomorzyna go nie przyjęła umyślnie...

Wszakże wkrótce te światła pogasły, a raczej przeniosły się do drugiej komnaty, a od podkomorzynej nikt nie wychodził. Jędrzej trochę odetchnął...

Ale wten moment dały się słyszeć jakieś głosy w sieni, głosy ucichły i tuż za nimi wybiegła jakaś postać mężka przed bramę.

Jędrzej wziął tę postać na oko — zdawało mu się, że to jest Flawiusz...

Wpatrzył się mocniej i poznał — to istotnie był Flawiusz.

Widok Flawiusza tutaj, teraz i wśród takich okoliczności był tak niespodziewanym dla niego, że mu nie mógł prawie uwierzyć. Ale musiał uwierzyć, wszakże widział na własne oczy...

Tymczasem Flawiusz, lubo mu tak pilno było do domu,

kiedy powóz tuż niedaleko od bramy obaczył, zatrzymał się chwilę, coś pomyślał i zbliżył się do powozu.

— Przyjacielu! a czyj to powóz?

— Pana Rudnickiego z Jaćmierza.

Ta odpowiedź zastanowiła Flawiusza, obejrzał się koło siebie, zajrzał do powozu przez szyby i spytał znowu:

— A gdzie pan jest, mój bracie?

— A nie wiem panie. Kazał mi tu czekać na siebie.

Tu już się obudziły tysiączne myśli w Flawiuszu. Stał jeszcze chwilę, myślał — a potem przeszedł także na drugą stronę ulicy, także wszedł do jednego z tamtejszych domów i także z ciemnej sieni zaczął czynić swe obserwacje.

Tak minął z kwadrans. Obadwa obserwatorowie stali wytrwale na swoich pocztach — obadwa patrzyli ciekawemi oczyma przed siebie — ale obadwa nic nie widzieli. Wszakże obudwom zapewne niemało widoków przesunęło się w ich wyobraźniach!

Po kwadransie nareszcie otworzyła się brama domu podkomorzynej na ścieżaj i wyjechał z niej powóz, w którym przy świetle latarni można było rozróżnić dwie ustrojone damy w siedzeniu i poważnego skarbnika na przodzie. W domu podkomorzynej wszystkie światła pogasty i bramę zamknięto na zamek.

Jędrzej wyszedł ze swego ukrycia, przeszedł w głębokiem zamyśleniu ulicę — ale potem nagle przyspieszył kroku, przystąpił do bramy i zadzwonił.

Na odgłos dzwonka wyszedł sługa.

— Mój kochanku — rzekł Jędrzej — a czy państwo są w domu?

— Nie masz ich, panie, wyjechali dopiero.

— A nie wiesz dokąd wyjechali?

— Do pani podkomorzynej lwowskiej.

— Dziękuję — odpowiedział Jędrzej głosem, podniesionym o kilka tonów wyżej z radości, rzucił pieniądz słuzącemu, przystąpił do swego powozu i zawołał:

— Do pani podkomorzynej lwowskiej!

Wsiadł i odjechał.

Po jego odjeździe wyszedł także i Flawiusz z swego

ukrycia. Widział on wszystko na swoje oczy i słyszał wszystko. I przyszła teraz na niego kolej zamyślić się długo i smutnie. Jakoż stał na miejscu przez chwilę i myślał. Ale niebawem ocknął się, zaśmiał się ironicznie, jakby się dziwił własnym swym myślom, i odszedł prędkim krokiem do siebie.

XVI.

Dom pani podkomorzynej lwowskiej był pełen staroświeczyny i staroświeckiego dziwactwa.

Podkomorzyna sama była to już podeszłego wieku matrona, nadzwyczaj chuda i nadzwyczaj maleńka, ale pomimo to ambicyonująca, wielkiej powagi, a przedewszystkiem znaczenia. Jej mąż, podkomorzy, był już także w starym wieku, a co gorsza, czy to wskutek choroby, czy ułomności z urodzenia, był prawie przełamany we dwoje, skąd, patrząc na niego, zdawało się widzieć przynajmniej dziewięćdziesięcio-letniego staruszka. On także miał niezmyślane do niezwykłego znaczenia pretensye — ale jak jemu, tak jej nie udawało się to jak chcieli, bo ich całe znaczenie ograniczało się na tem, że ich miano za osobliwszych oryginałów. Byli też w samej istocie jeśli nie oryginalni, to niepospolicie dziwaczni, a co jeszcze więcej uwydatniało ich obopólną dziwaczność, to to, że oboje byli we wszystkim tak do siebie podobni, jakby się umyślnie przykroili do siebie. Oboje tedy przedewszystkiem lubili plotki, ich dom był stekiem komerażów z całego miasta, a nawet i z kraju, i co kto chciał albo nie chciał, mógł się u nich napewno dowiedzieć. W skutek tej nienasyconej ciekawości wszystkiego lubili się oni mieszać we wszystkie sprawy, i czy kto umarł, czy się starał, czy żenił — czy kto chrzciny wyprawiał, czy zaręczyny, czyli wesele — czy się kto zgrał, czy pokłócił, czy zawikłał w procesy — jedno z nich musiało się tam koniecznie wtrącić i był to cud rzeczywisty, jeśli się nie wtrącili oboje. Nadzwyczajnie bogaci, lecz równie skąpi, lubili przytem żyć wesoło i oka-

zale, skąd się wyradzało tysiące najdziwaczniejszych sprzeczności, a ponieważ skąpstwo najczęściej odnosiło górę nad wszystkimi innemi ich zachętkami, więc i okazałość najczęściej kończyła się na obietnicach, fałszach albo pustych przechwałkach. Kiedy dawali obiad, o którym wiedzieli na przód, że każdy od niego powstanie głodny, to zawsze oboje mnóstwo naopowiadali przepysznych rzeczy o różnych obiadach, które już dali w swem życiu i dać mają niebawem — a kiedy dawali wieczór, to był to zawsze tylko wieczorek wstępny do tego niesłychanego balu, który miał po nim nastąpić. Ale jak obiad tak i bal potem nie następował nigdy i dlatego mówiono o nich: że dają wodę farbowaną miasto wina — rzymski rumianek z pieprzem zamiast herbaty — paloną marchew na miejscu kawy — i że stary podaje gościom jakiś osobliwszy proszek zamiast tabaki, od którego goście kichają tak jak baterye mózdzierzów i tracą węch na cały przeciąg obiadu. Powiadano też o nim, że przy obiadach daje dęte pieczenie, tak jak dęte są roboty ze srebra i złota — utrzymywano także że w chwilach swobodnych, w dziedzińcu swego pałacu, łapie wrony na wędkę i podaje je na wieczorach zamiast kuropatw, co wszakże bardzo było podobne do złośliwego żartu — ale to było rzeczą potwierdzoną dowodnie, że kiedy godził skrzypków na wieczór do siebie, kazał im grać na trzech strunach i tym sposobem zyskiwał na każdym po jednej strunie. Pomimo to jednak wszystko było zawsze u niego najlepsze, i niech Bóg broni, żeby się był kto poważył coś cudzego przy nim pochwalić: wyśmiał, wyszydził i na końcu zawołał: A to chyba nie widziałeś tej rzeczy u mnie! — Jakoż to był jedyny sposób, którym go można było zniewolić do wydobywania z piwnicy win lepszych, albo do spełnienia jakiego szlachetnego uczynku: sławił się wtedy staruszek i sam wina przynosił, albo wyrzucił jaką większą sumę pieniędzy.

U tych tedy staruszków bywały teraz co tydzień wieczory — nie tańcujące, broń Boże! boby to była zgroza! — powiadali — ale gadające, z kolacyami i grą, w której stary zawsze brał udział, nigdy nie wygrał i nigdy nie

przegrał, ale zawsze kilkadziesiąt kulfonów za obrączkowe dukaty wymienił. Nudne to były w gruncie rzeczy te ich wieczory, ale wszyscy na nich bywali; — staruszkowie oboje byli tak w towarzystwie lwowskiem zakorzenieni, że nie można było u nich nie bywać. A zresztą byli krewni całemu światu! Jędrzej był z panią podkomorzyną spowinowacony tak blisko, że ją musiał ciotką nazywać

Owo więc kiedy Jędrzej wszedł do głównej komnaty, zastał tam całe grono dam, siedzących przy kanapie w półkolu, pomiędzy którymi główny rej wiodła sama gospodyni, to rozповідаjąc swoim chrzypliwym głosem anegdoty, to rozrzucając komplementy na wszystkie strony. Przy słabem świetle kilkunastu świec cienkich woskowych, które prawie zupełnie w ciemnych obiciach komnaty tońło, Jędrzej nie był w stanie nawet twarzy rozpoznać i stanawszy przed owemi damami, zaczął się skwapliwie rozglądać, gdzieby mógł gospodynię domu odszukać, która zaciśniona w głąb krzesła i zajęta rozmową, pomiędzy przechodzącymi się po komnacie mężczyznami innymi jego wejścia wcale nie uważała.

Ale podkomorzyna sandomierska, siedząca przy kanapie za drugimi damami, natychmiast go spostrzegła. Znajdująca się u jej poku Stasia była już pełna rumieńców. Widząc to, matka nachyliła się ku niej nieznacznie i szepnęła jej do ucha:

— A widzisz dziecko! jak to moja mniemana srogość zaraz poskutkowała.

— Ale mama już ma satysfakcję?... odpowiedziała pytaniem Stasia.

— O! ho ho! daleko jeszcze do tego...

— Proszę mamy...

— Proszę cię, zostaw to już mnie tylko... ja wiem co robię...

Tymczasem Jędrzej znalazł już nareszcie gospodynię domu — i ona go także spostrzegła.

— A! zawołała staruszka — mój siostrzyniec kochany! gość, na któregośmy wcale dziś nie liczyli. Bo trza ci wiedzieć, żeśmy cię nie prosili umyślnie. Jakżeż? czy to się

godzi być już półtora tygodnia we Lwowie i nam się nie pokazać?

— Mościa dobrodziejko! — rzekł na to Jędrzej, całując w rękę staruszkę — spodziewam się przecież, że mnie państwo nie zechcecie posądzać o to, ażebym dom moich szanownych wujostwa zaniedbywał przez zapomnienie albo też i umyślnie?

— A to dobre! a przecież jesteś już od półtora tygodnia we Lwowie... Chyba że mi się tylko zdawało, że cię widziałam u pani kasztelanowej na balu?

— Ale owszem, byłem na balu i jestem od tego czasu ciągle we Lwowie... ale przez ten czas cały ani krokiem nigdzie nie byłem...

— Cóż czy nie słaby?...

— Tak, moja ciotko kochana. Na owym balu naba-wiłem się przeziębienia i musiałem cały tydzień przeleżeć w łóżku. Czyby też mogła być jaka inna przyczyna?..

Na te słowa Stasia rzuciła znaczącym wzrokiem na matkę a tymczasem gospodyni domu odpowiedziała:

— Tak się też domyślałam... bo wiem, że nas kochasz i szanujesz jak zawsze, lubo już tak dawnośmy się nie widzieli. Siadajże, proszę cię, choć na chwilkę koło mnie i opowiadaj mi, jak się ma ojciec, twoja matka kochana, Ernestynka co tam porabia? Co tam robicie na wsi, jak się bawicie?... siadajno tu koło mnie...

Ale w tym momencie nadbiegł sam podkomorzy. Biegał on w tej chwili po wszystkich komnatach i wodził wszędzie za sobą ogromnego, od stóp do głowy uszame-rowanego galonami, pajuka. Pajuk niósł tacę małą z małutkimi jak naparstki kieliszeczkami, a on sam nosił w rękę opłataną butelkę i z niej nalewał gościom jakiś likier osobliwszego gatunku, nad którym się sam w nieskończonych unosił pochwałach. Zwijając się jak opętany z tą butelką, przyskakiwał on do tego i owego z znaczniejszych gości, drugich zręcznie mijając, i mówił:

— Przed herbatą, przed kawą i co nam tam jeszcze da moja żona, ja proszę na likier... Jest to osobliwość, jak ciebie kocham, prawdziwy chiński. Dostałem go kilka-

naście butelek od ambasadora angielskiego w Wiedniu, kiedy przed dwoma laty wracał tamtędy z Rzymu. Wyobraź sobie, tak się Niemiec we mnie rozkochał, że go oddał do ostatniej butelki. Chciałem płacić, ale gdzież tam, ani sobie dał mówić o tem... No! ale posłałem mu zato cztery konie z mojego stada, pal go kat! niechaj znają Angielecykowie, że my także umiemy robić prezenta!... No, a cóż? jakże? smakuje panu? smakuje? ale specyał, specyał! nie znajdziesz go tu — tu się nachylił gościowi do ucha — ani nawet u księcia generała.

I to mówiąc, zaraz i sobie malał drugi kieliszek i sam go wychylił. Tak zawsze robił przy każdym gościu, bo lubo ten likier nie kosztował czterech koni, jednak był nie zły i szkoda go było rozczęstować zupełnie. A wtem obaczył podkomorzy Jędrzeja:

— A toż co znowu! — zapytał staruszek — czy duch, czy wizya? czy majak? A chodź-że tu prędzej, niech cię uściskam...

Przy tych słowach postawił podkomorzy butelkę na tacy, którą pajuk trzymał wciąż w rękach, i całował Jędrzeja, który się we dwoje ku niemu nachylił:

— A! latawce! a pędziwiatrze! a przecież sobie i nas przypomniałeś! No i cóż tam? i cóż tam? jak się ma ojciec? a matka? a Ernestynka? a sam? No! o tobie już niema nawet co mówić. Opływasz w szczęściu aż nadto... Hej! pajuk! a gdzie to umykasz z tacą? tu, kołkiem przy mnie!... Mój Jędrusiu kochany! bardzo się cieszę że cię widzę. Byłeś podobno słaby, mówił mi o tem starosta. Ale to źle, to źle, tak nie trza, to na nie.

Tu mu się nachylił do ucha i mówił:

— Bo to na wszystko są swoje sposoby. Ja wiem o wszystkim. I pogadamy o tem. Dam ci radę wyborną. Pomyślałem już o tem i tak się złoży wszystko, jak książka.

Tu jakiś żartownik do pajuka przystąpił i nalawszy sobie kieliszeczek likieru, pił go, patrząc z uśmiechem na podkomorzego.

— A co! smakuje? smakuje? bardzo się cieszę, bar-

dzo mi to przyjemnie. Zaraz będę służył i dalej — mówił staruszek, ale wziął zaraz do ręki butelkę i schował ją po za siebie.

— Słuchajże mnie, Jędrzeju, trzeba żebyśmy pogadali ze sobą i to jak można najprędzej, bo *periculum in mora*.

— Ale gości dobrodzieju! — zawołał, przyszedłszy nareszcie do słowa, Jędrzej — tu niema nic takiego, ja nie wiem o niczem...

— Jakto? to przedemną jeszcze będziesz robił sekrety? mój Jędrusiu! a do czegoż też to podobno?... Hej! pajuk! a czego ty tu stoisz jeszcze? ruszaj, ruszaj precz do kredensu! nie zastępuj miejsca moim szanownym gościom. Słuchaj-że mnie, kochanie, już ja chciałem być nawet u ciebie, aby pogadać.. ale to nie stracone...

— Ale na cóż też tego? — zawołał wreszcie zniercierpliwiony Jędrzej — ja sam będę służył panu podkomorzemu...

— No, tak, tak, ale ja cię i dziś jeszcze uchwycę, mam nadzieję przynajmniej, na jedno słówko...

— Będę do dyspozycji pana podkomorzego — rzekł Jędrzej, wrywając mu się już prawie gwałtem — tylko muszę się jeszcze z damami przywitać!...

— A to nie witałeś się jeszcze? wszelki duch chwali Pana Boga! a czyż miałem sumienie się zatrzymywać? a czy wiesz, kędy siedzą? oto tam przy kanapie...

Jędrzej spojrzał z zadziwieniem na gadatliwego staruszka a ten go popchnął jeszcze, wołając:

— Tam, tam, przy kanapie! a biegaj-że jaknajprędzej... i nawet śpiesz się, jeśli co pilno, bo zapewne niebawem pokaże się nam i panna Melania, a wtedy trudno się będzie rozedrzeć...

To mówiąc, podkomorzy spojrzał wzrokiem niby triumfującej ironii na pomieszanego młodzieńca, który stał nieruchomy, patrzył na niego i nie wiedział już sam co miał mówić. Wszakże podkomorzy tylko jedno oka мгніеnie go w tej niepewności wytrzymał i natychmiast objął go w swoje ramiona, mówiąc mu do ucha:

— A co? nie lepiej to było nie robić przed starym

sekretów? he? cha, cha, cha! No, ale nie frasujże mi się tem zupełnie, bo ja tu już i bez ciebie zrobiłem wszystko, i udało się jak najlepiej. Potem ci powiem.

To było już dla Jędrzeja najzupełniejszą zagadką.

Ale nie było tu czasu do stracenia nad rozwiązywaniem zagadek; jakoż Jędrzej, lubo cokolwiek zamyślony i siebie niepewny, przystąpił do podkomorzynej sandomierskiej i kłaniając się matce i córce, rzekł do pierwszej:

— Miałem przyjemność prezentować się dzisiaj u drzwi pani podkomorzynej, ale nie miałem szczęścia...

— Bardzo nam przykro było — przerwała podkomorzyna — żeśmy pana przyjąć nie mogły, bośmy już były na wyjeździe... Ależ to rzecz nie stracona; wszakże widzimy się tutaj. Jakże pan spędza karnawał?

— Ja, jak najgorzej...

— Oh! doprawdy? jakaż to szkoda! Ale możesz pan sam temu winien? Udzielanie się obszerniejsze, albo ograniczenie, od nas samych zależy...

— W tym razie nie zależało ono wcale odemnie, bo byłem poprostu zmuszony do ograniczenia się i to jeszcze do tego na sobie samym...

— Czy tak było istotnie? słyszymy o tem, ale zaledwie możemy wierzyć... Pan cześnik koronny właśnie nam powiada, że znalazł w panu wybornego partnera do l'hombre i do konwersacyi statecznej, z czego z wielką dla siebie pociechą korzysta, schodząc się z panem codziennie u wojewody inflanckiego. Ale to zapewne musiał pana pomieszać z kim innym...

— Nie pani — rzekł na to Jędrzej — jest w tem cokolwiek prawdy...

— A cokolwiek w tem co pan mówisz, i tak składa się prawda cała — dodała prędko podkomorzyna — ale *à propos* wojewody, czy obaczymy tu dzisiaj pannę wojewodziankę?

— Nie umiem pani tego powiedzieć — rzekł Jędrzej, zarumieniony na całej twarzy.

— Jakto? seryo pan tego nie wiesz?

— Mogę panią najsolenniejsz zapewnić, że nie wiem.

— A! panie Jędrzeju! już też to się nie godzi być tak nieszczerym dla swoich tak blizkich sąsiadów...

— Przepraszam panią, ale nie mogę zamilczeć, że mnie ten zarzut trafia całkiem niewinnie.

— Niewinnie?! ah! to już troszeczkę zanadto. Przecież zdaje mi się, że się najślusniej o nieszczerość obwinia tego, który przed przyjaciółmi ukrywa tajemnicę, wiadomą całemu światu.

Na taki zarzut chciał Jędrzej wystąpić z usprawiedliwieniem obszernem, ale w tym momencie podkomorzyna odwróciła się od niego i zaczęła rozmowę z damą obok siebie siedzącą, zostawiając mu przecież wolne pole rozmawiania ze Stasią.

Po tak dosadnych przycinkach, Jędrzej nie był wcale usposobiony do swobodnej rozmowy, ale jakkolwiekby, sposobności tej nie mógł on żadną miarą opuścić, — zwłaszcza że była to sposobność, jaka być mogła najlepsza, bo Stasia siedziała pod ścianą ostatnią i była prawie całkiem zasłonięta jednym ramieniem tego półkola dam, które się rozciągało od głównej kanapy. Biorąc tedy krzesło i siadając przy Stasi, rzekł do niej:

— Mamę pani znajduję dzisiaj w osobliwszem dla mnie usposobieniu; czy i pani podziela jej zdania?

— Pan mi zadajesz bardzo trudne pytanie...

— Ale pani słyszałaś naszą rozmowę?

— Słyszałam całkiem, chociaż może nie rozumiałam wszystkiego.

— Ja muszę się przyznać, że jej nie rozumiał zupełnie, lubo nie trudno mi się domyśleć o co właściwie chodzi. Ale mama postąpiła sobie jeszcze o tyle nielitościwie ze mną, ile że mi nie dała czasu nawet do usprawiedliwienia...

— A usprawiedliwienie się takie nie byłoby trudne cokolwiek dla pana? — spytała Stasia, patrząc mu w oczy

— Niestety! — rzekł Jędrzej z westchnieniem — muszę to przyznać otwarcie, że byłoby bardzo trudne, a wobec surowego sędziego może nawet i niepodobne...

— W takim razie i ja pana już nie rozumiem...

— Pomimo to jednak — ciągnął dalej Jędrzej — nie wątpię wcale, iż usprawiedliwienie się moje byłoby pewnie przyjęte przez panią.

— To być może, ale zawsze zdaje mi się, że słuszną zrobię uwagę, jeżeli powiem, że już tam koniecznie być musi wina, gdzie usprawiedliwienie się trudne, a jak pan sam mówisz, może i niepodobne...

— Nie, pani! to nie jest konieczne. Bo w życiu naszym, które teraz z każdym dniem staje się obszerniejszem, a co gorsza zawilszem, każdą sprawę, każdy czyn, każdy zamiar nawet, otaczają tysiące okoliczności; z tych okoliczności różne się wywiązują pozory i, zaprawdę, trzeba mieć wzrok bardzo bystry i nieomyłne sumienie (czem jednak nikt z nas się nie może poszczycić), ażeby zawiła sprawę sprawiedliwie osądzić przed jej wyjaśnieniem.

— W tem panu przyznaję słuszność, ale pragnę zapytać pana, czy nasze sprawy muszą być zawiłymi koniecznie?

— Nie, pani! nie muszą, lecz jeśli same z siebie, pomimo woli naszej, się zawikłają?

— To wtedy?

— To wtedy nie pozostaje nam nic, jak usilna praca ku rozwiązaniu zawikłań z jednej strony, a z drugiej cierpliwość i ufność, że praca pożądanym uwieńczy się skutkiem.

— A czy taka praca jest rzeczywiście? — spytała Stasia.

— Jest, pani, najusilniejsza, jaka być może.

Po tych słowach Jędrzej z głębi piersi odetchnął i rzekł cichym głosem:

— Pani jesteś aniołem moim. Pani wracasz mi życie.

Lekkie rumieńce okryły twarz Stasi, — i trwała chwilka milczenia. Poczem pierwsza odezwała się ona, mówiąc:

— Zawiłe sprawy mają to do siebie, że najczęściej są długie. Ażeby je opowiedzieć w całości, trzeba by czasu niezmiernie wiele. Ja z mojej strony nawet i nie pragnę dowiadywać się tych zawiłości, których w części się wprowadzić domyślam, ale których całość jest mi obcą zupełnie.

Pomimo to przecież o jeden drobny szczegółik muszę pana zapytać.

— Proszę pani, jestem gotów odpowiedzieć choćby na wszystko.

— Powiedz mi pan więc jednym słowem, o co tu chodzi?

Jędrzej się chwilkę namyślił, bo nie zrozumiał odrazu pytania; lecz zrozumiawszy je, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Podług pani jest to tylko drobny szczegółik?

— A gdyby to była nawet i kwestya życia? — spytała Stasia.

— Zawszebym pani odpowiedział na nią natychmiast — rzekł prędko Jędrzej i zasunawszy się za jej krzesło, mówił dalej: — Otóż na to pytanie, ażeby je wyjaśnić tak jak należy, musiałbym odpowiadać niezmiernie długo; ale ponieważ pani żądasz odpowiedzi krótkiej, więc pani powiem krótko: że chodzi tu o to, ażeby komuś, który tego istotnie jest godzien, ująć, ile możliwości, jak najwięcej przykrości, a może nawet i smutku.

— Tak sobie to wyobrażałam — odpowiedziała Stasia — ale powiedzże mi pan jeszcze, któż temu komuś dał upoważnienie do smutku?

— Było wiele powodów do tego...

— A najpierwszy przy panu?...

— Mogę panią najsolenniejsz zaręczyć, że nie.

— I pewnie nie?

— Jak najpewniej.

— I ani w części nie?

— Ani w najmniejszej części.

— W takim razie postępowanie pana dzisiejsze zasługuje na poszanowanie.

— O! pani mnie uszczęśliwiasz nad wszelki wyraz! Słowa te podnoszą mnie całkiem z mego chwilowego upadku, przecinają wszystkie moje wątpliwości na zawsze, i dają mi wiarę, dają mi siłę do wytrwania w mojem trudnem położeniu do końca. Jeśli się nie zachwieję w mojem poświęceniu się dla osoby obcej mojemu sercu, jeżeli

potrafię ułatwić jej zapomnienie marzeń i złudzeń niepodobnych zupełnie, i jeżeli potem sam będę spokojny, szczęśliwy i próżen wszelkich wspomnień bolesnych, — będę to miał do podziękowania li tylko pani. O! bo ileż to ja mam do podziękowania pani! — kiedy na samym wstępie do życia zostałem wzięty w niewolę, kiedy mnie okuto w kajdany i prowadzony do bram takiej krainy, która całkiem nie odpowiadała mojemu sercu; kiedym ujrzał trzęźwemi oczyma, jak ta kraina jest pustą i zimną i głuchą, i kiedym już zaczął rozpaczać, że mi Bóg taki los ciężki przeznaczył, nie mając ani pojęcia o tem, żebym się mógł wyrwać z rąk moich tyranów: wtedy pokazał mi się anioł niebieski jakoby we śnie, który mnie dotknął jasnym promieniem swych oczu i rzekł mi: zbudź się i wstań! Zrzuc ze siebie te więzy i patrz jaki świat piękny stoi otworem przed tobą! — Zbudziłem się wtedy i ujrzałem istotnie świat całkiem inny, taki piękny jak raj niebieski, a taki smutny, że z każdego kwiatka, z każdego drzewa krwawe łzy upadały na ziemię. Za tym smutkiem i temi łzami świeciło słońce jasne, piękne, wiosenne, — i zdało mi się, że trzeba tylko przebrnąć przez krew i przez łzy, aby się dobieć jasności tego nowego słońca. I na ów krwawy i łzawy bój poprowadził mnie ten anioł, ten sen. Jakiegokolwiek tam były tych bojów koleje, ja zawsze to mogę powiedzieć, że zamiast kwasić się w dusznej komorze pomiędzy pudrowanymi mistrzami rachuby i roztropności, — dzięki owemu aniołowi, — przeżyłem przynajmniej jedną chwilę życia tak, jak ją najpiękniejszą może sobie wymarzyć młodość. A pod koniec tych bojów, kiedy nas opuszczały już siły, kiedy szaleństwo napadało umysły, rozpacz rozdzierała nam serca, — i kiedy każdy musiał co chwila upadać pod ciężarem tych bólów, — ja potrzebowałem tylko jednego wspomnienia na to, aby w krwawej boleści serca zachować uśmiech na twarzy, i to wspomnienie miało moc czarodziejską nademną. Kiedy wszystkie bramy już były zamknięte, wszystkie drogi naszego życia powleczone ciemnością, wspomnienie to przecież otwierało dla mnie jedną ścieżeczkę, na której świeciło słońce, ziele-

niły się trawki i rozkwitały kwiatki, uwite w wieniec cichej miłości i szczęścia. Tym snem, tym aniołem, tem wspomnieniem nareszcie, które tak błogie wpływy wywarło na moje życie, które jest dzisiaj jedyną spójnią wiążącą mnie ze światem i całą moją nadzieją na przyszłość, któż to był jeśli nie pani. I pani sądzisz, że są jakie trudy tak ciężkie, poświęcenia tak wielkie i tak kosztowne ofiary, żebym ich nie poniósł, ażeby takie wspomnienie w rzeczywistość zamienić?...

— Nie, tak nie sędzę — odpowiedziała Stasia — lecz żał mi bardzo, że poświęcenia muszą mieć miejsce i żał mi jeszcze bardziej, że się do nich nie mogę przyczynić.

— O! pani! ty się do nich przyczyniasz aż nadto wiele, chociaż nie mówisz o tem. Ale bądź pani pewną, że ja te poświęcenia rozumiem i czuję je w głębi serca i nieraz bardzo... bardzo nad nimi boleję.

— Szczerze panu mówię, że nie wiem o żadnych poświęceniach z mej strony.

— A czy ufność taka bezwzględna, jaką zastaję u pani, czyż tak anielska cierpliwość nie jest żadnem poświęceniem?

— O! — zawołała Stasia z uśmiechem — w tym wypadku nie jest przynajmniej zasługą!

— Wolnoż się pytać czemu?

— Bo... bo... nie powiem panu — odpowiedziała Stasia z uśmiechem — pan mi o sobie mówisz tylko cokolwiek, a o mnie chcesz wiedzieć wszystko.

— Ja pani o sobie nie powiedziałem wszystkiego, ale powiedziałem już tyle, że reszta już zupełnie domyślna.

— Pan jesteś także dosyć domyślny. Ale na cóż nam mówić o tem? Lepiej sędzę to panu przypomnieć, że pan mamę istotnie rozgniewałeś na siebie. I ja nawet jestem rozgniewaną na pana, bo przez dziewięć dni całkiem się nie pokazać, to trochę zaodważna rachuba na czyjąś cierpliwość.

— Czy pani nie wiesz o tem, że to było niepodobieństwem?

— Tylko się tak domyślałam, ale potem i domysł

mój upadł, kiedym się dowiedziała, że pan wczoraj już wyjeżdżałeś...

— Z tego zarzutu bardzo łatwo się pani wytłumaczę. Pierwszy raz wstawszy z łóżka, byłem skwaszony i nudny, i oczywiście pokazałem się tam, gdzie chciałem się pokazać ile możliwości nudnym.

— I byłeś pan nudnym w samej istocie?

— Najnudniejszym... i to nawet do tego stopnia, że dosyć było spojrzeć na mnie, ażeby ziewać...

— I ziewali wszyscy?...

— Mniej więcej...

— Panna Melania?

— Tak... dosyć...

— A pan starosta bełzki?

— Był w bardzo dobrym humorze.

— Mnie się zdaje, że ten starosta bełzki, chociaż pański wujaszek, niebawem już panu takiego figielka wykroi, którego się pan nie spodziewasz zupełnie.

— Pani rozumie, że mnie zdradzi?

— Tak...

— O! gdybyż mnie tylko zdradził jak najprędzej! Możeby to był pierwszy zdradzony, któryby błogosławił swojego zdrajcę, ale że błogosławiłby go z całego serca, to więcej jak pewna.

— Ale to trzeba przyznać — mówiła Stasia, rosnąc ciągle w dobrym humorze — że pan przecież nie darmo strawiłeś tyle czasu pomiędzy roztropnymi ludźmi: bo zdradzić kogoś samemu, to jest rzecz serca złego, lekkomyślnego, występnego, ale zawsze serca; ale zniewolić stronę przeciwną do zdrady, to już podobno tylko rzecz roztropności, rachuby...

— Takby to niby być powinno, ale w tym wypadku tak nie jest... Jednak gdyby nawet tak było, to zawsze śmiem utrzymywać, że byłaby to rachuba, nieprzynosząca rachmistrzowi zakału... Rachuba bowiem jest tylko wtedy naganą, jeżeli jej bodźcem jest czysty egoizm, a celem korzyść własna...

— A tutaj?

— Tutaj?... — powtórzył Jędrzej i namyslał się, jak ma postawić swoją odpowiedź.

— Ja sędzę, że tutaj może lepiej całkiem się nie usprawiedliwiać — rzekła Stasia z uśmiechem.

— Ale dlaczegóż, pani? usprawiedliwienie się moje nie jest zupełnie trudne. Odpowiedź sama z siebie się nasuwa. Celem mojej rachuby jest dobro bliźniego. Gdybym nie miał względu tylko na siebie samego, nie potrzebowałbym ani nawet zwracać uwagi na to.

— Tak jest istotnie, jak to panu powiedziałam już przedtem. Ale tu jeszcze dodam, iż zdaje mi się, że pan zanadto względną uwagę zwracasz na tę okoliczność. Pan jesteś zanadto delikatnym, a ta delikatność któż wie czy niema źródła tylko w dobrem rozumieniu o sobie samym? Ja widuję pannę Melanię prawie codziennie i zawsze bardzo pilnie się jej przypatruję, ale jeszcze ani razu nie dostrzegłam w niej nie tylko tak głębokiego bólu, ale nawet ni smutku.

— Bardzo chętniebym przyjął na siebie zarzut o zarozumiałość, gdyby tylko tak było.

— Czy pan sądzisz inaczej?

— Całkiem przeciwnie.

— W takim razie jesteś pan zdania, że możemy się zaprzeć uczuć, jak tylko zechcemy.

— Są ludzie tak szczęśliwi, że mogą.

— Wierzę panu już wszystko, więc i to wierzę, ale przyznam się, że ja nigdy nie potrafiłabym się nauczyć tej sztuki.

— A cóżbyś pani zrobiła w tem położeniu?

— A czy ja mogę się znaleźć w tem położeniu? — zapytała Stasia, patrząc mu z pewnym rodzajem przestachu w oczy.

— O! nie! nigdy i nigdy! — zawołał Jędrzej z uczuciem — chybaby mi do wytrwałości nie stało życia.

— Wtedy nie byłoby życia i dla mnie — wymówiła cichutkim głosem Stasia, usiłując powstrzymać łzy, które jej się gwałtem cisnęły do oczu. Jędrzej widział te łzy i umilkł na chwilę. Działo się to w salonie i trzeba było

mieć słuszny wzgląd na to... Ażeby dalej rozmawiać spokojnie, trzeba było przeczekać chwilkę, nimby się obopólne uspokoiło wzruszenie...

Wszakże nim się to stało, weszła Melania do salonu. Melania wyglądała dziś bardzo ładnie, była świeża, rumiana, śmiejąca. Oparta na ramieniu swojego ojca, zbliżyła się do grona dam, siedzących w półkołu, tak głośno, wymownie, wesoło, że z jej przybyciem całe towarzystwo się ożywiło. Kto ją widział w tej chwili, mówił do siebie w duchu: Otóż to jest serce swobodne! otóż to humor nieporównany! — Starosta bełzki aż się rozpromienił cały z radości i zaraz się do niej przybliżył. Tylko jeden Jędrzej nie zmienił twarzy i był wcale innego zdania; jemu się bowiem zdawało, że Melania przecież głos miała niepewny i nienaturalną wesołość...

Zrobiwszy to spostrzeżenie, Jędrzej wstał z krzesła i chciał się zręcznie przenieść na inne miejsce, ale tymczasem przybliżyła się tutaj Melania i powitawszy podkomorzynę, ścisnęła za rękę Stasię, mówiąc do niej:

— Wiedziałam jeszcze wczoraj, że się tu obaczymy. Jest to jedna z tych przyjemności, na którą naprzód liczyłam...

Stasia równą odpowiedziała grzecznością, a tymczasem Melania obróciła się do Jędrzeja, mówiąc:

— Ale pana wcale niespodziewanie tutaj spotykam. Pan cześnik koronny powiadał nam dzisiaj, że pan jesteś tak interesami zajęty, że nawet pana do swojej partyi namówić nie mógł... zdaje mi się, że wspomniał i o tem, jakobyś pan miał za dni kilka wyjechać... Czy tak jest w samej rzeczy?

— Nie pani — powiedział Jędrzej — nie mam w tej chwili żadnej podróży przed sobą...

— A więc się możemy pocieszyć, bo byłaby to istotnie nie mała strata dla karnawału — odpowiedziała Melania zimnym etykietałnym tonem i odwróciwszy się natychmiast od niego, zaczęła dalszą rozmowę ze Stasią.

Nie tłumacząc sobie wcale tych słów znaczenia, Jędrzej

korzystał z tej sposobności i wysunął się milczkiem w inną stronę salonu.

Zdało mu się teraz koniecznem zbliżyć się do skarbnika.

Skarbnik siedział pod ścianą i rozmawiał z jakimś drugim kontuszowym szlachcicem. Jędrzej się zbliżył do niego i witał go z dosadnem uszanowaniem. Skarbnik może miał przedsięwzięcie spotkać go zimno, ale już po kilku słowach chłodniejszych zmiękł znacznie. Nie mógł on być niewdzięcznym za powitanie pełne szacunku i nie umiał się źle obchodzić z człowiekiem, dla którego miał istotną sympatyę. Jędrzej siadł obok niego z przeciwnej strony i mówił w dalszym ciągu rozmowy:

— Odprawiony odedrzwii pani podkomorzynej, nie miałem już nadziei widzenia dzisiaj pana majora, ale w mieście na wszystko są jeszcze sposoby.

A na to skarbnik:

— Bardzo pana za moją siostrę przepraszam, ale też i niema czemu się dziwić. Do naszych dam wielkoświatowych trzeba pukać po kilka razy, nim się można dopukać. Nie tak to, panie kochany, jak na wsi, gdzie drzwi stoją zawsze otworem i jakikolwiek gość się pojawi, zawsze mu radzi. Na wsi też podobno i serca trochę lepiej otwarte, niż w mieście.

— Panu majorowi nie podoba się miasto?

— Wcale mi się nie podoba i tak mówię, że bodajbym w niem nigdy nie mieszkał. Zdaje mi się nawet, że gdyby mnie skazano na zamieszkanie w mieście, tobym choć z duszą uciekł, aby w niem tylko nie siedzieć.

— I ja nie jestem wielbicielem miasta, ale teraz staje się koniecznością dla nas choć na jakiś czas zaglądać do miasta, bo inaczej trudnoby było i wiedzieć, co się dzieje na świecie.

— Jest to w tem niby racya, bo dawniej wiadomości o świecie zbiegały się najprędzej do wielkich dworów i kiedy kto chciał się czego dowiedzieć, pojechał sobie na który dwór pański. Albo i jechać nie trzeba było, bo z owych dworów wielkich rozchodziły się wiadomości do mniejszych, a stamtąd po całym kraju. Dzisiaj dwory pań-

skie znikają, panowie zasiadają po miastach, a z nimi i wszystko gromadzi się w miastach. Ale proszę pana, po jakież to wiadomości jeździć dziś choćby i do miasta?

— A! jużci tego, sędzę, że i dziś jeszcze powiedzieć nie można, żeby już nawet nie warto było wiedzieć, co się dzieje na świecie?

— Ale cóż bo się dzieje?

— Dzieje się bardzo wiele. Wpan dobrodziej wiesz przecie, że cała Francya jeszcze ciągle jest w ogniu. Niedawno tak głośne wojny nie ucichły na zawsze, — lada chwila mogą znów zagrzmieć działa, — a co wiedzieć, w którą stronę się ich paszcze wymierzą i jakie wywieszą sztandary?

— Nie przeczę temu, bo tak jest w samej istocie, że nowa wojna lada chwila wybuchnąć może, ale cóż nas już teraz może obchodzić wojna?

— A jakto, panie majorze? Te wojny, które już się odbyły, i te także, które są jeszcze w widoku, nie są to drobne panujących zatargi, które się poczynają na rozkaz z głównej kwatery i takiż rozkaz także je kończy; wojen tych także nie podnosi już Francya w swojej sprawie prywatnej, ale są to wojny poprostu, które poczyną ludzkość i głos ten, który je wywołuje, nie wdaje się w żadne traktaty. O takich wojnach nie można nic naprzód powiedzieć, czego jeszcze zapragną i jak daleko zasięgna, — a stąd wniosek najsprawiedliwszy, że każdego powinny obchodzić.

— Już też ja i sam prawie w ten sposób o tych wojnach myślałem, słyszałem także wnioski podobne od innych, ale nie mając zwyczaju sądzić o rzeczy, nie wyrozumiawszy jej dokumentnie, słucham wszystkich a sam milczę do czasu. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby mnie te sprawy żywo nie zajmowały, — przyznam się nawet, że gdzie tylko mogę, zbieram sobie wiadomości do tego się odnoszące, — i tak już niejedna zawiała kwestya teraz się rozjaśniła przedemną. Nie mogę też tutaj nie wspomnieć, że wielką wdzięczność pod tym względem winien jestem jmc panu Flawiuszowi.

— Komu to, mości dobrodzieju?

— Jmć panu Flawiuszowi — powtórzył skarbnik — czy panu się to nie zdaje?

— Owszem, owszem... pan Flawiusz może wiedzieć bardzo wiele. Mieszkał tak długo w Paryżu, ma tam wielu znajomych, jest z nimi zapewne w korespondencji, miał nawet i w Warszawie stosunki z osobami takimi, które się obecnie znajdują w Paryżu. Jmć pan Flawiusz może wiedzieć bardzo wiele, żeby tylko to, co wie, było wszystko prawdziwe?

— To też na każdą relację ma się stosowne kryteria.

— I kryteria czasem mogą omylić, jakoż mojem zdaniem najlepiej jest mieć wiadomości takie, na które nie trza kryteriów.

— Jeśli to można, to zapewne najlepiej, ale w tych rzeczach to podobno nie jest tak łatwo...

— Łatwo nie jest, ale my na przykład i bez pana Flawiusza mamy wiadomości te wszystkie, na których nam coś zależy.

— A to mi pan wcale powiadasz nowinę — rzekł żywo skarbnik — gotówbym nawet mieć o to pretensję do pana, żeś mi jej nie powiedział dotychczas.

— Pan major pozwolił sobie zrobić uwagę, że było to prostem niepodobieństwem. Przez osiem dni całych nie wychodziłem z mojego mieszkania a dziś, kiedy wyszedłem, byłem zaraz u państwa.

— Więc to tak było! — zawołał skarbnik — to jużci zapewne nie twoja wina, ale ja ci także zaręczam, że nie wiedziałem nic o tem, że byłeś słaby, bo jużciż przecie jakie tam bądź robi kto ceregiele, ja byłbym zawsze choterego odwiedził. Ale słuchaj-że mnie łaskawco! bo to kobiety, tą furfanteryą swoją zajęte... to tam nie ma czemu się dziwić... ale jeśli byś kiedy znowu w nasze strony zabłądził, pamiętaj-że z łaski swojej, że ja mam moje osobne pomieszkание na dole i nie trza tam żadnych anon-sów. Czy tam na wsi, czy w mieście, u mnie drzwi za-

wsze otwarte, a jeszcze też dla takiego, z którym jest co pogadać o rzeczach ważnych. Tedy mogę już liczyć na to?

— Pan mi zaszczyt tem czynisz...

— Ale daj-no pokój z zaszczytami! — zawołał skarbnik — co nam tam po tem! Przyjdiesz-że do mnie? A tak sobie kiedykolwiek o poobiedniej godzinie, kiedy to sam jeden u siebie i nikt nie zawadza... no cóż? mam się spodziewać?

— Ale przyjdę, przyjdę najniezawodniej...

— Dajże ci Panie Boże zdrowie — rzekł major i objawszy zaraz Jędrzeja w ramiona, już mu naprzód dziękował za wiadomości, które zawsze i wszędzie trzymały pierwsze miejsce u niego.

A kiedy skarbnik ścisnął tak serdecznie Jędrzeja, nawinął się tuż koło nich podkomorzy staruszek.

— A! otóż tak, to lubię. Kiedy się ludzie całują, to się kochają, a do miłości niechże pan Bóg da szczęście!

To mówiąc, odsunął prawie gwałtem Jędrzeja i sam wzięwszy skarbnika w ramiona, wyściskał go serdecznie.

— Szukam cię, panie majorze — mówił zaraz staruszek — już od godziny, a nigdzie znaleźć nie mogę. Ale cię przecież złapałem. Siadaj-że sobie na swoim miejscu, a ja koło ciebie i pogadamy. A ty, panie Jędrzeju, do panien! Kawalerom nie wolno próżnować, a jeszcze też u mnie, gdzie jest tyle piękności. Biegaj-że prędko do młodych, a starych zostaw ze starymi.

Po tych słowach Jędrzej istotnie odszedł w inną stronę salonu, a podkomorzy, nachyliwszy się skarbnikowi do ucha, tak dalej mówił:

— Cóż tam tedy, drogi panie Marcinie? kochasz nas teraz jak zawsze, to nie ma kwestyi, ale przecież nie kochasz mnie tak, jakbym tego pragnął, bobyś mnie przecie trochę częściej nawiedzał.

— Mości dobrodzieju! — rzekł na to skarbnik — śmiem powiedzieć otwarcie, że to zarzut wcale nie sprawiedliwy, bo Bóg mi świadkiem...

— Ale żartuję, żartuję... wiem przecież dobrze, że to jest miasto, że to karnawał, macie tylu przyjaciół, tyle

stał obowiązków, a ty jeszcze do tego i na służbie przy damach.

— Otóż to jest! — rzekł skarbnik.

— Alboż to nie wiem! — Alboż to i ja nie przyjeżdżałem tak niegdyś z moją żoną do miasta! Co kłopotu, a bieganiny, a zgryzoty, a worek trzeszczy, jak sośnina na ogniu! Alboż to nie wiem. Ale to mniejsza już o to, kiedy jest i nagroda. Nie żał płakać, kiedy jest czem łyż otrzeć. Wasza Stasia, to anioł prawdziwy, to cacko, to pieścidelko. Wiele już widziałem piękności, i w Paryżu, i w Rzymie, i w Wiedniu, i po całym świecie, ale czegoś tak pięknego i tak miłego zarazem nie napotkałem nigdzie. Już to trza przyznać, że taki niema nie na świecie, jak nasze Polki. Kiedy się która uda, to klękajcie narody: nie rachuj wdzięków i enót, bo się ich nie doliczysz. No, ale powiedz-że mi, ale tak szczerze, po staremu, po staropolsku, jakże tam uważacie Jędrzeja? he?

Pan Jędrzej bardzo zacny kawaler, nie ma co przeciw niemu powiedzieć.

— Ale że zacny, to nie ma kwestyi; i ja to mówię, chociaż to mój powinowaty. Bo to i w głowie jak trzeba, i koło serca czysto, o parentelach niema już co i mówić, a fortuna jak studnia. Słuchajże mnie, panie bracie, więc jakżeż? ale tak szczerze, jesteście za nim, czy nie?

— Mości podkomorzy — rzekł na to skarbnik — nie wiem właściwie, o co tu chodzi...

— Ale ot! gadasz! przecież przedemną nie będziesz robił sekretów... A choćby sekret, toż tom nie wart sekretów? Wasz przyjaciel od serca, jego wuj cioteczno-rodzony, a stary jak świat, a milczący jak grób! Nie kryj-że się przedemną, jak mnie kochasz... bo to ja także wiem trochę więcej jak inni i kiedy chcę z tobą pomówić szczerze, to pewnie nie na darmo.

— Chętniebym mówił z tobą choćby też i najszczerzej, ale prawdę mówiąc, nie ma tu jeszcze o czem i mówić.

— Ale wiem, wiem, o! jakże chcesz? przecie wiem wszystko jak najlepiej. Nie deklarował się jeszcze i to was nudzi. Powiadają wam z boku, że się stara o wojewo-

dziankę inflancką, i to was gniewa. Chcecie go do decyzji zniewolić, przypuszczając do siebie Flawiusza i drugich wiercipiętów podobnych, a to się na nie nie zdaje. I owóż rzecz! A co? a co? może nie wiem wszystkiego? cha, cha, cha! dobrodzieju! a stary, a stary, a od czegoż człek stary!

Skarbnik chciał się protestować przeciw tym wszystkim domysłom, ale podkomorzy nie dał mu ani słowa wymówić, tylko powstawszy i wycelowawszy go po ramionach i twarzy, tak dalej mówił:

— Ale daj-no pokój, jak mnie kochasz! Zaraz tu całą rzecz wyjaśnimy. Owóż tedy ja jestem zdania, że Jędrzej i Stasia to jest para, jakiej nie masz drugiej na świecie. To jakbyś złożył dwa obrączkowe dukaty. Na tę i na ową stronę wszystko jest, co potrzeba: bo to i młodość i piękność, i wychowanie, i rozum, i imię, i serce, a już ciż nie możecie powiedzieć, żeby konkurował o posag, bo jeśli ona ma milion, to on ich ma dwa albo więcej. A kochają się jak gołąbki! Czy widziałeś, panie bracie, jak rozmawiali ze sobą? Moja żona przybiegła do mnie i zwróciła na to moją uwagę. Patrzyłem i łzy mi stanęły w oczach. Było tak kiedyś i u nas! ale hej! gdzie te czasy! Przypomniała mi je moja żona... ale pocałowałem ją w rękę i na tem koniec. Bo to tak już u starych. Ale uważasz mnie, twoja pani siostra srodze się z nim obchodzi. Biedaczysko ledwie wstał z łóżka, zaraz do was poleciał, staje pod drzwiami, prostuje się po chorobie jak może, serce mu bije, że ledwie nie wyskoczy z pod żeber — a tu drzwi trzask mu przed samym nosem!

— Ale mój dobrodzieju...

— Poczekaj-no, panie bracie! — poderwał prędko podkomorzy, trzymając silnie skarbnika za rękę — bo to nie koniec na tem! Wsiada on czempredzej do powozu, przyjeżdża tu, nie wita mojej żony, nie wita mnie, biegnie prosto do twojej siostry — a ona, pal-że go z jednej strony, nuż z drugiej, i jeszcze raz, i jeszcze raz, a potem się odwróciła od niego: bądź asan zdrów!

— Jakto? tu moja siostra...

— Ale tak, tak, jak cię kocham! Moja żona była przytem, mimowoli całą tę rozmowę słyszała i zaraz do mnie przybiegła ze łzami w oczach! Wiesz jak ona jest czuła. Bo i któżby się zresztą na to nie rozczulił! Biedny Jędrus! chodzi jak święty. Musiał być srodze gorzki, kiedy z tobą rozmawiał? he?

— Tak... istotnie był nie w humorze...

— A tyś mu może jeszcze doprawił? he? No, jak tam bądź, ale zawsze takie obchodzenie się z kawalerem takiego rodu, fortuny i tak dalej, a jeszcze do tego przez pannę kochanym, o! — to jest srogość. Może też Jędrzej i zasłużył sobie na to... na oko, ale to tylko na oko, jak ciebie kocham na oko. Bo wy nie wiecie co jest! Konkuruje, kompromituje, bałamuci, a nie deklaruje, to prawda, ale czemu? Bo to trza mieć wzgląd słuszny na wszystko. Otóż trzeba ci wiedzieć, że deklarować jeszcze nie może, bo go trzymają u wojewody. Wojewoda go chwycił jeszcze dzieckiem, zaprzyjaźnił z Melanią, popodmawiał, pokręcił, pozaręczał, bo to minister! Siedź-że teraz. Wojewoda, niema co mówić, z wszystkich względów mąż zacny; Melania piękna panna, dobra partya; ale gdzież też to dla Jędrzeja? — Jędrzej się spostrzegł zawczasu i chciał się zaraz wycofać, ale z wojewodą nie łatwa sprawa — a i z panną nie łatwa, bo to kurki czubate. Ale teraz już się to składa — robimy wszystko co możemy, aby tego biednego Jędrzeja z tej niewoli wydobyć. Jakoż ugłaskaliśmy już wojewodę, wyperswadowaliśmy pannie i daliśmy jej kogo innego — już to prawda, nie Jędrzej co do wieku, ale też za to pan i starosta, i lada dzień będzie hrabią. I będzie to także para, co daj Boże zdrowie! Otóż mój dobrodzieju kochany, wyrobi się to wszystko i wywinie jak z płotka, bo już kiedy ja się do czego wezmę, to tam pewnie nie darmo tylko na miłość Boga! cierpliwości i wyrozumienia, wyrozumienia i cierpliwości tyle, co trzeba! A cóż panie bracie! wiesz już teraz, jak rzeczy stoją? Winien Jędrzej? he? Wojewoda go trzyma za połę i męczy oracyami codziennie, panna wzdycha, płacze i tak dalej — winien to Jędrzej? he?

— Mości podkomorzy! — zaczął znów skarbnik, myśląc, że jeszcze raz przyjdzie do słowa, ale staruszek zaraz mu przerwał, mówiąc dalej:

— Ale tak jest, tak jest, nie winien nic, ani kwestyi! owszem, owszem, jeszcze to zaszczyt mu czyni... Słuchajże mnie tedy, bo to ręka rękę myje, tak zawsze na świecie. Pomagamy my, pomagajcież i wy, a przynajmniej nie przeszkadzajcie. Grzeczność to rzecz nie kosztowna, a tu chodzi tylko o grzeczność. Co wam z tego, że męczycie młodzika?

— Ale mości dobrodzieju! — zawołał zniecierpliwiony skarbnik — a któż też znowu...

— Ale daj-no pokój! tak to się gada! ale taki to męki. A co to? nie wiesz? nie przechodziłeś przez to za młodu? taki to męki. Otóż proszę was, bądźcie grzeczni dla niego. On biedny. Robi sobie skrupuły, chciałby i tu naprawić i tam nie popsuć. On się gryzie. Nie przyczyniajcież mu się jeszcze do zgryzot. A nadewszystko dajcie sobie pokój z tymi konkurentami. Co wam po konkurentach? A po Flawiuszu wam co? he? A co on ma u was do czynienia? he? A wiecie wy, kto to jest? he? A na co wam tego? A kocha się w Stasi, a wy na to patrzycie i nic nie mówicie? A wiecie wy, co może z tego wyniknąć? Bo to nie żart, panie bracie! Z miłością nigdy żartu nie było, a nie dopiero teraz! Kresów już niema i hajdamaków niema, którzy dawniej tak dobrze wyleczali z miłości, a takiego Francuza to może i dyabeł sam nie wyleczy. A co potem? he? A jak przyjdą szaleństwa, awantury, pojedynki, zabójstwa, to co? Poradzisz na to? he? — No, ale nie frasuj się i o to, bo myśmy już pomyśleli i o tem. Wyprawimy Flawiusza w lot, że się ani spostrzeżesz. Niechaj sobie idzie, skąd przyszedł. Do Francyi, do Paryża, między Niemcy, tam jego rzecz. Lepiej to będzie nawet i dla niego, bo tam, gdzie dzisiaj rej wodzą mieszczany, i on może coś znaczyć! a tutaj co? — Tylko proszę was, nie przeszkadzajcież już temu, a kochajcie mi mego Jędrzeja i bądźcie grzeczni dla niego. Otóż to cała

rzecz. Słuchaj-że starego, bo przyjaciel, bo brat, a kocha was wszystkich jak ojciec...

I to mówiąc, wyczałował znowu skarbnika i zniknął w tłumie.

Skarbnik już nawet nie usiłował odpowiadać na tyle nowych wiadomości, które od niego odebrał, bo uważał, żeby się to na nic nie zdało — tylko usiadł napowrót na swoim miejscu i zamyślił się.

Tymczasem podkomorzy, kręcąc się po wszystkich salonach i mistyfikując i tego i owego różnemi tajemnicami, spotkał się wreszcie ze starostą bełzkim. Właściwie zaś mówiąc, sam starosta go złapał i zaprowadziwszy w kącik odległy, zapytał prędko:

— No i cóż tam, kochany mój podkomorzy? jakże się wiodą nasze sprawy gabinetowe?

— Ale wybornie, wybornie — odpowiedział staruszek — nie masz to interesów jak z naszą szlachtą. Czego nie chcesz, to zrobisz. Poprosiłem, wyperswadowałem, a wreszcie nastraszyłem i nafukałem, i jest. Jeżeli Jędrzej dlatego u nich dotychczas nie bywał, że go przyjmowano za chłodno, to odtąd, możesz być tego pewnym, że będzie bywał codziennie. Jeszcze dziś, jeszcze tu to naprawią, co popsuli; obaczysz.

— No, to już jedno — rzekł na to starosta — ale to niedość na tem, bo trzebaby także i Jędrzejowi wyperswadować...

— Ale i to, i to się zrobi, pozwólże mi, pójdę do niego natychmiast... To mówiąc, chciał już odchodzić, ale starosta go jeszcze zatrzymał.

— Mości podkomorzy! Jędrzej nam nie ucieknie, ale cóż się dzieje z Flawiuszem, bo to pilniejsza?

— Pilniejsza, pilniejsza, niema co mówić, ale też i trudniejsza. Bo to jakiś frant panicz, o ile mogłem uważać. Ale i jemu damy my radę, a potrzeba koniecznie, bo jestem pewny, że on jest wielką Jędrzejowi zawadą. W innym domu nie mógłby szkodzić, boby i nie patrzano na niego; ale u tego Nieczui to kto wie? To szlachcic, konfederat, a do tego farmazon — ród u nich to nie —

a i szlachta to ładajaka. Mezaliansu się nie boją, bo niepodobny...

— Otóż to jest! i ja tak sędzę. Ten Flawiusz bardzo może Jędrzejowi pobruździć, a ileby mi to było nie na rękę...

— A! to już niema co mówić. Jędrus chłopiec ambi-tny. Gdyby go zbity z tropu u podkomorzanki i gdyby go wtedy wojewoda jeszcze raz przyparł... Kto wie, co by było?

— W każdym razie — chwycił znowu za słowo starosta — trzeba nam się pozbyć koniecznie Flawiusza. Ale ja sędzę, że się to uda z łatwością. Ofiaruję pieniądze.. pieniądze mają swoją wartość... to chłopiec ubogi... a jak na szczęście jestem tak suto wygrany, że nawet parę tysięcy dukatów!...

— Ale o! o! o! a na co tego! a toż do czego? a sto dukacików, a dwieście, a trzysta nareszcie, tożto fortuna!

— Ale nie, panie podkomorzy! bo trzeba też mieć trochę sumienia. Kupujemy od niego, któż wie co, może jego szczęście na całe życie, toż go trza za to nagrodzić..

— No, no, no, dobrze, dobrze! Zostaw to tylko mnie, już ja to jakoś zrobię. Tylko bądź u mnie jutro, ażebyśmy pomówili o tem dokładnie... a teraz niech Bóg prowadzi, do Melanii, do Melanii! bo szkoda czasu... a ja do Jędrzeja.

Tu podkomorzy znowu utonął w tłumie gości i szyjąc się między nimi swoją schyloną głową, a zaczepiając po drodze każdego, szukał właściwie swego tak zwanego siostrzeńca.

Tymczasem Jędrzej już od niejakiego czasu był obleżony posiłkową armią podkomorzego, to jest przez jego żonę staruszkę, która rozkazawszy mu usiąść przy sobie, szeptała mu do ucha zapewne to samo, co mu chciał powiedzieć jej godny małżonek.

Podkomorzyna, całkiem do swego męża podobna, jakżeśmy o tem już wspomnieli powyżej, także tak samo mówiła jak on, tylko troszeczkę słodziej i bez żadnej gestykulacyi.

— Wypieraj się przedemną, albo nie — mówiła ona — jak ci się podoba, ale jak ciebie kocham, tak to co mówię, mówię z szczerego serca. Wojewodzianka nie jest całkiem dla ciebie. Panna nie brzydka, rozumna, ładnego rodu, ale... ale najpierwej już za stara dla ciebie, a powtóre bez żadnego posagu, a oprócz tego możeby się znalazło jeszcze i więcej. Ale podkomorzanka to co innego! I jeżeli cię tam pociąga serce, to, jak cię kocham, najgorzej robisz, jeżeli masz choć najmniejsze skrupuły. Tu żadne skrupuły nie powinny mieć miejsca z pięćdziesięciu powodów, z których najważniejszy jest ten, że nikt się tam nie ogląda na szczęście cudze, gdzie idzie o szczęście jego własne, i to na całe życie. A potem, wierz mi, jak tobie szczęścia życzę, wojewodzianka ani marzy o tobie. Widuję ją prawie codziennie i mówiłam z nią o tem już kilka razy: mogę ciebie zaręczyć, że śmieje się z tego. A zresztą na cóż i tego? czyż nie najlepszy dowód masz w tem, że się pozwala otwarcie starać o siebie staroście?

Tu nadszedł podkomorzy i słuchając żoninej perory, przyznawał jej, mówiąc:

— A! otóż to jest! A bo tak!

— Afiszuje się z nim — mówiła dalej podkomorzyna — i to nawet publicznie!

— A! — uchwycił nareszcie za słowo staruszek — ale na co to i powtarzać? wszakże każdy to widzi. Powiadam ci, że chociaż ta delikatność twoja bardzo jest dla ciebie zaszczytną, jednak jeżeli dłużej potrwa, to już i zaszczytu nie będzie. Bo końcem końców każdy mieć powinien swoją ambicję i koniec. Ale chodź no tu, panie bracie, bo i ja też mam ci słóweczko powiedzieć.

To mówiąc, wziął Jędrzeja pod ramię i prowadząc go z sobą, tak mówił:

— Z wojewodzianką jak tam chcesz sobie, to mniejsza. Prędzej później wyklaruje się rzecz. Ale co ze Stasią, to mówię tobie, nie żartuj, bo przeżartujesz. Jak ciebie kocham, tak przeżartujesz, i to nawet już bardzo blisko do tego. Bo matka, jak to wiem pewnie, jest na seryo rozgniewana na ciebie, wujaszek wąsy odął i bardzo deli-

katnie się wysławia o tobie, a do tego wszystkiego jest jeszcze i Flawiusz!

— Ale cóż też państwo mówicie! — zawołał Jędrzej.

— Jakto? to mi nie wierzysz? Jak ci się zresztą podoba, ale ja ci mówię, że tak jest. Ja stary, o! ja stary, kochanie! i powiadam ci tylko to, że nie mam tyle włosów na mojej czuprynie, ile widziałem rzeczy całkiem niepodobnych na świecie.

Tu podkomorzy pogłaskał się mimowoli po czuprynie na której nie było ani jednego włosa; lecz mówił dalej:

— A to jest nawet bardzo podobne. Bo ty nie wiesz, jak się tam Flawiusz wszystkimi drogami do wszystkich dobija. Podkomorzyne już całkiem zyskał dla siebie, okulbaczył starego, a panna — panna, moje dziecko, to chorągiewka na wietrze. Nie ujmuję nie Stasi, bo zaena, i poczeiwa, i rozumna, ale zawsze to panna, kobieta — a u kobiet co bądź... żart, kaprys albo i nie, a cóż dopiero gniew! Nuż się rozgniewa na ciebie! Ej! ty nie wiesz jeszcze co nie jedna kobieta jest w stanie zrobić ze złości, albo i na złość. Stasi ufam, ale zawsze ci mówię, nie żartuj, tylko uderz całemi siłami, dopóki czas. A Flawiusza miej sobie na oku, bo to frant, francuzki frant! Tyle ci mówię, a reszty się domyśl; ja ci tylko to jeszcze dodaję, że dopiero co mówiłem ze starym i że wyrozumiałem to z niego. Bądź zdrów i nie trać czasu — a odwiedź mnie też kiedyś w tych dniach.

Podkomorzy znów zniknął swoim zwyczajem — a Jędrzej został sam jeden pod ścianą.

Jakkolwiek to, co mu podkomorzy powiedział, było wedle niego bardzo niepodobne do prawdy, obudziło to jednak różne w nim myśli i różne uczucia. Rozmawiał on dopiero niedawno ze Stasią i rozmowa ta wypadła daleko lepiej niżeli mógł się spodziewać — ale pomimo to przecież Flawiusz nasuwał mu się ciągle przed wyobraźnię i nawet go niepokoił.

Stojąc tak samotnie pod ścianą i marząc rzeczy niezupełnie zrozumiałe dla siebie samego, patrzył w środek komnaty i wodził wzrokiem po twarzach osób, rozmawia-

jących ze sobą. Pomiędzy niemi dostrzegł najpierwej Stasię. Stasia była wesołą i szczebiotliwą jak mały ptaszek o wiośnie, i to pocieszało osmuconego młodzieńca. Ale z kolei dostrzegł on także Melanię...

Melania siedziała w tej chwili sama na osobnej kanapie i oparłszy czoło na ręce, zdała się tonać w jakimś głębokiem dumaniu. Głośna, około niej prowadzona rozmowa, śmiechy, wykrzykniki i żarty, nie budziły jej wcale — Melania zdała się być martwą zupełnie. W tej chwili wszakże zbliżył się do niej starosta bełzki i zagadnął ją głośno. Melania się obudziła, spojrzała w oczy staroście, ale się wstrząsła zarazem, jak gdyby śmierć zagładnęła jej w oczy...

Jędrzej to widział i zdawało mu się nawet, że Melanii się twarz wykrzywiła na widok starosty, i to wykrzywienie, jak gdyby wyraz najnieznośniejszej goryczy, już pozostało na twarzy...

Wszakże niebawem wstała, porzuciła starostę i zbliżywszy się do ojca, podała mu ramię. O kilka kroków od Jędrzeja żegnała się z gospodynią, a odwracając się ku drzwiom, czy mimowoli, czy też umyślnie, rzuciła wzrokiem na stojącego w niemem zamyśleniu Jędrzeja — ale był to wzrok taki tęskny, tak głęboko bolesny, tak nawet całkiem złamany, że Jędrzejowi się zdało, jakby ją widział na łożu śmiertelnem, żegnającą go temi oczyma na zawsze...

To jedno tak przelotne spojrzenie przejęło go tak głęboko, że długo potem stał jeszcze w samotności pod ścianą, nie mogąc się stać panem swych rozpieczętnionych myśli i uczuć.

Aż znowu przypadkowo rzucił okiem na Stasię. Stasia była teraz jeszcze weselszą i spoglądając co chwila ukradkiem na niego, zdawała się mu ciągle czynić wyrzuty, że się do niej nie zbliża. Zrozumiał to Jędrzej i natychmiast do niej przystąpił. Rozmawiał z matką i znalazł ją teraz wcale dobrze usposobioną dla siebie — rozmawiał ze Stasią i znalazł w niej tyle żywego, serdecznego uczucia,

że mogłaby była niem chorych uzdrawiać a może nawet wskrzeszać umarłych.

Ale Jędrzej był w tej chwili więcej niżeli umarły... i z martwoty swojej nie mógł się w żaden sposób rozbudzić.

Dostrzegła to kochająca dziewczyna i niebawem także się osmuciła.

Wszakże po krótkiej chwili i podkomorzyna już się zaczęła zabierać do wyjścia. Po pożegnaniach skarbnik podał ramię swej siostrze, Jędrzej Stasi,

Kiedy się znaleźli na schodach, Jędrzej przycisnął z całej siły rękę Stasi do swojej piersi i rzekł głosem stłumionym ale pełnym uczucia:

— O! czegożbym nie dał za to, gdybyśmy już w tej chwili, tak ramię w ramię, rozpoczynali wędrówkę nowego życia!

— Pewna nadzieja jest połową rzeczywistości — odpowiedziała Stasia — a i to już jest nie mało.

Z temi słowami weszli w długi, wązki, ciemny kurytarz, oświecony tylko skąpstwem podkomorzego, na którego końcu dopiero jaśniało jakieś niewyraźne światelko.

— Patrz pani! — rzekł Jędrzej w tej chwili — ten kurytarz jest żywym obrazem naszego dzisiejszego położenia: droga wązka, ciemna i długa...

— A na końcu błyszczy jasne światelko — dodała Stasia.

— Ach! ale jakże do niego daleko!

— Przecież kiedyś i do niego dojdziemy.

— Ach! to chodźmyż prędzej przynajmniej — zawołał Jędrzej, bo może to jest dla nas proroctwo?

W tej chwili doszli już do końca kurytarza, ale jakież ich było zdziwienie, kiedy ujrzeni, że w kurytarzu nie było światła żadnego — tylko latarnia paląca się aż na drugiej stronie ulicy, rzucała blask w kurytarz przez okno. Widząc to, stanęli zdumieni oboje, a Stasia spytała:

— Czy i to jest także proroctwo? Kiedy już dobiegniemy do mety, przekonamy się, żeśmy dopiero w połowie drogi?

Ulegającego wszystkim podobnym wrażeniom Jędrzeja ta uwaga bardzo żywo dotknęła — umilkł na chwilę — ale zebrał się prędko i odpowiedział:

— Sądzę, że pani nie wierzysz takim improwizowanym prorocstwom?

— A gdybym i wierzyła — odpowiedziała Stasia, stając na progu i wskazując na ową latarnię — patrz pan, jakie to jasne jest światło!

W chwilę potem piękna podkomorzanka już siedziała w powozie — lekkie ściśnienie ręki odpowiedziało na dobranoc Jędrzeja, i powóz ruszył pędem na dół ulicą.

Pozostały na chodniku młodzieniec zaczął się oglądać za swoim powozem, ale patrząc i tu i owdzie, zamiast powozu, tuż przy rogu tegoż samego domu ujrzał jakąś postać mężką, w czarny płaszcz obwiniętą i jakby przylepioną do muru. Czy to rysy tej niespodziewanej postaci, czy jakieś przecucie uderzyło Jędrzeja — postąpił parę kroków, przypatrzył się bliżej i stanął zdumiony.

Tym człowiekiem bowiem, w czarny płaszcz obwiniętym i stojącym tutaj na czatach, był Flawiusz.

Jędrzej przyłożył rękę do czoła i powracając powolnym krokiem do swego powozu, który tymczasem zjechał, dziwnie się jakoś zamyślił. Przypomniały mu się ostatnie słowa podkomorzego i tak go teraz zajęły, że już siedział w powozie i już jechał do siebie, a jeszcze ciągle mu się zdawało, że stoi na ulicy i widzi postać tego osobliwszego człowieka przed sobą.

XVII.

W tydzień potem, albo może i więcej, dnia jednego rano, podkomorzy przechodził się żywymi krokami po swojej komnacie i zdawał się dziwnie być niecierpliwym. Mruczał coś ciągle pod nosem, przygryzał wąsów, poprawiał pasa, zażywał tabakę i co chwila zatrzymywał się w swojej przechadzce. Zdawało się, jakby oczekiwał kogoś u siebie i nie mógł się go doczekać.

Niebawem wszakże wszedł do komnaty jego pajuk olbrzymi i zaanonsował Flawiusza.

— A! przecież! — mruknął staruszek do siebie i wybiegł natychmiast do przedpokoju.

— Dobrodzieju kochany, łaskawy wołał on do Flawiusza — jakże się cieszą serdecznie! już też zacząłem wątpić, że przyjdiesz. Ale przecie nie porzucałem jeszcze nadziei. Proszę tedy, proszę i bardzo proszę!

To mówiąc, wepchnął prawie gwałtem ceremoniującego się młodzieńca do swojej komnaty, i jak tylko drzwi przymknął za sobą, zaraz go wycałował, wyściskał, przeplatając każdy uścisk i całus słowami:

— Przepraszam cię najserdeczniej... żem był tak śmiały... żem cię fatygował do siebie... ale ja stary... zgarbiony... siwy... prawie całkiem nie wyruszam się z domu...

— Gości podkomorzy! — rzekł na to Flawiusz — nie miałbym nigdy do tego pretensyi. Owszem nawet, bardzo mi miło...

— Tak, tak, tak, mój łaskawco! kiedy młody staremu usłuży, będzie miał sto dni odpustu. Siadajże, proszę ciebie, siadaj sobie wygodnie... A palisz lulkę? czy zażywasz tabakę? a może też jeszcze nie po śniadaniu?

— Lulki nie palam, tabaki nie zażywam, a po śniadaniu jestem już dawno; za wszystko tedy dziękuję.

— Tak, tak, to i lepiej, bo to przy konwersacyi zawada. Pozwólże mi najpierwej, żebym drzwi pozamykał, aby nam kto nie przeszkodził.

To mówiąc, przystąpił do drzwi jednych i drugich i pozamykał je na klucz, a powracając od nich i kładąc klucze na stole, rzekł do Flawiusza:

— Ja, ty i ten trzeci, który jest nad nami, bo tak potrzeba koniecznie.

Flawiusz tylko przypatrywał się temu wszystkiemu i czekał cierpliwie co z tego będzie.

Tymczasem podkomorzy zasiadł naprzeciw niemu na krześle, przysunął się jaknajbliżej do niego i tak zaczął:

— Otóż muszę panu przedewszystkiem powiedzieć, że jeżeli pana zaprosiłem do siebie, to nie na próżno, nie dla zabawki, nie dla zaspokojenia mojej ciekawości; bo to ja stary i już nie ciekawy. Świat mnie już nie obchodzi, polityka nie, inne historye jeszcze mniej: moja rola już jest wygrana, a jeno tam jeszcze chyba się wtrącę, gdzie można komuś zrobić co dobrego. Jakoż i tutaj taka jest rzecz, i rzecz ważna, nie dla mnie, uchowaj Boże! bo ja, chwała Bogu! nie żaden niczego — ale dla pana, który jesteś młody, który masz świat i przyszłość przed sobą i z którego, kto wie jeszcze, co się stać może. Ale powiadam ci, nie trza czasu tracić na próżno, bo czas ucieka i nie powraca — trza korzystać, korzystać, panie młody! z każdej sposobności, bo i te nie wracają, a jeszcze do tego są rzadkie.

— Bardzo panu podkomorzemu dziękuję za jego troskliwość o mnie...

— Ale dajno pokój! jeszcze niema za co dziękować. Pierwej trza się rozmówić i to rozmówić szczerze, otwarcie, tak jakby z ojcem. Bo to ojca już nie masz? ani matki?

— Nie mam — odpowiedział smutno młodzieniec.

— Otóż to jest! to szkoda! no! ale taka była wola Pana Boga, trudno się temu sprzeciwiać. Pomimo to jednak na opiece ci nie zabrakło i nie brakło na niczem. Wychowałeś się ładnie, ba! nawet kosztownie, nauczyłeś się wielu rzeczy, usposobiłeś się pięknie... No, ależ to przecie nie koniec na tem. Bo to mieszkać sobie w mieście, bawić się równo z innymi, czas rozrywkami wypełniać, to bardzo dobrze na dziś; ale cóż jutro? co jutro? O tem trzeba myśleć koniecznie, bo to jutro długie, przez całe życie, aż do grobu... a więc cóż jutro? he? a pomyślałeś już o tem, he?

Ta troskliwość podkomorzego zaintrygowała nadzwyczajnie Flawiusza, jakoż rzekł na to:

— Bardzo wdzięczny jestem panu podkomorzemu, że się tak troskliwie dopytujesz o moje dalsze zamiary na przyszłość, ale nie mogę tego zataić, że mnie to dziwi co-

kolwiek. W dzisiejszym świecie, gdzie jest tyle sobkostwa a bezinteresowna przyjaźń tak rzadka, każdy afekt podobny musi zadziwiać koniecznie. Pozwól zatem pan podkomorzy, abym pomimo całej wdzięczności, jaką mam za ten afekt...

— No cóż? cóż, mój kochany?

— Abym o powód zapytał...

— Powód, powód, ale co ci tam powód! — Ale kiedy chcesz już koniecznie, alboż to nie dosyć powodu? Jesteś młody, obiecujący wiele, a sierota bez opieki — a ja stary, bezdzietny... i owóż rzecz! Alboż to nie dosyć powodu? Jak ciebie kocham, tak już z niejednym postąpiłem tak samo, jak chcę postąpić z tobą, chociaż świat nie wie o tem i wiedzieć nawet nie będzie, bo nie dla świata się to zrobiło.

— W takim razie — rzekł na to Flawiusz, ale patrząc zawsze z osobliwością na podkomorzego — podwójnie jestem wdzięczny panu podkomorzemu...

— Ale poczekajno, panie! jeszcze tu o wdzięczności nie może być mowy, jeszcze czas na to. Trza się wpierw rozmówić. Owo więc, ale tak szczerze, otwarcie, jak gdyby z ojcem, cóż myślisz dalej? Bo mojem zdaniem, dla takiego młodzieńca jak ty, panie kochany! szkoda tak czas marnować na próżno. Szkoda, szkoda, mówię, i wielka szkoda!

— Nie przeczę temu, że siedząc tutaj we Lwowie, czas mi upływa na próżno; ależ panie podkomorzy! w dzisiejszej chwili znajduję się w takim samem położeniu i wszystka młodzież!

— Młodzież, młodzież, młodzież — powtarzał ciągle staruszek, nie wiedząc zapewne jak ma myśl swoją wyśłowić — ale to, moje życie, młodzież młodzieży nie równa. Ja tam nie magnat, nie arystokrata, nie człek przesądny, nie chcę ubliżać nikomu, uchowaj Boże! a tem mniej tobie, którego szczerze szanuję i kocham, ale widzisz mnie... bo to tak, między nami... ot! jak to mówią Rusini: dobre szaliby, koły przystupaje. Łatwo czas tracić, kiedy nie nie kosztuje; dobrze pohulać, kiedy jest do czego powrócić, o!

— Pan podkomorzy — rzekł na to Flawiusz z uśmiechem, lubo nie bez pewnego zmieszania — pan podkomorzy mnie bierzesz na surowy egzamin. Daleki jestem od tego, abym miał to panu brać za złe... nie pozostaje mi tedy nic, jak wypowiadać się przed panem otwarcie.

— Otóż to, otóż to! — zawołał prędko staruszek, ściskając znowu młodzieńca — wypowiadać się, wypowiadać, a obaczysz że ci to na złe nie wyjdzie.

— Owo więc — mówił Flawiusz — pan podkomorzy jesteś tego zdania, że mnie należy postępować odmiennie od innej młodzieży, bo tamta młodzież jest bogata, a ja jestem ubogi.

— Tak, tak, i to także jest powód...

— Czy są i inne powody jakie? — zapytał Flawiusz ciekawie.

— Jakto? czy niema innych? — zapytał znów podkomorzy, patrząc mu w twarz dziwnie świdrującymi oczyma.

Flawiusz się zmieszał.

— A bodajże cię, panie bracie — zawołał na to ze śmiechem staruszek — a za kogoż to mnie masz dobrodzieju! A toż kiedy mówią z tobą tak szczerze, kiedy rękę przyjazną chcą wyciągnąć do ciebie, toż muszę przecie wiedzieć dokładnie z kim mam do czynienia.

Flawiusz milczał i patrzył przez chwilę dziwnymi oczyma na starca, a potem spytał:

— Pan znasz cały bieg życia mego?

— Od kolebki do teraz — odpowiedział staruszek.

— Od kolebki! — zawołał Flawiusz, porywając silnie podkomorzego za rękę — pan znasz mojego ojca!

— Nie, moje dziecko — odpowiedział spokojnie starzec — twojego ojca nigdy nie znałem.

— To być nie może! Pan musisz go znać koniecznie.

— Dlaczegoż muszę, kiedy mówię, że nie znam.

— Pan mi chcesz jakieś dobrodziejstwo wyświadczyć — zawołał rozpaczliwym głosem młodzieniec — a pan jesteś moim tyranem!

— Co też ci się roi po głowie?

— Pan jesteś moim tyranem! dlaczegoż odnawiasz zakrzepłą ranę mojego serca, kiedy jej nie chcesz zagoić!?

— Moje dziecko — rzekł na to staruszek — ranę tę mógłbym może zagoić, gdybym nie wiedział o tem, że żądasz na nią balsamu, którego niema na świecie. Znam te wszystkie okoliczności i wiem to jeszcze od twego dziada...

— Pan znałeś mojego dziada?

— Znałem go jeszcze wtedy, kiedy był marszałkiem u księcia, znałem go potem w Warszawie... i wiem to z jaknajwiększą pewnością, że on sam pod względem twojego pochodzenia był okłamany..

— On? okłamany? to być nie może!

— Tak, moje dziecko! on był sam okłamany...

— A więc jakże to było?

— Nie wiem ja tego, moje dziecko, dokładnie; lecz gdybym nawet i wiedział, toż jest rzecz jasna, że do wyświecenia tej prawdy musiałbym w groby wstępować, musiałbym trumny odkrywać, a tego nie chcę. Spokój umarłym!

Flawiusz milczał z spuszczoną ku ziemi głową. Ale po chwili się ocknął, uderzył się ręką po czole i zawołał:

— To matka moja...

Ale staruszek mu przerwał, mówiąc:

— Daj pokój! kiedy matkę umarłą wspominasz, zrób krzyż święty na piersiach i odmów za jej duszę paciorek. Inaczej niechaj z ust twoich nie wychodzi jej imię.

Te słowa zrobiły na Flawiuszu głębokie i bardzo uspakajające wrażenie. Opuścił on znowu głowę ku ziemi, złożył ręce przed sobą, jakby do modlitwy i umilkł. Zdawał się być w tej chwili pod przewagą jakiegoś silnego, ale zarazem i statecznego uczucia.

Podkomorzy się nie spodziewał zapewne, żeby ta rozmowa taki wzięła kierunek i nie wiedział sam jakim sposobem mógłby ją gładko sprowadzić na tor upragniony przez siebie — i milczał także.

I milczenie to trwało przez długą chwilę.

Nareszcie pierwszy zaczął staruszek:

— Słuchaj mnie, mój młodzieńcze, nie oddawaj się smutkom, bo ta droga nie zaprowadzi cię nigdzie. Wierz mi, żałować tego co się już stało, to na nic. Jesteś zadowolony, masz umysł szlachetny, masz serce czułe, i nie możesz znieść obojętnie wiadomości, która ci boleść sprowadza — jest to bardzo dla ciebie zaszczytne i podrosłeś przez to w mem sercu o drugie tyle — ale posłuchaj mojej rady i nie myśl o tem, co się powrócić nie może. Trzeba być mężem i trza mieć rezygnacyę. A więc zrezygnuj na to po męsku i pluń po prostu na całą tę przeszłość niewdzięczną, która się przed tobą ukryła: co ci dziś po przeszłości? Kto ma taką terażniejszość, jak ty ją mieć możesz: a co ma taki dbać o te rzeczy, które do cmentarzów należą! — Krzyż na nie i niechaj w proch się rozsypią, jakiegokolwiek tam były!

— Pan masz słuszość — rzekł Flawiusz, patrząc trochę weselej na starca — a co mi tam po przeszłości? czy to nie jestem już mężem? czy nie stoję na własnych nogach? czy świat nie otwarty przedemną?

— Otóż to, to, to — zawołał prędko uradowany staruszek, ściskając i całując nawet Flawiusza — tak to cię lubię. A co to? alboż to świat nie otwarty przed tobą? alboż to nie masz zdolności! alboż ich nie dałeś dowodu? a co to? Dzisiaj to nie te już czasy, gdzie popłacały ród, nazwisko, pieniądze; dziś kto ma głowę, kto talenta, kto męztwo, ten jest pan całą gębą i ten będzie królował. A więc nie mam to ja słuszości, kiedy ci mówię, że nie trza czasu tracić na próżno, że się trza rzucić w świat wielki, w świat pracy, czynów, sławy, zasługi, i trza się przebić, trza wygwałcić dla siebie to wszystko, co ci z przeszłości brakuje? — Bo to uważasz mnie, taka egzystencya, jak dzisiaj twoja, to co? spojrzysz jeden i drugi na ciebie i spyta: a kto to? jakiś tam Flawiusz, mieszczanek, sekretarczyk, pisarczyk albo i gorzej. Przyznają ci zdolności, umiejętności, talenta, ale to jeszcze nic, to *spes* dopiero: ani cię to wynosi nad innych, ani nawet im równa. Bo u nas tak; to Azja jeszcze, nie Europa, a teraz zabiera się jeszcze na gorsze. I tutaj choćbyś z takimi siłami się nawet za-

brał do pracy, to co zrobisz? he? jest tu okazyja? jest jaki widok? jest dla młodzieży karyera? he? Po okazyję, po widoki, po prawdziwą karyerę, trzeba jechać do Paryża, do Francyi. A już tobie koniecznie. Francuzem jesteś z rodu, tam się wychowałeś, stamtąd masz twoje nauki, tam masz przyjaciół, znajomych, kolegów, tam znajdziesz uznanie, względy, protekcyę, i tam trza jechać koniecznie. Do Paryża, do Francyi, bierz, pakuj, jedź, i ani sobie daj mówić inaczej. A co? może to zła rada? zła rada? he?

Tej perory podkomorzego Flawiusz słuchał z wielką uwagą, ale w tem miejscu uśmiechnął się tylko i spytał prawie tak jak z ironią:

— Więc pan podkomorzy jesteś zdania, że mnie koniecznie trza wyjechać do Francyi?

— Ale oczywiście, ale to się rozumie — mówił dalej staruszek, biorąc jego uśmiech za oznakę ukontentowania z tej propozycyi — a widzisz, jakem ci trafił! jak ci się to podoba! e! he, he! stary, stary! a dlaczego dyabeł mądry? — bo stary! — Ale ten dyabeł jeszcze daleko mądrzejszy, niżeli sam się spodziewasz — a tu zaraz masz dowód!

To mówiąc, staruszek wstał, przyniósł kiesę otwartą, pełną dukatów z drugiego stołu i położył ją z brzękiem przed Flawiuszem na stole.

Ale Flawiusz jeszcze z daleko wybitniejszym uśmiechem spojrział na tę kiesę, nachylił się ku niej i spytał:

— A to co jest takiego?

— A co? a złoto! a złoto! dukaty, dukaciki, holenderskie, obrączkowe, ważne, na wielki kamień — a jest i tysiąc! cha, cha, cha! a co dobrodzieju? a źle życzy ci stary? he? a napróżno cię do siebie zaprosił? he? No więc bierz pakuj, jedź, krzyż na drogę i nie pokazuj mi się aż ze szlifami generalskimi, albo na krześle senatorskiem, francuzkiem... A jeśliby tam kiedy brakło pieniędzy, pisz, pisz otwarcie jakby do ojca — ciężkie to czasy, ale dopóki jeszcze rodzić się będzie pszenica, to i grosz jeszcze się znajdzie...

— Jakże więc panie podkomorzy! — pytał dalej Flawiusz — więc natychmiast mam jechać?

— Ani dnia, ani godziny mi nie trać, bo i tej szkoda.

— I mam nie wracać aż ze szlifami?

— Ani mi się pokazuj na oko...

— To dla pewności możeby wydać na to cyrograf?

Na te słowa podkomorzy spojrzał dziwnem okiem z podełba na powstającego ze swego miejsca młodzieńca i rzekł:

— Cóż? to chyba żartujesz?

— A jużci żartuję — rzekł Flawiusz — bo przecież zdaje mi się, że i pan podkomorzy żartuje?

— Ale fe, fe! cóż ci znowu takiego? ja ciebie kocham, jak sobie szczęścia życzę, tak nie żartuję. Bierz pieniądze i jedź, i niech Pan Bóg prowadzi.

Wszakże na to odpowiedział Flawiusz już seryo:

— Ja to uważam, że pan nie żartujesz, ale i ja teraz już nie żartuję i powiadam otwarcie, że nie wyjadę, a o pieniądzach nie ma nawet co mówić.

— A to co znowu? to chyba masz pomieszanie zmysłów, kochanie? jakże, tysiąc dukatów...

— A choćby dziesięć! — rzekł na to młodzieniec z szlachetną dumą, a postać jego nabrała w tej chwili prawie wspaniałej powagi.

— Jakto? to seryo? — zapytał starzec, mieszając się całkiem — ale to powiedz-że mi przynajmniej dlaczego?

— Bo nie myślę teraz wyjeżdżać ani do Francyi, ani gdziekolwiekbądź.

— A to depcesz twoje szczęście własnymi nogami!

— I takie szczęście, jak to, zawsze podepcę!

— A... to ja tego już nie rozumiem!

— Ale ja dobrze rozumiem.

— No cóż, cóż? cóż ty możesz rozumieć?

— A pozwolisz pan sobie postawić jedno pytanie?

— Ale pytaj, pytaj, co chcesz, na wszystko odpowiem.

— Słuchaj pan więc: ktoś mnie chce koniecznie wyprowadzić ze Lwowa: albo mój ojciec mi nieznajomy — albo

Rudnicki — albo major Nieczuja? Kto mnie wyprawia przez pana?

— Tfu! tfu! tfu! waryat kompletny... — zaczął wołać na to podkomorzy, odskakując od niego i przechodząc się po komnacie.

— Nie odpowiadasz pan? — spytał Flawiusz.

— Tfu! tfu! jeszcze jak żyję, nie widziałem takiego człowieka.

— A więc żegnam pana!

— Bądź aspan zdrów! — rzekł podkomorzy, nie patrząc już nawet na niego.

Flawiusz wyszedł — i tak się skończyła jego rozmowa z tym zawsze jeszcze zagadkowym dla niego starcem.

Lubo ta rozmowa nie przyniosła mu właściwie nic złego, ani zmieniła w czemkolwiek jego dotychczasowe położenie, ani mu nawet zagroziła jakim niebezpieczeństwem, albo nową zgryzotą — zaniepokoiła go ona jednak do najwyższego stopnia.

Trzy różne domysły, wywijające się z tego zdarzenia, wywołały w jego drażliwym sercu trzy rozmaite uczucia, które się żadną miarą nie dały z sobą pogodzić i z których każde w coraz inny sposób wywierało na niego swoje wpływy przytłumiające i nieledwie zabójcze. Targany temi uczuciami, młodzieniec tak myślał:

— Ktoś mnie tu chce koniecznie wyprawić z miasta i nawet z kraju. Inaczej być nie może. Podkomorzy jest mi obcy zupełnie i skąpiec wierutny: sprawa ta nie jest jego sprawą; pieniądze nie z jego pochodzą szkatuły! — Jest on więc tutaj tylko narzędziem, lecz czyjem? — Więc albo mnie wyprawia mój ojciec, który się tutaj znajduje i nie chce przyznać się do mnie... a wtedy: wtedy o Boże! i dlaczegoż takiego dałeś mi ojca? dlaczego on się kryje przedemną, dlaczego zakrywa piersi, zamyka serce przed swoim dzieckiem? — Czy ja co potrzebuję od niego? czy mu wydrę majątek? czy już koniecznie sięgnę po jego imię? — Ani majątku, ani imienia nie chcę, jeśli mi ich poskąpi — ojca chcę tylko! chcę tylko widzieć twarz jego, rękę jego uścisnąć i raz tylko ode-

tehnąć na jego piersi, i raz tylko wymówić to tak drogie a nieznane przezemnie słowo: mój ojcie! — O Boże! i czemuż mi odmawiasz tej jedynej pociechy, która jest tak blisko odemnie, a przecież tak niezmiernie daleko? która mogąc odżywić we mnie stargane siły, jeszcze je bardziej nadwątla; mogąc mi dać podstawę w życiu, ziemię wysuwa z podemnie, mogąc mnie odrodzić na nowo, tylko powolną trapi mnie śmiercią!

Tak mówił Flawiusz do siebie, chodząc powolnym krokiem po swej izdebce, i z temi myślami usiadł na krześle, i ręce założywszy przed sobą a głowę opuściwszy na piersi, zapadł w głęboką zadumę. Wszakże po chwili się zbudził, i uderzając się dłonią po czole, zawołał:

— Gdzie on jest ten mój ojciec, który to jest? On jest tutaj! Ja go już sto razy widziałem, ja go spotykam codziennie! Oh! czyż nawet tyle instynktu nie ma już we mnie, aby mi mocniej uderzyło serce, kiedym się dotknął ojcowskiej ręki?!...

I znowu się głęboko zamyślił, przechodząc w pamięci wszystkie postacie, wszystkie twarze. Ale napróżno! wszystkie te postacie były milczące, wszystkie twarze bez podobieństwa. Każdy mógł być jego ojcem, ale żaden nim nie był na pewno. Flawiusz myślał nad tem napróżno.

Zerwał się więc i mówił dalej do siebie:

— Albo mnie to wysyła Rudnicki! a wtedy... Toż to taką bronią walczysz przeciwko mnie, ty kawalerze szlachetny!...

Tu Flawiusz nie mógł mówić już więcej. Wszystka krew mu uderzyła do twarzy, roziskrzyły się oczy, zsiniały usta. Chodził z zaciśniętymi pięściami po izbie, burzył włosy na głowie i wzdychał tak, jakby mu w piersiach wrzały piekielne ognie i chciał je westchnieniami ugasić.

Minęła może godzina lub więcej, zanim zdołał się uspokoić.

A kiedy się uspokoił cokolwiek, przyszedł z kolei na trzeci domysł.

A więc znów mówił do siebie:

— Albo mnie to wysyła Nieczuja?... Ale możeż to być? jest to podobne? Nie. Ani cienia podobieństwa tu nie ma. Człowiek prosty, szczery, otwarty...

Ale to frant szlachcie — i on coś mataczy — i on ma jakieś tajemnice przedemną... Jednak nie! to być nie może! — pieniędzmi się wykupywać ode mnie, to niepodobne jest do skarbnika!...

I tak Flawiusz myślał na wszystkie możliwe sposoby — ale nic nie mógł wymyśleć. Myślenie to, to pasowanie się z samym sobą tylko go umęczyło, znużyło i postawiło mu dowód nowy, jak położenie jego dzisiejsze było w samej rzeczy nieznośne.

— Tak żyć, tak istnieć dalej — mówił on wtedy do siebie — jest istotnie niepodobieństwem! Bez imienia, bez majątku, bez żadnego w społeczeństwie oparcia, jestem jak bannita, jak duch, jak upiór pomiędzy ludźmi! Bez rodziców, bez krewnych, bez przyjaciół, wszystkim obcý i obcy, jestem najnędzniejszym sierotą! I w tem sieroctwie nie mieć ani jednej duszy powinowatej, ani jednego serca, któreby czuło zarówno ze mną, ani jednej ręki, któraby mnie uścisnęła z litością — o jakże gorzki, jakże okropny los mój na tym tak pięknym świecie! O ojciec mój! jeśli ty żyjesz, jeżeli jesteś tu gdzieś niedaleko odemnie, jeżeli patrzysz na mnie najnieszczęśliwszego ze wszystkich wygnańca na własnej ziemi — i jeśli na mój widok oko twoje się w lodowatym swym blasku nie zmieni, jeżeli serce się nie poruszy i ręka twoja do mnie się nie wyciągnie...

Tu łzy strumieniem wytrysnęły mu z oczu i cały głos mu zalały.

Flawiusz siedział zgięty, prawie złamany we dwoje, i płakał jak dziecko.

Po długiej chwili wszakże, kiedy mu zapewne i łez już zabrakło w piersiach, podniósł głowę, spojrzał przed siebie i spytał:

— Lecz czyż ja nie mam istotnie ani jednego serca, któreby miało współczucie dla mnie?

I ona nawet jest mi zupełnie obcą i obojętną?

Idź, nieszczęsny sieroto! idź, miej odwagę i przekonaj się o tem! Uczucia ludzkie to nie są kłosa, które potrzebują czekać przez całe lato, ażeby dojrzeć, — to są kwiatki wiosenne, to są pierwiosnki, które w jednej chwili się wykałają z pod śniegu. Gdzie ich nie masz o wiosnie, próżno czekać tam lata, próżno nawet jesieni. Idź więc i miej odwagę przyjąć jeszcze ostatni cios w tę pierś twoją, która ma tyle miłości w sobie dla ludzi, ile oni mają dla ciebie — pogardy! Idź, — a jeżeli jeszcze i to ostatnie serce cię odepchnie od siebie! wtedy... wtedy wygrałeś, mój podkomorzy! Bez twojej namowy, bez twego złota, ustąpię ci się i daj Boże! na zawsze. — Ustąpię?... i tak z niczem zupełnie? z pokorą w sercu, z milezeniem na ustach i z dobrotliwym uśmiechem na twarzy?... I tak z niczem zupełnie? i nie podziękowawszy nawet i temu, który mi niewołany zastąpił drogę, i za kark mnie uchwycił, i z kłęczek mnie zerwał, i potem... nawet życiem mojem pogardził, które chciałem mu oddać w rękę?... Ha! obaczymy!

To mówiąc, Flawiusz obmył łzy zaschłe na twarzy, ubrał się świeżo i poszedł do pani podkomorzynnej sandomierskiej.

Wszedłszy do sieni jej domu, najpierwej o skarbnika zapytał. Ale powiedziano mu, że skarbnik miał dzisiaj kilku swoich kolegów wojskowych na obiedzie u siebie i teraz bawi się z nimi konwersacją w swoich komnatach. Kiedy indziej byłby Flawiusz zapewne bardzo takiej konwersacji ciekawy, bo między wojskowymi, bawiącymi we Lwowie, zaczęły już naówczas chodzić tysiączne wieści i zaczynały się nawet okazywać rozmaite projekta; ale w tej chwili nie miał on najmniejszej ciekawości do tego i poszedł prosto na górę.

W komnatach podkomorzynnej był wtedy największy nieład. Poczynano bowiem właśnie przygotowania do tego wielkiego balu, którym podkomorzyna miała się towarzystwu wywdzięczyć za doznane odeń tak uprzejme przyjęcie. Przystawiano więc sprząty, naprawiano obicia, zawieszano lustra, przypinano firanki, froterowano posadzki. Pod-

komorzyna była sama tem wszystkiem zajęta i w skutku tego była jeszcze o tyle więcej rada przybyciu Flawiusza, którego zaraz zaprzęgała do pomocy dla siebie. Lubo wcale nie w humorze do takich rzeczy, Flawiusz jednak zajął się jak najdokładniejszem przejrzeniem wszystkich podkomorzynej naprzód rzuconych planów i o ile się na tem rozumiał, udzielił jej rad swych i swego gustu.

Przy tem zajęciu wszakże oglądał się ciągle za Stasią, której tutaj nie było, a kiedy już nareszcie skończył z podkomorzyną przegląd wszystkich zmian, w urządzeniu komnat nastąpić mających, to nawet o nią poprostu zapytał.

— Panna Stanisława — rzekła na to podkomorzyna — dopiero co powróciła z niesporów, gdzie bardzo piękne usłyszała kazanie, które zapewne rozpamiętywa jeszcze. Ale możesz pan jej poszukać.

Dostawszy takie pozwolenie, przebiegł Flawiusz czemprędzej wszystkie komnaty i w ostatniej z nich znalazł istotnie Stasię, która wszakże już musiała skończyć swoje rozpamiętywania, bo była zajęta wystrzyganiem zębów u świeżo zakupionych firanek.

— Ach! jakież pan jesteś pocziwy — zawołała Stasia do niego — że pan i mnie pomódz przychodzisz, bo powiem panu, że się tak męczę przy tych firankach, jak jeszcze nigdy w mem życiu.

— Jeżeli pani pozwoli, to rzeczywiście będę pomagał.

— Nie, już dziękuję panu, bo oto właśnie już koniec.

To mówiąc, odłożyła istotnie robotę swoją na bok i siadłszy na krześle pod oknem, dodała:

— Zamiast pomocy, siadaj pan, proszę, i pociesz mnie pan jaką wesołą nowiną, bo wiedz pan o tem, że jestem dzisiaj niesłychanie skwaszoną.

— Z całego serca bym pani coś wesołego powiedział, gdyby tylko to serce moje mogło się zdobyć dzisiaj na jakąkolwiek wesołość.

— Jakto? to i pan smutny jesteś? Ach! rzeczywiście! zdaje mi się nawet, że pan jesteś trochę zmieniony. Czy panu się zdarzyło co niedobrego?

— Właściwie mówiąc, nic mi się nie zdarzyło, ale

czyż mi się potrzebuje cokolwiek zdarzać, ażebym uczuł, jak mi źle jest na świecie?

— Źle panu? ach! panie! ale czyż to nam wszystkim jest dobrze?

— Mniej albo więcej, ale tak źle jak mnie nie jest pewnie nikomu.

— Nie mogę ja o tem sądzić całkiem niemylnie, ale z tego co widzę, zdaje mi się, że panu nie jest pod żadnym względem gorzej jak innym.

— O! pani! wieleby to trzeba opowiadać, ażeby wymienić to wszystko, co mnie daleko boleśniej dotyka, niż innych. Ale weź pani tylko to jedno: jak ten cały świat wielki, jestem sam jeden. Na tym całym świecie nie mam ani jednego człowieka, któregobym bliżej obchodził, ani jednego oka, któreby z jakimkolwiek zajęciem patrzyło na mnie, ani jednego serca, któreby czuło wraz ze mną. Pani! — mówił dalej Flawiusz z przejmującym uczuciem — czy ja nie mam ani jednego serca, któreby miało dla mnie rzeczywiste współczucie?

Zapytanie było postawione tak prosto i wymownie głosem takim, że zmieszało Stasię cokolwiek. Nie wiedziała co odpowiedzieć. Jakoż rzekła trochę przeciągle:

— Ja tego nie wiem... ale rozumiem, że pan u wielu osób masz sympatyę... nasz dom cały jest panu także przyjazny.

— Pani! — mówi na to Flawiusz, z wzrastającym zapalem — taka odpowiedź, lubo dla mnie niecceniona, dzisiaj jednak jest prawie zabójczą. Paniż-to jesteś w stanie dać mi odpowiedź tak zimną?

Na te słowa spojrzała Stasia na niego z wyrazem niewątpliwego zdziwienia i odpowiedziała:

— Przyznam się panu, że nie rozumiem pana zupełnie...

— Pani jeszcze mnie nie rozumiesz? — zapytał Flawiusz.

Stasia na to nie odpowiedziała, tylko tak już siedziała na krześle, jak gdyby ją największy opanował nie-

pokój i miała się zerwać w tej chwili. Ale Flawiusz mówił dalej prawie bez przerwy:

— A więc pani powiem wszystko otwarcie! Pani! ja panią kocham nad życie, nad wszystko, co być może...

Ale tu uciał, bo Stasia, usłyszawszy tylko pierwsze słowa tej gwałtownej przemowy, zerwała się jakby błyskawicą razem z miejsca i odskoczywszy o parę kroków od niego, stanęła pod ścianą, pomimowoli, tak jakby w obronnej postawie.

To zmieszało Flawiusza.

Trwała chwila milczenia, która stanęła mu za odpowiedź.

— A więc tak jest — zawołał wreszcie głosem najzupełniej zmienionym — pani gardzisz mną! pani depcesz moje najświętsze uczucia...

Tu Stasia powróciła nazad do przytomności, przybrała swobodniejszą postawę i zawołała do niego;

— Ach! panie Flawiuszu! tego się wcale nie spodziewałam po panu!

— Pani się nawet nie spodziewałaś! — zawołał Flawiusz z ironią, czyż tak nisko stoję w porównaniu do pani?...

— O! to nie! — przerwała prędko podkomorzanka — ale spodziewałam się po panu rozsądku.

— Rozsądku? a więc to na jedno wychodzi...

— Proszę pana — rzekła Stasia spokojnie — siadaj pan napowrót na swoim miejscu... chcę się przynajmniej usprawiedliwić przed panem...

— Ale dlaczegoż masz się pani usprawiedliwiać? — mówił Flawiusz, prawie już nieprzytomnie — nie roszczę sobie żadnego prawa do tego...

— Ale zmiłuj się pan — mówiła Stasia, powracając o tyle więcej do przytomności, o ile on od niej odchodził — bo mnie się to nawet w głowie pomieścić nie może. Pan, który masz taki wzrok bystry, takie trafne pojęcie, który wiesz wszystko, co gdziekolwiek się dzieje, który jesteś naszym codziennym gościem i znasz nasze najdrobniejsze uczucia; nie rozumiem doprawdy, jakbyś mógł

o tem nie wiedzieć... jakbyś mógł o tem nie wiedzieć — powtarzała przeciągle Stasia — że serce ludzkie... kiedy mamy mówić koniecznie już o miłości, tylko jedną miłość w sobie pomieścić może?..

— Jedną miłość... — powtórzył z kolei Flawiusz — nie rozumiem panią, doprawdy...

— Chyba że pana zbałamuciły jakieś plotki o wojewodziance inflanckiej — dodała Stasia.

— O wojewodziance inflanckiej?... Ah! — krzyknął Flawiusz i popatrzył dziwnymi oczyma na podkomorzanę.

Ale natychmiast rękę ku niej wyciągnął i rzekł:

— Dziękuję pani! pani jesteś usprawiedliwioną zupełnie. Żebyś tylko była także usprawiedliwioną przed sobą samą wtedy, kiedy się omyłka okaże. Żegnam panią!

Z temi słowami odwrócił się i wybiegł pomieszany z pokoju.

Napróżno za nim wołała Stasia, — już nie powrócił.

Widząc go przyśpieszonym krokiem przebiegającego ostatnią komnatę i wylatującego bez pożegnania do sieni, podkomorzyna także za nim wołała, ale i to już nie pomogło.

Zbiegającego ze schodów spotkał go jeszcze i skarbnik. Skarbnik, uwolniwszy się od swych gości i myślący zapewne jeszcze o owych ważnych rzeczach, nad którymi się z nimi naradzał, postępował w tem zamyśleniu powolnym krokiem na górę, i obaczywszy Flawiusza, zlatującego jak błyskawica po schodach na dół, wcale się tem nie zadziwił. Flawiusz był zwykle gorączkowy we wszystkim i wszystko u niego działo się prędko. Lecz kiedy Flawiusz przebiegł bez powitania około niego i skarbnik miał nawet sposobność obaczyć twarz jego tak okropnie zmienioną, uderzyło go to pomimowoli, i zaczął wołać za nim. Wszakże i to wołanie nie wzięło żadnego skutku, i nim jeszcze głos jego przebrzmiał w sieni, Flawiusz już był na ulicy.

Zaniepokojony tem skarbnik poszedł przyśpieszonym krokiem na górę.

W niedługiej chwili już się o wszystkim dowiedział.

Obydwie kobiety były zdesperowane tą sceną. Niecierpliwa podkomorzyna, chcąc koniecznie komuś winę tego przypisać a nie wiedząc, do kogoby miała z tem się obrócić, wymyślała na wszystkich. Stasia była wystraszona i łzami zalana, bo jej się zdawało, że Flawiusz prosto poleciał do Rudnickiego, z czego oczywiście wywiąże się scena, w której przynajmniej jeden z nich śmiercią polegnie.

Ale skarbnik na to wszystko już nic nie mówił, tylko chodząc po komnacie, mocno się nad tem zamyślił. Widać było po jego wyrazistej gestykulacyi, którą wtórował swym myślom, że się niełatwo mógł zdecydować, jak ma sobie postąpić; wszakże po chwili stanął, i rzekł do siebie:

— Tak jest! to jest ostatni moment! Jakkolwiek jest, dalej już zwlekać nie można!

I w ten moment kazał sobie zaprzęgać.

Za krótką chwilę skarbnik już siedział w powozie i kazał się wieźć do Flawiusza.

Flawiusz miał pokój dla siebie w pomieszkaniu chorążego koronnego. Pokój to był mały, w przyziemiach, i nawet bez przedpokoju, — służący chorążego, doglądający jego górnych pomieszek, a mający po drugiej stronie swe pomieszkanie, był zarazem służącym Flawiusza.

Kiedy skarbnik przed dom ten zajechał, pobiegł zaraz do pokoju Flawiusza, ale drzwi zastał zamknięte. Wszedł tedy do służącego.

— Czy nie masz w domu pana Flawiusza?

— Nie masz, panie. — odpowiedział służący — dopiero co wyszedł.

— Czy był teraz u siebie?

— Był dopiero przed chwilą.

— A nie wiesz, dokąd poszedł?

— Nie wiem, panie, bo nic nie mówił.

— I nie wiesz kiedy powróci?

— I tego nie wiem, ale zapewne wróci niebawem, bo o tej godzinie zwykle przychodzi do domu, aby się przebrać.

Skarbnik stał nieruchomie przez chwilę i myślał. A potem znowu zapytał:

— I jesteś tego pewnym, że pan Flawiusz jeszcze przed wieczorem powróci?

— Zawsze o tej godzinie wraca.

Skarbnik tak myślał:

— W najgorszym razie pobiegł on teraz jakiego sekundanta poszukać, aby go posłać do Rudnickiego. Nim sekundanta znajdzie: nim mu sprawę swoją opowie, nim ten sekundant się z Rudnickim rozmówi, mam jeszcze czas. A gdyby się to nawet stało jak się tylko stać może najprędzej, i gdyby Rudnicki przyjął wyzwanie, toż się przecie nie będą strzelać ze sobą w nocy. W każdym razie jednak nie zaszkodzi przezorność.

Tak myśląc, rzekł do służącego natychmiast:

— Bardzo mi na tem zależy, żebym się jeszcze dziś widział z panem Flawiuszem. Czy nie pozwoliłbyś mi tedy, kochanku, kawałek papieru i pióra, abym mógł kartkę napisać do niego?

Dostawszy papieru i pióra, skarbnik napisał te słowa:

„W imieniu twojego ojca, który jest, żyje i może ci być oddanym, zaklinam ciebie, ażebyś, jak wrócisz do siebie, nie ruszał się ani krokiem. Sprawa jest nagła, a sam wiesz najlepiej, jak wielkiej wagi dla ciebie. Wszystko jest w twoich rękach, dzień dzisiejszy decydujący, najdalej za godzinę będę znowu u ciebie. Godzina piąta“.

Tę kartkę, na której umyślnie żadnego nie położył podpisu, powierzył skarbnik służącemu i dodał jeszcze pokilkakrotne zalecenie ustne, ażeby Flawiusz, jak do domu powróci, koniecznie zaczekał na niego.

Poczem wsiadł znowu do powozu i kazał się wieźć czempędzej do starosty bełzkiego.

XVIII.

Starosta bełzki mieszkał przy Piekarskiej ulicy, w pałacyku niedawnymi dopiero czasy zakupionym i odnowionym przez siebie.

Był to pałacyk nie wielki, o jednym piętrze, z kolu-

mnami i galeryą od frontu, z małym ogródkiem dokoła, — ale tak zewnętrzne jak i wewnętrzne przyozdobienie jego było dokonane z taką elegancją i gustem, na jaki mógł się zdobyć tylko człowiek tak bogaty i taki mistrz w rzeczach drobnostkowej piękności, jakim był konkurent wojewodzianki inflanckiej.

Teraz była to już piąta popołudniowa godzina.

Starosta, który potrzebował zawsze najmniej dwóch godzin do zrobienia swej toalety, siedział w swym gabinecie, zajęty właśnie tą nudną, lecz dla starego eleganta z XVIII wieku tak ważną i nawet zajmującą robotą. Siedział on przed dużym, starożytnym, w brązowe ramy ujętem zwierciadłem i miał zarzucony na siebie jedwabny, cielistego koloru, puderman, — a dwóch kamerdynerów Francuzów, stojących w odległych kątach pokoju z workami pudru w rękach, dmuchali ten puder rozsypywany co moment po powietrzu na jego głowę, ażeby tylko najdelikatniejszy pyłek osiadł na jego włosy. Starosta zaś sam przypatrywał się z jak największą uwagą tej operacyi w zwierciadle i komenderował umiejętnie, tak workami pudru, jak i wydętymi pyskami Francuzów, nakręcając przytem głowę na różne strony wedle różnych kierunków, którymi chmury pudru się unosiły.

Podczas tego ważnego aktu wszedł służący i zameldował majora Nieczuję.

— Niema się o co pytać — odpowiedział służącemu starosta — wszakże widzisz, że jestem przy toalecie.

Służący wyszedł, ale niebawem znowu się zjawił, mówiąc:

— Pan major chce się widzieć koniecznie z jw. panem, bo ma pilny interes.

— Ale choćby też najpilniejszy, to go przyjąć nie mogę; powiedz że bardzo pięknie przepraszam i proszę na jutro rano.

Jednak i piękne przeprosiny nie skutkowały, bo służący jeszcze raz wrócił, przynosząc wiadomość, że pan major jest zdecydowany zaczekać, póki jw. pan toalety nie skończy, bo ma bardzo pilny interes.

— A! — zawołał na to starosta — tego już nie rozumiem.

Lecz namyśliwszy się chwilę, dodał:

— Ha! to już prosz tego paua — zarazem też kamerdynerom kazał wyjść z gabinetu.

* * *

— Zaczny panie majorze! — rzekł starosta do wchodzącego skarbnika — po milion razy pana przepraszam, że go w takim przyjmuję stanie...

— Mości starosto! — przerwał Nieczuja — moja to wina, nie mam też o to najmniejszej pretensyi...

— Proszę więc siadać... bardzo się cieszę, że się pan o to nie gniewasz, że nawet do pana nie wstaję; ale jak pan widzisz, nie mogę ruszyć się z miejsca w tej toalecie. Nieszczęśliwi jesteśmy z tymi naszymi strojami, które bodajby już jak najprędzej się odmieniły.

— Wieleby się to dało powiedzieć o tych strojach i ich rozmaitych odmianach — rzekł na to skarbnik — i możebym ja też także potrafił co o tem powiedzieć. Ale teraz nie pora po temu, przychodzę bowiem do pana w sprawie bardzo ważnej, o której chciałbym gruntownie pomówić.

— Ja to widzę, że sprawa musi być ważna i jestem cały na pańskie rozkazy. Tylko jeżeli mogę liczyć na przyjacielskie względy mego starego kolegi, to śmiałybym zwrócić uwagę pana majora na to, że to teraz mamy karnawał i zastałeś mnie właśnie przy toalecie...

— Od pana samego będzie zależeć naszą rozmowę skrócić albo przeciągnąć, ja z mojej strony bywam zwykle węzłowatym i krótkim.

— A to wybornie! więc proszę pana.

— Owo więc, panie starosto! — pan sobie przypominasz miasteczko Wiśnicz i ową scenę, którą tam miałeś z konfederaty, a której ja byłem świadkiem...

— I podobno nawet aktorem — rzekł ze skrzywionym uśmiechem starosta — no, lecz cóż dalej?

— Dalej przypominasz pan sobie także to dzieciątko maleńkie, tego chłopaczka o czarnych oczach, który tam leżał w kołysce...

— A jeszcze dalej?

— Jeszcze dalej pytam się pana, czy pan poznałeś tutaj niejakiego młodzieńca, który nie mając tego, co ma każdy żebrak na świecie, nie mając mówię nazwiska, po-przestaje na imieniu Flawiusza?

— Flawiusza... Flawiusza... — powtarzał starosta z dziwnem skrzywieniem na twarzy, patrząc przez zmrok w surową twarz skarbnika — tak, zdaje mi się, że go widziałem raz gdzieś na balu...

— Czy pan wiesz, kto jest Flawiusz?

— Tak... cokolwiek, jak przez sen... jakiś awanturnik z Warszawy...

— Być może, że to jest awanturnik — rzekł na to z przekąsem skarbnik — ale to jest syn pański!

— Mój syn! — zawołał na to starosta — cha! cha! cha! jak pan jesteś wyborny!

— Panie starosto! — rzekł skarbnik surowo, powstając z miejsca — proszę zaprzestać żartów i nie myśleć o żadnej komedyi, bo w każdym razie i jakikolwiek obrót weźmie ta sprawa, jest to zawsze sprawa o los człowieka, a więc smutna zaprawdę tragedia.

— Jeżeli temu jakiemuś panu Flawiuszowi się uroiło, że jest moim synem — mówił zawsze z ironią starosta — to być to może tragedia, ale tylko dla niego. Dla całego świata i dla mnie będzie to zawsze tylko komedya, i to nawet nie całkiem nową, bo nie pierwszy to awanturnik próbuje, czy nie uda mu się odpytać bogatego jakiego ojca. Ale powiedz że mi pan z łaski swojej, jakim sposobem pan przychodzisz do wspólnictwa w tej sprawie?

— Jakim sposobem ja do tego przychodzę, to nie należy do rzeczy, ale jeśli mnie się pan spytasz jaki mam tytuł do tego, to panu powiem, że nim się więcej odszuka, ja jestem jedynym świadkiem pańskiego ślubu.

— Świadkiem i adwokatem zarazem?

— Tak jest, adwokatem bezpłatnym uciśnionych i nieszczęśliwych.

— Hm! — uśmiechnął się na to starosta — ale za dobre uczynki Pan Bóg zwykle nagradza. Nie bez tego więc, jak się spodziewam, żeby wrazie pomyślnego obrotu tej sprawy i dla pana nie znalazła się jakaś nagroda. Powiedzże mi pan, panie majorze, to panna Stanisława się istotnie kocha w Flawiuszu?

Na te słowa skarbnik o kilka kroków odskoczył. Zarzut ten tak mu się zdawał podłym i tak go trafił niespodziewanie, że nie wiedział w pierwszej chwili, coby miał nań odpowiedzieć. Ale tymczasem starosta, patrząc dziwnie przenikliwemi oczyma na niego, mówił dalej:

— Więc jużście całkiem zrezygnowali z Jędrzeja? Jędrzej niechaj się żeni z wojewodzianką, Flawiusz z podkomorzanką, a starosta niechaj osiedzie na koszu, niechaj przybierze tytuł poważny ojca i niechaj kochającej się parze waszej odda swój cały majątek? Jak honor kocham! jest to koncept niezły i dosyć okragły, bo i takby można zakończyć tę całą komedję.

I śmiał się przytem starosta.

Ale skarbnik się nie śmiał. Założył on ręce przed sobą, spojrzał na niego z pogardą i rzekł:

— Pan honor kochasz? Tfu! jeno plunąć na takie gadanie!

— Przynajmniej grzecznym pan jesteś!

— Właśnie tu miejsce na grzeczność! — zawołał na to Nieczuja — ale na cóż mamy czas tracić na próżno? Powiadam więc panu krótko, jeżeli pan myślisz takimi zarzutami się przeciw Flawiuszowi obronić, to radzę panu, ażebyś sobie obrał broń lepszą, bo ta nie wystarczy!

— Nie, panie! — rzekł na to seryo starosta — mówmy otwarcie. Tymi zarzutami ja się bronię tylko przeciwko panu. Pan bowiem, o czem zapomniałeś zapewne, dałeś mi słowo u kasztelanowej na balu, że o owej scenie wiśnickiej nie będziesz nigdy wspominać...

— Przepraszam pana! — zawołał skarbnik — ja żadnego słowa nie dawałem natenczas, bom milczał.

— Qui tacet, consentit.

— A gdyby nawet! tom w każdym razie miał tylko nie mówić o tem przed nikim innym, ale nie mówić z panem, do tego się nigdy nie zobowiązał.

— Ale co tam! to są palestranckie wykręty!

— Panie starosto!

— Panie majorze!

— Proszę staranniej dobierać wyrazów!

— Ale dajno pan pokój! Jeżeli chcesz strzelać się ze mną o tego awanturnika, to będziesz się strzelał, choćby i jutro. Ale się pierwszej rozmówmy. Otóż tym zarzutem, który się panu tak nie podobał, nie myślę się bronić przeciwko Flawiuszowi, tylko przeciwko panu. Zacznesz pan przed światem wymyślać na mnie, zacznę ja wymyślać na pana. Ażebyś pan zaś wiedział, czem się będę bronił przeciwko mojemu mniemanemu synowi, i abym panu dowiódł zarazem, jakiej sprawy pan bronisz, pokażę panu na to dokument.

To rzekłszy, lubo na powitanie skarbnika wstać nie mógł, wstał teraz z miejsca i wyszedł do przyległej komnaty. W krótkiej chwili powrócił i przyniósł ze sobą w jednej ręce jarzącą świecę a w drugiej jakiś papier złożony we czworo, który rozwinął i podał skarbnikowi do przeczytania.

Skarbnik wziął ten papier do ręki, przybliżył się do świecy i czytał. Czytając, co moment na starostę spoglądał, tak jak gdyby sam w to nie wierzył, co czytał.

Jakoż istotnie było to zaledwie do uwierzenia dla niego, papier ten bowiem zawierał w sobie wyciąg *ex libro mortuorum* parafii Wiśnicz, który poświadczał jak najformalniej: że dwuletni chłopaczek, urodzony z Francuzki z domu Durand, córki dawniejszego książęcego marszałka a właściciela domu w Wiśniczu, imieniem Flawiusz, umarł w Wiśniczu i tamże jest pogrzebany. Świadectwo to było napisane dobrą i wyraźną łaciną i opatrzone podpisem księdza wraz z pieczęcią kościelną.

Skarbnik jeszcze raz ten dokument odczytał i usiadłszy na swoim krześle, dziwnie się jakoś zamyślił.

Starosta patrzył na niego z ironicznym uśmiechem i wytrzymałszy go tak przez chwilę w milczeniu, pewny swego zwycięstwa, nareszcie spytał:

— A cóż, panie majorze? kto jest teraz ten Flawiusz, który sobie pozyskał pańską opiekę?

— Ten Flawiusz — odpowiedział skarbnik, patrząc teraz prosto w oczy staroście — jest pańskim synem.

— Aa cha! cha! cha! to już przechodzi wszelkie pojęcie! — zawołał z głośnym śmiechem starosta — a ten dokument nie nie znaczy u pana?

— Nic zgoła.

— A toż dlaczego?

— Bo jest sfalszowany.

— A! panie majorze! to jest trochę zawiele!

— Nie, panie starosto — mówił skarbnik tonem spokojnym i pewnym — przeciwnie nawet, jest to jeszcze mało. Bo ten dokument jest sfalszowany na to, ażeby pocziwego człowieka pozbawić fortuny, imienia i szczęścia na całe życie. A że jest sfalszowany, nie ulega to żadnej wątpliwości: bo jest to wyciąg zrobiony *ex libro mortuorum* w r. 1791, a więc wtedy, kiedy tej księgi z owego czasu już dawno w Wiśniczu nie było. Wiedz pan bowiem, że wszystkie księgi tego kościoła zostały zniszczone już w samym końcu konfederacji, czego ja sam byłem świadkiem i na co zawsze się znajdzie dowód na miejscu. A zresztą na co nam tego? Ten Flawiusz, który się urodził z Francuzki Durand a *recte* ze starościejnej bełskiej, — ten Flawiusz, który był synem starosty bełskiego a wnukiem po kądzieli książęcego marszałka Durand, przy którym się wychował w Warszawie, — żyje do dziś dnia i na mocy testamentu swojego dziada jest właścicielem kamienicy w Warszawie, opatrzonej herbem swojego ojca, starosty bełskiego. To jest fakt, który żadnych nie potrzebuje świadectw, bo jest dla każdego widoczny i niezaprzeczony.

— Ale mój panie! — zaczął starosta z gniewem...

— Ale co tam! — fuknął jeszcze z większym gniewem Nieczuja — niema długo co mówić. Zaprzeczasz pan tego faktu?

— Zaprzeczam.

— A więc wiedz pan o tem, że się narażasz na proces, który nie tylko przegrasz najniezawodniej, ale który ci wcale żadnego nie przyniesie zaszczytu!

— To mniejsza o to, to mnie procesujcie! Żegnam pana.

Ale Nieczuja nie odchodził jeszcze, tylko patrząc przez chwilę na starostę, zapytał:

— I pan się dasz procesować swemu własnemu, rodowitemu synowi?

— To nie jest mój syn!

— To nie syn pański?... A jeśli ja dowiodę przed sądem, że syn?

— Czem pan dowiedziesz?

— A na przykład świadkami?

— To nie jest dostateczne. Świadkowie na to nie mogą stanowić dowodu.

— A jeśli bym też i ja miał jakiś dokument?...

— Cóż pan masz za dokument? pan mieć nie możesz żadnego.

— A jeśli mam?... A będzie dowód wtedy, i będzie skandal na stare lata, na całe życie, do grobu...

— Fi! i cóż to na koniec za skandal! Trafiły się podobne wypadki potomkom pierwszych familii, trafiały się królom nawet...

— Myśmy nie króle — mówił Nieczuja — my szlachta. My potrzebujemy dobrej reputacyi. My się staramy o wojewodziankę inflancką...

— Wojewodzianka ma rozum...

— Ma rozum, to prawda, ale rozum nie przeszkadza sumieniu i szlachetności uczucia...

— No to cóż? to cóż?... — wołał już zniecierpliwiony starosta — to zrobicie mi skandal, i stracę wojewodziankę. I cóż?... A zresztą cóż zrobię z wami? Mogę się wykupić od tego skandalu, to się wykupię, ofiaruję tysiąc, dwa a zresztą... ofiaruję trzy tysiące dukatów: czy zgoda?

— Nie, panie drogi, tak się nie uda zgoda. Samozwaniec możeby się dał okupić, ale prawowity syn nie da.

Ale z prawowitym synem na innej drodze może łatwiejsza byłaby zgoda, niż z samozwańcem...

— No, więc na jakiejże drodze?

— Na drodze tej, którą szczere, pocziwe, ojcowskie dyktuje serce.

— Jakto? ja nie rozumiem...

— Ha! to jest smutno, że pan nie rozumiesz tej drogi...

— Proszę już bez refleksyi, bo i tak już jest późno: stracę wieczór...

— Pan stracisz wieczór! — powtórzył skarbnik — wieczoru szkoda! Ha! więc już krótko. Chcesz pan, będę wam pośredniczył w tej sprawie. Nie mówiłem jeszcze o tem z Flawiuszem...

— Pan nie mówiłeś o tem z Flawiuszem?

— Ani słowa.

— I on jeszcze nic nie wie?

— Nie zgola.

— No i dlaczego pan wywołujesz taką sprawę — zawołał na to z osobliwszem zdziwieniem starosta — o którejby i mowy nie było bez pana? Ba! gorzej jeszcze! Bo dlaczego pan się mieszasz w rzecz taką, która gdy na jaw wyjdzie, panu samemu tylko szkodę przyniesie? Panie majorze! pan, który masz tyle rozumu, tyle rozsądku, tyle przywiązania do swojej rodziny... a! co tego to się wcale nie spodziewałem po panu! Własną ręką psuć sobie swe interesa, panie majorze, jest to do czego podobne?

— Moje interesa — zaczął skarbnik z zdziwieniem...

— A jużci pańskie! — przerwał prędko starosta — bo przecież to jest rzecz jasna jak słońce. Chcecie wydać córkę waszą za Rudnickiego? Chcecie. Rudnicki jest milio-nowy kawaler, zacny chłopiec, kochany, szanowany, ceniony, pierwsza partya we Lwowie. Chcecie go niezawodnie. Ale Rudnicki, jak wicie, jest tak jak po słowie z wojewodzianką inflancką. Wojewoda go nie uwolnił, panna jest za nim. Rudnicki się namyśla, robi sobie skrupuły, ociąga się, — nie żeni się z waszą córką, póki się ktoś nie ożeni z wojewodzianką. Tak jest, niema kwestyi, każdy to widzi.

Teraz o wojewodziankę staram się ja, jestem położony najlepiej, jestem nawet już blizki mojego celu. Oczywiście stąd wniosek, że kiedy ja się ożenię z wojewodzianką, on się ożeni z waszą córką, czego pragnę ja, pan, Rudnicki i cały świat. I pan właśnie w tej chwili, tak ważnej, drażliwej, decydującej o losie nas wszystkich, wywołujesz jakiegoś awanturnika Flawiusza, każesz mu się nazywać moim synem, pobudzasz go do procesów, skandalów, awantur, historyi, ażebym ja się nie ożenił z wojewodzianką, — ażeby Rudnicki na swoje wiekuiste nieszczęście się do niej nawrócił, — panna Stanisława osiadła najpubliczniej na koszu, — ażeby mnie, pana, siostrę pańską, pannę Stanisławę, Rudnickiego, zagryzły smutki, bóle, zmartwienia i abyśmy wszyscy, ludzie takich imion, fortun, znaczenia pokrzywili drogi naszego życia dla jakiegoś awanturnika Flawiusza, którego panu podobało się znaleźć i nazwać synem starosty bełzkiego! — Panie majorze! czy jest to rzecz? czy ma to sens? czy jest to podobne do pana?... Panie majorze! ja panu ręczę wszystkim, czem mogę, że to nie jest mój syn, bo gdyby nim był, byłbym go dawno już uznał, nazwał, przyjął za swego, nie czekając z tem wcale na pana... Przecież także jestem człowiekiem, mam sumienie, mam serce i czuję dobrze me obowiązki... lecz dajmy na to, posito sed non concessio, żeby to był mój syn... to czy i to jest racya, żeby dla syna, urodzonego Bóg tam wie jak, z jakiejś fechtmistrzowej Francuzki, która się mnie uczyła dlatego, że był bogatszy ze wszystkich, którzy ją otaczali; otóż mówię, żeby dla takiego syna, który się wychował odpowiednio stanowi swej matki, dostał kamienicę odemnie i jest opatrzony dostatnio, poświęcać szczęście tylu osób i takich osób, i narazić je na tyle bólów, zgryzot, skandalów i Bóg nie wie czego jeszcze? czy jest to sens? czy jest to rzecz?..

Te argumenty i przewidzenia zasłużyły na uwagę skarbnika. Przechodząc się po gabinecie, szczerze się nad nimi zamyślił. Ale po krótkiej chwili myślenia obaczył jasno, że wszystkie argumenty starosty były tylko pozorne, przewi-

dzenia przesadzone do najwyższego stopnia. Jakoż przystąpił zaraz do niego i tak odpowiedział mu na to:

— Wszystko to, co pan mówisz, jest tylko do prawdy podobne, ale nieprawdziwe zupełnie. Tak panu trzeba i tak mówisz, ale sam w to nie wierzysz. Bo najpierwej, gdzież tu jest pewność, że wystąpienie Flawiusza przeciwko panu tyle i takie pociągnie za sobą skutki, jak pan przepowiadasz? — Powtóre, dajmy na to, żeby się ta sprawa prosta i pojedyncza tak powikłała i ziściła w samej rzeczy te wszystkie konsekwencye, które pan wyliczyłeś, to zawsze jeszcze spytam się pana: kto w takim razie będzie miał słuszość? Słuszość będzie miał Flawiusz, bo jest w swoim prawie. A kto ma słuszość za sobą, temu żadne okoliczności, żadne względy uboczne nie powinny tamować drogi. Co zaś do tego, że przez to my wszyscy moglibyśmy nasze imaginowane, spodziewane dopiero szczęście utracić, to powiem panu, że szczęście takie, któreby się fundowało na nieszczęściu bliźniego, Panu Bogu jeszcze dziękować, jeżeli nas minie. Nic nam po takim szczęściu, nie mielibyśmy pożytku z niego i nikt z nas go nie zapragnie!

— Dziwne — rzekł na to starosta — dziwne doprawdy masz pan wyobrażenia!

Skarbnik spojrział na niego, machnął ręką i rzekł:

— Jako widzę, szkoda to czasu na tę rozmowę! Ale to panu powiem jeszcze, że na cóż tu przewidywać koniecznie skandale, awantury, historye, kiedy ta cała sprawa może się zgodnie załatwić? I wilk będzie syty i koza cała, — i Flawiusz będzie zadowolony i pan się spokojnie z wojewodzianką ożenisz, jeżeli tylko zechcesz.

No, a czyż ja jestem od tego? wszakże sam już proponowałem zgodę?

— Nie, panie, taka propozycya się na nie nie zdała. Nie mówiłem o tem z Flawiuszem, ale odpowiadam za niego, bo go znam dobrze i jestem pewny, że tak samo odpowie.

— Więc cóż odpowie?

— Odpowie, że się pieniędzmi okupić nie da. Bo jemu

nie potrzeba pieniędzy! On ma utrzymanie skromne, ale dla niego dostatnie, a zresztą ma zdolność, ma młodość, ma świat cały przed sobą, to się bez wielkich fortun obejdzie. Ja go sam wezmę w swoją opiekę i wykeruję go tak, że mu chleba nie braknie. Ale jemu czego innego brakuje i brakować mu zawsze będzie bez pana. Jemu imienia brakuje, brakuje mu stanowiska pomiędzy ludźmi: ziemi mu pod nogami brakuje, brakuje mu nazwiska człowieka! To mu dać trzeba, bo ten brak go niszczy i trawi, ten brak bałamuci mu wszystkie myśli i wszystkie uczucia, ten brak nie dopuszcza mu zostać nareszcie człowiekiem!

— Ale zmiłuj że się pan, panie! — zawołał na to starosta — a cóż robią sieroty?

— Wiedzą o tem, że są sierotami — rzekł skarbnik — i to dla nich jest dosyć. A on wie że ma ojca, wie że ten ojciec żyje, ma nazwisko, znaczenie, fortunę, i wyparł się go, i obdarł go nawet z nazwiska! — Starosta milczał. Skarbnik zaś mówił dalej:

— Słuchaj że mnie pan, bo obadwa nie mamy czasu. Pan możesz stracić tańczący wieczór, ja mogę stracić coś ważniejszego niż wieczór. Słuchaj że mnie pan, bo i ja panu zrobię propozycję z mej strony. Propozycja moja jest taka. Ja przyjadę tutaj do pana z Flawiuszem...

— Oh! — zawołał starosta

— Pozwól pan, przyjadę do pana z Flawiuszem, pan go uznasz za syna, przyciśniesz go do swojej piersi ojcowskiej, a resztę już ja biorę na siebie i ręczę panu, że się ułoży tak, że pan z krzywdą nie wyjdiesz.

— Więc go mam uznać za syna i dać moje nazwisko? — spytał przeciągle starosta.

— O nazwisku nie nie wspominam, bo o tem pomówimy z nim samym. Ale o cóż tu panu chodzi? Zamknijmy się tu w pokoju, nie będzie nas tylko trzech i Pan Bóg nad nami, — na mnie pan liczyć możesz z pewnością, bo mnie znasz przecie, — postąpisz sobie tak, jak sam zechcesz... Zmuszać nie będziem cię do niczego...

Starosta chodził po pokoju i myślał. Skarbnik mówił dalej:

— A ja panu ręczę, że Flawiusz nie będzie stawiał żadnych wielkich wymagań. Flawiusz jest dobry chłopiec, ma uczucie, ma serce, trochę popaczone, pokrzywione, popsute, ale młode — a młodemu sercu czasem tylko jednego silniejszego wstrząśnienia brakuje, aby się stało czyste jak brylant. Kiedy go przyciśniesz do swej piersi ojcowskiej, jestem pewny, że się stanie jak воск. Zrobisz z nim wtedy, co tylko sam zechcesz... Ja sam panu pomogę. No! nie traćmy czasu, bo szkoda...

Starosta myślał ciągle i chwiał się. Skarbnik mówił dalej:

— Jedno słowo, starosto! słowo ludzkie, czyste, szlachetne, i wszystko się zrobi. Uszczęśliwisz człowieka, twego własnego syna. I uszczęśliwisz sam siebie. Jedno to słówko, jedno uściśnienie, podniesie ciebie samego, uszlachetni, uczyni, — staniesz czysty i jasny przed Bogiem, — wszystkie grzechy odpuszczone ci będą, jakiegokolwiek popełniłeś przez całe życie. I obaczysz niebawem, ile szczęścia stąd dla ciebie samego wyniknie. Na łożu śmiertelnem będziesz mi jeszcze dziękował, że ci podałem do tego czynu sposobność...

Ale do tego momentu już się starosta namyślił. Stał na środku pokoju, obrócił się do skarbnika i rzekł:

— Nie, panie! To próżno. Tego uczynić nie mogę.

— Ale zmiłuj że się! — zawołał skarbnik, rozczarowany całkiem niespodziewanie — dlaczegoż nie możesz, czyż nie jesteś panem swej woli?

— Jestem panem mej woli, ale tego nie mogę uczynić. Nie mogę przyciskać do piersi człowieka, który nie jest mym synem.

— Jakto? więc zaczynasz na nowo?

— Zaczynam na nowo — rzekł prędko starosta — i kończę. Wszystko to, co mi pan proponujesz, odrzucam. A chcesz pan wiedzieć dlaczego? Oto dlatego, że nie mogę narażać na szwank mojej reputacyi i mojej towarzyskiej pozycyi. Krótko mówiąc, nie ufam ani panu, ani jemu.

Pan jesteś moim nieprzyjacielem od dawna, a on jest awanturnikiem, niedającym żadnej rękoi. Wiedz pan bowiem, że nie wart jest nawet tego, co mu już dałem. Ale kiedy pan chcesz koniecznie coś zrobić dla niego, to możesz pan negocjować pomiędzy nami. Ofiaruję pewną sumę pieniędzy, aby się od niego wykupić na zawsze...

— O tem niema co mówić — przerwał zniecierpliwiony już skarbnik i spytał — i to już jest ostatnie postanowienie pana?

— Ostatnie.

— I już niema co dalej mówić?

— Ani słowa.

— A więc żegnam pana i proszę sobie samemu winę przypisać, jeżeli ta sprawa weźmie obrót taki, który panu będzie nie miły.

— Sobie ją przypiszę bez kwestyi, lecz proszę wzamian zastanowić się nad tem, czy jest sumienie pozbawiać chłopca kilku tysięcy dukatów? — bo wiedz pan o tem, że po najmniejszym kroku zrobionym przez niego do mnie, nie nie dam.

— Ale ja mu dam, kiedy zapotrzebuje! — zawołał skarbnik — i nie opuszczę sieroty, której własny zapiera się ojciec! Bądź pan zdrow! i drżij na tę chwilę, kiedy staniesz przed sądem!

Z temi słowami na ustach i z wyrazem pogardy na twarzy skarbnik wybiegł z gabinetu, aby czemp prędzej do Flawiusza pojechać.

Starosta odprowadził go wzrokiem szyderstwa i gniewu do drzwi, i przez chwilę był istotnie zirytowany, — ale niebawem twarz jego uspokoiła się znowu i przybrała ten wyraz obojętny, gładki jak szyba, oświecony lodowatym uśmiechem, który był zwykłym jej charakterem dla ludzi. Starosta był jedną z tych egzotycznych roślin na naszej ziemi, które pielęgnowane we Francyi pod wspólnym wpływem tamtejszych dworów i filozofii Woltera, rozpleniły się jak chwast zaraźliwy po wszystkich społeczeństwach europejskich. Chwasty te wszakże, dzięki odrodzeniu się serc

i umysłów przez wielkie wstrząśnienia, wypleniły się całkiem, i dzisiaj nie masz ich już pomiędzy nami.

XIX.

Chcąc dokładnie przedstawić dalsze wypadki dnia tego, jednego z najważniejszych w naszej powieści, musimy teraz z kolei wziąć na oko Jędrzeja, bo i o niego także dzień ten się otarł dotkliwie i wyrył mu się w pamięci na zawsze.

Jędrzeja widzieliśmy po raz ostatni na wieczorze u podkomorzego lwowskiego. Wieczór ów był dla niego po największej części szczęśliwy. Jego rozmowa ze Stasią, tak wyraźna, tak jasna i tak niespodziewanej rozkoszy dla niego, odżywiła jego zwątlone siły, natchnęła go nowem życiem, nappełniła go świeżą, pewną, ugruntowaną nadzieją. Ta rozmowa ze Stasią była epoką dla niego; bo kiedy dotychczas jeszcze, nie przejęty wskroś wiarę w jej miłość dla siebie, mógłby być może jeszcze o niej zapomnieć i w danym razie do wojewodzianki się zwrócić — odtąd stało się to już w jego przekonaniu zupełnem niepodobieństwem i zdawało mu się, że raczej życieby sobie odebrał, niżeliby miał sprzeniewierzyć się Stasi.

Rozmowa jego ze skarbnikiem także wypadła pomyślnie — otworzyła ona mu bowiem nową drogę do sympatyj z tym starym i niespracowanym żołnierzem, a wiadomo każdemu, jak takie sympatye łączą nas ściśle ze sobą i o ile są wyższe nad wszystkie prywatnego życia stosunki. Jędrzej wiedział o tem i z tego korzystał; odwiedził potem skarbnika i zapewnił sobie jego przyjaźń stateczną.

Mniej pomyślną dla niego była ta okoliczność, że widział tam także wojewodziankę. Różne wnioski, wysnute z wyrazu jej oczu i twarzy a ożywione ogniem wyobraźni młodzieńczej i zaostrzone rozdrażnionem sumieniem, za niepokoiły go bardzo i zamąciły jego uczucie nowego szczęścia o wiele. Wszakże prawie jeszcze daleko więcej

zaniepokoił go ten wypadek, że wychodząc wówczas z domu podkomorzego, zastał Flawiusza czatującego w ulicy. Już to drugi raz tego samego wieczora widział on go odprawiającego czaty koło podkomorzanki i śledzącego przytem jego własne obroty, i stąd po dwakroć dało mu się uczuć raz po raz jedno i to samo nieprzyjemne wrażenie. Jędrzej się nie obawiał Flawiusza jako rywala, i nie obawiał go się nawet w charakterze jakiegokolwiek nieprzyjaciela — ale było coś w tym człowieku, co go gwałtownie odtrącało od niego i rodziło w nim nieprzepartą ku niemu odrazę. Odrzę tę oczywiście jeszcze o wiele podniosła już tak dawna, a teraz na nowo potwierdzona, lubo zresztą nie straszna, rywalizacya — i odraza ta dawała mu się nieraz uczuwać tak żywo, że wtedy przychodziło mu prawie żałować tego, że niegdyś w Warszawie opuścił tak wyborną sposobność zmierzenia się z tym nieznośnym dla siebie człowiekiem na ołowiane grzeczności. Uczucie to było bardzo niechrześcijańskie, ale, niestety! ludzkie zupełnie.

Pomimo to wszakże Jędrzej był chrześcianinem w całym tego słowa znaczeniu i nawet głęboko religijnym. Jego wiekiustą ucieczką we wszystkich smutkach i we wszystkich radościach był kościół. Ile razy pracę jaką ukończył lub dopiął powziętego zamiaru, ile razy go jakaś niespodziewana nawiedziła uciecha albo zgryzota, ile razy był w wątpliwości ze sobą samym, jak miał sobie w jakim wypadku postąpić: zawsze się po ulgę, po uciechę, po radę udawał do jednego z tych wspaniałych przybytków Pańskich, które takim spokojem napełniają nasz umysł i tak lekkim nam czynią ciężar naszego życia.

Najmilszym do takich modlitw i religijnych rozmyślań był mu zawsze kościół oo. Bernardynów, świątynia wspaniała, starożytna, poważna, pełna świętych narodowych pamiątek i jeszcze świętszych relikwii. Do tej świątyni zachodził on jak mógł tylko najczęściej i usiadając zwykle w jakimś odległym kąciку, oddawał się czci i uwielbieniu dla Tego, który nam dowiódł własnem swem życiem, że

nie masz tak głębokiego kielicha goryczy, którego by z wytrwałością i wiarą nie można spełnić aż do dna.

Nazajutrz rano po owym tak ważnym dla niego wieczorze u podkomorzego lwowskiego, będąc głęboko znudzonym, to mozolnem myśleniem nad sobą, to różnorodnością wrażeń doznanych, udał on się także do tego kościoła — i zaszedłszy aż do kaplicy Błogosławionego Jana z Dukli, w grobowej ciszy, przerywanej tylko szeptem kilku kobiet modlących się przed ołtarzem, oddał się swoim zwykłym modlitwom.

Wszakże kiedy się tak modlił z całym oddaniem się Bogu, nie zwracając żadnej uwagi na to, co się działo około niego, nagle jakiś szelest odedrzwi zbudził go z zamyślenia. Jędrzej obejrzał się — i otrzeźwił się całkiem.

Świeżo przybywająca nabożna była to Stasia.

Stasia, znajdującą także tylko w modlitwie pociechę w swych utrapieniach, równie jak Jędrzej bywała codziennie w kościele, czasem z matką, czasem i sama, ale zawsze o dziewiątej godzinie rannej i zawsze w kaplicy świętego Jana. Wszakże pierwszy to raz dnia tego los ich sprowadził razem. Był to los równie zapewne błogosławiony przez nich obojga, jak Jan z Dukli przez wszystkich.

Od tego dnia Jędrzej nie opuścił już żadnej dziewiątej godziny rannej, ażeby się o niej nie stawił w kościele. Modlił on się teraz jeszcze goręcej. Zdawało mu się bowiem, że go Pan Bóg tymczasem przynajmniej w ten sposób wynagradza za jego modlitwy — zdawało mu się, że z ramienia Bożego spuszcza się anioł biały do niego i stawając u jego boku, przytomnością swoją wzmacnia w nim jego nadzieje i wiarę.

Los ten szczęśliwy, tak szczerze błogosławiony przez niego, był nawet czasem jeszcze rzeczywistym w swych darach, bo kiedy Stasia sama się pojawiła w kościele, zdarzał on mu sposobność pomówienia z nią choćby słów kilku przelotnych. I oto dzisiaj — dnia właśnie tego, na którym stoimy w naszej powieści — Stasia także sama przyszła się modlić. Po skończonych modlitwach Jędrzej pier-

wej wyszedł z kościoła, stanął u wejścia i widząc, że nie masz nikogo takiego do koła, któryby nie powinien być świadkiem takiej samotnej rozmowy, czekał na Stasię. Kiedy wyszła, witał ją i rozmawiał. Potem podał jej ramię, pomógł wsiąść do powozu i stanawszy przy szybie spuszczonej u drzwiczek, jeszcze rozmawiał, i jeszcze, i jeszcze, bez końca. Kochający się zawsze tak wiele mają do mówienia ze sobą, że nigdy nie mogą skończyć, chociaż podobno zawsze powtarzają sobie to samo. Ale miłość jest to przedmiot tak samoistny, oryginalny, wielostronny, głęboki, że się nigdy nie może wyczerpać — aż dopiero gdy zyska podstawę realną, zaczyna się wyczerpywać i czasem się aż do dna wyczerpie, jak wszystko, co jest tylko realne.

Ale ci oboje żyli jeszcze zupełnie li w ideałach — i dlatego rozmowa ich była tak długą. Byłaby może nawet się nie skończyła aż wtenczas, kiedyby ich dzwon południowy był obudził z obopólnego marzenia, gdyby nie to, że zawsze przytomna Stasia i wśród idealnych uniesień pamiętała o tem, o czem nie godziło się jej zapominać. Pożegnała więc Jędrzeja, ale przerażonego prawie koniecznością rozstania pocieszyła tą wiadomością, że dziś po południu będą się w tym kościele odprawiać bardzo ładne nieszpory, na których się ona nie zaniedba znajdować.

Upojony szczęściem, że widział Stasię tak zbliżka i tak długo z nią sam na sam rozmawiał, poszedł Jędrzej do siebie i był przez cały ranek w najlepszym usposobieniu. Nie wychodził już nigdzie i nie przyjął nikogo u siebie — on nie potrzebował już dzisiaj nikogo. Anielska twarzyczka Stasi unosiła się ciągle przed nim w powietrzu, blask jej oczu cudownych oświecał cały horyzont jego myśli i uczuć, harmonijne tony jej głosu, podobne pieniom lutni niebieskich, brzmiały ciągle mu w uszach — Jędrzej był rozmarzony, szczęśliwy, niedościgniony w polocie swych myśli i uczuć. W tem uniesieniu zdawało mu się, że wobec tego natchnienia, które teraz nim zawładnęło, wszystko złe utraciło moc swoją, wszystkie wątpliwości się starły i dotychczas takimi skaliskami zjeżone drogi jego przyszłości

przybrały postać brukowanego szlifowanymi głazami gościńca.

W takim usposobieniu pojechał po południu na nieszpór.

Nieszpory w tym kościele odbywały się wcześniej — i Jędrzej przybył trochę zapóźno. Kościół już był napelniony — właśnie było kazanie. Jędrzej się przez tłumy przecisnął i nie zważając nic na kazanie, zaczął się po ławkach rozglądać, gdzieby ujrzał podkomorzanekę. I ujrzał ją w krótkiej chwili. Stasia siedziała w pierwszej ławce po prawej stronie; ale dziwnem zrządzeniem losu, siedziała tuż koło niej — wojewodzianka inflancka. Dalej po jednej stronie matka Stasi, po drugiej wojewoda, starosta bełzki, cześnik koronny i inni bliżsi przyjaciele hrabi Rogalińskiego — co wszystko już mniej obchodziło Jędrzeja — dosyć mu bowiem było obaczyć samą Melanię tuż obok Stasi, aby się niesłychanie osmucić i myśleć z goryczą o tem, jaki los dziwny rzuca mu zawsze i wszędzie w drogę przyjaciółkę jego dziecięctwa?

Tymczasem los ten, lubo może dziwny na pozór, był jednak w rzeczy dość naturalnym — obydwie te damy bowiem musiały się zejść dzisiaj w pierwszej ławce ze sobą, bo obydwie przyjechały najwcześniej. A i to także nie stało się bez powodu, bo jeśli Stasia się pośpieszyła dlatego, że ją ranna rozmowa pociągała na nieszpór — to wojewodzianka znowu dlatego, że kazanie dzisiejsze miał ksiądz Rogaliński, synowiec Rogalińskiego cystersa, opata niegdyś wiślickiego a później bledzewskiego, zaledwie zdaleka wojewodzie pokrewny, ale że sławny już kaznodzieja za młodu i mający przyszłość przed sobą, więc szanowany i protegowany przez niego.

Ale Jędrzej już tak był zgorzkniały od widoku Melanii, że nawet nie popatrzył w twarz kaznodziei. Stał on pod kolumną i patrzył na Melanię takimi oczyma, jakimi patrzymy na kogoś, przynoszącego nam niewymowną zgryzotę. Był w jego twarzy w tej chwili wyraz już prawie żalu, już nieledwie wyrzutu, że mu Melania zamaściła chwilę szczęścia, z taką rozkoszą oczekiwaną i wymarzoną.

I uczucie to, które go teraz opanowało, było tak gorzkie, tak zatruwające, tak dla niego nieznośne, że nie umiejąc uspokoić go w sobie, zrezygnował z widoku Stasi — i wyszedł wkrótce z kościoła.

I jak rano ze swoim uczuciem szczęścia, tak teraz z rozlaną koło serca goryczą prosto do siebie powrócił. Ale tu oczekiwała go jeszcze inna niespodzianka, i to daleko ważniejsza. Kiedy bowiem wszedł do sieni swojego mieszkania, zastał tam swego kamerdynera, rozmawiającego z jakąś kobietą. Przypatrzywszy się bliżej, poznał, że tą kobietą nie był nikt inny, tylko stara Krzywiecka, panna służąca Melanii.

Widząc ją tutaj i rozmawiającą z jego kamerdynerem, Jędrzej zdziwił się trochę i stanąwszy przed nią, rzekł do niej:

— Jak się masz, panno Krzywiecka?

— Całuję nóżki pańskie — odpowiedziała trochę zmieszana służąca.

— Powiedz-że mi, cóż tutaj robisz? — zapytał Jędrzej.

— Przechodziłam tędy przypadkiem i wstąpiłam tutaj, aby się o zdrowie pańskie zapytać.

— Bardzo ci wdzięczny jestem o tę troskliwość, ale czy miałaś powody myśleć, żem chory?

— Nie, panie... ale przyzwyczaiwszy się widywać pana u nas codziennie, a nie widziawszy go już od dni kilku, jakoś tęskno mi było za panem i zdało mi się, że pan koniecznie musi być chory...

— Ej! moja droga! czasy te, w których mogłem być waszym gościem codziennym, już przeminęły, a co minęło, nigdy się podobno nie wraca — rzekł na to Jędrzej i wszedł do swego mieszkania.

Ale wszedłszy do salonu, rzucił z niechęcią kapelusz na kanapę i zaczął się wielkimi krokami przechodzić od kąta do kąta. Wyznanie Krzywieckiej, że nawet jej tęskno za nim, napełniły go nową niespokojnością, a cóż dopiero powiedzieć o tem, kiedy mu się sam z siebie nasunął domysł, że Krzywiecka była przez Melanię przysłana do

niego na zwiady? Pod wrażeniem tej myśli, rozrastającej się w nim do dziwacznych rozmiarów, zadzwonił na służącego.

— Mój kochany, cóż tu robi Krzywiecka?

— Poszła już, panie.

— Poszła! ale co tu robiła?

— Nic, jak zwyczajnie... ona tu często zachodzi.

— Jakto? to nie pierwszy raz dzisiaj tu była?

— O! jużci nie pierwszy... bo ona tu prawie co drugi dzień bywa.

— Co drugi dzień bywa? i cóż tu robi?

— Nic panie... a cóżby?... ot gada, jak zwyczajnie kobieta.

— Ale cóż gada? wypytuje się o coś?

— Czasem się wypytuje...

— O cóż? o mnie?

— O pana.

Jędrzej już cały był w ogniu. Popatrzył służącemu surowo w oczy i rzekł gniewnie do niego:

— Proszę cię, odtąd żeby mi żadna obca służa tutaj nie zachodziła! Żadnych znajomości, żadnych konszach-tów, żadnych plotek, nie zgola! Ja ci nie każe wypyt-
wać się o nikogo, ale zakazuję surowo rozpowiadać coś o mnie! To sobie pamiętaj na zawsze, a teraz z Bogiem!

Wszakże to zastrzeżenie się od podobnych wypadków na przyszłość nie uspokoiło wcale Jędrzeja. Krzywiecka tu przychodziła ciągle, aby się wypytować o niego, była ona upoważnioną do tego przez wojewodziankę; a czyż trzeba było lepszego dowodu na to, że wojewodzianka go jeszcze zawsze zapomnieć nie może i zawsze jeszcze wyczekuje jego nawrócenia się do niej? — My, którzyśmy byli świadkami myśli i uczuć Melanii jeszcze przed dwoma ty-godniami, i którzy wiemy aż nadto dobrze, że Melania nie pragnęła niczego więcej, jak tego, ażeby Jędrzej so-bie nią swego nowego szczęścia nie mącił; my ani mo-
żemy przypuszczać tej myśli, aby Melania, która się aż do bielideł uciekła, aby boleść swą ukryć przed jego oczyma, wysyłała Krzywiecką na zwiady do niego; ale

Jędrzej, który o tem wszystkiem nie wiedział, musiał pomimo woli wpaść na ten domysł, całkiem prawdziwie przeciwny, a stąd też oczywiście i mnóstwo innych, z tego jednego koniecznie wynikających, obudziło się w nim domysłów.

Rozpatrzywszy się w tem wszystkiem swoim gorączkowem pojęciem, Jędrzej był zaprawdę do pożałowania w tej chwili. Wszystkie jego tak piękne, tak upragnione i dzisiaj rano już do takiej pewności doprowadzone nadzieje, rozprysły się teraz przed nim jak bańka mydlana i okazały mu swą wartość złudliwą w najzupełniejszej niemości. Tyle stracić drogiego czasu, tyle ponieść zabiegów i trudów, i tyle wreszcie przecierpieć na to, ażeby Melanię powoli ochłodzić i otrzeźwić z niepodobnego złudzenia, i przekonać się nagle, że te zabiegi, trudy, cierpienia na nic zgoła się nie przydały; było to dla Jędrzeja ciosem tak ciężkim, że zaledwie mógł się utrzymać pod jego straszynem ciężarem. Co więcej jednak drażliwe jego serce i umysł do ostateczności pochopny przedstawiły mu jego położenie dzisiejsze w tak czarnych kolorach, do jakich nigdy ani podobieństwa nie było. Zdawało mu się bowiem, że Melania jego postępowaniem nie tylko się nie ochłodziła w swoich złudzeniach, ale owszem przeciwnie, jeszcze więcej się rozdrażniła, że nietylko jego straty żadną miarą przeboleć nie może, ale mu nawet swoją boleść otwarcie wyrzuca. A kiedy tyle trudów, zabiegów i cierpień tylko takie pociągnęło za sobą skutki, zdawało mu się dalej, że już na żadnej drodze nie potrafi osiągnąć swojego zamiaru, że Melania stała między nim i podkomorzanką jak duch pomsty i kary, że z tego miejsca nigdy się nie ustąpi, i że ich prześladować będzie do grobu!

Były to zaprawdę zatruwające myśli dla takiego człowieka, który miał zanadto szlachetne serce, aby z krwią zimną odrzucić od siebie względy na przyjaciółkę swojego dzieciństwa i szczęście swoje okupić jakąkolwiek przez nie opłaconą ofiarą! Jakoż nie dziwimy się wcale, jeżeli te myśli napęłniły Jędrzeja tak nieznośną goryczą, jakiej do dziś dnia jeszcze nigdy nie uczuł. Po dłuższym namyśle

jakaś czezość, jakaś niechęć, jakieś tak rozpaczliwe zwątpienie opanowało jego całą istotę, że w tej chwili możeby nawet był za dobroczynną uważał tę rękę, któraby go jednym zamachem uwolniła od tego życia, zdającego mu się już tylko niepodobnym do dalszego dźwigania ciężarem.

W takim usposobieniu siadł on na krześle, stojącym prawie na środku salonu, położył obydwie ręce na jego poręczy, oparł na nich swoją gorącą głowę i pogrążył się w głębokie myślenie.

Cisza była w salonie — czas upływał pomału — i zbliżyła się wreszcie piąta popołudniowa godzina.

Już się zmierzchać zaczęło, Jędrzej ani wiedział o tem, tonąc w swych czarnych myślach, kiedy wtem usłyszał jakiś nagły szelest tuż niedaleko od siebie.

Zdawało się, jakby ktoś wskoczył prędko przededrzwia na woskowaną posadzkę i zatrzymał się w miejscu jak wryty.

Jędrzej podniósł pomału głowę, spojrzał przed siebie i obaczył Flawiusza, stojącego na środku salonu.

Obaczywszy go, zerwał się nagle z krzesła i zaledwie wierząc temu, aby to istotnie był Flawiusz, stanął naprzeciw niemu w wyprężonej i prawie dumnej postawie.

Flawiusz był jeszcze cały kipiący od zabójczego wrażenia, jakie dopiero co wyniósł od podkomorzanki — był błyśnięciem jak śmierć, jego usta zsiniały drżały, jego oczy sypały iskry ze siebie — na jego twarzy malowały się zarazem gniew, boleść, rozpacz i gotowość do jakiegokolwiek szaleństwa — jednakże kiedy stanął na środku salonu i spotkał się z dumnym, śmiałym, zdecydowanym wzrokiem Jędrzeja, złagodniał trochę i zdawało się, jakby miękł cały.

Obadwa młodzieńcy stali naprzeciw siebie przez chwilę, mierząc się wzajem oczyma i milcząc.

Nareszcie pierwszy ozwał się Flawiusz.

— Dziwi to pana zapewne, że mnie tu widzisz przed sobą?

— Bardzo mnie dziwi — odpowiedział mu Jędrzej.

— A nie powinno to pana dziwić — zawołał na to Flawiusz z nieutajonym gniewem — bo wiesz dobrze, jakie są pomiędzy nami stosunki.

— Pomiedzy nami nie masz żadnych stosunków.

— Są panie! a lubo tylko pośrednie, jednak ważniejsze niż wszystkie. Nie potrzebuję ich panu wykładać, bo je znasz lepiej odemnie. Dlatego mówię krótko: Żleśmy zrobili, żeśmy tych stosunków nie rozwiązali w Warszawie i dla tego tutaj je rozwiązać musimy. W sprawach podobnych preskrypcyi niema i dlatego przychodzę i proszę pana o satysfakcyę,

— Jeszcze o satysfakcyę! — zawołał Jędrzej z ironią.

— Jeszcze i zawsze i do samej śmierci, dopóki nas dwóch będzie na świecie!

— I rzeczywiście żądasz pan satysfakcyi? — rzekł Jędrzej jeszcze z dosadniejszą ironią.

— Panie! — zawołał zniecierpliwiony Flawiusz — proszę zaniechać żartów. Jeśli pan nie masz serca, to pan miej rozum...

— Dosyć! — zawołał Jędrzej, chwytając go za klapę u fraka — będziesz się strzelał?

— Proszę o to.

— A więc dobrze! ale bez zwłoki.

— Choćby i teraz.

— Teraz noc, ale jutro o samym świecie, czekam pana... ze świadkami... na Wysokim Zamku.

— Ja pana tam czekać będę. Dziękuję i żegnam.

— Jutro... o samym świecie... w ruinie... na Wysokim Zamku! — powtórzył jeszcze Jędrzej za odchodzącym Flawiuszem, i został sam jeden w salonie.

Tymczasem Flawiusz, uradowany niezmiernie rezultatem tego spotkania, biegł prosto do siebie, aby się postarać o świadków. Rzeczą zdawała mu się dość łatwą, bo w tej samej kamienicy na drugim piętrze mieszkało kilku młodzieży, którzy wszyscy byli mu bardzo dobrze znani. Na nich tedy licząc z pewnością, biegł jak mógł tylko najprędzej, i dobiegłszy do domu, zaraz w progu spotkał jednego z tych młodzieńców, wyjeżdżającego wła-

śnie do miasta. Chwycił go Flawiusz w przelocie i prosił go zaraz na świadka do swej sprawy na jutro. Propozycję swoją sformułował Flawiusz w ten sposób, jakby go tylko zawiadamiał o tem, co się z jego strony stać miało, nie wątpiąc wcale o jego odpowiedzi pomyślnej — ale tymczasem młodzieniec zbłądł na tę wiadomość jak ściana i zaczął jękać Bóg nie wie co.

— Pojedynek... na pistolety... tu, w samem mieście... a jeszcze z Jędrzejem... nie, ja tego nie mogę uczynić. Żeby przynajmniej choć na pałasze...

Flawiusz spojrział mu w oczy i plunął, ale szczęściem tylko na ziemię, bo inaczej byłby miał drugi pojedynek, a tu i jeden już zaczynał napotykać trudności.

Jakoż ta trudność ochłodziła go trochę w jego ferworze, bo go przekonała, że różni są ludzie na świecie, a w sprawach takich, które grożą jakimkolwiek niebezpieczeństwem, nie wszyscy tak łatwi, jakim był dzisiaj Rudnicki. Wszedł też on już trochę powolniejszym krokiem do służącego, aby go spytać, czy tamci drudzy panowie z drugiego piętra są w domu, a gdy się ku swojemu zmartwieniu dowiedział, że ich nie masz, już całkiem wolno zmierzał ku swojemu mieszkaniu, aby się w niem namyślić, jak ma sobie dalej postąpić.

Wszakże tuż zaraz za nim wszedł służący i oddał mu ową kartkę, którą skarbnik przed chwilą dla niego zostawił. Flawiusz zaświeceł świecę, kartkę odczytał — i stanął jak odurzony. Przeczytał ją po raz wtóry i trzeci, ale odurzenie jego tylko coraz się więcej wzmagało; kartka ta bowiem powtarzała mu zawsze to samo, zaklinając go „w imieniu ojca, który jest, żyje, i może mu być oddanym“, aby się krokiem od siebie nie ruszał.

Przyszedłszy cokolwiek do przytomności, zaczął wypytywać służącego, ktoby to był, który mu tę kartkę zostawił? Służący opisał mu skarbnika, jak mógł tylko najlepiej, ale stąd Flawiusz jeszcze niczego domyśleć się nie mógł: bo ilużto on znał panów takich, którzy byli słuszni wzrostem i ubierali się po polsku? a iluż jeszcze było i takich, których nie znał? Ażeby oddawca tej kartki

a więc i znalazcą jego ojca mógł być skarbnik, ani mu się to nawet przyśniło.

Ta niemożność odgadnięcia, ktoby był tym nieznanym, trapiła go niesłychanie, ale utrapienie to było jeszcze niczem w porównaniu z jego całym położeniem w tej chwili, w którym mu uciekał czas tak drogi, tak konieczny do znalezienia świadków, a w którym pomimo to ruszyć się nie mógł z domu, bo ów nieznanomy miał lada moment powrócić i zapowiedział mu naprzód: „że dzień dzisiejszy jest decydujący“. Położenie to było rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Każda chwila mogła tu unieść ze sobą jego honor, imię, fortunę, szczęście i prawie życie — i chwile te uciekały jedna za drugą — a on był skazany na zupełną bezczynność i nie mógł ani krokiem ruszyć się z domu.

Trapiąc się taką niespokojnością, oczekiwaniem, obawą, Flawiusz był jak na szpilkach. Byłby oddał część życia za to, gdyby był tylko wiedział, co mu następna chwila przyniesie — ale tymczasem chwile mijały w najuporniejszym milezeniu, zaczęły mijać kwadranse, minęła już nawet godzina, a oddawcy kartki zawsze jeszcze nie było. Godzinę tę Flawiusz opłacił tak okropną męczarnią, jakiej kto inny i przez cały rok nie przeżyje, a pomimo to jeszcze zawsze nie wiedział: czy go jutro infamią obrzuci nieubłagany Rudnicki? czy dzisiaj jeszcze za wszystkie męki całego życia odetchnie szczęściem u nóg swojego ojca?

Wszakże po upłynionej godzinie dał się słyszeć turkot powozu pod oknem. Flawiusz był baczny na każdy szelest najmniejszy — posłuchał lepiej — powóz się zatrzymał przed bramą.

— To on! — zawołał Flawiusz — to on! i może nawet już z moim ojcem! — i serce mu uderzyło gwałtownie.

Pobiegł ku drzwiom — otworzył je — i spotkał się oko w oko — z skarbnikiem.

Jakieśmy powiedzieli powyżej, Flawiuszowi ani na myśl nie przyszło, żeby oddawcą tej kartki był skarbnik; więc

obaczywszy go teraz, niesłychanie się zdziwił. Zląkł się go nawet, bo w pierwszej chwili zdawało mu się, że skarbnik, dowiedziawszy się o jego deklaracji, zrobionej Stasi, przyjeżdża do niego, aby mu za to czynić wyrzuty. Flawiusz już teraz ani myślał o podkomorzance — była to już teraz sprawa przepadła dla niego, a zresztą w tej chwili tak mało ważna, że mu się sama z siebie usunęła na stronę — więc kiedy ujrzał skarbnika, nie mógł inaczej jak tylko spojrzeć na niego z miną kwaśną i najwyraźniejszą niechęcią. Ale on jeszcze gorzej zrobił, bo ulegając głównie tylko wrażeniom chwili i dając się im zawsze unosić, odskoczył wprost od skarbnika i tak popatrzył na niego, jakby go pytał: Czego pan chcesz dzisiaj odemnie? — Tymczasem skarbnik, mając już całe wzięcie się do niego ułożone przez drogę, spojrzał jeszcze surowiej na niego i rzekł gniewnie i z góry:

— No, i cóż ty robisz, waryacie?

— Co robię? — zawołał Flawiusz mrukliwie — nie nie robię!

— Nic nie robisz teraz, ale coś już porobił!

— Proszę pana krótko, bo nie mam czasu! — zawołał na to Flawiusz, drżąc cały z niecierpliwości — przychodź pan do mnie, żeby mi robić wyrzuty za to, żem się deklarował pannie podkomorzance. Oszczędzam panu długiej perory i jeśli o to chodzi, przyznaję z góry, żem waryat, głupi, szalony i co się tylko panu podoba. Jeśli panu to mało, to masz i więcej, bo powiadam wyraźnie, że z panny Stanisławy i wszystkich, którzy do niej należą, kwituję na zawsze i na wieki. Czy masz pan już satysfakcyę? czy może jeszcze nie dosyć?

— Co do tego punktu to dosyć — rzekł skarbnik, ukrywając ile możności swoje zadowolenie — ale mamy tu jeszcze coś więcej.

— Czy jeszcze więcej?

— A jużci jeszcze, alboż to nie wiesz? czy nie odebrałeś mej kartki?

— Jakto! — zawołał Flawiusz, jakby błyskawicą olśniony — to pan pisałeś tę kartkę? Tę, ot! tę kartkę, to

pan mi ją zostawiłeś? — mówił Flawiusz, pokazując też kartkę skarbnikowi i trzymając mu ją drżącą ręką przed samemi oczyma.

— A jużci ja ją pisałem.

— Oh! to pan! pan to jesteś! oh! panie majorze! — zawołał Flawiusz, rzucając mu się w ramiona i zalewając się łzami.

— Ale poczekaj no — mówił na to skarbnik — uspokój no się... bo to...

— Bo co? — wołał Flawiusz, stając przed nim jak posąg i blednąc jak ściana? — to może farsa?

— Oh! to nie farsa, mój drogi! bo z takich rzeczy fars się nie robi.

— Ah! a no więc, a więc pan wynalazłeś mojego ojca? pan go znalazłeś? któż to jest taki?

— Czekaj no, bo lubo to sprawa nagła, mówmy jednak porządkiem...

— Ach! panie! nie męcz-że mnie już dłużej i powiadaj, kto i gdzie jest mój ojciec? — wołał Flawiusz, porywając skarbnika obydwoma rękami za kontusz na pierśiach — kto on jest? to pan, to pan sam jesteś?

— Tfu! — krzyknął skarbnik — w imię Ojca i Syna! daj-że mi pokój! — I odskoczywszy od niego w kąt izby, zmarszczył czoło i patrzył nań gniewliwemi oczyma.

Flawiusz milczał przez oka mgnienie — ale zaraz znowu zapytał:

— Ale na miłość Boga, któż to jest taki, to podkomorzy lwowski?

— Ot! także koncept! — mruknął na to Nieczuja.

— Ale któż znów u Pana Boga — wołał Flawiusz, przystępując do skarbnika — któż? to chorąży koronny? on taki dobry dla mnie, taki słodki, taki pocziwy? to on?

— Nie — odpowiedział skarbnik i usiadł na krześle.

Flawiusz patrzył na niego dziwnie litościwemi oczyma i nic już nie mówił:

Tymczasem, uspokoiwszy się trochę, zaczął znów skarbnik:

— Właściwie mówiąc, powinien-bym ci naprzód opo-

wiedzieć całą historię twojego ojca i twoją, której z wielkim mozołem doszedłem, ale kiedy tak jesteś niecierpliwy, więc ci już powiem, że twoim ojcem jest...

— Jest kto? — krzyknął Flawiusz, przyskakując do niego.

— Jest starosta bełzki.

— Starosta bełzki! — zawołał jakoś dziwnie tą wiadomością uderzony młodzieniec — to on!...

I wymawiając te słowa, chwycił się ręką za czoło, i zamyślił się trochę, jak gdyby sobie wywoływał przed wyobraźnią postać starosty.

— I to on pewnie? — spytał w zamyśleniu po chwili.

— On, niezawodnie, mógłbym na to przysięgać.

— I on znał mnie, i wiedział o tem już dawniej?

— Zdaje się, że wiedział już dawniej kto jesteś, bo sam mi się przyznał do tego, że się wypytywał o ciebie.

— Ach! i dlaczegóż on mnie witał tak zimno na balu!? — zawołał Flawiusz żałośnie, załamując ręce przed sobą, a dwie łzy duże wytrysnęły mu z oczu i stoczyły się po policzkach.

Trwała chwila milczenia.

Ale niebawem znowu zerwał się Flawiusz i porywając za kapelusz, zawołał:

— Ale to nie! on był zimny, bom ja nie o tem nie wiedział, bom nie przemówił do niego; ale kiedy mnie obaczy na kolanach przed sobą, kiedy głos mój usłyszy, kiedy łzy moje obaczy... Chodźmy! chodźmy w ten moment! Pan przecież ze mną, pan mnie nie odstąpisz w tej chwili, pan się podzielisz ze mną tem szczęściem, na które czekałem tak długo? bierz pan czapkę i chodźmy!

Ale skarbnik tylko patrzył na niego i nie ruszał się z miejsca.

— Cóż? pan nie chcesz iść ze mną? pan mnie puszczasz samego?

— Połóż kapelusz — rzekł na to skarbnik — i siadaj tutaj koło mnie, bo to jeszcze nie zaraz przyjdzie ta chwila, w której pójdziemy do niego. Wiedz bowiem o tem,

że ten twój ojciec nie chce się przyznać do ciebie, nie chce nawet nie wiedzieć o tobie...

— On nie chce wiedzieć nic o mnie? — zawołał Flawiusz rozziewającym głosem — on się wypiera!?

— Wypiera się, ale mu to nie nie pomoże, bo ja mam na to dowody.

— Pan masz dowody? a cóż on mówi?

— On się chce milczkiem od ciebie wykupić.

— Wykupić odemnie? on! ojciec! i cóż mu pan powiedział na to?

— Powiedziałem mu, żeby sobie schował swoje pieniądze i żeby próżno nie plugawił imienia swojego syna, kiedy plugawi swe własne!

— Tak mu pan powiedziałeś? — zawołał Flawiusz, jaśniejący cały radością — panie majorze! dajże mi pan rękę, niech ją do ust moich przycisnę. Pan jesteś moim prawdziwym ojcem. Pan się opiekujesz mną lepiej jak ojciec, a nie mogąc mi wrócić szczęścia, strzeżesz przynajmniej mego sumienia. Jakiegokolwiek bądź losy mnie spotkają na świecie i jakkolwiek mogę się jeszcze odmienić, bądź pan pewny, że mego szacunku, mojej wdzięczności dla pana nigdy nie zmienię. Wiedz pan bowiem, że jesteś jedynym człowiekiem na całym świecie, który się ujął sieroty, opuszczonej nawet przez własnego jej ojca.

To mówiąc, Flawiusz płakał jak dziecko, a łzy mu głos zalewały. Utuliwszy się w płaczu, mówił dalej:

— A co do mego ojca, kiedy mnie się wypiera, to i ja go się wyprę i ani widzieć go nie chcę. Niech sobie jeszcze i dom ten odbierze, który memu dziadowi darował, i tego nie potrzebuję od niego! Świat jest wielki i ma miejsce dla wszystkich, a kogo ludzie nie chcą pomieścić, tych sam Pan Bóg bierze w swoją opiekę i jeszcze lepiej pomieszcza. Toż i ja nie zginę na świecie!

— Ale proszę cię, daj-no pokój! — rzekł na to skarbnik — piękna jest taka rezygnacya, ale tu nie na miejscu. Gdybyśmy mieli do czynienia z innym człowiekiem, jabym ci sam do tego doradził; ale tu mamy złość i upór przed sobą — a więc upór na upór a na złość bez lito-

ści! Takie jest moje zdanie. A zresztą, proszę cię, na cóż tobie żyć bez imienia, czci i fortuny, kiedy ci się wszystko należy? Ty jesteś ślubnym, prawowitym synem starosty i ja ci wskażę na to dowody...

— I ja jestem prawowitym synem starosty?

— Najprawowitszym...

— I jakimże u Pana Boga sposobem się to stało, że on mnie tak haniebnie opuścił? Powiedz mi pan to... bo koniec końców nie jeszcze nie wiem.

Tu Flawiusz zasiadł naprzeciwko skarbnika, a ten mu opowiedział tę całą historię, która nam, lubo fragmentarycznie, jednak w całości już dawno znajoma.

Flawiusz go słuchał z ciekawością niezmierną i o najdrobniejsze szczegóły wypytywał — skarbnik mu je wszystkie jak najdokładniej wyświecał. Jakoż już z samego porównania tych szczegółów z tymi, które Flawiuszowi jeszcze od jego dziadka były wiadome, prawda skarbnikowego podania była zanadto jasna, aby mogła ulegać najmniejszemu wątpieniu. Flawiusz uzyskał więc niewzruszone przekonanie, że jest istotnie synem starosty — ale chodziło tu o dowody. Ale i te, podług zeznania skarbnika, istniały i skarbnik o nich tak mówił:

— Zaświadczenie to, zaświadczenie ślubu starosty z twoją matką, zaświadczenie formalne, opatrzone podpisem księdza, świadków i kościelną pieczęcią, znajduje się, jak ci mówię, u Rudnickiego w Jaćmierzu. Starosta wiedział o tym dokumencie i wiedział gdzie się znajduje, jakoż wydawszy swoją siostrę za Rudnickiego, chciał go od niego wydobyć; ale powiadał mi sam Rudnicki, kiedy byłem u niego ostatnim razem i zgadało się o tem przypadku, że mu tego dokumentu nie wydał. A więc go ma jeszcze u siebie i dostać go od niego nie będzie trudno. A dostać go trzeba niezwłocznie, jak tylko można najprędzej, bo, jak ci mówię, starosta wie o nim i pewno dobrze pamięta. Nie usiłował go wydobyć koniecznie, bo nie było tego potrzeby, ale po scenie dzisiejszej ze mną jestem pewny, że natychmiast do swojej siostry napisze, aby mu albo ten dokument z papierów męża dobyła, albo

ażeby przynajmniej dopilnowała, żeby go nie wydobył kto inny.

— A więc-by mi trzeba tam jechać? — rzekł Flawiusz.

— Ale jechać, i to natychmiast, bez żadnej zwłoki.

— Hm! jechać to bagatela, ale jakżeż ja się tam pokażę? Nikt mnie tam nie zna?

— Ja ci i na to poradzę. Dam ci list do starego, zmyślimy jakiś pretekst inny, bo trza coś zmyślić koniecznie... cóż tedy? Oto mu napiszę, naprzykład: że chcesz jakiś majątek kupić w Sanockiem, że byłeś w tej myśli u chorążego, ale że tam nie znalazłeś... więc chcesz się w tamtej okolicy rozpatrzyć. A że stary Rudnicki jest człowiek zacny, doświadczony, dobry gospodarz, zna swoje wszystkie swoje sąsiedztwa, więc cię rekomenduje do niego i poproszę w moim liście, aby ci nie odmówił swojej rady. I to nawet będzie najlepsze, bo tym sposobem będziesz w razie potrzeby mógł tam posiedzieć choćby i kilka tygodni, a gdyby przyszło dla apparencyi i z parę wiosek obejrzeć, to i to nie zaszkodzi. A co do niej samej, to się wcale nie frasuj. Jesteś Francuz — to dla niej dosyć. Jestem pewny, że jej dziwnie przypadniesz do smaku i nawet ci sama wszystkie papiery każe poznosić, byle tylko nie wiedziała czego w nich szukać będziesz, bo lubo to twoja ciotka, jednak to siostra starosty. Posyłaj więc natychmiast po konie na pocztę, każ pakować twoje walizy, a mnie daj papieru i pióra, abym ci list ten napisał.

Flawiusz już na to nie zgoła nie mówił. Wszystko to, co się dzisiaj od skarbnika dowiedział, było dla niego tak wzruszające, tak ważne, a przytem tak zupełnie jego oczekiwaniom nieodpowiednie, że mu się te wiadomości jakby chaos kłębiły w głowie i nawet pozbawiały go przytomności. Podróż do Jaćmierza zdawała mu się wprawdzie konieczną, ale była ona dla niego tak niespodziewaną, tak nową, tak wreszcie dziwną, że nie mając dość czasu, aby się nad nią spokojnie namyśleć, nie mógł się z nią wcale połapać. Jednak widząc skarbnika zajmującego się tak szczerze jego fatalnymi losami i nawet poświęcającego

swój własny spokój dla niego, już mu się w niczem nie przeciwiał i pozwolił mu robić z sobą, co mu się podobało.

Widząc w nim skarbnik taką uległość, a nawet jakby jakieś odrętwienie chwilowe, korzystał z tego i już sam dysponował wszystkiem podług swej woli. Jakoż wysłał natychmiast swego służącego po konie na pocztę, służącemu Flawiusza kazał pakować walizy, sam sobie znalazł na biurze papier, atrament i pióro, i już miał właśnie zasiadać do pisania owego listu — kiedy wtem Flawiusz uderzył się ręką po czole i zawołał:

— Ah!... ja nie mogę jechać na żaden sposób!

— A toż dlaczego? — spytał zdziwiony skarbnik.

— Nie mogę... nie... dzisiaj nie mogę na żaden sposób.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego?... bo jutro rano mam pojedynek.

— A toż z kim znowu?

— Z Rudnickim.

— Jakto? a to skąd? czy była jaka awantura pomiędzy wami?

— Nie!... tak...

— A więc o cóż się bić?

— Ja go wyzwiałem.

— Lecz o cóż?

— Tak... wyzwiałem go.

— Jakże? więc tak? tylko dla satysfakcyi?

— Dla satysfakcyi.

— I przyjął?

— Przyjął na pistolety, na jutro rano o samym świącie na Wysokim Zamku, w ruinie.

— A! to czyste waryaty! — zawołał skarbnik — ale siadaj-no i opowiedz mi jak to było, bo mi trza o tem wiedzieć dokładnie.

Flawiusz mu opowiedział całą scenę dzisiejszą z Jędrzejem.

Stary żołnierz wysłuchał wszystkiego z uwagą, o co potrzeba było po raz wtóry zapytał, a w końcu rzekł:

— No, toż to niema żadnego znaczenia. Ty swoją

drogą natychmiast sobie pojedziesz, a ja ten pojedynek wezmę już na siebie.

— Ale nie mogę, panie majorze! — rzekł na to Flawiusz — jechać na żaden sposób nie mogę. O toby była ładna historia! Cóż to, pan nie wiesz z kim mam do czynienia? Jędrzej, taki waleczny, taki pancerny kawaler, oficer i jeszcze do tego ze szkoły księcia Józefa! Jemu chybić, dziękuję! A zresztą, choćby i komukolwiek! Cóż pan myślisz? sam wyzwałem i sam pierwszy nie stanę na placu, a toż po jakiemu?

— Ale proszę cię, tylko mnie to już zostaw — zawołał na to Nieczuja — znam się przecież na sprawach honorowych...

— Już, mój panie majorze — przerwał mu Flawiusz — proszę tylko przytem się nie upierać...

— Ale dajże pokój! — zawołał skarbnik z niecierpliwością — tak będzie, jak ja postanowię! A potem coś to? czy ty myślisz, że ja nie wiem, o co wy się strzelacie? He? i ty myślisz, że w jakimkolwiek bądź razie jabym dał się wam strzelać o Stasię? Waryaty! A do czegoż to znowu? No, pakuj twoje rzeczy i jedź, a już ja to biorę na siebie i ręczę ci za to, że załatwię tę sprawę z honorem...

— Panie majorze! już co tego, to w żaden sposób...

— Ale nie bądźże już istnym waryatem — zawołał skarbnik, tracąc resztę swej cierpliwości — coś to? czy już nie jestem godzien i takiej nawet ufności? Powiedziałam ci wyraźnie, że sprawę tę przyjmuję na siebie i jeśli ją wyprowadzę ze szkodą dla ciebie, to ja ci za to odpowiem. A zresztą krótko: masz sekundanta?

— Nie mam jeszcze...

— Kogoż weźmiesz?

— Teraz... straciwszy prawie pół nocy, sam już nie wiem...

— A mnie przyjmujesz?

Flawiusz patrzył na niego i milczał.

— No, coś? i na sekundanta nawet mnie nie przyjmujesz?

— Ha! to przyjmuję...

— Daj rękę...

Flawiusz podał mu rękę.

— A teraz jako sekundant, który mam pełną władzę nad tobą, rozkazuję ci, abyś natychmiast wyjeżdżał.

Flawiusz spojrział na niego z zdziwieniem.

— No, nie patrz że już — zawołał skarbnik — i ufaj mi przecie, do trzech kroć stu tysięcy!

Ja panu ufam, ale czy będziesz pan się widział z Jędrzejem przed czasem?

— Będę się z nim widział na placu, bo jużci trudno robić po nocy hałasy. A zresztą.. będę jeszcze w jego mieszkaniu przed świtem.

— Ale proszę pana, jakże pan to załagodzisz?

— A co tobie do tego? Już ja wiem jak sobie w takich sprawach postępować należy. Dosyć powiem ci tyle, że Jędrzej nawet nie będzie wiedział, że ciebie nie będzie na placu i ręczę ci za to, że będziesz miał potem daleko lepszą u niego opinię, niżeli ją miałeś dotąd. Proszę cię nie trać czasu napróżno, bo czas uchodzi — a wiedz o tem, że starosta może nawet sztafetę wysłać do swojej siostry, jeżeli jej już nie wysłał dotychczas... Pakuj więc rzeczy, a mnie daj już raz ten list fatalny napisać, bez którego nie miałbyś z czem się pokazać...

To rzekłszy, zasiadł zaraz do pisania owego listu.

Tymczasem Flawiusz chodził po pokoju i myślał. I różne teraz przychodziły mu myśli. Podróż do Jaémierza, po zrobionej przez skarbnika uwadze, że starosta może sztafetę wysłać do siostry, zdawała mu się jeszcze konieczniejszą i pilniejszą niż pierwszej — ale pomimo to myślał o tem, że jutro nie stanie Jędrzejowi do sprawy, odzywała się ciągle do niego i sprawiała mu nader niemiłe uczucie. Ufał on wprowadzić skarbnikowi zupełnie, że sprawę tę jaknajpiękniej załatwi, ale nie mógł w to w żaden sposób uwierzyć, żeby stąd takie same wyniknęły dla niego skutki, jakie wyniknęłyby z pojedynku. Z załatwionej sprawy honorowej można wyjść czysto, ale z pojedynku wychodzi się z blaskiem. A tego blasku choć przynajmniej cokolwiek chciało się Flawiuszowi koniecznie... Wszakże

były to wszystko tylko myśli niejasne, zachcenia niewyraźne, przelotne, które w tej chwili nie mogły w nim wzrosnąć do żadnej potęgi, bo czasu nie było na to i zresztą w tej samej chwili inne jeszcze się w nim odzywało uczucie. A było to uczucie dosyć dziwne, nieokreślone, pierwszy raz teraz w nim się odzywające. Wyrosło zaś ono stąd, że Flawiusz widział teraz skarbnika tak serdecznie, tak szlachetnie, tak szczerze zajmującego się jego losem, za co poczuwał się w głębi serca do otwartej dla niego wdzięczności — tę wdzięczność chciałby on był swojemu dobroczyńcy jak najserdeczniej wyrazić i pragnął ją niezamąconą zachować w swoim sercu na zawsze, a tymczasem tę wdzięczność mąciło najszkaradniej nasuwające mu się teraz wspomnienie, że bawiąc niegdyś na leskim zamku, knował z Małdrzykiewiczem tajemne zmoxy, aby tegoż samego dzisiejszego dobroczyńcę swego podstępnie z zastawnego wyrzucić majątku. Stąd tedy wywiązywało się w nim jakieś uczucie takie, którego sam nie był w stanie określić, ale które niepokoiło go bardzo i szarpało bez litości.

Ale tymczasem skarbnik list skończył i oddając mu go, tak mówił do niego:

— Masz tedy list do Jaćmierza. Robię cię w nim kapitalistą, mającym realność w Warszawie i chcącym dobra ziemskie zakupić; pamiętaj że zastosować się do tego i nie wypadać z swej roli. Wspominam tu także o tem, że jesteś uczonym i pracowałeś w biurze ks. Hugona, a stąd łatwo możesz mieć pretekst do zbliżenia się do książek i papierów starego. A jak tam prowadzić się zresztą, od tego głowa. Bywaj więc zdrów i niech Pan Bóg da jak najlepiej. Wynalazłszy zaś ten dokument, wracaj czemprędzej, a wtedy pogadamy ze starostą.

Kiedy to mówił skarbnik, przyprowadzono już konie pocztowe i zaprzęgano je do powozu Flawiusza. Owego czasu każdy musiał jeździć swoim powozem, bo inaczej nie było można. Tymczasem także i służący uparał się z pakowaniem i wynosił już pozamykane walizy do sieni. Skarbnik siedział w krześle przed biurem i zwróciwszy się

do Flawiusza, dawał mu jeszcze niektóre instrukcye co do zachowania się na dworze jaémierskim. Flawiusz niby go słuchał z uwagą, ale widać było po nim, że jego myśli i uczucia były gdzieindziej, — jakoż kiedy skarbnik swoje uwagi zakończył, on się zbliżył do niego, uklęknął przed nim i zalawszy się łzami, tak mówił:

— Panie! że jesteś moim dobroczyńcą największym, jakiego kiedykolwiek znalazłem w życiu, że jesteś najtroskliwszym mym opiekunem i więcej jeszcze niż ojcem moim, o tem nie potrzebuję ci mówić. Wiesz sam o tem najlepiej i tego się także domyślasz, że za tyle pocziwości i szlachetności doświadczonej od ciebie, będę ci w głębi mojego serca najwdzięczniejszym do śmierci. Ale panie, ty nie wiesz o tem, żem ja nie wart tego wszystkiego!

— Ale co tam! — zawołał skarbnik — wart albo nie wart, dajmy temu pokój...

— Ale nie, panie! nie wart jestem! bo wiedz o tem, że niedawno jeszcze ja moją własną rękę podawałem ku temu, aby ci szkodzić...

— A toż jak znowu? przecież nie chciałeś mnie zabić...

— Nie, panie! Ale kiedy Małdrzykiewicz chciał to u chorążego wyrobić, aby ci Bóbrkę odebrać...

— To ty pomagałeś do tego? he? i to już wszystko?

— Wszystko, drogi panie majorze! ale i tego nie mogę sobie przebaczyć...

— No, ale ja ci to dawno już przebaczyłem...

— Pan jesteś najpocziwszym z ludzi — zawołał Flawiusz — ale ja przecież się jeszcze obawiam, żeby tam Małdrzykiewicz...

— Ale dajno pokój! Niema tu o czem mówić i proszę cię o to wszystko co odemnie zależy, bądź jak najzupełniej spokojnym. Nie mam zwyczaju zajmować się czem na połowę. Powiedziałem sobie, że cię z błota wyciągnę i na tej drodze pewnie zrobię już, wszystko, co tylko będzie w mej mocy. A kiedybym już nie mógł uczynić więcej, to i tak już ci trochę pomogłem, pomagaj sobie sam zresztą jak możesz a tylko czysto, pięknie, szlachetnie, bo to jest grunt i fundament wszystkiego. Ze spokojnem su-

mieniem, z zacnością, z cnotą, człowiek nigdy nie może być nieszczęśliwym i nigdy ubogim, jakiegokolwiek tam jego nazwisko, fortuna i pozycja pomiędzy ludźmi. To sobie pamiętaj i bywaj zdrów.

To mówiąc, objął go w swoje ramiona i żegnał jak syna. Flawiusz płakał jak dziecko, odjeżdżające od matki. Ale skarbnik nie dał mu się już dłużej rozczulać, tylko wpakował go do powozu i czempredzej wyprawił.

Sam zaś wsiadł do swojej karety i do siebie odjechał.



Nazajutrz rano, na czas jeszcze przed świtem, wilgoć była na ziemi, wilgoć w powietrzu i mokry śnieg padał ogromnymi płatami, — kiedy trzech ludzi, poubieranych w krótkie futra i płaszcze, pięło się z wielkim móżdżem na szczyt góry zamkowej. Zesuwając się co moment po błocie, piasku lub śniegu, lecz chwytając się skrzętnie to porozrzucanych tamtędy głazów, to różnych karłowatych krzewin pomiędzy głazy rosnących, wdarli się nareszcie na sam szczyt góry i idąc już swobodnie jej grzbietem, weszli w starą ruinę książęcego niegdyś zamczyska, która tam leżała na górze. Ruina ta, dzisiaj zaledwie widna dla oka, miała naówczas jeszcze tu i owdzie mury dosyć wysokie, mogące w nagłej potrzebie dać bezpieczne schronienie, — jakoż takie pomiędzy nimi miejsce obrali sobie ci trzej nocni podróżni i posiadawszy tamże na głazach, poczęli używać tak upragnionego dla siebie spoczynku.

Ci trzej podróżni byli to Jędrzej i jego obadwaj świadkowie, którzy o oznaczonej godzinie stanęli na placu umówionego boju, oczekując cierpliwie na przybycie partyi przeciwnej.

Po odetchnieniu poczęła się między nimi toczyć powolna rozmowa, ale była to rozmowa taka, której powtarzać tutaj niemasz wcale potrzeby: co było ważniejszego, dotyczącego tej sprawy, powiedzieli sobie już w domu, a tutaj nie pozostało im nic już, jak chyba przewidywać możliwe skutki tego spotkania, co jak we wszystkich po-

dobnych chwilach, tak i tutaj mogło być tylko cczą gadaniną.

Lubo wśród tej pogadanki czas upływał wszystkim nadzwyczajnie powoli, przecież z tym czasem zaczęło się niebo rozjaśniać na wschodzie, później rozjaśniło się całkiem, a nareszcie i dzień biały, bielszy jeszcze o wiele przy odblasku świeżego śniegu, objął ziemię dokoła. Pomimo to wszakże o partyi przeciwnej jeszcze ani słyhu nie było.

Oczekujący zapaśnicy mieli jeszcze ciągle cierpliwość.

Lecz kiedy wśród dnia białego już prawie więcej niżeli pół godziny minęło, Jędrzej wstał z miejsca i rzekł do swych świadków:

— Mości panowie! podobno moje przewidzenie się ziści. Skończymy na ostrzelaniu placu i powrócimy spokojnie do domu.

Obadwaj świadkowie byli innego zdania i tak jeden jak drugi, nie mogąc tego dopuścić, ażeby ktokolwiekbydz mógł się nie stawić na placu, każdy w swój sposób dowodzili mu tego, że lada moment Flawiusz nadejdzie.

— Ale co tam! — rzekł na to z niecierpliwością Jędrzej — nie pokaże się nam i koniec. Zdaleka zdaje mu się, że jest wielkim rycerzem, ale zbliżka to krucho.

— Nie, co na to, to pozwolić nie mogę — zauważał jeden ze świadków — bom go sam widział w niebezpieczeństwie zbliżka, było na co popatrzeć.

Jędrzej chciał jeszcze i na to odpowiedzieć przecząco, kiedy wtem jakiś szelest dał się słyszeć w pobliskim wyłomie muru, a w tejże chwili wszedł wewnątrz ruiny i stanął naprzeciwko Jędrzeja — skarbnik.

Skarbnik był zmęczony, spocony, zziajany i nie mógł zrazu ani słowa przemówić, ale tymczasem Jędrzej, niepomалу zdziwiony jego zjawieniem się, rzekł do niego:

— A! pan major! Czy pan tutaj tylko przypadkiem, czyli umyślnie.

— Jak najumyślniej...

— A więc pan jesteś świadkiem Flawiusza?

— Ja jestem...

— A pan Flawiusz?

— Jest także. Ale nim go postawię na placu, chcę się pierwiej z tobą, panie Jędrzeju, rozmówić.

Ale na to Jędrzej usunął się o krok jeden od niego i rzekł:

— Przepraszam pana majora, ale ja nie mam tutaj żadnego głosu. To są moi świadkowie, z nimi tedy pan major zechce się o warunki ułożyć.

A na to skarbnik:

— Znane mi są te wszystkie formy, jakoż respektuję władzę tych panów i o warunkach bitwy z nimi tylko będę rozmawiał, ale nim do warunków przystąpię, muszę pierwiej z tobą samym pogadać.

— W tym wypadku nie pozostaje mi nic, jak tylko jeszcze raz pana majora przeprosić...

— Ależ zmiłuj się! — zawołał na to rozpaczliwym głosem Nieczuja — przecież pozwolisz sobie powiedzieć, że jakkolwiek pojedynek jest sprawą nadzwyczaj ważną, jednak są sprawy daleko jeszcze ważniejsze od pojedynków!

— To prawda, ale...

— Ale chodź-no, chodź! — zawołał na to skarbnik, biorąc go zaraz pod ramię — cóż tam u Pana Boga! przecież nie z bisurmanem masz do czynienia, tylko z kolegą i bratem! A ci panowie także nie będą mieli nie przeciw temu!

Jędrzej się jeszcze ociągał, — ale kiedy świadkowie oświadczyli się sami, że nie mają przeciw takiej rozmowie, dał się przecie namówić.

Wziął go tedy skarbnik pod ramię i odprowadziwszy w najodleglejszy kąt tej ogromnej ruiny, zaczął swoje perswazyje.

Jakiemi drogami skarbnik te perswazyje prowadził i jakich argumentów na Jędrzeja używał, nie będziemy tutaj rozpowiadać obszernie, jakoż to tylko powiemy, że pomimo bardzo zręcznego prowadzenia swej sprawy przez doświadczonego na takich drogach skarbnika, Jędrzej długo był niezachwiany w swem przedsięwzięciu i wszystkie argumenty skarbnika rozbijał. Lecz kiedy skarbnik nareszcie uciekł się do ostatniego już środka i dał mu do zrozu-

mienia zdaleka: że rozgłos tego pojedynku niezawodnie się oprze o Stasię i jej imię odda na pastwę pogadankom brukowym, — Jędrzej się zachwiał odrazu i już tylko pytał, czemu Flawiusz się nie postawił na placu? — Skarbnik mu ręczył, że Flawiusz jest tu w bliskości; — Jędrzej temu nie wierzył i różne przeciw Flawiuszowi zmyślał sobie niechęci, — a ponieważ skarbnikowi chodziło także i o to, ażeby Flawiuszowi dobrą u wszystkich zachować opinię, — więc jeszcze żywa się o tem toczyła dysputa: — kiedy wtem nowy szelest dał się słyszeć w wyłomie muru i równocześnie z szelestem, wszedł sam Flawiusz wewnątrz ruiny.

Jakim sposobem Flawiusz się tu zjawił w tej chwili, jest to rzecz zbyt łatwa do odgadnienia, abyśmy o niej potrzebowali rozprawiać szeroko. Powiemy więc krótko, że Flawiusz, wsadzony przez skarbnika do powozu, rzeczywiście odjechał, — i odjechał z tem przekonaniem, że skarbnik jak najlepiej jego sprawę z Jędrzejem załatwi i z tej strony niema się wcale czego obawiać. Lecz ujechawszy milę i rozmyśliwszy sobie cokolwiek chłodniej swe położenie, nie mógł znieść tego na sobie, aby się nie postawił na placu. Jakiegokolwiekbądź z tego mogłyby dla niego wyniknąć szkody na innych drogach, wszystkie zaryzykował, — i kazawszy nawrócić, prosto pod górę zamkową przyjechał.

Teraz, w wielki płaszcz owinięty, wszedł jak mógł tylko najciszej i stanął pod murem.

Obaczywszy go, skarbnik oczywiście niesłychanie się zdziwił, ale ustrzegł się tego, aby to dać poznać po sobie.

Zjawienie się to Flawiusza, lubo z innych względów skarbnikowi niemiłe, nie można jednak powiedzieć, aby mu się całkiem niepodobało. Stary żołnierz odgadł natychmiast, co tu przypędziło Flawiusza i umiał to w nim uszanować.

Jakoż nabrawszy przez to jeszcze więcej zapału, wkrótce całkiem złamał Jędrzeja i tak pięknie rzecz całą urządził, że obadwa młodzieńcy podali sobie ręce i ich zajście wczorajsze załatwionem zostało zupełnie.

Przy tej zgodzie formalnej obadwa zachowali się tak, jak im kazało dobre wychowanie i przyzwoitość, — ale pomimo to wątpić należy, ażeby istotna treść tej zgody odpowiadała swym formom. Flawiusz, zagłuszony w tej chwili wypadkami daleko ważniejszymi od tego, tymiż wypadkami dziwnie na sercu wzruszony, a nawet znacznie podniesiony i oczyszczony moralnie, — Flawiusz najmniej myślał w tej chwili o jakiejś jeszcze ku swemu rywalowi niechęci i zapewne całkiem nie miał jej w sercu, — ale o Jędrzeju nie możemy tego powiedzieć. Jędrzej był w sprawach honorowych bardzo surowym, — Jędrzej był z twardej szkoły. Z tej szkoły wyniósł on to wyobrażenie, że bez osobistej odwagi nie można być ani zacnym, ani cnotliwym, — a wypadek dzisiejszy nie wlał wewnątrz wcale przekonania, że Flawiuszowi na odwadze nie zbywa.

Wszakże jakkolwiekby, zgoda została odbudowaną po wszelkiej formie, — wszyscy w najlepszej komitywie ze sobą zeszli z góry zamkowej, — wszyscy się porozjeżdżali do swoich domów, — tylko Flawiusz, zamiast do domu, pojechał na pocztę, konie odmienił i rozpoczął swoją podróż do Jaćmierza na nowo.

XX.

Karnawał w spółce z upływającym czasem, jakeśmy to widzieli powyżej, zaprowadził znaczne zmiany w położeniu i wzajemnych stosunkach tych osób, któreśmy poznali na dworze jaćmierskim.

A zmiany te były wszystkie już przygotowane natenczas, kiedyśmy ze skarbnikiem ten dwór odwiedzali, chociaż natenczas jeszcze dawne, rozpustne, rozkiełzane w wszelkich wędzideł życie zdało się tu żyć w całej pełni.

Jakże to było?

Owo więc, kiedy Jędrzej powrócił z wojny i przypartywszy się temu domowi z blizka, znalazł go jeszcze przechodzącym o wiele jego najsmutniejsze oczekiwania, postanowił natychmiast temu złemu stanowczo i ostatecznie

zaradzić. Przenosząc zawsze środki łagodne i zgodne nad wszystkie inne, próbował najpierw, czyby nie potrafił swojemu ojcu dawną władzę przywrócić? próbował potem, czyliby nie mógł macochę rozsądkiem i perswazyami na prostą drogę sprowadzić? — lecz kiedy pierwsze okazało się niepodobnem, a drugie dumna i despotyczna macocha odrzuciła z szyderstwem, nie pozostało nic Jędrzejowi, jak westchnąć nad smutnym stanem swojego ojca, ulitować się nad pustą zarozumiałością macochy, i wziąć się do środków samowładnych i energicznych.

Wtedy wszedł on bez zwłoki jako właściciel całego państwa do ksiąg hipotecznych, ojcowskie sumy kapitałne przenosił na swoje nazwisko, a uzyskawszy tym sposobem i podstawę i tytuł do dalszego działania, wziął się natychmiast do oczyszczenia domu rodzicielskiego ze śmieci i do zaprowadzenia w całym państwie nowego rządu.

Na dworze pani Rudnickiej bowiem bawiło aż do owego czasu mnóstwo ludzi, którzy już jako emigranci francuzcy lub włoscy, już jako metrowie języków, muzyki albo śpiewów, często nawet z prawdziwemi lub przybranemi żonami i dziećmi, używali jej gościnności rozrzutnej, prześiadując czasem po pół roku, albo i więcej w Jaćmierzu i bawiąc swoją chlebobawczynią. Tych tedy najpierw młody Rudnicki, to całkiem grzecznie, to mniej grzecznie, powypraszał z rodzicielskiego domu i nie wzdrygając się nawet w potrzebie, tak prędko się z nimi uporał, że to cośmy z końcem adwentu jeszcze w tym domu widzieli, byli to już po największej części tylko goście z sąsiedztwa, z dodatkiem kilku jeszcze cudzoziemców, których sam Jędrzej zostawił.

Wszakże z zarządem państwa postąpił on sobie jeszcze daleko energiczniej i nieogłędniej, — przekonawszy się bowiem, że cały ten zarząd składał się z szajki samych hultajów, okupujących ścieleniem się do nóg pani hrabiny swoje najbezpieczniejsze kradzieże, w kilku dniach całą tę szajkę z dóbr swoich wyrzucił i przyjąwszy natomiast urzędników nowych, po największej części swoich kolegów

wojskowych, zaprowadził rząd całkiem inny, oparty na rygorze wojskowym i od siebie samego tylko zawisły.

Obawiając się jednak, aby i te środki jeszcze do przekonania jego macochy, że się z swoją wyłączną władzą odtąd pożegnać musi, nie były zasłabe, — kiedy mu się właśnie natenczas kupcy na te dobra trafili, wszedł z nimi Jędrzej w przedwstępne i nawet dosyć daleko doprowadzone umowy i rozgłosił wszędzie, że całe państwo jaćmier-skie sprzedaje.

A lubo nie miał zamiaru sprzedaży tej rzeczywiście doprowadzić do skutku, a te przedwstępne umowy i wieści miały tylko na celu wpojenie respektu, a nawet i troszeczkę postrachu w rozpaczliwie upartą macochę, — jednak na wypadek potrzeby był on zdecydowany raczej istotnie sprzedać rodzicielski majątek, niżeliby miał dłużej znosić te haniebne i opłakane położenie, do jakiego rzędem tejże macochy doprowadzony został jego ojciec i dom jego imię noszący.

Nie wszystko to wszakże, czego energiczny Jędrzej po części dokonał, a po części zamierzył, doszło zaraz do wiadomości jego macochy. Widziała ona wprawdzie rozprasza-jących się z jej domu cudzoziemców, widziała poprzyjmo-wanych nowych oficyalistów, widziała zresztą, że Jędrzej zaczyna się bardzo ciekawie i skrzętnie mieszać we wszystko; ale lubo się jej to bardzo nie podobało i wcale nie miała chęci znieść nawet i takiego ukrócenia swej władzy, — uważała to jednak tylko za innowacye takie, które, jak różne inne zachcenia młodości, z wielkim się zrazu objawiają zapałem, ale w krótkim już czasie gasną i uci-chają na zawsze.

Ale kiedy Jędrzej wyjechał do Lwowa, wszystko się od razu wydało. — Kiedy się więc dowiedziała ta pani, że jej pasierb nietylko stał się panem tego całego majątku, który ona miała już za swój własny, ale ją jeszcze od wszelkiego wpływu na ten majątek odsunął, kiedy się dowiedziała zresztą, że ograniczenie jej posunione jest nawet do tego stopnia, że oprócz sług jej domowych, wszyscy inni wyjęci są całkiem z pod jej rozkazów, a ona sama

zamieniona jest prawie li w rezydentkę z niewielką pensją kwartalną — w pierwszym momencie zaledwie mogła temu uwierzyć. Wszakże musząc uwierzyć, bo miała na to aż nadto jawne dowody, samowolna dotychczas władczyni, wywrócona tak nagle z tronu, podniosła taki płacz, lament, hałas w całym pałacu, jakby już nadszedł dzień ostateczny. Od wielkiego wzruszenia odzyskała nawet władzę w swych nogach i rzucając się piechotą po wszystkich kątach, mściła się na wszystkim i wszystkich nie pytając zupełnie o winę...

Jakoż było w tym domu prawdziwe piekło przez trzy dni; — ale po trzech dniach znowu jakoś ucichło.

Zdetronizowana władczyni napadła jeszcze swojego męża i zażądała od niego, ażeby objął swoją władzę napowrót; ale niestety; przekonała się prędko, że mu sama odjęła nawet zdolność do sprawowania władzy.

Napisała jeszcze potem list do Jędrzeja, aby jej oddał to co jej się należy, ale Jędrzej odpisał bardzo grzecznie, że ma tylko jeden majątek i w tym sam będzie rządził podług swej woli, — a, żeby ją to dochodziło, co jej słusznie jako żonie jego ojca należeć może, wydał komisarzowi swemu jak najdokładniejsze rozkazy.

Nie pozostało tedy nie pani Rudnickiej, jak zgodzić się z swoim nowym losem, który nie powinien był wcale być przykrym, bo Jędrzej, pomimo całej swej surowości w obejściu się z nią, był jednak jak najogłędniejszym na wszystko, i nietylko pozostawił jej bardzo dostateczne osobiste dochody, całą władzę w gospodarstwie domowym, ale nawet nie naruszył w niczem jej należnego znaczenia, którego też, przynajmniej pozornie, nikt z jego nowej gospodarskiej hierarchii nie uszczuplał.

Jakoż pani Rudnicka zgodziła się wreszcie z tym nowym losem, — i nakoniec całkiem umilkła. Nie robiła ona sobie nawet już żadnych nadziei odzyskania straconej władzy, bo nowa władza zanadto głęboko założyła swe fundamenty, ażeby kareta po pokoju jeżdżąca kobieta mogła je sama podkopać i z pod ich gruzów swoją koronę wydobyć; ale że tej straty żadną miarą przeboleć nie mo-

gła, to także niemniej jest pewną. W tych boleściach przechodziły jej różne mniej lub więcej podobne myśli, aż na koniec przyszła jej ta myśl najpodobniejsza ze wszystkich, że lubo straconej władzy już odzyskać nie może, mogłaby jednak podobną władzę zdobyć sobie gdzieindziej. Myśl ta nawet była istotnie podobną, bo pani Rudnicka miała dorosłą już córkę, która wprawdzie dotychczas była jeszcze traktowaną jak niedorosła panienka, ale miała już lata całkiem odpowiednie zameężciu. Znaleźć tedy męża dla Ernestynki, wydać ją za niego, wymóżyć na Jędrzeju tytułem posagu jakiegokolwiek odczepne, urządzić nowy dom dla swych dzieci i objąć ster tego domu, — było tedy na teraz jedynem jej marzeniem.

Marzenie to wszakże nie miało dotychczas jeszcze żadnego widoku. Dwór jaćmierski, tak wesoły i ludny w adwencie, o karnawale stał się pustym zupełnie. Wskutek rewolucyi Jędrzeja opuściła go większa część rezydentów, wskutek porewolucyjnego humoru pani opuściła go reszta, a kiedy mogący mieć wstęp do tego domu sąsiedzi porozjeżdżali się na zapusty do miasta, nie było nateraz w całym sąsiedztwie nikogo, ktoby go choć na chwilę odwiedzał. Po bachanaliach tedy i nieustających lusztykach nastąpił teraz post wielki, — jednostajność, grobowa cisza i nudy.

Jakoż i dzisiaj, lubo już od godziny zmrok zapadł zupełnie, zamiast licznych światel i gości po wszystkich apartamentach, jedna tylko lampka płonęła w małym salonie i nie było z obcych nikogo. Przy tej lampie, przy stole, siedziała Ernestyna nad jakąś książką francuską i w głos ją czytała, — tuż przy niej w swoim krześle na kółkach siedziała matka i czytającej słuchała. Opodał od nich, ale także przy stole, siedział ojciec Jędrzeja i niby to także słuchał tej francuskiej lektury, ale w rzeczy opuścił głowę na piersi i drzemał sobie w najlepsze. Staruszek ten, dosyć senny już przedtem, podlegał teraz tej słabości o tyle więcej, ile że od czasu zaszłych zmian w domu był tak nielitościwie nudzonym i męczonym przez żonę, że jeśli dawniej jeden miesiąc mu zginał, to teraz mu cała ra-

chuba czasu i nawet wszelka przytomność zginęła; chociaż znowu z drugiej strony miewał teraz częstokroć chwile, w których nabierał odwagi i z nieznana dotychczas śmiałością głowę do góry podnosił. Jednak w tej chwili niebawem jeszcze niżej głowę opuścił na piersi i chrapnął sobie z całego serca.

— Jegomość! — zawołała na to pani Rudnicka — a to śpisz sobie?

Zbudził się na ten głos straszliwy dla siebie staruszek i odpowiedział:

— Nie, moje dziecko, nie śpię... tak mi się tylko zdzemało.

— Nie śpi a zdzemało mu się! otóż to rozum! proszę cię, żeby ci się tak nie drzemało, bo wiesz, że tego nie znoszę. Piękny mi z ciebie małżonek! O! już to co małżonek, to doprawdy wzorowy, prawdziwy dziadek słomiany. Synek ci wszystko do ostatniego grosza odebrał, zostawił cię na lodzie, na rezydencyi u siebie, a tobie drzenie się w najlepsze. I chrapie jeszcze żonie pod nosem, żonie, którą wziął na to, aby była panią u niego, a której nawet wyżywić nie może! Aleś ty skórka na buty! wiedziałeś ty naprzód o wszystkim, należałeś ty dobrze, do konspiracyi, może nawet i sam myśl do niej podał: poczekajże! wypłacę ja ci to dobrą monetą.

— Ale, jak cię kocham — mówił na to staruszek — tak nie nie wiedziałem...

— Proszę cię, nie gadaj mi takich rzeczy, bo mnie cierpliwości do reszty pozbawisz!

Na te słowa staruszek wstał z miejsca i chciał odejść. Ale ona zawołała natychmiast:

— A gdzie to? Siadaj mi zaraz na swym miejscu i ani się rusz. Baw mnie przynajmniej twoją najukochańszą figurą, kiedyś mnie moich wszystkich gości pozbawił.

Tego wszystkiego słuchała Ernestyna z wyrazem głębokiego współczucia, jakoż odezwała się na to:

— Niech mama pozwoli, aby papa na spoczynek odszedł. Papa jest dzisiaj bardzo zmęczony...

— A to co znowu? — zawołała na to matka z nie-

powściągliwym gniewem — czy i ty jeszcze będziesz mi się sprzeciwiać? O! mościa panno, nie myśl tylko naśladować Jędrzeja! przy mnie ani słowa! słuchać tego co każę i basta!

Wszakże kiedy tych słów domawiała pani Rudnicka, dała się słyszeć trąbka pocztowa u bramy.

— Czy mi się zdaje — zawołała gospodyni domu, podnosząc rękę do góry i nakazując tym giestem milczenie — czy istotnie słyszać trąbkę pocztową?

— I ja coś słyszę — zauważyła córka

— Ja nic nie słyszę — zauważył jegomość.

Ale tymczasem trąbka dała się słyszeć wyraźnie i tuż przed gankiem.

— Jeszcze nic nie słyszysz?

— Nie zgoła — odpowiedział staruszek.

— Ale trąbka, papo — rzekła Ernestyna — ktoś zajechał przed ganek.

— No, idźno prędko przeciw gościu — rzekła żona do męża — i dawaj mi znać natychmiast kto to? A przecież się ktoś nad nami zlitował! Żeby tylko nie mój Jędrzej kochany, boby mnie już zagryzł do reszty.

Staruszek wyszedł na powitanie gościa, a jego żona tymczasem robiła różne domysły. Ale wymówiła już kilkanaście nazwisk różnych osób dalszych i bliższych, a jegomość jeszcze nie wracał. Zadzwoiła tedy na służącego.

— Któż to przyjechał?

— Nie wiem, jaśnie pani, jakiś pan pocztą.

— Ale kto i skąd?

— Pytałem pocztyliona, ale i on nie wie; powiada tylko, że ten pan jedzie gdzieś ode Lwowa.

— A! to ciekawe! idźże do jegomości i spytaj się kto to?

Służący wyszedł i długi czas go nie było. Pani Rudnickiej niecierpliwość rosła w zadziwiających rozmiarach, — całe setki domysłów wylatywały z ust jej wymownych, — aż nareszcie wrócił służący i oddał jej list jakiś do ręki. Pani Rudnicka porwała go prędko, rozwinęła i zawołała:

— Patrzaj-że! to list od jmc pana Nieczui! Ale czego chce pan Nieczuja?

Tu zaczęła list czytać z góry, a czytając go, wymawiała po kolei następujące słowa:

— Pan Nieczuja rekomenduje nam jakiegoś człowieka... imię pana Flawiusza... kapitalistę... który ma realności w Warszawie... chce tutaj kupować dobra... wychował się w Paryżu... pracował po ministeriach... w biurze księdza Kołłątaja w Warszawie... prosi o grzeczne przyjęcie dla niego... prosi o radę mojego męża i o pomoc w zakupnie dóbr... patrzajże, jaki greczny Nieczuja! — mówiła dalej pani Rudnicka, kładąc list odczytany przed sobą, jaki grzeczny! — przysłać nam jakiegoś młodego człowieka, a jeszcze do tego bogatego, wychowanego w Paryżu... to doprawdy jest nie grzeczność już, ale dobrodziejstwo prawdziwe. A! wracam nazad do łaski jmc pana Nieczuję... ma u mnie wielką zasługę... Ktokolwiek bądź to jest, zawszem mu rada... Rozerwie mnie przynajmniej na chwilę... podratuje mnie, uzdrowi mnie z tej śmiertelnej choroby, której mnie nabawiły te zgryzoty i nudy. Ale ty, Ernestynko! bądź no trochę uważniejszą teraz na siebie niż zwykle. Kto wie, co to za człowiek? Ale młody, bogaty, a to ma swoje znaczenie. Wiedz o tem, że się położenie nasze zmieniło. Jesteśmy teraz już tylko na łasce jmc pana Jędrzeja. Trza nam samym myśleć o sobie — a i czas już po temu...

A wtem powrócił jegomość.

— No i cóż to za gość? — zapytała go żona.

— A dyabli go tam wiedzą — odpowiedział mruklawie pan podkomorzyc.

— Otóż to masz odpowiedź! Ale jakże się prezentuje?

— Ot! prezentuje się, jak umie. Plecie jakby na mękach. Kat go tam może zrozumieć. Świszczypała to jakiś, taki sam pono, jak i ci byli, których Jędrus pobił, potłukł, porozpędzał na cztery wiatry. Cha, cha, cha! — i śmiał się po cichutku staruszek.

Ale żona spójrzała na niego Jowiszowemi oczyma i rzekła:

— No, a nie mówież ja tego, że ty należałeś także do konspiracyi z Jędrzejem? to cieszysz się z tego, że Jędrzej się tak niegrzecznie obszedł z takimi dystyngowanymi gośćmi?

— Oni? jaka mi tam osobliwa dystynkeya! — mruknął sobie pod nosem staruszek — tacy sami wodzą nie-dźwiedzie i małpy po jarmarkach.

— Fi! a jegomość gdzie znów tak urósł! A to co takiego? proszę cię, siadaj mi tutaj i ani słowa. Jeszcze i on mnie gotów tyranizować!

I tak dalej wymyślała na męża niepowściągliwa małżonka, kiedy wtem wszedł oczekiwany gość do salonu.

Flawiusz wpadł do pani Rudnickiej jak bomba, nabita dykeyonarzem komplementów francuskich. Nie dawszy nikomu przyjść do słowa, obsypał zaraz z góry i gospodynię i gospodarza, a nawiasem i Ernestynę tylą słów gładkich, pięknych, wymownych, że pani Rudnicka, lubo bardzo oswojona z podobnymi wiatrakami salonowymi, była już nie oczarowana, jak zwykle przy witaniu każdego gościa, ale istotnie podbita.

Oddawszy dobre za nadobne i nacieszywszy się coniemiarą, że jej do tej bezludnej i opuszczonej pustyni Pan Bóg zesłał tak światowego człowieka, zarzuciła go zaraz mnóstwem zapytań o karnawale, o Lwowie, o Jędrzeju, o podkomorzance sandomirskiej, o wojewodziance inflanckiej i tych wszystkich z kolei, którzy ją mogli najbliżej obchodzić. Flawiusz odpowiadał na te wszystkie pytania, ale bardzo ostrożnie, — nie znał on jeszcze wszystkich sympaty i antypaty macochy Jędrzeja i obawiał się ją sobie czemkolwiek narazić, — pani Rudnicka to uważała i z tej wstrzeźliwości Flawiusza nie była bardzo kontenta, — wszakże kiedy pomimo niedokładności w odpowiedziach, Flawiusz co moment miał w ustach to księcia generała, to kasztelanową Kamińską, to pisarza, to cześnika, to chorążego wielkich litewskich albo wielkich koronnych, co jej dawało ważniejsze dla niej nad wszystkie inne dowody, że ten młody człowiek ma pożądane relacye w świecie dystyngowanym, — pani Rudnicka uczuła się ujętą dla niego

nad wszelki wyraz i już tego wieczora powiedziała sobie w myśli: Otóż to jest człowiek, którego mi właśnie potrzeba!

Dano herbatę bardzo wystawną i piękną, — przy herbacie jeszcze bardziej ożywiła się konwersacya, lecz po herbacie natychmiast Flawiusz, nie zmrużywszy oka przez dwie doby jedna po drugiej i mogąc się już zaledwie utrzymać na nogach, pożegnał gospodynię i udał się na spoczynek.

Żał było roztrzeźwionej nanowo pani Rudnickiej porzucać tak wcześnie tak zajmującą rozmowę, — ale nagrodziła sobie to ile możności jeszcze przedłużoną rozmową ze swoją córką. Jakoż jak tylko wyszedł Flawiusz, rzekła do niej:

— No i cóż ty, *ma petite*, cóż ty mówisz o naszym gościu?

— Ja nic nie mówię... zdaje mi się bardzo do rzeczy.

— Że do rzeczy, to niema kwestyi; ale jak go zresztą znajdujesz?

— Za mało go znam jeszcze, abym mogła coś więcej o nim powiedzieć.

— Ot! to także mi filozofka! może zaraz beczkę soli z nim zjeść, po staropolsku, aby coś o nim stanowczego powiedzieć? proszę krótko: podoba ci się, czy nie?

— Dosyć mi się podoba.

— No to tak. Bo wiedz o tem — mówiła dalej już całkiem łagodnie matka — że ten człowiek, podług mojego widzenia rzeczy, bardzo przypada do naszego położenia i naszych widoków. Młody jest i przystojny i bardzo się może podobać. Bogaty jest pewnie, bo Nieczuja jest rygorysta i pewnieby go nie zalecał bogatym, gdyby nim nie był. Przytem jest wychowany *comme il faut*, był tak długo w Paryżu, ma relacye w świecie — a więc czegoż potrzeba? Wprawdzie dziwnie się jakoś nazywa i będzie to zapewne coś mieszczańskiego, ale któż tam dzisiaj na takie rzeczy uważa? Małoż to mamy rodziny i w Polsce, które z mieszczan pochodzą, a przecież liczą i kasztelanów i wojewodów pomiędzy sobą? A cóż dopiero powiedzieć o Fran-

cyi? Kiedy tak jest, to nawet lepiej, bo z takim zawsze łatwiejsza sprawa. Proszę cię tedy, co bądź postanowimy później, staraj się jemu podobać. Żebyś mi jutro wyglądała ładniutko i świeżutko, jak róża. A teraz spać.

Ale Ernestyna, lubo to były tak ważne rzeczy, nie już nie odpowiedziała na nie. Była jakoś bardzo zamyślona i wcale nie rozmowna w tej chwili.

Tymczasem Flawiusz wszedł do przeznaczonej dla siebie izby gościnnej, i chociaż istotnie tak był zmęczony, że się ledwie mógł utrzymać na nogach, chwilkę jeszcze myślał nad dniem dzisiejszym. Nie było mu tajno, że pierwszy wstęp w dom ten udał mu się dosyć pomyślnie, — ale było to jeszcze niczem, — trzeba było żeby mu się tak wszystko udało. Nie wątpił on także i o tem, bo już poznał cokolwiek składające dom ten osoby i znalazł że nie trudno mu będzie z niemi dopiąć swego zamiaru: ale przed wszystkim innem trzeba mu było wiedzieć, czy ten zamiar może być jeszcze dopięty, a mówiąc jasno, czyli już nie zapobiegł temu starosta bełzki? — To jednak udało mu się jak najłatwiej, bo dzisiaj jeszcze dowiedział się od kamerdynera Francuza, kupionego dla siebie za kilka dukatów na zawsze, że w ostatnim tygodniu pani Rudnicka nie odebrała żadnej sztafety, ani nawet żadnego listu ze Lwowa. Widząc z tej wiadomości, że ma zupełnie swobodne pole przed sobą, postanowił sobie postępować jak najostrożniej i najogłędniej i wolał stracić na to choćby najwięcej czasu, niżeliby miał przez pośpiech przegrać sprawę, ważącą prawie tyle co życie.

Jakoż starał on się najpierwej poznać wszystkie osoby dokładnie, wyrozumieć ich opinie, wzajemne do siebie stosunki, ich strony mocne, niestety! nie bardzo liczne, i ich liczne słabości. I to mu się także do dni kilku udało, i pozyskał sobie jak najzupełniej matkę, obudził jedną dla siebie sympatyę u córki, — tylko ze starym jegomością jakoś sam jeszcze nie wiedział jak stoi.

Ze starym jegomością była istotnie nie łatwa sprawa. Staruszek bowiem był tak źle uprzedzonym do tych wszystkich, którzy suknie francuskie nosili, że nietylko z nich

żadnemu nie ufał, ale miał ich poprostu za członków jakiegoś szatańskiego najazdu, którzy się sprzysięgli na zagubę spokoju i zbawienia pocziwych ludzi. Staruszek był tak uprzedzony do tak nazwanych w owym czasie Francuzów, że nawet na własnego syna z niedowierzaniem spoglądał, kiedy go w sukniach francuzkich obaczył. Szło tedy Flawiuszowi z nim jak z kamienia. Rozmawiał on z swoim gościem niby to chętnie, jeździł z nim nawet w niektóre sąsiedztwa dla rozpytania się o wioski wystawione na sprzedaż, czasem się nawet dosyć otwarcie o żonę, o Jędrzeju, o domowych stosunkach rozgadał, — ale zawsze się potem jak najszczelniej zamykał w sobie i nie dopuszczał wcale do tego, aby się między nim a nasłanym mu przez skarbnika gościem zawiązała jakaś szcera, stała i otwarta relacya. Często też stary wpadał w zwykłe swe bałamuctwa, a przy zginionym decembrze nie był już wcale do żadnego użytku.

Pomimo to jednak, w dni kilkanaście Flawiusz przecie doprowadził do tego, że mu stary jegomość otworzył szafkę, w której się znajdowały wszystkie familijne papiery i dozwolił mu je przeglądać. Z niezmierną ciekawością rzucił się Flawiusz do tego archiwum, myśląc zapewne, że za kilka godzin je od deski do deski przerzuci, — ale było to tylko takie samo złudzenie, jakiego doznajemy niemal przy każdej naukowej, literackiej i tym podobnej robocie. Praca taka, jak w swoich skutkach, tak i w swej rozciągłości nie da się nigdy naprzed oznaczyć, bo jak niewiadoma jest treść nagromadzonych długimi laty papierów, tak i czas przy nich traci swoje zwykłe rozmiary. Dnie tam urastają w miesiące, miesiące w lata, a lata w lat dziesiątki i więcej — a niejeden już, który się zbliżył do jakiegoś archiwum lub księgozbioru, aby zeń jakąś jedną wiadomość wydobyć, ani się spostrzegł nawet, jak mu przy nim minęło życie! — Podobnie też stało się i Flawiuszowi. Nie zastygł on przy tem archiwum na całe życie, ale już zaraz dnia pierwszego się przekonał dowodnie, że aby pomiędzy takim chaosem najrozmaitszych bibuł znaleźć dokument, o którym nie miał żadnej bliższej wiado-

mości co do formy zewnętrznej i który mógł być Bóg nie wie gdzie zasuniony, nie wystarczy dzień, ani tydzień, ani może nawet tygodni kilka. — A tymczasem oprócz tej szafy była jeszcze i druga szafa papierów, była szafa z książkami, miały być jeszcze i skrzynie nawet na strychu, w których się także znajdowały papiery.

Trudności te wszakże o tyle przykrzejsze jeszcze, ile że nie było żadnego na to dowodu, że ten dokument tam się istotnie znajduje, nie zrażały Flawiusza. Zasiadał on codziennie rano do pracy i trwał przy niej zwykle aż do samego obiadu, nieraz i po obiedzie jeszcze poświęcał jej godzinę lub więcej, — a tymczasem wszystkimi możliwymi sposoby wybadywał staruszką, czy też od niego jakiegoś dokładniejszego objaśnienia nie uzyska.

Ale jak poszukiwania w papierach nie przynosiły pożądanego skutku, tak i stary jegomość milezał jak grób i nawet zdawał się umyślnie wszystkie te pytania omijać, które choćby tylko zdaleka dotyczyły starosty.

Takie położenie rzeczy, nietylko całkiem bezskuteczne dotychczas, ale nawet niedające nadziei aby się mogło odmienić, napełniało z każdym dniem coraz większym smutkiem Flawiusza. Znudziła go próżna praca i już go wszystko zaczęło nudzić w tym domu. Pani Rudnicka wyczerpała się w konwersacyi i już się zaczęła powtarzać, — poznał ją zresztą Flawiusz dokładnie i miał do niej pewien rodzaj odrazy. Stary jegomość, nigdy przez całe życie nie zajmujący nikogo, wywierał na niego wpływ zawsze senny a czasem przyprowadzał go nawet do potów. Jedna Ernestyna tylko nie znudziła go nigdy i pozyskała nawet stałą jego sympatyę. Czuł to Flawiusz w swem sercu i nawet myślał o tem niejednokrotnie. Ale im więcej myślał, lubo teraz nie był wcale usposobiony do takich uczuć, tem tylko więcej rozwijało i uzasadniało się w nim to jego sympatyczne uczucie. Myśląc nad sobą, myślał on także i nad Ernestyną. Młoda i raczej zajmująca niż ładna, wychowana jak wszystkie inne, a pod dalszą konstelacją niż wiele innych, zdawała ona mu się wcale pospolitą dziewczyną, a przecież było coś w niej takiego, co w jego oczach

bardzo ją różniło od innych. Żywa, wymowna, unosząca się czasem i na pozór nawet do ekscentryczności posunąć się zdolna, miała ona jednak w sobie jakiś spokój tak cichy, myśli tak pełne słodyczy i łagodności, i uczucia jakiś taki uspokajający wpływ wywierające na niego, że się Flawiusz temu nie mógł dosyć nadziwić. Kiedykolwiek, czy to cały zalany goryczą, czy zniepokojony i zniecierpliwiony do najwyższego stopnia, czy rozpaczający o całą przyszłość swoją, do niej się zbliżył, — nie potrzebował jak pół godzinki z nią mówić albo słuchać jej głosu, aby się uczuć spokojnym, lekkim, pełnym siły do dalszej pracy, pełnym wiary w swą przyszłość. Czasem nawet dosyć mu było spojrzeć jej w oczy, ażeby wzburzone nerwy uspokoić zupełnie i rozkiełzane uczucia lub myśli na tor harmonijny sprowadzić. Flawiusz czuł to wszystko i był tem niewymownie zajęty; jeszcze nigdy w tak pięknem świetle nie widział żadnej kobiety!

Wszakże po kilku tygodniach usilnej pracy, przewertował on nareszcie wszystkie papiery, jakie się znajdowały na dworze jaćmierskim, — lecz ku wielkiemu zmartwieniu swojemu ani śladu tego dokumentu nie znalazł, którego szukał. Nie stanowiło to jeszcze wprawdzie dowodu na to, żeby ten dokument nie mógł się już odszukać, — bo według zeznania skarbnika miał go stary Rudnicki z pewnością mieć w swoich rękach, a więc mógł go mieć gdzieindziej schowanym, — ale jak wydobyć tego papieru od Rudnickiego z jego wiadomością o tem zdawało mu się niepodobnem, tak znowu z drugiej strony Flawiusz tak już zlustrował wszystkie kryjówki, pod zamknięciem starego jegomości będące, że nawet nie mógł domyśleć się miejsca, gdzieby ten dokument mógł być schowanym.

Bądź jak bądź jednak, postanowił sobie Flawiusz próbować jeszcze mówić o tem ze starym, czy też się z czem nie wygada. Po trzeźwemu zaczepiał on go już niejednokrotnie, i z różnych stron, o starostę, ale nigdy się nie dowiedział niczego, — postanowił tedy spróbować jeszcze pogadanki przy rozgrzanej fantazyi.

Jakoż dnia jednego przyszedł on do starego na go-

dzinkę przed zmrokiem i zaczął mu się skarżyć na niesłychane nudności i jakieś takie rozprężenie w całym organizmie, że sobie już nie umie dać rady ze sobą.

— A to trzaby się czegoś napić — rzekł na to stary.

— Cóż mi jegomość przepiszesz?

— Jabym radził albo piołunkowego wina, albo też lampkę miodu starego, coś asindzi przenosisz?

— Co jegomość przynieść rozkażesz, wszystko pić będę, byle z jegomością w kompanii, bo jestem przekonany, że tylko w takim razie mi to pomoże.

— No, to ja się z tobą miodu napiję — rzekł stary — i jestem pewny, że cię zaraz wyleczę.

Jakoż niebawem przyniesiono butelkę miodu i postawiono ją między nimi. Po jednej lampce i drugiej zdało się Flawiuszowi, że już czas będzie przystąpić do rzeczy, bo miód był jakiś dziwnie mocny i po drugiej lampce zaczął go już samego rozbierać. Jegomość już się także rozruszał i był w najlepszym usposobieniu do pogadanki.

— A ze starostą belzkim — spytał więc Flawiusz — jegomość nie masz żadnych relacyj?

— A dlaczego? czasem są i relacye. Przecie moja żona to jego siostra, a nie gniewają się z sobą, chociaż może byłoby o co.

— Byłoby o co się gniewać?

— A jużci byłoby i nie mało. Albo to asindzi nie wiesz o tem? — spytał staruszek patrząc mu w oczy.

— A skądże-bym ja mógł wiedzieć coś o tem? Ja ledwie, że kilka razy rozmawiałem ze starostą, a państwa dopiero teraz poznaję.

— Tak... dopiero poznajesz... ale asindzi człek mądry, słyszysz podobno jak trawa rośnie, z moją żoną się nagadać nie możesz: to już ztrudna miałbyś nie wiedzieć, co się gdzie dzieje. Ale to tam mniejsza! Napij-no się ze mną, bo inaczej ci nie pomoże.

Flawiusz pił i patrząc na starca mówił:

— Jak jegomości szanuję, tak zgoła nic nie wiem. Obce sprawy nigdy mnie nie obchodzą. Więc byłoby się za co gniewać na starostę?

— A jużci byłoby pewnie, bo mi posag żony do imienia zadławił. Ani na owinięcie palca mi nie zostawił. Już to go niby wygrał odemnie... ale lichu go tam wie, jaka to była gra. A cóż nie pijesz?

— Owszem, piję — mówił popijając, zamyślony młodzieniec — a to jegomość źle bardzo robiłeś, że z nim grałeś...

— A zapewne, że źle... ale czy to jedno złe się zrobiło? Człowiek jest głupi przez całe życie, a rozumu nabiera dopiero wtenczas, kiedy go się już niema gdzie użyć...

— Proszę jegomości, a starosta już był żonaty wtenczas, kiedy się jegomość z jego siostrą żenił?

— A cóż to nie wiesz? — spytał staruszek — przecie był wdowcem, tak jak i dzisiaj.

— Wdowcem był? a któż była jego żona?

— A lichu ją tam wie... jakaś Francuzka podobno...

— I pozostały dzieci?

— A cóż mnie waś pytasz o takie rzeczy! Jam mu ich do chrztu nie trzymał. Ale słuchaj-no, pij-no ty tak jak trzeba, bo inaczej ci nie pomoże. A z takimi nudnościami niema co wcale żartować. Mnie raz kiedy tak rozebrało, tom się nie ubrał aż za cztery tygodnie

— Ale ja piję, piję... Proszę jegomości, ale jak mnie się zdaje, to starosta nie musi mieć żadnych dzieci, bo ich koło niego nie widać...

— Ba! otóż to racya! przecież to nie zawsze tego już niema, czego nie widać. A waś widzisz wszystko? Nie widzisz, prawda? a ono przecie jest! o! — ale bo waś wcale nie pijesz, a kiedyś wyzwał, toż przecie trzeba dotrzymać. Czy waś nie zawsze dotrzymujesz, chociaż sam wyzwiesz?

Te słowa pomieszały Flawiusza. Zdawało mu się, że stary wie dokładnie o wszystkim. Mogło to być w samej rzeczy, bo pomiędzy Lwowem a Jaćmierzem chodziła poczta. Jędrzej miał swoich ludzi w jaćmierskiem państwie, którzy mogli z łatwością utrzymywać komunikację pomiędzy nim a ojcem, tak, że nikt o niej nie wiedział. Tak

być mogło, ale Flawiuszowi się zdawało, że już tak jest niezawodnie. Zamyślił się nad tem — a tymczasem stary wypił jeszcze jedną lampkę i tak dalej mówił:

— A waść zamiast rozmawiać ze mną, coś sobie myślisz. A ja waści powiadam, żebyś myślał i przemyślał jak chcesz, to nic nie wymyślisz. Masz ty rozum, to prawda, ależ to wiedz o tem, że to niekoniecznie trza mieć perukę na łbie, aby także mieć rozum. Dobrał ty się do moich szafek misternie, i to prawda, ależ to jeszcze nie idzie za tem, abyś ty tam to znalazł, czego szukasz. O! — bo i to prawda.

— Ale mój jegomość kochany, ja tam wcale niczego nie szukam.

— Ot! gadaj sobie, napijno się ze mną, to ja tobie wszystko wypowiem.

I pił Flawiusz znowu ze starym, który tak mówił:

— A czego ty tam szukasz po moich szafkach, he? A ty myślisz, że ja tego nie wiem? Wiem ja, mój kochany, nie mało, a niebawem będę wiedział i więcej. A obaczysz, co wtedy będzie. Będziemy tłuc Niemce, Francuzy, Angieleczyki do reszty i precz to powybijamy z pomiędzy siebie. Tak mi pisze Jędrus i tak powiada Rudziński, jego komisarz. A on wie dobrze, bo już sam bijął to tałajstwo. Anoż ci tak radzę, żeby ciebie tu wtedy nie było, bo plejzer pewny, a może i co więcej — A po papierach próżno nie grzebaj, bo ci powiadam prosto, że nie nie wygrzebiesz. Napij-no się ze mną, to jeszcze więcej usłyszysz.

Napiwszy się, mówił dalej:

— Więc po papierach nie grzebaj... bo nie nie wygrzebiesz. Żebyś się na głowie postawił, to nie nie wygrzebiesz. A wsi także nie kupuj, bo jej nie kupisz. Nie tak to wyglądają ci, którzy wsię zakupują; nie mnie to puszczać takie bańki mydlane... A wsi nie kupuj, bo choćbyś kupił, to się w niej nie osiedzisz. Wybijają, wytłukają i napędzą do trzech kroć sto tysięcy na cztery wiatry! cha, cha, cha! O, tak! bo to teraz już jest inaczej. Pisz mi Jędrus i tak mówi Rudziński. Będą bić, tłuc, mordować,

że październik poleca. Co peruka, co trzewik, co żabota, to w łeb, bo to na nic. Czysto ma być jak na dłoni, jak dawniej. Anoż więc i ty, Angieleczyku! czuj duch w sobie i miej się na oku. Moja żona powiada, żeś ty zacy młodzienc, może i to! Ernestynka cię chwali, niechaj i tak! I ja nie ganię, znał już ja gorszych od ciebie. Ale ci to nie nie pomoże. Moja żona cię nie zasłoni, ani Ernestynka, ani też ja. A list skarbnika także cię nie zasłoni. I z tym listem bardzo się nie chwał, bo to jest fałsz!

— Jako fałsz, panie dobrodzieju? — zapytał Flawiusz.

— O, jako fałsz! Fałsz poprostu i koniec. Bo tego listu nie pisał skarbnik. Chyba go nie znasz? A to onby mi Niemca przysłał w dom? Onby mnie kazał z nim jeździć po wsiach, aby go tutaj osadzić? On? tfu! a to chyba go nie znasz?

— Ale panie dobrodzieju...

— Ot! co mi gadasz! przecież znam skarbnika od wieków. Pomnę dobrze, jak wjechał niegdyś na starostę, jak go potem ożenił, jak i mnie też ożenił, ale nie z tą sekutnicą, którą tu widzisz, a której także już niebawem przyjdzie na koniec. Bo będą bić, tłuc, mordować — do czysta! Napij-no się ze mną, to ja ci jeszcze co powiem.

Flawiusz już pił bez ceremonii — był on tak zirytowany w tej chwili, że mógł był pić całą beczkę i być pewnym swej przytomności — a starosta mówił dalej:

— A noż to ciebie jakiś inny kaduk tu przysłał, ale pewnie nie skarbnik. Nie mam ja nic przeciw temu, siedź, choćby i do sądneho dnia... Odkąd tu jesteś, moja żona ugłaskała się trochę, i Ernestynka weselsza, i ja też odżył. Kto cię tu przysłał, nie wiem, ani nie pytam, bo masz rozum, nie powiesz. Ale i ja też nie głupi i także nie powiem. A no tak tobie mówię, że cię chyba tu przysłał starosta. A sfałszowaliście list od skarbnika, bo to starosta mistrz do takich rzeczy, wiem ja też także i więcej. Alem ja się na tem poznał odrazu. Nie mówię nic, bo co mi tam na tem? Śpiewaj sobie francuzkie kuranty z moją żoną, ile ich chcesz, i owszem. Tańczuj około Ernestynki

i na tem mi nic. I żeń się z nią kiedy chcesz, i weź ją sobie za morze, a kiedy i matkę zabierzesz, jeszcze wam co dodam na drogę. Ale strzeż się, żeby się nie wydał ten fałsz. Bo skarbnik to kat na Angieleczyki i wszystkie Niemce. Kiedyby cię wziął w swoją garść, to jenobyś kwiknął jak mysz i już po tobie. A dostałoby się i twemu panu... staroście... A po papierach darmo nie szukaj... bo tu już i starosta... a przecież nic...

Tu staruszkowi zaczął znowu december ginać — i bałamucił na piękne.

Flawiusz siedział nieruchomie w swem krześle i milczał. Słuchał on z uwagą tej bałamutnej gadaniny, myśląc czy się stary z czem nie wygada — ale napróżno. To bowiem wszystko co mówił, nie miało żadnego znaczenia ni związku, a wkrótce i to ustało. Staruszek umilkł i przechyliwszy głowę przez krzesło, usnął, jak zwykle.

Flawiusz został jeszcze na swoim miejscu. Myślał on nad tym smutnym rezultatem tej pogadanki przy rozegranej fantazyi. Mógłby był się śmiać kiedyindziej z tego wszystkiego co słyszał, ale teraz nie było mu wcale do śmiechu. Byłby daleko prędzej mógł płakać. Tyle czasu tu strawił, i wszystek napróżno. W sprawie odzyskania swego ojca stał on dziś na tym samym punkcie, na którym stał, wyjeżdżając ze Lwowa. Ba, gorzej jeszcze! Wtedy bowiem miał prawie pewność znalezienia potrzebnego mu dokumentu — dzisiaj stracił nawet nadzieję. I jeszcze nazwano go fałszerzem listu, człowiekiem obcym na własnej ziemi! — Flawiusz myślał nad tem i łzy mu stawały w oczach.

I tak w tych myślach smutnych i łzawych minęła mu blisko godzina, i już dawno noc ciemna okryła całą komnatę. Flawiusz siedział w tej ciemnicy, jak w grobie. Ale było mu tak ciężko i krwawo na sercu w tej chwili, że byłby może wolał, gdyby się już istotnie grób przed nim otworzył, niżeliby się miał jeszcze dłużej z ciężarem takiego życia błąkać po tym zimnym i obojętnym dla niego świecie.

Wszakże wkrótce wszedł ze świecą służący i dał znać

że czas do herbaty. Staruszek się przespał tymczasem, zbudził się, przetarł oczy i poprowadził gościa swego do salonu swej żony.

Ale w salonie nie było dzisiaj pani Rudnickiej. Rozchorowała się trochę przy marcowem powietrzu i zamknęła się w swojej sypialni. Jej miejsce zastępowała Ernestyna.

Przy herbacie toczyła się obojętna rozmowa; stary jegomość, pijąc jak zwykle kawę, także się czasem odzywał — ale wychyliwszy do dna swoją potężną szklanicę, zasunął się głęboko w miękki fotel wiedeński, odpędzał jak mógł uprzykrzony sen od mrugających swych oczu, lecz niebawem kapitulował i usnął jaknajspokojniej.

Widząc to Flawiusz, rzekł do hrabianki:

— Ile razy widzę pana Rudnickiego drzemiącego z taką łatwością, zawsze mu muszę zazdrościć.

— Och! jest czego zazdrościć!

— Jest pani i bardzo. Sen łatwy i spokojny jest to nie małe szczęście.

— A czy pan możesz się na bezsenność skarżyć?

— Na najnieznośniejszą jaką być może...

— W takim razie obadwa panowie bylibyście już osądzeni starem francuzkiem przysłowiem: Jeunesse qui veille...

— Veillesse qui dort...

— Ale ja nie kończę, bo to nie prawda. Pragnęłabym wszakże zapytać, skąd pan do bezsenności przychodzisz?

— Skąd ja przychodzę? O! pani! najnaturalniejszą drogą ze wszystkich. Komu tak ciężko dolega życie...

— Czy pan istotnie jego ciężar uczuwasz?

— O! bardzo! nieraz zdaje mi się, że już ani kroku nie potrafię postąpić dalej, a wtedy przychodzą te okropne noce bezsenne, które zabijają resztę sił jeszcze żyjących i przytłumiają resztę nadziei. I tak idzie wciąż od kolebki!

— Ha! to smutno, zaprawdę! Ale wszystkim nam dzisiaj podobno nie lekkie życie. Wszyscy upadamy na siłach i wszyscy tracimy nadzieję. Szczęśliwi jeszcze pomiędzy nami ci, którzy mają co tracić. Ale też dzisiaj nie może

być już inaczej. Minęły wieki złote, o których wiemy tylko z ciemnych podań i pieśni — minęły srebrne, w których żyli jeszcze nasi dziadowie — na nas przyszedł już wiek żelazny. Jak nóż tępy i gruby, który ziemię porze przed pługiem, jak zgięty lemiesz, który z ciężkością skibę odrywa i na bok odrzuca, tak nasze życie z trudem, ciężkością i pracą porze czas oporny przed sobą i odrywając od niego godziny, dni i tygodnie, w przyszłość swoją odkłada. I gdybyż jeszcze tak jak po orce nastąpił siew pełen najpiękniejszych nadziei, a potem żniwa skrzętne i zbiory bogate, nie byłoby się co skarżyć na pracę życia; ale niestety! tak nie jest. My jesteśmy zaprzężeni do pługa i musimy orać tylko dlatego, że stać nie możemy na miejscu — siać nie będziemy, bo mamy teraz tylko plewy po śpięrzach — a bez zasiewu jakichże możemy spodziewać się zbiorów? — Czy tak pan myślisz? — zapytała hrabianka — czy odgadłam ciężar pańskiego życia i ten ból pana, który go dręczy i spowadza noce bezsenne?

— Pani jesteś wieszczką — mówił Flawiusz, patrząc w zamyśleniu w jej oczy — pani umiesz zgadywać myśli... Ale muszę pani powiedzieć, że ten ból jakiś, który mi czyni tak ciężkiem życie, określiłaś pani tylko ogólnie, a on się składa z tysiąca drobnych szczegółów, które na pozór zdają się niczem, ale pomimo to są daleko dotkliwsze niż wszystko.

— O szczegółach nie możemy rozmawiać — powiedziała na to hrabianka — bobyśmy się musieli przed sobą spowiadać, a to nie zawsze możliwe. Ale na cóż nam tu szczegóły? Podług mego zdania nawet nie zależy nic na nich. Czy te szczegóły są takie, czy inne, toż to na jedno wychodzi. Dostyc nam wiedzieć o tem, że się składają razem na boleść wielką, ciężką, zabijającą, która się nam wszystkim daje uczuwać. I że ją wszyscy czujemy, że się na nią skarżymy, że nawet pod nią upadamy czasami, to jest rzecz naturalna; ludzie jesteśmy, istoty słabe i wiotkie, chwiejność i błędy naszą naturą. Ale żebyśmy mieli pod takim bólem powiedzieć sobie z góry, że mu nie dotrzymamy i upadniemy, na to się wcale nie zga-

dzam. Bo my nietylko ludzie jesteśmy, ale każdy z nas jest człowiekiem, każdy nim być powinien. A czy to jest człowiek, który sam sobie wskazuje na śmierć lub bezczynność?

— Wszystko pani przyznaję, co mówisz; ale pozwól pani, abym zapytał, czy nie może zajść takie położenie, w którym człowiek być musi bezczynnym?

— Człowiek zakrzepły, bezsilny, stary.

— A młody?

— Nigdy.

Trwała chwilka milczenia, w której Flawiusz zapewne odgadywał niezupełnie jasne, a raczej zbyt ogólne znaczenie ostatnich słów Ernestyny — kiedy tymczasem spytała ona:

— Czy pan jesteś innego zdania?

— Nie, pani, przyznaję się do tego samego. Bo tak jest w samej istocie. Kiedy człowiek bezsilny, stary opuści ręce i pójdzie na bezczynny spoczynek, nietrudno mu się z tego usprawiedliwić. Siły się wyczerpują, obowiązki z czasem ustają, a najświetniejsza rola człowieka, w społeczeństwie czy w kraju, często wskutek zmiany okoliczności ustaje; trudnoż wymagać od starego człowieka, ażeby ze starganymi siłami nowe brał obowiązki na siebie, nowy zawód zaczynał. Ale nie tak się ma z młodymi...

— Otóż to jest! — dodała prędko hrabianka — nie tak się ma z młodymi. Dalej nie mamy potrzeby iść za tą myślą, bo sama z siebie się snuje, ale to jeszcze dodaćby można, że jak z pojedyńczymi ludźmi, tak się ma także z całymi pokoleniami. W ostatnich, w najświeższych czasach wielka zmiana zaszła w usposobieniu moralnem nas wszystkich. Owionęła nas jakaś boleść głęboka, owładnęło nas jakieś rozpaczliwe znużenie. Skarżą się na to starzy, skarżą się także i młodzi. Starzy z tą boleścią i w tem znużeniu opuszczają głowy i ręce i chowają się w niedostępne nikomu kąty na zawsze — jest to w nich bardzo naturalne. Ale czy byłoby to tak naturalnem, gdyby tak także zrobili młodzi?

Flawiusz patrzył na Ernestynę i milczał. Ona zaś po chwili mówiła dalej:

— Mówimy dziś o ważnych przedmiotach, ale to nie moja zasługa. Ale i nie pana także — dodała z uśmiechem — tylko... zgadnij pan, czyja? Kogoś tutaj nieprzytomnego, a to brata Jędrzeja.

— Jędrzeja? pani?

— Tak jest, Jędrzeja. Bo wiedz pan o tem, że kiedy Jędrzej z wojny powrócił, także był takim, jakby już nie mógł dźwignąć ciężaru życia. Miałam z nim o to nieskończone dysputy, które niestety! wcale go nie zmieniły. Przepowiadałam mu wszakże, że tak nazawsze nie będzie. I moja przepowiednia, ku mojej wielkiej radości, już się teraz ziściła. Właśnie dzisiaj list odebrałam od niego, który mnie o tem przekonał. Jędrzej jest znowu pełen życia i wiary w przyszłość, z czego niezmiernie się cieszę. Bo też tak być powinno. Kiedyśmy z matką moją mieszkały czas jakiś w Paryżu, bywało w naszym domu mnóstwo młodzieży — nie przypominam sobie jednak, żebym pomiędzy nimi widziała chociaż jedną twarz smutną. Czy pan zrobiłeś także to spostrzeżenie?

— Tak pani, młodzież francuzka jest bardzo wesołą.

— Ale bo pan mi tak odpowiadasz, jakbyś mi właśnie chciał wykazać różnicę między młodzieżą francuzką i naszą.

— Przepraszam panią, jakaś myśl nie wesoła przeleciała teraz koło mnie...

— Otóż aby tę myśl nie wesołą jeszcze dalej odpędzić, powiem panu jeszcze jedną wesołą wiadomość, a to że Jędrzej niebawem do nas przyjedzie.

— Jędrzej przyjedzie — powtórzył Flawiusz — bardzo się będę cieszył, kiedy go obaczę... ale wątpię bardzo, aby mnie jeszcze tu zastał.

— Jakto? alboż pan nas już myślisz porzucić? a więc na niczem spełzły pańskie projekta? -- zapytała Ernestyna ze wzruszeniem.

— Jakie? pani?

— Żaden majątek tutejszy się nie podoba?

— O ile się przekonuję — odpowiedział Flawiusz

z uczuciem pewnej goryczy — żaden nie jest istotnie do zdobycia.

— A! to będzie prawdziwie nieodżałowana dla nas szkoda — mówiła smutno hrabianka — byliśmy pewne, że pozyskamy w panu sąsiada.. Ale kiedy tak, to muszę panu powiedzieć, że Jędrzej ma na zbyciu całe jaćmier-skie państwo. Chce podobno sprzedać je całe, ale nie wątpię o tem, że możnaby go namówić i do sprzedania części...

Tu Ernestyna zaczęła po kolei opisywać osobne wioski, składające to państwo. Znała ona je dosyć dokładnie i wiedziała administracyę. Z jej opisów i różnych przytem czynionych uwag widać było aż bardzo jawnie, jak żywo pragnęła tego, aby Flawiusz się tutaj osiedlił. Radziła mu nawet w końcu, iżby w razie takim, gdyby żadnej z tych wsi nie chciał nabyć na własność, wziął z nich którą w dzierżawę — osiedziawszy się w tej okolicy i rozpatrzywszy się dobrze, nie trudno mu będzie potem znaleźć coś odpowiedniego do kupienia na własność.

Ta myśl zastanowiła Flawiusza. Sprzedawszy swoją kamienicę w Warszawie, nie trudno mu ją było wykonać. Ta myśl podobała mu się nawet — otwierała ona pole do nowych i bardzo zajmujących widoków...

Jakoż mówił o tem z hrabianką i mówił w kierunku tychże widoków, które mu się stąd rozjaśniały. Ernestyna odgadywała te widoki i trafiając w nie swemi myślami, wzmacniała go w nich całemi siłami. Jakoż była to bardzo żywa, bardzo zajmująca dla nich rozmowa, ale nie swobodna zupełnie. Oboje czuli to w głębi serc swoich, że mogliby teraz całkiem swobodnie rozmawiać ze sobą, mogliby przypaść do siebie i uczuciem i myślą na zawsze, mogliby założyć fundamenta do jakiejś pięknej, szczęśliwej, obopólnej przyszłości — ale nie mogli tego oboje, bo na obojgu ciążyło kłamstwo pewne, bo pomiędzy nimi murem stały pozory. I on i ona uchodzili przed sobą za osoby bogate — a ani on, ani ona niemi w istocie nie byli. I on i ona chcieli zrzucić ze siebie pozór, zawalający drogę wszelkiej szczerości i otwartym podnioslejszym uczuciom — ale żadne z nich nie miało do tego odwagi.

Fławiusz obawiał się skompromitować skarbnika, a nakoniec i siebie — Ernestyna obawiała się matki, która właśnie na tych pozorach bogactwa budowała przyszłe jej szczęście.

Fławiusz spostrzegł się pierwszy, że tak jak dziś rzeczy stoją, nie może się przyznać do swego rzeczywistego stanu i położenia — Ernestyna wiedziała o tem z góry, że swego ubóstwa otwarcie wyjawić nie może, ale chcąc ciężące na niej pozory bogactwa przynajmniej choć cokolwiek złagodzić, mówiła wiele o różnych innych pozorach, które tak często stają szczęściu ludzkiemu na drodze, a nakoniec tak rzekła:

— O! niech pan tylko nie myśli, że tam, gdzie są piękne i błyszczące salony, gdzie powietrze nasycone woniami, gdzie muzyka rozwesela umysły, gdzie swoboda na ustach i uśmiechy na twarzy, że tam wszędzie tak samo są swobodne i serca, że tam wszędzie jest szczęście. Na świecie naszym jest daleko więcej pozorów, niżeli rzeczywistości — a niejednokrotnie pod powłoką szczerego złota nie masz nawet ani żelaza. Świat dzisiejszy jest jako teatr, na którym widzimy króle, książęta, pany, wspaniałe ucztę, wesela, bale — ale gdyby nam było wolno wejść za kulisy, widzielibyśmy tych książąt i panów, pożywających chleb czarny, często krwawemi zroszony łzami. Tak dziś jesteśmy wszyscy... gdybyż przynajmniej nie było pomiędzy nami takich, którzy nie z własnej woli, ale przymuszeni odgrywają te role kłamliwe na scenie życia. Ale i tacy są między nami, i mojem zdaniem, ci są najniešťeśliwsi ze wszystkich.

Fławiusz nie rozumiał odnośnego tych słów znaczenia i dziwił się temu, mówiąc:

— Pani mnie zarzucasz prawdami, które z ust pani zdumiewają mnie do najwyższego stopnia. Bo skądże do prawd takich mogłaś przyjść pani...

— Z doświadczenia i z życia — odpowiedziała prędko hrabianka.

— Z doświadczenia i życia! — powtórzył Fławiusz, podnosząc rękę z rzeczywistym zdumieniem do góry. —

Pani, urodzona w domu takim bogatym, kochana i pieszczona przez rodziców i krewnych, wielbiona przez wszystkich...

— Miałem jeszcze pomimo to wszystko — przerwała znowu hrabianka — jak najprostsza sposobność pocucia prawd tych we własnem mem sercu. Widzisz pan tu najlepiej, że nigdzie nie obchodzi się bez mylących pozorów. A gdybym o tem mówiła z panem dalej, tobyś pan jeszcze więcej się dziwił. Ale nie mogę mówić dalej, boby to wyglądało na skargę. A słowa skargi jak nikt jeszcze nie słyszał odemnie, tak jestem pewną, że nigdy ich nie usłyszysz. Jestem na tej drodze silniejszą... nawet od pana.

To powiedziawszy z uśmiechem, spojrzała na zegarek i rzekła:

— Wieleby się dało o tem powiedzieć, ale, niestety! już dziesiąta godzina; a dziś tylko do dziesiątej wolno mi bawić w salonie. Gdybym się skarżyć umiała, otóż widzisz pan, zarazby był powód do skargi. Ale zamiast skargi — dobranoc panu.

Flawiusz zerwał się z krzesła, aby jeszcze choć słów kilka powiedzieć — ale nim się to stało, Ernestyny już nie było w salonie.

Reszta wieczoru przeszła Flawiuszowi na myślach męczących, na nowych walkach ze samym sobą.

Przez ten czas, który bawił w Jaémierzu, nie znalazł on tego dokumentu, którego szukał — ale znalazł serce ludzkie, które się otworzyło ku niemu. Zdawało mu się, że nie potrzeba już więcej, jak tylko jeszcze jednej rozmowy, aby to serce pozyskać dla siebie na zawsze. Wyobrażał sobie już naprzód, jakby mógł być wtedy szczęśliwym. Ale czy razem z sercem mógłby także pozyskać i rękę, która miała go uszczęśliwić? — było to wielkie pytanie.

Były niektóre podobieństwa, które mówiły za tem — ale było jeszcze więcej trudności, które się stawiały na przeciw.

I te trudności były nawet tego rodzaju, że nie było

się co długo namyślać — a przynajmniej teraz jeszcze nie było się nad czem namyślać.

Bo i po cóż tutaj przyjechał? — Jaki zamiar, jaki cel miał teraz przed sobą? — Nie dopiąwszy jednego zamiaru, porzucać go i przedsiębrać drugi, czy zgadzało to się z rozumem?

Jakoż postanowienie jego było wkrótce gotowe. Napisał list do skarbnika, którym go zawiadomił o wszystkim, czego doświadczył w Jaémierzu. Szukanego dokumentu nie znalazł, ale też i nie nabył przekonania, żeby tego dokumentu całkiem nie było. Według jego domysłu mógł się ten dokument najprędzej znajdować w ręku Jędrzeja, u którego znajdowała się jakaś część familijnych papierów. W każdym razie, donosił on skarbnikowi, nie miał już nadziei, aby sam, czy od ojca, czy od syna, mógł ten dokument wydobyć — jakoż jemu już tylko zlecał tę sprawę i prosił o pamięć. Sam zaś, ażeby nie porzucać raz rozpoczętej drogi, nie wyczerpawszy wszystkich środków, mogących zaprowadzić do celu, postanowił udać się do Wiśnicza i tam na miejscu szukać dowodów na to, co lubo pewne i niezaprzeczone, tak trudne jednak było do dowodzenia.

Napisawszy list taki i wyprawiwszy go pocztą, nie odwlekał już wcale swojej nowej podróży.

Z końcem miesiąca marca już go nie było w Jaémierzu.

XXI.

Tymczasem kiedy Flawiusz, bawiąc na wsi, szukanego dokumentu wprawdzie nie znalazł, ale nowe w sercu obudził uczucia i równie nowe ujrzał przed sobą widoki — osobom, pozostałym we Lwowie, czas upływał prawie bez żadnej zmiany w ich dotychczasowych uczuciach i wzajemnych do siebie stosunkach.

Niemal największym całej reszty karnawału wypadkiem było to, że podkomorzyna bal dała u siebie. Bal ten udał się jaknajpomyślniej. Wszystko, co było najznamienitszego

we Lwowie, zgromadziło się tego wieczora na salonach podkomorzynej. Wystąpiła też ona świetnie i nieledwie nad możność, posprowadzała jeszcze mnóstwo sreber i drogich sprzętów ze swego i braterskiego domu — skarbnik sprowadził wina stare, jeszcze z ojcowskiej piwnicy, a przy serdeczności gospodarza i gospodyni uraczono gości tak dostatnio, a nawet szumno, że jeśli był kto we Lwowie, który nie wierzył w Stasi milion posagu, to po tym balu pewnie dał się nawrócić.

Bal ten jednak, a nawet i postępujący żwawymi za nim krokami post wielki, nie zbliżył Jędrzeja ani o jedną myśl do tego stanowczego kroku, którego z takim upragnieniem oczekiwała podkomorzyna. Jędrzej jeszcze zawsze wisiał pomiędzy miłością dla Stasi, a usiłowaniem spokojnego odsunięcia od siebie Melanii, tak samo, jakżeśmy go przy odjeździe Flawiusza widzieli. Usiłowania te były nawet istotnie czynne, tak z jego strony, jak i ze strony chcącej się dla niego poświęcić wojewodzianki, bo jak on robił wszystko, aby ją powolnie we wszystkich uczuciach dla siebie ochładzać, tak ona także nie zaniedbała niczego, aby go przekonać, że dawno już z niego zrezygnowała; ale usiłowania te, zamykane zawsze w formach zbyt delikatnych i niewyraźnych, nie były w stanie sprowadzić żadnego skutku. Rodziły się stąd tylko coraz nowe nieporozumienia, a na prostą i szczerą otwartość, która jedynie mogła rozciąć ten węzeł nieporozumień, żadne z nich się zdobyć nie mogło. Musiał tedy ten fatalny stan rzeczy dotrwać pomiędzy nimi aż do tego momentu, póki mu w pomoc nie przyszły wypadki.

Tak się zbliżył i przeszedł nareszcie ważny dla wszystkich dzień śgo Józefa.

Pierwsza połowa dnia tego mija zwykle na nabożeństwie i powinszowaniach. Z ojców i dziadów mamy zawsze tak wiele Józefów. Pani podkomorzyna miała tylko parę domów takich, gdzie jej potrzeba było być z gratulacją, i dlatego wcześniej wróciła do domu. Ale skarbnik ich miał kilkanaście i tak się pomiędzy nimi gdzieś zawieruszył, że już dawno obiadowa godzina minęła, a jego je-

szcze w domu nie było. Dopiero koło godziny trzeciej pokazał się wreszcie i wszedłszy do pomieszkania swej siostry, gdzie już oddawna czekali na niego z obiadem, zaraz też zasiadł do stołu.

Przez cały czas obiadu opowiadał on po kolei to wszystko, co dzisiaj widział i słyszał, i był przytem pełen żartów i najlepszego humoru. Skarbnik od kilku tygodni był codzień w lepszym humorze. Poodszukiwał on przez ten czas wielu starych przyjaciół, pozyskał także nie mało nowych, a częste z nimi pogadanki i wieczorynki, w ostatnich osobiście czasach, prawie całkiem jego usposobienie zmieniły. Dawniej najczęściej kwaśny, a nieraz nawet tak gorzki, jakby go ciężka melancholia trapiła, teraz był swobodny na duszy i sercu, pełen życia i fantazyi, jak młody. Podkomorzyna cieszyła się tem z całego serca i prześladowała go delikatnie, mówiąc, że przekwasiwszy całe zapusty, w poście się dopiero rozhulał; ale wiedziała ona o tem aż nadto dobrze, że musiały być tego jakieś partykularne przyczyny. Tych przyczyn była ona niezmiernie ciekawa i z różnych stron podchodziła go o nie — ale ze starym konfederatem nie łatwa była sprawa, bo na bardzo ciekawe pytania poprostu milczał, a na mniej ciekawe odpowiadał tak wiele i tak bałamutnie, że z nich się nie można było dowiedzieć niczego. Raz tylko jeden, kiedy miał kilkanaście osób na obiedzie u siebie i kiedy pod koniec tej szlachecko-wojskowej biesiady gęsto poczęły krążyć kielichy i zdrowia — zdawało się podkomorzynie, jakby już zgadła prawdziwy powód weselości swojego brata; — ale domysł ten, niczem nie utwierdzony pewnem, nie zostawił po sobie żadnego trwałego zdania.

Jednakże lubo podkomorzyna cieszyła się tym humorem swojego brata, sama nie dzieliła go wcale. Skarbnikowi minął karnawał smutno, a post wielki może mu otworzył jakieś nowe widoki, może w nim jakie nowe porozbudzał nadzieje — ale jej ani karnawał, ani post wielki nie przyniósł żadnej pociechy. Obydwie te epoki minęły dla niej, nie doprowadziwszy jej wcale do celu: Stasia zawsze była jeszcze nie zaręczoną, a oprócz tego

dało się podkomorzynie teraz uczuwać jakieś takie zmęczenie, takie już zniechęcenie do tego gwarneho życia, że już prawie codziennie myślała o tem, żeby jaknajprędzej na wieś powrócić.

Jakoż i teraz, przeszedłszy po obiedzie do głównej komnaty i usiadłszy w kąciку, rzekła do brata:

— Wszystko to bardzo ładnie, bardzo się tutaj dobrze bawimy, ale czas biegnie niepowstrzymany, wiosna za pasem, a nam przed wiosną jeszcze trzebaby myśleć o powrocie do domu.

A na to skarbnik:

— Otóż już znowu zaczyna pani siostrze być pilno do domu! Proszę cię, miejże jeszcze choć tyle cierpliwości ile nam trzeba. Dałem ja tobie wyciągnąć się ze wsi, dajże ty mnie zatrzymać się w mieście. A zresztą, proszę cię, z czemże też powrócimy?

— Już to zdaje mi się, że z tem samem powrócimy za kilka tygodni, z czembyśmy powrócili i teraz.

— A kto wie? tego nie można powiedzieć.

— Nic łatwiejszego, jak rzecz taką przewidzieć. Bo kto nie ma odwagi dzisiaj, temu jej czas nie przyniesie. Nie wiedziałem pierwiej dla czego tej odwagi niema i dziwiłam się temu — dziś wiem dlaczego i jeszcze więcej się dziwię.

— A co w tem, to cię przepraszam, ale się na to nie zgadzam. Gdybym był na miejscu Jędrzeja, postąpiłbym sobie tak samo.

— Nie mówże tego, bo jeszcze nie wiesz, jak on sobie postąpi — rzekła na to trochę niecierpliwie podkomorzyna — on się dziś waży, a na którą się stronę przeważy, tego jeszcze nie można powiedzieć.

— Może nie można powiedzieć, ale wiedzieć już można.

— Ja o tem nic nie wiem, bo on zawsze stoi w równej dystancyi i od Stasi i od Melanii. A co wiedzieć gdzie się przechyli? Czy masz jakie dowody na to, że my mu bliżsi jesteśmy, niż dom wojewody?

— Dowodów nie mam, ale mam wiarę. A zresztą tu jest całkiem co innego. Przecież rzecz jasna, że on o na-

wróceniu się do Melanii ani myśli, bo gdyby myślał, toby był dawno już zrobił. Czy miałby w tem jakie trudności?

— A tutaj ma jakie trudności? Przecież widzi jak na talerzu, że tylko od niego wyczekujemy słowa. I tak jest, chociaż to nie po mojej woli. Bo ja mówiłam zawsze, żeby go trzymać zdaleka i stawiać mu coraz nowe trudności; znam ja dobrze ten ród wasz uparty i wiedziałam, coby stąd były za skutki — aleście mnie przekreskowali i stanęło na waszem. Jeżeli teraz na pana Jędrzeja będziemy czekać rok albo i więcej i jeżeli jeszcze po roku uzna za lepsze ożenić się z wojewodzianką, to przynajmniej ja temu nie będę winna.

— Ale dajno pokój, moje kochanie, bo cię znów twoja niecierpliwość napada. A będziesz widzieć, że najniestuszniej, bo już lada dzień ta historia się skończy. Ot! już dzisiaj i to z kilku ust nawet słyszałem tę wieść nieodmienną, że starosta bełzki jest bardzo blizkim swego zamiaru. Powiadał ktoś nawet, że się już zrękowiny odbyły; inny zaś mówił, że się dzieś odbyć mają, a ślub będzie po Wielkiej nocy. I to mi się zdaje nawet bardzo podobne, bo wstąpiwszy do naszego cukiernika, zastałem tam cały stół zastawiony cukrami dla kogoś. Pytałem, dla koby to było — nie chciał zrazu powiedzieć, ale przecie nakoniec przyznał pod sekretem, że to dla wojewody. O! toż to nie bez kozery. Nie masz w tem nic pewnego, ale być może, a że dziś czy jutro na tem się skończy, to niema kwestyi. Mówilem też o tem i ze samym starostą, a i on także jakiś był zagadkowy. Jakoż niema co o tem i mówić. Ale co mi też na myśl przychodzi! — zawołał skarbnik, uderzając rękami przed sobą — toż to ja zapomniałem być z powinszowaniem u chorążego.

— A czy jest pan chorąży?

— Nie widziałem go, ale mi powiadano, że właśnie temi dniami powrócił.

— A mnie powiadano z pewnością, że go nie masz, tylko jego furgony przysły, on zaś ma przyjechać aż po świętym Józefie.

— Otóż to tak będzie pewnie, bo mnie znowu powia-

dał mój chłopiec, że widział jmc pana Małdrzykiewicza w garkuchni, jako się raczył kielbasą i kontuszkówką. Musiał tedy zapewne przywieźć służbę i prowianty z Leska, a że pana jeszcze nie zastał, więc sobie hula po mieście.

— Ot! kiedy tu jest Małdrzykiewicz — rzekła na to podkomorzyna — dobrzeby było, żeby się można z nim widzieć. Już ja od tak dawna nie miałam listu od siebie i nie wiem nawet co się tam dzieje.

— I ja już od kilku tygodni wyczekuję wiadomości napróżno, ale przez to nie będę się o nie pytał Małdrzykiewicza.

— Ale cóż też to ma do rzeczy? Czy ten, czy ów, to wszystko jedno, byleby się można coś dowiedzieć o domu.

— Ej! niema się tam co dowiadywać. Jak u mnie, tak u ciebie, jedno jest i to samo. Jedzą, piją i Pana Boga chwalą, bo cóż mogą dzisiaj robić innego?...

Wszakże w tem, kiedy to mówił skarbnik, wszedł służący i zapowiedział, że pan kapitan z Zagórza przyjechał, i zaraz będzie służyć państwu.

— Pan kapitan przyjechał? — zapytał skarbnik — i sam w swej własnej osobie?

— Jezus Marya! — zawołała prawie równocześnie z nim podkomorzyna, tam się pewno musiało stać jakieś nieszczęście!

— Dlaczegoż zaraz nieszczęście?

— Ale co ty mi mówisz! — zawołała niecierpliwie podkomorzyna — nieszczęście jakieś się stało i to wielkie jakieś nieszczęście! Spalono mnie, albo mnie zrabowano, albo było mi wypadło, albo coś podobnego — bo kapitanby tu nie przyjeżdżał. Hej! ale gdzież ten kapitan? powiadasz, że przyjechał, że zaraz przyjdzie, gdzież jest?

— Pana kapitana bryka tu zajechała — odpowiedział służący — a on sam wysiadł w mieście... — Fornał nie umie powiedzieć gdzie, tylko powiada, że przed jakimś wielkim domem, gdzie żołnierze stoją na warcie.

— Co on ma wstępować po jakichś domach, gdzie

warty stoją! co to jest takiego? — zawołała podkomorzyna.

A na to skarbnik:

— Wstąpił zapewne do plac komendy, żeby się zameldować. Tak każe służba.

— Ale co tam taka służba, której tylko pusty tytuł pozostał! On u mnie służy i o mnie powinien najpierwej pamiętać.

Na to zbliżyła się Stasia do matki, a lubo sama była przełęcznioną do najwyższego stopnia, rzekła do niej:

— Proszę mamy, niech mama się uspokoi. Cokolwiek bądź się tam stało, nie zginiemy przecież od tego.

— Ale dajże mi pokój! Nie zginiemy! Ty pewnie nie zginiesz z twoją krwią zimną... Hej! proszę cię, biegnij mi zaraz za kapitanem. Jak go znajdziesz, weź dorożkę i przywoż go tutaj natychmiast. On jeszcze tam gotów znaleźć jakich kolegów i zasiąść z nimi do piwa.

Wszakże w tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł sam kapitan do komnaty. Był on dziś w uniformie, frak granatowy, trójgraniasty kapelusz, szpada u boku, a nawet i czupryna przyczesana i przypięta grzebieniem. Tylko oko jedno pozostało przymrużone, a drugie mrugające jak zwykle, bo to się nie dało zmienić nawet i na galę.

Kapitan, jak wiemy, miał zawsze twarz nie tak uśmiechnioną jak śmieszna, po której nie można było nigdy zgadnąć jego usposobienia — jakoż taki i teraz wszedł do komnaty i właśnie chciał poczynąć swe powitania, kiedy go podkomorzyna zarzuciła mnóstwem zapytań:

— Przez Pana Boga żywego — zawołała ona — cóż też kapitan robisz! Przyjechałeś do mnie, a chodzisz gdzieś po komendach.

— No, no — mówił on na to — to nie mogło inaczej być! Jakże się Jadwisia ma? no, a pan major jak się ma?

— Wszyscy się mamy nie źle — odpowiedziała prędko podkomorzyna — ale kapitan jak się masz? co cię tu przypędziło? co nam przywozisz? tam się pewnie stało jakieś nieszczęście? — mówiła podkomorzyna, patrząc mu

w oczy z takim wyteżeniem wzroku, jakby go chciała przejrzeć na wylot.

Ale on tymczasem przeszedł pomału pomiędzy otaczającą go półkołem rodzinę, usiadł na krześle, zażył tabaki i odpowiedział:

— No, no, pewnie, że dobrze nie jest, bo inaczejbym tu był nie przyjeżdżał... ale niech się Jadwisia nie martwi.

— Ale, na miłość Boga, cóż jest? spalono nas?

— A Broń Boże! to nie...

— 'To zrabowano?

— A zrabowano... zabrano...

— Ale któż? kiedy? jak?

— Jadwisia proces przegrała, zapadł dekret, przyjechali i wzięli Zagórz i wszystko...

— Jezus, Marya, Józef! — zawołała na to podkomorzyna i w tej chwili opuściły ją siły. Jakby piorunem rażona zachwiała się, potoczyła się ku kanapie i na krzesło tamże stojące upadła.

Z głośnym płaczem i jękiem skoczyła zaraz do matki Stasia, z butelką wody przyleciał skarbnik, chwycił za szklankę sam przestraszony kapitan — ale podkomorzyna miała zanadto silne nerwy, aby się dać całkiem porwać omdleniu. Jakoż nim się jeszcze zdołano wziąć do środków trzeźwiących, sama zerwała się z miejsca i wybuchnęła w płacz taki głośny, jakby w nim już miała postradać życie.

— Otóż to masz! — wołała ona urywanemi słowy w tym płaczu — widzisz! widzisz, do czego nas doprowadził ten Jędrzej!... I teraz... teraz właśnie... kiedy ja występuję we Lwowie... kiedy daję bale takie wystawne... oh! czemuż raczej mnie śmierć nie spotkała w tej chwili!...

Tak chodząc chwiejącymi się krokami wzdłuż i w poprzek, łamiąc ręce przed sobą i zalewając się coraz nowemi łzami, wyrzucała ona z swoich ust konwulsyjnie drgających same takie wykrzykniki porozrywane, nie uważając wcale na to, co się działo koło niej.

Stasia, oparta plecyma o framugę okna, zwiędła jak lilia burzą złamana i zakrywszy oczy obydwoma rękami,

śróđ łez i spazmatycznego szlochania, była prawie bez przytomności.

Tymczasem skarbnik, zmarszczywszy tylko gęste brwi swoje jak Jowisz, lecz z wyrazem głębokiej boleści na twarzy, przystąpił do kapitana i spytał:

— Ale proszę cię, jakże się to stać mogło! bo ja tego nawet pojąć nie jestem w stanie. Cóż za łotry, co za przeniwiercy są ci palestranci foralni! Kiedyż zapadł ten dekret?

— Kiedy zapadł, tego już nie wiem — mówił na to kapitan — alem go widział na własne oczy.

— Ależ to jest rabunek, to jest rozbój na gładkiej drodze.

— A tak! no tak! bo oni już się tak na wszystkich uwzięli! I u pana brata tam także niedobrze.

— Jakto i u mnie? a cóż tam znowu stało się u mnie?

— Także wszystko zabrali.

— Co ty mówisz! u mnie zabrali? a któż mógł zabierać co u mnie?

— A! to już tam od chorążego zapewne — mówił kapitan — przyjechali, zabrali. Bronił się podstarości i nawet bił się z nimi w dziedzińcu, ale to nie pomogło. Mieli żołnierzy, zrobili gwałt i taki zaprowadzili prowizoryum.

— Kapitanie! ty kłamiesz, to być nie może. Przecież chorąży...

— Ale tak jest! jak pana brata szanuję... Jedzie tu podstarości, zostawiłem go w Gródku.

— Przebóg żywy! — zawołał na to skarbnik, załamując ręce nad głową — to chorąży mnie tak zdradził haniebnie? A ja mu oddałem skrypt na sto tysięcy!

Wszakże nim jeszcze tych słów dokończył, podkomorzyna, która stojąc na środku salonu z pół otwartymi usty, z osłupiałemi oczyma i prawie cała zakrzepła jakby posąg przest్రachu i bólu, tej wiadomości słuchała — z głośnem konwulsyjnem szlochaniem rzuciła mu się w ramiona.

Przełamany pierwszym, niespodziewanym ciosem takiego bólu, a zarazem i siostry ciężarem, skarbnik posu-

nał się z nią razem o parę kroków i siadł na najbliższym fotelu. Nieutrzymana przez niego, zsunęła się po nim podkomorzyna i ukłękając przy nim na ziemi, utuliła swoją bezwładną głowę na jego kolanach. Tak samo zaraz i Stasia tuż przy matce ukłękła, chwytając się obydwoma rękami skarbnika. Zdało jej się zapewne, że już śmierć po nich wszystkich przychodzi — mieliby ginąć, niechby przynajmniej zginęli razem.

Siedząc tak w krześle i tuląc swoje sieroty obydwoma rękami do siebie, skarbnik podobno sam w tej chwili potrzebował przytulku. Widać przynajmniej było po nim, że był skostniały i nieprzytomny — patrzył on szklanemi oczyma w środek salonu i milczał.

Po chwili dopiero jego twarz się ożywiła cokolwiek, dwie łzy duże wytrysnęły mu z oczu i spłynęły po licach, a on sam głowę zwieszając na piersi, wymówił dziwnie rozbolełym i prawie rozdartym głosem te słowa:

— Jesteśmy w nędzy!

Ktokolwiekby był na tej surowej, ozdobionej bliźnami żołnierskiej twarzy te łzy obaczył i te słowa usłyszał, choćby jego serce było z kamienia, byłby się nie mógł wstrzymać od płaczu.

Podkomorzyna, szlochająca ciągle i drgająca na całym ciele jakby w konwulsyi, zdaje się, że była zupełnie nieprzytomną w tej chwili i tych słów, wydających tak okropny wyrok na nich wszystkich, nie dosłyszała: ale Stasię przeszły na wskrós te słowa. Jakoż podniosła ona głowę w tej chwili, podniosła twarz łzami zalaną do góry i patrząc na skarbnika, rzekła przez łzy do niego:

— Wuju drogi! nie rozpaczajmy jeszcze. Poszlijmy po Jędrzeja, on nas nie opuści w takim nieszczęściu...

Ale skarbnik zdawał się tych słów wcale nie słyszeć. Patrzył on zawsze jeszcze oślepiałemi oczyma w środek komnaty, ale zdawał się już być sobie przytomnym — zdawał się wyobrażać sobie w tej chwili tę nędzę, w którą go dzień dzisiejszy przerzucił — jakoż pokiwał teraz głową i rzekł z wyrazem krwawego żalu:

— Nie spodziewałem się nigdy, ażebym o żebranym chlebie miał dochodzić do grobu!

Wszakże na to już nikt nie umiał nie odpowiedzieć, — i istotnie grobowa cisza zaległa teraz komnatę.

Tej całej scenie przypatrywał się kapitan zdaleka, ale z wielkiem zajęciem. Zdaje się, że z początku nie przywiązywał on do tych wiadomości, które przywiózł, tak wielkiej wagi. Wnosić to należało po sposobie i tonie, jakim te wiadomości opowiadał, — a przypuścić to można nietylko dlatego, że kapitan miewał często oryginalną logikę, ale i dlatego, że mógł mieć przesadzone wyobrażenie o stanie obydwóch majątków, co też podobno tak było w rzeczy. Lecz widząc teraz, jaki te wiadomości sprawiły skutek, wyobrażenie swoje zmienił odrazu. Patrząc na ten ból niewymowny, który ukochane przez niego serca tak nielitościwie rozdzierał, i jego serce się także rozdarło i byłby płakał. Ale kapitan był z tych ludzi, którzy nie mają łez w swojej piersi i zamiast płakać, umieją o ratunku pomyśleć. Jakoż i on coś teraz pomyślał, — i wzięwszy zaraz kapelusz, wyszedł na palcach z komnaty. Wszedłszy do przedpokoju, kilka chwil ze służącym rozmawiał, ale niebawem wziął służącego ze sobą i wybiegł śpiesznie do miasta.

Tymczasem kiedy kapitan za sprawami wiadomemi tylko sobie samemu biegał po mieście, — w naszej komnacie, zamienionej teraz w świątynię boleści, usposobienie serc i umysłów przeszły w następną fazę i cała scena inną przybrała postać. I podkomorzyna i skarbnik otrzęźwili się z tej martwoty, w którą ich pogrążyło pierwsze wrażenie nieszczęścia, i rozwiązawszy usta, puścili wolne wodze swym myślom. Niecierpliwa z natury podkomorzyna nie umiała się pojąć w nowem swem położeniu. Tysiące najrozmaitszych uczuć i myśli opadało ją odrazu i wybuchając to płaczem, to skargą, to żalem, to gniewem, szarpały całą jej istotę tak silnie, że zdawało się, jakby ją miały rozszarpać.

— Wszystko, wszystko, cośmy mieli najdroższego na świecie — mówiła ona, chodząc wielkimi krokami po ko-

mnacie i przyciskając co chwila chustkę do oczu — zostało zniszczonem, podruzgotanem, na zawsze. Jesteśmy ubodzy, biedni, nędzni i na nędzę skazani na całe życie! I gdybyż to jeszcze było takie ubóstwo, jakie częstokroć spotyka innych! Gdyby nas zniszczyła woda, ogień lub wojna, gdyby źli ludzie zresztą, ale bez pozorów naszej własnej winy! A tak, któż nam uwierzy? kto się ulituje nad naszą stratą, kiedy cały świat powie, żeśmy się sami zniszczyli we Lwowie? Oh! pocóż ja też nieszczęсна tu przyjeżdżałam! Gdybym była przynajmniej balu tego nie wyprawiała! gdybym była przynajmniej nie występowała z takim przepychem!... Teraz wstyd nam i hańba wobec całego towarzystwa, wobec całego świata! Urażać nas będą, za odstraszający przykład stawiać nas będą wszystkim marnotrawcom!... A kto temu wszystkiemu winien? Kto mnie do tej podróży zniewolił? Kto mnie zmusił do tego, abym występowała w świecie? On! ten wietrznik bez czci i wiary, ten lekkomyślny bałamut, ten przeniewierca bez czci i sumienia! Oh! chybaby Pana Boga nie było na niebie, chybaby serc naszych nie widział i nie znał naszych uczynków, żeby na tę zbrodnię śmiertelną nie rzucił swojej pomsty i kary!

A kiedy tak podkomorzyna, bolejąc raczej nad chwilowymi niżeli ostatecznymi skutkami tego nieszczęścia, nie umiała się opanować w swoim wielostronnem wzruszeniu i każdą myśl przelotną, każde pobieżne uczucie, głośnemi wypowiadała słowami — więcej siły nad sobą mający skarbnik, przechadzał się prawie w milczeniu po pod ścianą komnaty. Pomimo to wszakże widać było po nim, że cierpiał daleko głębiej niż jego siostra, twarz jego bowiem była od tego bólu wykrzywioną do niepoznania, ręce konwulsyjnie się rzucające a z zesiniątych ust jego tylko czasem wyrwały się słowa, znamionujące to rozpacz najwyższą, to najgłębsze oburzenie na chorążego. Skarbnik nie mógł prawie uwierzyć, żeby tak haniebnie z nim postąpił chorąży.

— Tak mnie stumanić — mówił on do siebie — podejść słodkimi słowy, obiecać wszystko, skrypt wyłudzić odemnie, aby mnie okraść, zniszczyć i puścić z torbą na

starość, — tyżeś-to mógł zrobić, choraży! Ty, pan bogaty, posiadający miliony, potomek rodu, który takimi cnotami jaśnieje za naszych ojców i dziadów, ty wyciągasz dziś twoją rękę, aby twych braci okradać? Oh! cóż się to już nie stało z tym krajem!...

Wszakże tak mówiąc, rzucał czasem okiem na swoją siostrę i siostrzenicę, a widząc niepoohamowaną rozpacz jednej i ciągle łzy drugiej, przystępował do nich po kolei, przyciskał je do swej piersi i mówił:

— Nie płaczcie, nie skarżcie się biedne, nieszczęśliwe sieroty! Pan Bóg odwrócił od nas twarz swoją na chwilę, ale On nas nie zgubi, bośmy nie zasłużyli na to. Opuścili nas ludzie, ale jest nas troje, a my nie opuścimy się nigdy. Do dostatków, do fortun już nie wrócimy, ale jeszcze zawsze opędzimy się nędzy. Schowamy się w kącik jak najdalszy od świata, uciekniemy od tych ludzi, którzyby mogli naszemu ubóstwu urągać, będziemy się krzątać sami około naszego chleba, będziemy pracować, będziemy się modlić Bogu — a On się znowu do nas nawróci.

Słowa te jednak niewielką jeszcze a nawet żadnej nie przynosiły pociechy. Podkomorzyna zaledwie zwracała na nie uwagę, Stasia była całkiem innemi myślami zajęta i nawet sam skarbnik tak mało wiary przywiązywał do nich w tej chwili, że ledwie je wymówił, znowu wpadł w swoje żalosne i rozpaczliwe wzburzenie. Jakoż niema się temu co dziwić, — było to bowiem zanadto wielkie nieszczęście, aby je można było opanować i wznieść się nad nie tak prędko.

Wszakże kiedy się to działo w komnacie, dały się słyszeć jakieś głosy obce w antykamerze.

W tej chwili wszedł służący i zapowiedział Jędrzeja.

Na odgłos tego imienia podkomorzyna stanęła jak wryta na środku komnaty, twarz jej gniewem nabiegła, roziskrzyły się oczy i zawołała:

— Idź! pozamykaj wszystkie drzwi w domu... i nie pokazuj mi się na oczy! Jednakże na te słowa Stasia się gwałtownie zerwała z kanapy i wybiegła na środek komnaty. Zdawało się, jakby chciała prosto do przedpokoju

wylecieć, — ale w tym momencie obróciła się ku niej matka i zatrzymała ją wzrokiem na miejscu.

Ale prawie w tej samej chwili otworzyły się drzwi z łoskotem i sam Jędrzej wbiegł do komnaty.

Jędrzej wyglądał w tej chwili tak, jakby z jakiej bitwy powracał. Ubiór na nim był w największym nieładzie, chustka rozwiązana na szyi, włosy wzburzone na całej głowie, twarz pomieszana do najwyższego stopnia. Dosyć było raz rzucić okiem na niego, aby się domysleć, że już wiedział o wszystkim.

Jakoż nim jeszcze próg komnaty przestąpił, mówił, biegnąc ku podkomorzynie:

— Nie, pani! pani mnie nie możesz odtrącić w tej chwili, pani nie możesz odepchnąć tego, który przychodzi podzielić się z wami nieszczęściem...

Wszakże ledwie tych słów domówił, kiedy Stasia, nie uważając już wcale na to, jak sobie postąpi matka, z płaczem i jękiem żałości rzuciła się Jędrzejowi w ramiona. Jędrzej ją chwycił tak, jakby był na to naprzód przygotowany, — jakoż to zbliżenie się tych sere dwojga do siebie, ten uścisk wzajemny był tak nagły, tak naturalny i taki nawet konieczny, że można było tylko patrzeć za to z współzuciem, ale niepodobna było nic przeciw temu powiedzieć.

Jakoż oboje starsi patrzyli tylko na to z milczeniem na ustach, ze zdziwieniem na twarzy, ze łzami w oczach.

I minęła tak chwila, w której każdy tylko czuć umiał szczęście ogólne i swoje własne, ale nikt nie był w stanie ani słowa przemówić.

Wkrótce wszakże Jędrzej wypuścił Stasię ze swego objęcia i wzięwszy ją za rękę, uklęknął z nią razem przed podkomorzyną.

Po takiej scenie ze Stasią, chciał li czy nie chciał, nie mógł inaczej postąpić.

Podkomorzyna podniosła ręce nad ich głowami i przez łzy nowe, które nadaremnie usiłowała powstrzymać, powiedziała te słowa:

— Widzę że nie my, ale sam Bóg kieruje losami...

Błogosławię wam, moje dzieci, z całego serca... Taki tylko wypadek może mi dać z czasem przeboleć tę wielką stratę, którą dzisiaj poniosłam, i zapomnieć te niezliczone cierpienia, które już i przed tem były moim udziałem...

Była to zapewne przymówka do zachowania się Jędrzeja podczas jego konkurencyi o Stasię.

Wszakże w ten moment przystąpił do nich i skarbnik i rzekł:

— Niech wam Bóg błogosławi...

A kiedy Jędrzej wstał zaraz z kolan, on podał mu rękę, ścisnął go z całej siły i dodał:

— Nie wątpiłem o tem nigdy, że się zawsze nakoniec zbliżysz do tych, których serca z taką szczerością były dla ciebie otwarte: ale nie spodziewałem się tego, że się będziesz zbliżał do nieszczęśliwych... Lecz kiedy tak się stało, niech ci to Pan Bóg sownie nagrodi i obyś kiedyś pozyskał tyle miłości i szacunku u całego narodu, na ileś sobie u nas zasłużył...

Tak więc to niespodziewane nieszczęście, które tych poczciwych ludzi miało w wieczny pogrążyć smutek, zamieniło się nagle w jeszcze mniej spodziewane szczęście — a ich serca, które już się nurzały w krwawej boleści, nie widząc przed sobą żadnej nadziei, rozpląnęły się teraz w niewysłowionej radości.

Wszyscy też niebawem obsiedli stolik, ażeby trochę chłodniej o wypadkach dnia dzisiejszego pogadać.

Podkomorzyna i skarbnik, jeszcze zawsze pod wpływem tego nowego i tak gwałtownego wzruszenia, niewiele mogli mówić, — Stasia, siedząc obok Jędrzeja, nie już mówić nie chciała, — ale Jędrzej, który był naprzód na to wzruszenie przygotowany, był zupełnie swobodny i prawie sam tylko mówił. Mówił tedy najprzód wogóle o nieszczęściach podobnych, jak one nieraz wiele robią hałasu i jak się zdają groźnemi na oko, a jak cała ta groza okazuje się próżną przy sprawdzeniu istoty rzeczy.

— Nie przeczę temu — mówił Jędrzej — że się tam coś musiało zrobić w Zagórzcu, kiedy urzędnicy sądowi zjechali...

— Proszę pana — przerwała mu tutaj podkomorzyna, jakby ze snu zbudzona — ale skądże pan się dowiedział o tem nieszczęściu?

— Od kapitana.

— Od kapitana? — powtórzyła podkomorzyna — ale kiedyż? u Pana Boga...

— Kapitan był u mnie w tej chwili i nawet go zostawiłem u siebie.

— To kapitan pobiegł do pana z tą wiadomością! — zawołała na to podkomorzyna i porywając go jakby z przestrachem za rękę, dodała: — i pan nie myślisz...

— Nic nie myślę — odpowiedział Jędrzej, a całując ją w rękę, zapytał — czy dosyć?

— Ach! dla Boga! pan gotów jesteś myśleć, że myśmy go sami do pana wysłali.

— Nie, pani — rzekł na to Jędrzej — tego myśleć nie mogę, bo wiem od samego kapitana, a zresztą widziałem po nim aż nadto jawnie, że tak nie było. Nie mogło tak być nawet, bo w takim razie byłabyś mnie pani od razu przyjęła... ale gdyby tak było, miałbym stąd tylko jeszcze o jedną pociechę więcej, boby to było dowodem, że miałem ufność u pani...

Na te słowa podkomorzyna odetchnęła z głębi piersi — a Jędrzej mówił dalej:

— Owóż więc jestem zdania, że jeszcze wcale nie wiemy, co się tam stało w Zagórze. Kapitan wiele mówi, ale jakoś mi to nie wszystko podobne. Pomiedzy państwem, jak mi się zdaje, także nikt nie jest jurystą. Pan major...

— O! już to ja — rzekł na to skarbnik — jakoś nigdy nie byłem do tego. Zabij mnie, a nie się nie dowiesz odemnie. Jeszczeż na naszych prawach dawnych to się znam trochę, ale pomiędzy tą niemiecczyzną, jestem jak w lesie...

— Tak... ale ja się znam na tem trochę i jestem pewny, że jeszcze tam nie jest nic tak bardzo złego w Zagórze. Pieczętować, zamykać, zabierać, toż to tak zaraz nie można... wsi inaczej nie odbierają nikomu, tylko przez

sprzedaż publiczną... jeśli wieś odbierają, to jeszcze przez to nie zabierają znajdujących się w niej remanentów... a jeśli zaprowadzają komu sądownie zarząd, to się to odnosi li do dochodów. Krótko mówiąc, żeby się to stać mogło, co kapitan powiada, trzebaby na to, żebyś pani była przegrała kilka procesów odrazu, trzebaby żeby była już dawniej zrobiona tej wsi detaksacya, żeby wieś była wystawiona na sprzedaż publiczną i żeby była rzeczywiście sprzedana. A czy było to wszystko?

— Ale nie było nic zgola. Przynajmniej ja nie wiem o niczem.

— No, toż to musi być w tem co innego. Ale jakkolwiekby, pokazuje się stąd, żeś pani w złe ręce oddała swe interesa. Niema się jednak tem co frasować, bo się to wszystko da jeszcze naprawić. Mam ja w Tarnowie mojego patrona, który jest człowiek zacny i pewny, znam się też sam cokolwiek na procederach podobnych i jak się wezmę do tego, jestem pewny, że się ta sprawa całkiem inaczej obróci. A gdyby nawet przyszło i Zagórz wykupić, toż i to potrafiemy. Mamy chwała Bogu środki i na to. Proszę tedy pani być przedewszystkiem spokojną, tak jakby nie nigdy nie było; ja pani ręczę, że nie nie będzie.

— Bardzo panu dziękuję — mówiła podkomorzyna — bo mnie niezmiernie pocieszasz. Bierzesz wprawdzie Stasię, a więc z nią razem i Zagórz, i rób sobie z nim co ci się będzie podobać; ale zawszeby to było wielką dla mnie pociechą, gdybym jeszcze ja sama mogła te dobra wydobyć i oddać je Stasi w posagu.

— Wydobędziemy je pewnie — mówił na to Jędrzej, całując powtórnie rękę podkomorzynej — i oddamy je pannie Stanisławie, ażeby ona sama niemi rządziła.

— Tylko nie myśl doprawdy — rzekł na to skarbnik z uśmiechem — oddawać rządów twej przyszłej żonie, boby to pewnie połowa intrat poszła na kwiatki, a druga połowa na jałmużny dla dziadów.

— A wujaszek przeciwko mnie? — zapytała Stasia z filuternym uśmiechem.

— A jużci przeciwko tobie — rzekł skarbnik wesoło — bo tak się należy. Kobiety trza trzymać ostro i zawsze na nich mieć oko, tak jak ja miałem dotychczas na ciebie.

— Nie o tem nie wiem.

— Ba! bo też to w tem cała sztuka! Widzieć wszystko, a być niewidzianym samemu, to ja dawno już umiem. Ale chociaż wiem to i owo, to nie zawsze powiadam.

— Przecież o mnieby wujaszek mógł wszystko powiedzieć, gdyby wujaszek co wiedział, rozumie się...

— A może i wie?

— Ciekawam co?

— A wywołujesz wilka z lasu?

— Wywołuję.

— A więc go masz. A kapliczka św. Jana? a bernardyny? he? a dobrze to rozmawiać z kochaneczkiem przez okienko z karetki? he? a może też i karteczki sobie podawać? he?

— O! jak mamę kocham, to nie — odpowiedziała na to Stasia, ale ledwie mogła wymówić te słowa, tak była pomieszana i pełna rumieńców.

Jędrzej niby włosy poprawiał w tej chwili, ale mu to tylko tyle pomogło, że twarz swoją zasłonił i sam nikogo nie widział.

— A panno Stanisławo! — rzekła, pomagając bratu, podkomorzyna — tak to się modliło w kościele? dlatego to się nie opuściło nigdy mszy świętej?

— Jak mamę kocham — mówiła na to Stasia — żem tylko dwa razy rozmawiała z panem Jędrzejem z karety i to całkiem przypadkiem. Niechże powie pan Jędrzej.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to skarbnik — otóż świadczy się Cygan swojemi dziećmi!

Wszyscy się śmieli, a Stasia odezwała się do skarbnika:

— Ale jak to wujaszek i taką maciutką rzecz wyspiegował!

— A widzisz! — rzekł na to skarbnik — a tobie się zdawało w karecie, że cię nikt widzieć nie może, oprócz Jędrzeja.

— Ale pan Jędrzej — odezwała się na to podkomo-

rzyna — widzę nietylko otwarte szturmy umie przypuszczać, ale też zna się i na różnych podstępach?

— Ale kończy szturmem otwartym — rzekł Jędrzej, zebrawszy się na odwagę i dodał, powstając z miejsca — spodziewam się jednak, że mi pani tego małego podstępu tak bardzo za złe nie weźmie...

— Ale nie weźmie, nie weźmie! — przerwał mu skarbnik, a uściskawszy go po bratersku, dodał: — I nie mówmy już o tem! I o niczem już dzisiaj nie mówmy, co się nam stało dotychczas. Z dniem dzisiejszym niechaj wszystko złe przepadnie na wieki! Ot! i ja także, straciłem w każdym razie najmniej trzy kroć sto tysięcy i nigdy ich już nie odzyskam, a cieszę się z wami jakby nie nigdy nie było i nie już nawet nie mówię.

Ale na to rzekł Jędrzej:

— Pan major powiadasz, że straciłeś tyle, ale wiadomość ta jest podobno także przywiezioną przez kapitana, a ja tym kapitańskim wiadomościom jakoś całkiem wierzyć nie mogę.

— Cóż myślisz o tem?

— Myślę tak, że prowizoryum w Bóbrce może być zaprowadzone, bo to jest podobne, jednak jestem zdania, że i to prowizoryum mogło być zaprowadzone tylko wskutek jakiegoś nieporozumienia pomiędzy Mniszchem a jego pełnomocnikiem. Wszakże Mniszech panu dał słowo, że Bóbrkę przy panu zostawi? Tak mi pan powiadałeś?

— A tak, bo mi dał słowo najsołenniejsze.

— Jakże tedy pan możesz uwierzyć tak prędko, że Mniszech złamał swe słowo?

— Otóż to racya! nie znasz świata, mój drogi! Ła-mali słowo już inni...

— No, to nie idzie za tem. Obowiązkiem naszym jest myśleć dobrze o każdym, póki się nie przekonamy inaczej.

— Ale jakże chcesz! — mówił skarbnik — przecież wziął odemnie skrypt na sto tysięcy...

— No, i pan myślisz, że go wziął na to, aby go zniszczyć, a pana puścić z kwitkiem?

— A jużci tak. Przecież wziął Bóbrkę, na którą być miała ewikeya...

— Ale proszę pana, jak można coś podobnego przypuścić?

— Mnie to samemu nie może pomieścić się w głowie, ale końcem końców tak jest.

— Ale co to jest? Nie nie jest! — mówił Jędrzej z zapalem, doszła pana wieść jakaś, która nie ma ani nóg, ani głowy, i pan dla tej wieści zmieniasz w jednej chwili swoje całe przekonanie o człowieku, którego przecież znasz od tak dawna. Proszę pana, chorąży nie jest młody i jakim jest, już się dawno okazał: czy jest jaki wypadek w jego całym życiu, któryby mógł upoważniać do krzywdzących go wniosków?

— Ja nie wiem istotnie... nigdy nic nie słyszałem... nawet przeciwnie...

— A więc skądżeby się zmienił tak nagle? i któż? Mniszech? i dlaczego? dla stu tysięcy; czy to można dopuścić?

— Pocieszasz mnie, mój kochany Jędrzeju — rzekł na to skarbnik — bo też i ja sam, kiedy to sobie trochę chłodniej rozważam, jakoś nie mogę temu dać wiary... Ale bo to znów z drugiej strony dzisiaj już doprawdy niewiedzieć komu zaufać. Dawniej jakoś to było inaczej. Ale ten wasz świat młody to jakiś dziwnie odmienny...

— Odmienny być musi, bo żaden nie jest podobny drugiemu, ale czy gorszy jest także?

Skarbnik się wahał przez chwilkę, ale nakoniec rzekł:

— Ot! taki gorszy.

— Ej! panie skarbniku! popełniasz pan grzech nie-mały. Taki sam grzech pan popełniasz, sądząc tak źle o naszym świecie, jaki pan popełniłeś przez to, żeś dopuścił taką myśl o chorążym...

— O! proszę ciebie! tylko mi o chorążym jeszcze wiele nie gadaj. Bo ja go nie sędzę z pozoru, tylko z uczynku, o którym mam pewną wiadomość. A jeśli ten uczynek nie jego winą, toż przecie *jego* rzeczą usprawiedliwić się z tego, ale nie *moją*.

— To wszystko prawda, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że do usprawiedliwienia się potrzeba czasu, a tu teraz ledwie dwie godzin temu, jak pan sam masz o tem zdarzeniu wiadomość...

Skarbnik chciał jeszcze replikować przeciwko temu, bo był tem zdarzeniem nie pomału wzburzony, — kiedy wtem wszedł służący i zapowiedział:

— Jaśnie wielmożny chorąży koronny.

— Jakto? — zawołał skarbnik — cóż ty pleciesz?

— Jw. chorąży koronny — powtórzył lokaj.

— A! — rzekł na to niewymownie uradowany Jędrzej — przecież nie przyjeżdża panu wziąć drugich stu tysięcy.

— Cóż tu zrobić? — spytała równocześnie podkomorzyna.

— Ha? trzeba przyjąć — odpowiedział skarbnik.

— A więc przyjmujże go już sam, a my uciekamy ze Stasią. Chodź, Stasiu!

To mówiąc, podkomorzyna wyszła z córką z salonu, a w tejże chwili wbiegł chorąży koronny.

Jeżeli Jędrzej był pomieszany, kiedy wchodził dziś do mieszkania podkomorzynej, jeżeli skarbnik sam na wiadomość o tych nieszczęściach był wzburzony do wysokiego stopnia, to chorąży był i wzburzony i pomieszany jeszcze daleko więcej. Wbiegł on do komnaty z papierem w rękę, był cały drżący i jakby w febrze, i z początku sam nie wiedział co mówić.

— Panie majorze dobrodzieju! — wołał on zaraz ze drzwi — co się dzieje! co się dzieje!... czy pan już wiesz co się stało?

— A wiem niestety!

— Zmiłuj się pan! cóż myślisz o mnie? Do Bóbrki zaprowadzili ci prowizoryum, bili się z twymi ludźmi, zro bili zajazd formalny... czy też kto słyszał co podobnego? Ah! już ja ledwie oddycham, ledwie żyję!

— Niech-no pan chorąży będzie łaskaw odpocząć — rzekł na to skarbnik, całkiem już ujęty tem pomieszaniem chorążego — nieporozumienie da się łatwo wyjaśnić...

— Poczciwy jesteś, kochany — mówił dalej chorąży — ale wyobraź sobie, żeby też mnie na starość spotkała taka hańba od moich sług własnych! *Monsieur Rudnicki, je vous demande pardon*, że cię nie witam, ale patrz jaki jestem zakłopotany. *Imaginez vous*, co mi zrobili ci ludzie! Wchodzę w umowę z panem Nieczują o sprzedaż Bóbrki, odbieram skrypt od niego na sto tysięcy, którem mu winien, nie możemy skończyć umowy, bo nas najeżdżają niespodziewani goście, i odkładamy ją do kontraktów. Pan Nieczuja odjeżdża, skrypt pozostaje u mnie i wszystko jest jak najpiękniej. Tymczasem, kiedy ja jestem w Wiedniu i ani mi się śnić może o czemś podobnem, ludzie moi wytaczają mu proces, zyskują prowizoryum i zajeżdżają mu wieś. Wracam dziś z Wiednia, wysiadam u siebie i nie wiem o niczem. I byłbym nawet nie wiedział Bóg wie do kiedy, gdyby nie poczciwy kuzyn pana majora, kapitan podobno, nie przyszedł do mnie i nie zawiadomił mnie o tem. Na szczęście moje właśnie tu jest Małdrzykiewicz, każę go wołać, pytam, i kiedy się spodziewam, że mi to wszystko zaprzeczy, wyobraź sobie nietylko mi się przyznaje, ale jeszcze się chwali tem, jakby jakąś akcyą najwaleczniejszą! Cóż mówisz na to? czy słyszał kto kiedy *une chose pareille*! Ah! ani się ubierałem, ani jadłem obiadu i jak jestem z drogi, tak przyjeżdżam do pana; ale zmiłuj się, coś sobie myślałeś o mnie? co mogłeś myśleć o człowieku, który ci skrypt odebrał i wieś ci zajechał? — Otóż to są nasi dzisiejsi ludzie! proszę cię, panie Jędrzeju! zwróć twoją uwagę na to, bo to może być nauką dla ciebie. Masz także dobra obszerne i administrujesz je przez twoich pełnomocników, bierz sobie stąd miarę, czego się masz od nich spodziewać. Ah! ja się opamiętać nie mogę!

— Panie hrabio — rzekł na to Jędrzej — śmiałym zrobić uwagę, że to jest wyjątkowy wypadek, bo nie wszyscy pełnomocnicy są tacy sami...

— Ale wszyscy, wszyscy, jak ciebie kocham. Po wszystkich moich dobrach dzieje się tak samo, chociaż, prawdę mówiąc, jeszcze mi się nigdzie nic podobnego nie stało. Bo czy też można się czegoś takiego spodziewać? I do

tego jeszcze kto mi to robi? oto ten sam Małdrzykiewicz, którego wydobyłem z nicości i z jakiegoś tam municypała, którym był u mojego teścia, zrobiłem plenipotentem! Jeszczeż mi się upił dzisiaj i objadł się jakichś takich rzeczy, że wioząc go tu ze sobą w karecie, mdlałem przez całą drogę. Nie wiem doprawdy, co ci ludzie jadają...

— Czy pan chorąży przywiozłeś tutaj Małdrzykiewicza?

— A jużci przywiozłem .. musiałem przywieźć... niechże mnie przecież wyświadczy przed panem... Ale tymczasem, proszę pana, zakończmy zaraz tę sprawę, bo ja nie chcę, żeby to się ciągnęło dłużej choćby minutę...

— Panie chorąży! — rzekł na to skarbnik — pozwól pan sobie powiedzieć, że nie masz w tem nic pilnego. Sprawa jest wyjaśniona...

— To nie, to nie. Ona jest wyjaśniona już dawno, a przecież zaszły jeszcze z jej powodu takie smutne wypadki. Ja pana bardzo proszę, jeżeli mam tylko cokolwiek względów u pana, abyśmy to natychmiast skończyli. Przywożę tedy panu skrypt pański, ale ten skrypt już jest niepotrzebny, bo przywiozłem zarazem i pieniądze. Nie miałem ich pod ręką, ale posłałem zaraz do mojego bankiera i są. Proszę tedy je sobie odebrać — i to natychmiast. Małdrzykiewicz czeka z niemi w antykamerze...

— Ale na cóż też to pan chorąży — rzekł na to skarbnik — napędziłeś sobie stąd tyle kłopotów! Miałbym prawo skarżyć się na to, bo czyż to ja nie godzien jestem ufności?

— Pan jej godzien jesteś bez kwestyi, dałeś tego dowody. Ale ja jej nie jestem godzien, czego niestety! także dałem dowody. Proszę tedy pana na wszystko, skończmy tę sprawę dzisiaj. Pan mnie tem uszczęśliwisz. I damę panu wszystko do wyboru, co tylko sam zechcesz. Więc albo oddaję teraz sto tysięcy i zostawiam pana przy zastawie Bóbrki do śmierci, albo oddaję panu Bóbrkę na własność za ten skrypt i sumę zastawną. Wybieraj pan co się podoba.

— Mości hrabio — rzekł skarbnik — wybór tutaj nie trudny. Chciałem dawno już nabyć ten majątek i trwam

jeszcze dziś przy tej chęci. Ale zdaje mi się, że warunki kupna, podane w tej chwili przez pana, nie są ściśle odpowiednie wartości tego majątku...

— Jakto? czy zawysokie? a więc spuszczę z nich jeszcze.

— Ale doczegóż, panie hrabio! — zawołał na to skarbnik z uśmiechem — Bóbrka warta jest więcej...

— Więcej? a więc o cóż tu chodzi? ja panu oddam ją za to. Jeśli co więcej warta, proszę to przyjąć na satysfakcyę odemnie...

— Jakto na satysfakcyę? — zapytał skarbnik.

— Na satysfakcyę za szkody... Ale za szkody — mówił prędko chorąży — przecież porobiono tam szkody... Bito się przecież i w dziedzińcu i w domu... podobno kogoś zabito... coś zdaje mi się spalono...

— Jeśli ludzi pobito i popalono — mówił na to skarbnik — toż to właśnie jest powód słuszny, aby odłożyć tę sprawę jeszcze...

— Ach! zmiłuj się pan... już ja dziś nie jadłem, jeszcze i spać nie będę w nocy...

Wszakże na to wstał Jędrzej i tak powiedział:

— Pozwólcie mi panowie, abym się wmieszał pomiędzy was jako rozjemca. Sprawy tej dzisiaj załatwić ostatecznie nie można, bo i za nadto jest ważna i jeszcze nawet niezupełnie znajoma, abyśmy ją mogli słusznie osądzić. Jesteśmy zresztą wszyscy zanadto wzruszeni i pod wrażeniem różnych gwałtownych wypadków, abyśmy mogli brać się do interesów. Ale dzisiaj przyjedzie podstarości pana majora i złoży nam raport o tem, co się tam stało w Bóbrce; noc nam powróci spokój i da czas do namysłu, a jutro rano postawimy się sami u pana chorążego i zakończymy rzecz ostatecznie. Czy zgoda na to?

— A nie możnaby dzisiaj?

— Ale już dzisiaj trudno... pan chorąży sam widzisz...

— Ha! to już zgoda! — odpowiedział chorąży — więc czekam panów u siebie jutro. A pana, panie majorze, na wszystko proszę, abyś mi łaskawie darował to co

się stało w Bóbrce i nie chował dla mnie żadnej urazy. Bóg mi świadkiem, że temu wcale nie winien...

— Ale panie chorąży, proszę być o to jak najzupełniej spokojnym. Jest to rzecz nadto jasna, aby o niej jeszcze wspominać...

— Bardzo tedy panu dziękuję... wracasz mi spokoj i zdrowie... Żegnam więc panów tymczasem i czekam jutro...

To mówiąc, fatalny skrypt ów zostawił na stole i wyszedł wreszcie z komnaty.

Po jego wyjściu powróciła podkomorzyna ze Stasią i poczęto nową rozmowę o hultajstwie Małdrzykiewicza, a chorążego zacności. Zaciekano się także w domysłach nad tem, co się tam stało w Bóbrce, a stąd znowu potrącono o wypadki zaszłe w Zagórze — i tak dzień ten, w gruncie rzeczy szczęśliwy dla wszystkich, zamiast być poświęconym wyłącznie tylko wylewowi uczuć wzajemnych i serc kochających, zaczął się stawać jak gdyby sesją dla spraw majątkowych i prawnych.

Wszakże wśród tej rozmowy wieczór już zapadł, i już z pół godziny rozmawiano przy światłach. Niebawem też zaczęli anonsować się goście. Przy pierwszym zaraz podkomorzyna zapowiedziała, że już dziś nie przyjmie nikogo. Ale Jędrzej się temu stanowczo sprzeciwił, mówiąc że powinna owszem przyjmować wszystkich, a to poprostu dlatego, że może jutro się jakie wieści o tych nieszczęściach rozniosą, co w każdym razie niepotrzebne nikomu, — a tym sposobem wszelkim podobnym wieściom już naprzód się zapobiegnie.

Ta myśl bardzo się podobała podkomorzynie, jakoż zaraz się na nią zgodziła.

Tedy jeszcze nadmienił Jędrzej, żeby nie wspomniano o jego deklaracji przed nikim, bo i to niepotrzebne.

I na to także się wszyscy zgodzili.

A jak tylko nowego zameldowano gościa, którego podkomorzyna już bez kwestyi przyjęła, Jędrzej, usprawiedliwszy się nieładem swojego stroju, pożegnał swoją przyszłą matkę i narzeczoną do jutra i opuścił ten dom, który już odtąd mógł uważać jakby swój własny.

Zszedłszy ze schodów, spotkał właśnie podstarościego, który z wiadomościami przyjeżdżał z Bóbrki.

XXII.

Takim tedy wypadkiem przechylił się Jędrzej stanowczo i faktycznie na stronę podkomorzanki.

Wypadek ten nappełnił go w pierwszej chwili niewymowną radością. Jakoż miał on istotnie i to nawet kilka powodów do tej radości: bo i dopełnił pocziwego uczynku względem podkomorzynej, i zyskał pewnoś posiadania uwielbianej przez siebie Stasi, i zresztą jakkolwiekbydź, wyszedł przecie nakoniec z tego dwuznacznego i wątpliwego położenia, które, słuszne li czy niesłuszne, było dla niego do najwyższego stopnia nużącym. Do zupełnego szczęścia nie brakowało mu teraz już nic, jak tylko utrzymać się przy tej swobodzie umysłu i serca, bez której żadne szczęście nie może się nazwać zupełnem.

To wszakże nie było dla niego tak łatwem.

Zaraz bowiem w pierwszej chwili samotnego i chłodniejszego rozmysłu przyszła mu na myśl Melania. I jak wspomnienie tamtego dokonanego czynu nappełniło go wielką uciechą, — tak wspomnienie Melanii zamąciło i podkopało tą uciechę natychmiast. Jędrzej się uczuł niespokojnym, niepewnym siebie i nieledwie strwożonym.

Ale nie był to już teraz czas do niepokojów i trwogi. Los Melanii był już rozstrzygniętym w tej chwili, jakoż z tego względu nie było nawet o tem co myśleć. Nie rozstrzygnął się ten los wprawdzie na takiej drodze, jaką on sobie naprzód oznaczył, ale w tych okolicznościach nie mogło się stać inaczej. Jędrzej nie mógł się nie przechylić stanowczo na stronę Stasi, kiedy się dowiedział o jej nieszczęściu, — w takim wypadku niepodobna mu było trwać dalej w delikatnych swych względach dla wojewodzianki, i to go wobec siebie całkiem usprawiedliwiało. Wszakże to mu nie przeszkadzało nic wcale mieć jeszcze teraz wzgląd na to, ażeby skutki tego wypadku stały się dla

Melanii jak najmniej dotkliwymi. Jeżeli nas spotyka jakie nieszczęście lub niepowodzenie, wiele nieraz zależy na tem, kto nam poda wiadomość o tem, w jakiej chwili i w jakiej formie? Mając tę myśl przed sobą, zdawało się Jędrzejowi, że gdyby się Melania o tym wypadku dowiedziała od kogo innego, byłoby to najgorsze, coby się stać mogło. On sam powinien być u niej, przedstawić jej całą rzecz tak, jak się miała w istocie, nie pominąć okoliczności, które ostatni wywołały wypadek i rozbijając ostateczne jej dotychczasowe nadzieje, stratę ich złagodzić przy najmniej otwartością i zachowaniem dla niej tej samej, w jakiej z nią tyle lat przeżył, przyjaźni. Tak postępując, Jędrzej był pewnym, że znajdzie u Melanii jeszcze zanadto szlachetności i prawdziwej przyjaźni dla siebie, aby nie potrafiła sumiennie prawdziwe położenie rzeczy ocenić i wznieść się nad nie z rezygnacją i siłą, godną wzniosłego jej serca.

Ale Melania miała daleko więcej szlachetności, rezygnacyi i siły, niżeli Jędrzej mógł w najlepszym razie dopuścić.

Wiemy my o tem już dawno — ale dzisiejsze wypadki jeszcze nas lepiej w tem przekonaniu utwierdzą.

Kiedy więc Jędrzej z takimi myślami do siebie powrócił i właśnie miał zamiar przebrać się jak najprędzej, aby natychmiast do wojewody pojechać, — zapowiedział mu jego służący, iż go tu czeka zaproszenie na wieczór do hrabi Rogalińskiego.

— Kto tu był? — spytał Jędrzej.

— Był sam pan hrabia, stanął z karetą na dole, pytał o pana, a kiedy się dowiedział że pana niema, kazał mi powiedzieć, że pana prosi na dzisiejszy wieczór do siebie. Był także pan starosta bełzki i także prosił, żeby pan był koniecznie u wojewody.

— A cóż starosta? — zapytał Jędrzej i jakoś dziwnie się nad tem zamyślił.

— Co to być może? — mówił on do siebie — nie innego, jak zaręczyny z starostą.

Wahał się nad tem przez chwilę, tysiąc uczuć odezwało

się w jego sercu, sam nie wiedział co robić — ale jakkolwiekbaż, ubrał się prędko i pojechał do wojewody.

Tymczasem rzecz tak się miała istotnie, jak się Jędrzej domyślał.

Dnia dzisiejszego w wieczór odbywały się zaręczyny Melanii ze starostą bełzkim. Jakim sposobem to skojarzenie zostało doprowadzonem do skutku? kto, albo co przeżyło wojewodziankę nareszcie na stronę starosty? dlaczego tę sprawę zresztą trzymano w takiej tajemnicy aż do ostatniego momentu — nikt nie o tem nie wiedział i nawet o to nie pytał. Nie widział nikt nawet potrzeby pytać się o to, bo wszyscy znajdowali to tak naturalnem, tak prostem, tak nakoniec stosownem, jak tylko być może. Panna nie bardzo młoda, nie bardzo ładna i nie bardzo bogata, idzie za starego, ale bardzo bogatego człowieka — czyż to pierwsze takie małżeństwo? I nawet więcej. Bo czyż to nie jest szczęście dla tej panny zyskać pewne świetne i samowładne stanowisko w społeczeństwie? i czy nie szczęście jest dla jej męża, dostać żonę z pięknego domu, wybornego wychowania, znamienitego rozumu a z nią ozdobę, pomoc i pociechę na starość? Tak jest w istocie, mówili wszyscy i takim myśłom też odpowiednią była fizyognomia całego dzisiejszego zebrania.

U wojewody tedy dzisiaj wszystkie na ścieżaj otwarto salony, odczyszczono draperye lustra i bronzy, i oświecono *a giorno*. Gości nie bardzo wiele, ale sam wybór i wszyscy w najwyższej gali. Książd arcybiskup w fioletach, książę feldmarszałek w paradzie, starosta bełzki w wielkim uniformie stanowym, wojewoda z gwiazdą orła białego — damy we francuzkich jedwabiach, brabanckich koronkach, perłach, brylantach i złocie. Ślub miał się odbyć na wsi w zaciszu i dlatego starosta chciał zaręczyny uświetnić i uświetnił je wedle swej myśli. Dodał on im jeszcze nie mało świetności przez podarunki przedślubne, które złożył u nóg Melanii. A były to podarunki prześliczne; pierwsze miejsce pomiędzy nimi zajmował dyplom hrabiowski, uzyskany w tych czasach, dalej szły kolie, naramienniki, kolce, manele, pierścienie, wszystko od pereł

uryańskich, brylantów pierwszej wody i złota. Oglądano te podarunki z zachwyceniem i ceniono na dwanaście tysięcy dukatów, oprócz tego co dyplom kosztował. O hojności, o szlachetności, o miłości nawet starosty wobec takich dowodów nie było już co i wspominać — wszystkich serca się tem cieszyły — wszystkich umysły były uradowane, wesołe — wszystkie twarze rozpromienione, śmiejące, szczęśliwe.

A jakżeż przy tem wszystkim się zachowała Melania? — Melania była najweselszą z wesółych i najszcześliwszą z szczęśliwych. Wyglądała ona dzisiaj już tylko jak cień tej Melanii, którąśmy niegdyś widzieli w Warszawie. Jej kibić nie miała może i czterech cali w przecięciu — na jej twarzy były tylko skóra i kości. Gdyby był wiatr na nią zawiał silniejszy, byłby ją unióśł ze sobą jak listek — gdyby leżała na katafalku, nie mogłaby wyglądać inaczej. Jej ciało się ulotniło zupełnie — duch tylko jeszcze został się w szkielecie. Ale ten duch był jeszcze silny, a dzisiaj podniesiony ważnością aktu i jakimś osobliwszym zapalem, nawet potężny. I duch ten władał w zadziwiający sposób tym już prawie bezsilnym szkieletem — i całą postać na pół umarłą natchnął życiem wiosennem. Z woli tego ducha jej twarz, lubo tak wybladła i wyniszczona, zdała się świeżą, pełną życia i szczęścia, jej oczy były pełne promieniającego radością blasku, jej wszystkie ruchy pełne swobody, okrągłości i siły. Zgromadzeni goście przystępowali co moment do niej, prawili jej najśłodsze grzeczności, chwalili w oczy jej piękność, świeżość, dowcip i humor — Melania odpowiadała na to jeszcze z większym humorem — a stąd tylko się jeszcze pomnażała powszechna wesołość i szczęście.

Śród tego czasu wszakże, kiedy wszystkie twarze tego zgromadzenia tak promienną jaśniały radością, od chwili do chwili, przez drzwi wpółotwarte komnaty przybocznej, pokazywała się twarz jakaś, która wyrazem swoim wcale nie odpowiadała tej ogólnej radości. Była to twarz starej służącej Melanii, najpocziwszej Krzywieckiej. Zaglądała ona co moment do głównego salonu i przypatrywała się

z wielkiem zajęciem swojej pani i gościom — ale im więcej wesołości widziała w tem zgromadzeniu, tem większym sama napawała się smutkiem. Czasem twarz jej się wykrzywiała, jak gdyby ją ból największy przeszywał, co chwila wzruszała głową i ciężkie się z jej piersi wydobywały westchnienia, a kilka razy łyzy jej nawet stały w oczach, z którymi starała się ukryć czempredzej.

Cóż to było?

To była prawda — która często występuje widomie na scenie teatru — ale na scenie rzeczywistego życia musi się chować do komnat przybocznych.

Wszakże w tej chwili wszedł Jędrzej.

Pierwsza postać, którą szukał oczyma i znalazł, była Melania. Pierwsze wrażenie, które na nim w tej chwili zrobiła, było najokropniejsze. Szukając tej rumianej i zażywej Melanii, którą znał od dziecka i pożegnał w Warszawie, znalazł jej szkielet tylko — szukając czerstwej i zdrowej dziewczyny, z którą lata dziecięce przeigrał, znalazł jej cień tylko. W pierwszej chwili zdawało mu się, że nie na wesele tu przyszedł — tylko na pogrzeb — zdawało mu się, że trup Melanii wstał z katafalka i zbliżywszy się do niego, podaje mu rękę. Ale jakżeż to Jędrzej był nieszczęśliwy ze swą wyobraźnią? Skąd mu takie uczucia? skąd takie myśli?

Jakoż istotnie te uczucia i myśli, nie mając żadnego innego prócz pozornego gruntu pod sobą, były tylko przełotne i rozproszyły się w okamgnieniu. Zaraz na samym wstępie bowiem przystąpiła do niego Melania i podała mu rękę z taką serdecznością, z taką szczerą, siostrzaną przyjaźnią, na jaką tylko ona, tylko taka nieporównana siostra zdobyć się mogła. Zarzuciła go przytem mnóstwem wiadomości o sobie, pytań o niego, a każde jej słowo było takie proste, otwarte, wesołe, głos jej tak czysty i pewny, całe wzięcie się takie naturalne, swobodne, że Jędrzej przy niej nowem życiem odetchnął i całym sercem podzielił jej szczęście.

Wzięła go potem Melania za rękę i zaprowadziła do stołu, na którym leżały podarunki przedślubne.

— Patrz pan! — mówiła ona — ile tu pereł, brylantów i złota! Ten pargamin zachowuje mi tytuł jaśnie wielmożnej. Majątek mojego męża daje mi stanowisko pomiędzy najbogatszymi. Mój mąż sam, to jest anioł dobroci. Miałam z początku nie całkiem pewne o nim wyobrażenie, ma on zbyt wielu niechętnych; ale przekonałam się wkrótce, że jest to najzaczniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znalazłam w mem życiu. Najszlachetniejszy umysł, najlepsze serce dla wszystkich. A już dla mnie, jakim się dla mnie okazał, tego panu nawet nie potrafię powiedzieć. Wyobraź pan sobie, oprócz tych podarunków, które pan widzisz, urządził mi jeden pałac we Lwowie, drugi na wsi; sprowadził mi całą oranżeryę kwiatów z zagranicy, posprowadzał najwspanialsze powozy; wiedząc, że lubię książki, całą bibliotekę mi kupił, wiedząc, że lubię muzykę, przyjął nadworną kapelę, a nad to wszystko jeszcze połowę całego majątku swego mi na zawsze zapisał. I cóż pan mówisz na to? Czy spodziewałeś się pan kiedy — mówiła ciszej wojewodzianka — żeby ta brzydka, ta uboga zresztą i nie mająca nawet żadnego przed sobą widoku Melania zrobiła taki los, takie szczęście, którego cały świat jej zazdrości? Patrz pan tedy, jak jestem szczęśliwą. Do mego szczęścia nie brakowało mi nic już, tylko, żebyś pan przybył, żebyś obaczył to wszystko i żebyś z moich ust własnych usłyszał, ile jestem szczęśliwą. I cóż, czy nie cieszysz się pan ze mną?

— I owszem pani! nadzwyczajnie nad wszelki wyraz się cieszę. Tylko to szczęście pani trafia mnie tak niespodziewanie, że jestem jeszcze cały pod wpływem tak silnego wrażenia, które nie dozwala mi wypowiedzieć tego wszystkiego co czuję. Ja byłem zawsze tego pewny, że pani kiedyś musisz dostąpić takiego szczęścia, jakiego jesteś najgodniejszą ze wszystkich. Nie spodziewałem się tego, żeby sprawcą tego szczęścia stał się mój przyjaciel starosta, ale kiedy tak jest, cieszę się tem jeszcze o tyle więcej. Starosta jest mi nawet powinowatym.

— Ach! to prawda — przerwała mu w tem miejscu Melania — prawie zapomniałam o tem w tej chwili, a jest

to rzecz taka ważna. Tym sposobem bowiem przyjaźń nasza, o którą się tak obawiałam, nie tylko się nie rozpręży, ale nabierze nawet nowej spójni, nowego życia. A tak się zawsze obawiałam o jej utratę! Oh! jakże teraz się cieszę! I pan się cieszysz, nieprawdaż? Pan mi nie odbierzesz tej tak milej dla mnie przyjaźni, do której się przyzwyczaiłam od dziecka? Pan nas będzie odwiedzał? Jeżeli będziemy blisko, będziesz naszym codziennym gościem, wszakże od tam będziemy krewni — jeżeli zaś będziemy daleko, mój mąż będzie zawsze wiedział o panu, a te wiadomości i mnie będą dochodzić. Los pana będzie zawsze w wysokim stopniu obudzał nasze zajęcie, przyzwyczajoną jestem od lat niepamiętnych wszystko wiedzieć o panu — przykroby mi było teraz pozbawić się tej przyjemności.

— A jeżeli to obudzi zazdrość u męża?

— Ach! skądże znowu? przecież wie o tem, żeśmy byli ze sobą jak brat ze siostrą i stosunek nasz był tego rodzaju, że nie mogło się pomiędzy nami zrodzić ani podobieństwo tego uczucia, które powszechnie nazywają miłością. Cóż? czy nie prawda?

— Ja sędzę, że tak jest w samej rzeczy — odpowiedział odważnie Jędrzej — byliśmy sobie zanadto blizcy...

— A choćby nawet i dalecy — rzekła na to równie odważnie Melania — to i wtedyby nie przyszło do tego. Wie pan... mogę o tem dziś już mówić otwarcie.. mnie to nawet parę razy nasuwało się na myśl, ale zawsze mi taki wypadał rezultat, że to jest niepodobieństwo...

Te słowa wymówiła Melania tak obojętnie, a przytem z takim wyrazem prawdy, że Jędrzej mimowoli aż się roześmiał z radości.

A wszakże o to mu tylko chodziło!

Rozmawiając jeszcze chwilę z Melanią, przypatrywał jej się z uwagą. I nie mógł się sam sobie nadziwić, jak też mógł w niej znaleźć jakąś zatrwającą odmianę. Wyszczupiała, to prawda, ale wyszło to jej na korzyść. Przybladła trochę, ale nie straciła przez to świeżości. Jej cera była zdrowa zupełnie, jej usta były jak karmin różowe, widział nawet wyraźne na jej twarzy rumieńce...

Temi wszystkimi spostrzeżeniami Jędrzej był niewymownie szczęśliwy. A kiedy te spostrzeżenia w tej samej chwili zamieniły się w przekonanie, radość jego wzmogła się do tego stopnia, że się nie mógł w niej posiąść. Nie widział on już potrzeby ani żadnych dalszych kroków ze swojej strony, ani nawet dalszej z Melanią rozmowy — całe jego pragnienie było być w tej chwili przy Stasi, przycisnąć jej rękę do swego serca i powiedzieć jej z całą pewnością prawdy i czystością sumienia:

— Szczęście nasze jest czyste jak niebo i zupełne jak świat!

Jakoż lubo to nie było bardzo w porządku, nie mógł on jednak wytrzymać i opuścił towarzystwo najpierwszy. Duszo mu było w tej klasycznej komnacie i był w niej zbędnym zupełnie...

Wybiegłszy stamtąd, spojrzął na zegarek i znalazł, że była dopiero dziesiąta godzina. O tej godzinie jeszcze we wszystkich większych domach czuwano. Jędrzej wskoczył czemprędzej do powozu i kazał się zawieźć do pani podkomorzynej.

Tymczasem u wojewody także już nie długo trwała biesiada. Wyszedł gość jeden, znalazł się niebawem i drugi, który poszedł za jego śladem. Za nim wyszedł trzeci i czwarty, a za kwadrans nie było już nikogo z obcych w salonie. Melania, zawsze taka gościnna i długie wieczory lubiąca, dzisiaj patrzyła całkiem obojętnie na wychodzących gości — zdawało się nawet, jak gdyby sama chciała ich się pozbyć czemprędzej.

Kiedy się wypróżniły salony, wojewoda przybliżył się do swojej córki, objął ją z powagą w swoje zaokrąglone ramiona i rzekł do niej te słowa:

— Moja córko kochana! jest to potrzebą mojego serca powiedzieć tobie, że dzień dzisiejszy mam sobie za jeden z najszcześniejszych, jakimi niebo obdarzyło me życie. Los twój przeważył się wreszcie na wątpliwej dotychczas szali i otworzył ci dawno już zasłużoną drogę do statecznego szczęścia i powodzenia. Jakiegokolwiek do osiągnięcia tego świetnego celu nasunęły nam się przeszkody,

przemogliśmy je wszystkie rozsądkiem i roztropnością, a co nie było w naszej mocy, w tem nam Pan Bóg dopomógł. Wdzięczny Bogu za pomoc, wdzięczny tobie za uznanie słuszności rad moich, jestem zupełnie szczęśliwy.

Chwila ta była istotnie najklasyczniejszą tragedya.

Ale wysłuchawszy tej ojcowskiej perory, nie pozostało Melanii nic, jak pocałować go w ramię i wyjść w milczeniu do swojej sypialni.

Ale córka tak szczęśliwego ojca zaledwie miała już tyle siły, ażeby przejść przez jedną komnatę. Jak tylko próg przestąpiła, zachwiała się na nogach i omal, że zaraz nie padła. Na jej szczęście wszakże czekała tam na nią jej wierna sługa i pochwyciła ją w swoje silne objęcia... Przy tem sercu ubogiem w słowa, ale pełnem prawdziwej miłości, Melania odetchnęła cokolwiek i rzekła do niej po chwili:

— Moja Krzywiecka, rozbierz mnie jak możesz najprędzej... Mam nadzieję, że mnie nie prędko będziesz znowu rozbierać... Ubierzesz mnie tylko raz jeszcze — a potem... już i ja będę szczęśliwą.

* * *

Kiedy Jędrzej do podkomorzynej przyjechał, trafił już trochę za późno. Damy te właśnie przed chwilą odprawiły ostatniego swojego gościa, a będąc obiedwie wypadkami i wrażeniami dnia dzisiejszego niestłuchanie zmęczone, udały się na spoczynek. Silniejszy wszakże na takie rzeczy skarbnik jeszcze się trzymał na nogach. Zeszedł on właśnie do swoich komnat i zawezwał do siebie nakarmionego i ogrzanego już z drogi podstarościego, a postawiwszy pomiędzy nim a sobą gąsiorek starego miodu, kazał mu zdawać sprawę z wypadków bóbreckich.

Atoli ledwie co podstarość zaczął swą powieść, kiedy cały jeszcze radosny, rozpromieniony i nieledwie śmiejący wpadł do nich Jędrzej.

— A to co takiego? — zawołał skarbnik — gdybym nie widział wesołości na twojej twarzy, tobym się ciebie przestraszył.

— Nie strasz się pan — rzekł na to Jędrzej wesoło — i owszem, ciesz się. Bo wyobraź pan sobie, skąd do pana powracam?

— No skądże?

— Wracam z zaręczyn.

— A to znów z czyich?

— No, zgadnijże pan prędko — mówił Jędrzej, trzęsąc obydwie ręce skarbnika — ale pan, jak widzę, nie zgadujesz. Otóż panu powiem: panny Melanii ze starostą.

— A! to osobliwsze zdarzenie.

— Osobliwsze, bez kwestyi, ale czy pan wiesz co to warte? — pytał Jędrzej, oczekując od niego najżywszego podziału swojej radości.

Ale skarbnik na to odpowiedział mu z flegmą:

— A wiem. To wiele warte dla ciebie.

— Ale bo pan tak mówisz, jak gdybyś nie czuł wcale, jakie wielkie, jakie nieopłacone ma to dla mnie znaczenie.

Skarbnik milczał.

— No cóż? — mówił Jędrzej — czy pan nie zgadzasz się na to? czy pan masz coś przeciwko temu do powiedzenia? jeżeli pan masz, to mów przecie otwarcie.

— Przeciwko temu nie mam, ale do tego mogę powiedzieć: że szkoda Melanii.

— A toż dlaczego?

— Bo jej szkoda dla takiego starosty.

— Ależ cóż też pan mówisz? To chyba nie znasz starosty. Nie jest to brylant, ale jest człowiek rozumny, wykształcony, bogaty, a przytem, co jest najważniejsza, gładki, dobrego serca i dobrego wychowania. Melania będzie z nim bardzo szczęśliwa. Będzie miała dom jeden z pierwszych we Lwowie, będzie opływać we wszystko, będzie gromadzić co najmądrzejszych ludzi w swoich salonach, będzie wyprawiać u siebie koncerty i muzykalne wieczory, będzie robiła wojaże, a chociaż do tego wszystkiego byłby może przyjemniejszym mąż trochę inny, ale, proszę pana, czy ma kto z nas to wszystko razem, czego by pragnął? Melania wie o tem dobrze i ręczę panu, że nikt lepiej nie potrafi się zastosować do swego losu,

jak ona. Jestem też przekonany, że nie mogło się dla mnie, dla niej i dla całego świata stać nic lepszego, jak to zameście. Ja jestem raz na zawsze zaspokojony — a ona będzie najszczęśliwszą, jak tylko w tych okolicznościach być może.

— Ha! kiedy tak mówisz — rzekł na to skarbnik — to wierzę. Znam ja tego starostę może trochę lepiej od ciebie i wcale jego strony nie trzymam. Ale pomimo to nie zaprzeczam, że może on być najlepszym mężem. Niech im tedy Pan Bóg da szczęście, życzę z całego serca. Ale siadaj no tu z nami, bo to zawsze bliższa koszula ciała. Mamy jutro być u chorążego, trza nam tedy wiedzieć dokładnie, co się tam stało w Bóbrce. Panie podstarości, zaczynajże tedy *a capite* twoje opowiadania.

Zabrali więc znowu wszyscy swe miejsca, a podstarości zaczął opowiadać owe zdarzenia.

Jakoż były to istotnie rzeczy ciekawe, które ze względu na dalsze losy człowieka i nam wiedzieć potrzeba.

Owo więc, jak to wiemy już dawniej, Małdrzykiewicz miał starą złość do skarbnika i pragnął się zemścić na nim koniecznie. Jedyne możliwy sposób zemśczenia się na niezawisłym skądinąd i nie bardzo przystępnym skarbniku był ten, żeby mu Bóbrkę odebrać. Małdrzykiewicz o tem wiedział i od lat kilku przedtem już w tym celu pracował. W połowie r. 1794 doprowadził on nareszcie do tego, że i pp. Grabowskich do kupienia tego majątku zachęcił i chorążego do odebrania tego zastawu nakłonił. W przewidzeniu oporu ze strony skarbnika, wytoczył on mu już wtedy w imieniu chorążego proces, który zaraz z początku o tyle gorszy dla skarbnika wziął obrót, ile że stary żołnierz był natenczas pod swoją chorągwią w wojsku. Z końcem tego roku przybył na zamek Flawiusz. Małdrzykiewicz korzystał z tego i użył go do podniesienia niechęci chorążego przeciwko skarbnikowi — lekkomyślny, w samym sobie rozdarty i nie wiele jeszcze naówczas nad swymi uczynkami zastanawiający się, Flawiusz dał się Małdrzykiewiczowi podmówić do tego — lecz w samej rzeczy nic nie popsuł, ani naprawił. Skar-

bnik sam się potem rozmówił z chorążym i zrobił ów układ przedwstępny, któregośmy byli świadkami na leskim zamku. Ale natenczas zajechali chorążego goście i chorąży wyjechał z domu, nie dawszy względem Bóbrki żadnej innej dyspozycyi Małdrzykiewiczowi, jak tylko tę, żeby pp. Grabowskim odpowiedział, że Bóbrka im nie będzie sprzedana. Z tego tedy Małdrzykiewicz korzystał i doprowadził proces agitujący się przeciw skarbnikowi do końca. W pierwszych dniach marca uzyskał wyrok, a w parę dni potem zapowiedział podstarościemu, że nazajutrz przyjeżdża z komornikiem odbierać Bóbrkę.

Wiadomość ta sprawiła wielką konsternacyę w całym dworze skarbnika. Podstarości zasiadł z zięciem swoim, dyspozytorem, do rady, co by tu zrobić w takim wypadku? Radzili w ten i ów sposób, zapraszali do rady inną starszyznę, ale nic nie mogli uradzić. Ażeby panu dać znać o tem, było już późno — ażeby u Małdrzykiewicza zwłokę uprosić, nie mieli żadnej nadziei. A tu wstyd i hańba dać sobie zabierać fortunę w oczach całego świata! — Ale radzący zapomnieli zupełnie o tem, że jeszcze tam był ktoś trzeci w tym dworze, który także był wiernym sługą pańskim, który go już nieraz w nagłych wypadkach ratował, a który także ma prawo do rady. A nie był tym sługą nikt inny, jak tylko ten niegdyś tak żartki, po całym świecie znany nieczujowski Węgrzynek, który od najmłodszej młodości tak wiernie służył swojemu panu, który się bił z nim razem w konfederacyi, który go wywiózł całego z pomiędzy kilkudziesięciu szlacheckich szabel w Niżankowicach, który tyle własnych burd zrobił na świecie, i który był zawsze gotów położyć głowę w obronie osoby i czei swego pana.

Węgrzynek teraz, także tak jak i pan jego, już się był znacznie podstarzał. Jego czarna czupryna nie dotrzymała mu placu i po części w różnych ciasnych potrzebach, po części samowolnie w spokoju, ogolociła jego twardą głowę z ozdoby, twarz jego dzisiaj była jak stary but polatany od samych kresk i zmarszczków, usta jego wybladłe; tylko jeszcze oczy świeciły się dawnym blaskiem

i siwe wąsy, codzień starannie wyczernione i zakręcone, świadczyły o żywym jeszcze duchu jego dawnego junactwa. Ale to junactwo już się w nim dzisiaj znacznie uspokoiło. Powróciwszy z panem swoim z ostatniej wojny — gdzie jako żołnierz walczył w szeregach, doszedł do rangi sierżanta i zyskał piękny krzyż w nagrodę szalonego swego męstwa — bardzo się na stare i nowe rany roznie-mógł. Wyleczywszy się z nich, odzyskał siły, ale nie odzyskał dawnego humoru. Siedział też już najwięcej w swojej izdebce i zatrudniał się jaknajspokojniejszym zajęciem. Grał na skrzypcach, harmoniki robił, albo majstrował coś koło broni. Jeżeli rano wyszedł od siebie, to tylko na to, aby konie wierzchowe przejechać regularnie w rajszuli — a jeśli wieczór, to do podstarościego na pogadankę i piwko. Zawezwano tedy Węgrzynka do rady. Ale on, jak tylko wszedł na posiedzenie i jedną krótką mowę powiedział, zaraz się inaczej rozjaśniła ta sprawa i inny duch wstąpił w zgromadzenie.

— A co to? — mówił on — zajeżdzać, zabierać, dobrowolnie oddawać, kiedy pana nie ma w domu? a do czegożby to było podobne? Trzydzieści lat służę ja u mojego pana, a kiedyś co nie wziął komu, ażeby jemu dać, to z jego własności pewniem nikomu nic nie dał. Owo i teraz tak będzie. Ktokolwiek przyjdzie i do czego bądź tylko rękę przyłoży, to ja jemu pokażę!

Taki był wniosek Węgrzynka. Oponował się jemu rozważny podstarości, ale dyspozytor się stanowczo przechylił, i tym sposobem Węgrzynek zyskał *majoritatem*.

Jakoż kiedy nazajutrz rano Małdrzykiewicz przyjechał tylko z komornikiem i woźnym, ani mógł myśleć o wzięciu Bóbrki pod swoje rządy. Węgrzynek jak waż jadowity wyskoczył ku nim, nagadał im co mu się podobało i nawet szablą im brzęknął pod nosem.

Wszakże we dwa dni potem przyjechał Małdrzykiewicz z kilkunastu żołnierzy. Węgrzynek był na to przygotowany i miał uzbrojonych prawie wszystkich dworaków. Miał dwa srogie garłacze, muszkiet i jedną flintę, a zresztą widły żelazne. Sam wziął pistolety za pas skó-

rzany i szablę do ręki. Tego dnia, przewidując bitwę, ubrał się pięknie i zawiesił nawet swój krzyżyk na piersi — ale wszystko to nie nie pomogło. Była sroga bitwa w dziedzińcu, jeden żołnierz padł trupem, drugiemu oko wybito, komornikowi przestrzelono prawą łydkę i wszystkich prawie żołnierzy popstrzono grandkulkami, gwoździami, szrutem, z owych srogich garłaczów — ale przecież bagnietom trudno było wytrzymać. Po zawziętej i krwawej bitwie wszyscy ustąpili z placu, tylko jeden Węgrzynek dotrzymał. Nie ustąpił on ani piędzi ziemi nieprzyjacielowi, bił się mężnie jak rycerz starego świata — ale też męstwo swoje śmiercią przypłacił. Pchnięty bagnietem w pierś, runął na tym samym kawałku ziemi, którego bronił tak walecznie, i już więcej nie powstał.

— Wzięliśmy go czempredzej z placu — kończył swoje opowiadanie podstarość — zanieśli do izby, położyli na łóżku, ale już nie było dla niego ratunku. Obrócił się jeszcze tylko do nas i powiedział te słowa:

— Pożegnajcie mojego pana i powiedzcie mu, żem mu dopiero teraz zapłacił za to, com doświadczał od niego przez całe życie.

Żył jeszcze potem ze dwa pacierze i zaraz krew go zalała i skonał.

Dowiedziawszy się skarbnik o śmierci tego swojego sługi, srodze się zafrasował. Zmarszczył brwi i czoło, i śród głębokich westchnień łzy mu ciągle stawały w oczach. Wypytywał się przytem o najdrobniejsze szczegóły jego bitwy i śmierci i po kilka razy powtarzał:

— Nie sługę to ja straciłem, ale najlepszego przyjaciela, jakiego miałem w tem życiu. Takiego sługi, ani ja, ani nikt już z nas mieć nie będzie, bo już minęły te czasy i nigdy już nie powrócą.

A potem przechadzał się samotnie po komnacie, i mrużąc sobie ciągle pod nosem, nie chciał już słyszeć nic więcej.

Podstarośći tedy już tylko Jędrzejowi dopowiedział, że przy tej okazji spaliła się stodoła i kilkoro koni zginęło, które pod żołnierzy pobrano. Tegoż dnia jeszcze cały

dwór obłożono aresztem i brano na śledztwo, jakoż tamci jeszcze są ciągle na śledztwie, tylko jego uwolniono przed kilku dniami i dlatego dopiero teraz przyjeżdża.

Takie to były wypadki, które zaszły w domu skarbnika.

Opowiedziawszy je podstarości, udał się na spoczynek. Jędrzej chciał jeszcze zostać, aby skarbnika w jego smutku pocieszyć — ale skarbnik go sam wyprosił, mówiąc:

— Jeżeliś łaskaw, to mnie zostaw samego. Pomodłę się za duszę mojego poczciwego Węgrzynka i to mi największą ulgę przyniesie. Czekam cię jutro rano.

*

*

*

Kiedy Jędrzej nazajutrz rano, podług danego przyrzeczenia stanął się u skarbnika, zastał go spokojnego jak zwykle.

— Żal mi serdecznie mojego kochanego Węgrzynka — mówił skarbnik do niego — i Bóg sam wie tylko, czego bym nie dał za to, aby go wskrzesić. Ale Boska to wola, trudno się skarżyć na nią. Trudno też i czas tracić na próżne żale, a zwłaszcza teraz, kiedy tyle spraw, tyle trudów mamy przed sobą.

Nie bawiąc się też, udali się zaraz obadwa do chorążego. Z chorążym była sprawa łatwa i krótka. Skarbnik nabył od niego Bóbrkę na własność i zaraz na to napisano dokument. Obydwie strony były z tego zadowolone — chorąży, że się ze wszystkich długów skarbnikowi raz na zawsze wywiązał — skarbnik, że już się uspokoił przynajmniej z jednej strony.

Ale nie o to tylko chodziło. Podkomorzynej sprawa była daleko ważniejsza i trza się było brać do niej bez zwłoki, a to o tyle więcej, ile że nawet nie wiedziano właściwie jakie tam niebezpieczeństwo zagraża. Nie zostawiono tedy sobie już więcej jak parę dni feryi we Lwowie i skarbnik z Jędrzejem, zabrawszy kapitana i podstarościę ze sobą, pojechali wprost do Zagórza.

Podkomorzyna ze Stasią pozostały jeszcze na tydzień

lub więcej w stolicy, częścią, ażeby jeszcze dobitniejszy zadać kłam prawdopodobnej wieści o jej wrzekomem bankructwie, częścią zaś po prostu dlatego, że nie podobna było im się wybrać tak prędko.

Tymczasem w Zagórz, lubo nie takie krwawe, zaszły jednak daleko ważniejsze wypadki, niż w Bóbrce. Podkomorzyna istotnie dwa procesy odrazu przegrała. Wskutek takiej przegranej odebrano jej prawo dochodów i jedno cześnie wystawiono Zagórz na sprzedaż publiczną. Z jednym z tych wierzycieli, a mianowicie z pierwszym, Jędrzej się w ten moment uporał i wypłaciwszy go, oddał Zagórz napowrót kapitanowi w administracyę. Ale drugiego wierzyciela trzeba było dopiero szukać, bo go nie było na gruncie. Nie była to sprawa tak nagła, bo za sądów ówczesnych od takiego wyroku do egzekucyi mijało zwykle dwa i trzy lata, ale Jędrzej nie chciał dłużej cierpieć takiego miecza Damoklesowego nad głową podkomorzynęj i Stasi, i postanowił natychmiast tego wierzyciela odszukać. Po załatwieniu tedy tych spraw zagórskich, które się dały na miejscu załatwić, rozjechał się bez zwłoki ze skarbnikiem: skarbnik do Bóbrki, a on w swoją stronę.

Wierzyciel, którego Jędrzejowi było potrzeba, miał się znajdować w Tarnowie, tam tedy Jędrzej się udał — ale po drodze wstąpił i do Jaćmierza. Nie mając zamiaru bawić dłużej jak dzień jeden u siebie, użył on dnia tego na obejrzenie skutków, jakie sprowadziła jego nowa administracya. Jakoż skutki te zadowolily go jaknajzupełniej: wszystko było w jaknajwiększym porządku. Ale co daleko dziwniejsza, bo mniej spodziewana, to to, że jego macocha także nietylko, że mu nie przyniosła żadnej nowej zgryzoty, ale nawet zwróciła jego uwagę bardzo przychylnie dla siebie. Daleka od dawnych gniewów i dąsów, spotkała go z odznaczającą się grzecznością i nieledwie z szacunkiem, nie uskarżała się na nie, a nawet bardzo sobie chwaliła to życie spokojne, którego teraz używa. Jędrzej był tem niesłychanie zdziwiony — sam nie wiedział, czemu by miał przypisać tę zmianę — ale się zdziwił jeszcze daleko więcej, kiedy się dowiedział, że Fławiusz tu-

taj bawił prawie przez półtora miesiąca. Zdziwienia swego nie dał on do poznania po sobie, jak to było u niego zwyczajem, ale się wypytywał z wielkiem zajęciem, co ten kawaler tu robił? — Kiedy mu powiedziano, że chciał jakiś majątek kupować, prawie temu nie wierzył — ale kiedy go pytano, czy Flawiusz nie mógł kupić majątku, nie przeczył. Flawiusza stosunki majątkowe nie były mu wcale znajome, wiedział, że nie jest bardzo bogatym, ale żeby go nie stać było na kupienie jakiejś ziemskiej własności, nie mógł powiedzieć z pewnością. Owszem nawet, z jakichś wieści niepewnych o jego realnościach w Warszawie i z tego wreszcie, że go ksiązę podkanclerzy używał do załatwiania niektórych spraw finansowych, miał on o funduszach Flawiusza daleko większe wyobrażenie, niżeli były w istocie, i dlatego nietylko utwierdził obydwie kobiety w ich rozumieniu o jego zamożności, ale nawet powiedział nawiasem: iżby to bardzo dobrze było dla pana Flawiusza, gdyby się zbliżył do ziemi i do tych ludzi, którzy ją własnymi uprawiają rękami; ani ta ziemia, ani ci ludzie nie zepsuli jeszcze nikogo, a już nie jedno serce obrukane w miejskich kałużach, albo spaczone za granicami kraju, oczyścili zupełnie i podnieśli do prawdziwej miłości. — Jednakże wypytywany o charakter, o przeszłość i całą istotę Flawiusza, nie dał żadnego zdania, nie powiedział źle, ani dobrze. Przy tej rozmowie zwracał on bardzo pilną uwagę na to, czy też nie z większą ciekawością wypytuje się o Flawiusza Ernestyna, niżeli matka — gdyby był tego dostrzegł, byłby się niezawodnie daleko szerzej o nim rozgadał i nie dopuścił Ernestynie mieć za nadto dobre o nim wyobrażenie — ale tak nie było: Ernestyna umiała także nie okazywać zawsze tego po sobie, co myślała lub czuła.

Nie odmieniwszy tedy w niczem dotychczasowych usposobień dworu jaćmierskiego dla Flawiusza, wyjechał w dalszą swą podróż. Podróż ta wszakże nie skończyła się na samym Tarnowie. Wierzyciel ten bowiem, którego szukał, nie mieszkał wcale w tem mieście. Był to szlachcic z Sandomierskiego, dawny sąsiad męża pani podkomorzynej,

który tam będąc osiadłym, tam też się znajdował w tej chwili. Nie pozostało tedy nic Jędrzejowi, jak w Sandomierskie pojechać. Ale i na tem jeszcze nie skończyły się jego trudy. Odszukawszy bowiem nakoniec owego wierzyciela, dowiedział się od niego, iż z nim samym tej sprawy załatwić nie może, był on bowiem tylko imiennym właścicielem tego długu, o który się procesował z podkomorzyną, a właścicieli rzeczywistych było kilku. Trzeba było tedy odszukiwać i tamtych, jeździć za nimi, zwoływać ich na konferencye, klócić się, grozić, targować. W końcu końców dokazał wprawdzie tego, że tę trudną i zawikłaną sprawę ostatecznie załatwił — ale nim się to stało, pominałszy już trudy, koszta, kłopoty, równające się prawie małej kampanii, minęło więcej niż sześć tygodni drogiego czasu i już wiosna nadeszła.

Wracając stamtąd, znowu wstąpił do siebie. Ale nie zastawszy tu żadnej zmiany takiej, któraby go mogła zatrzymać, tylko przenocował i czemp prędzej do Zagórza pospieszył.

Tymczasem kiedy Jędrzej tam takie trudy przechodził, skarbnik tutaj także się nie mało natrudził.

Kupiwszy Bóbrkę, tę samą Bóbrkę, którą nabyć na własność tak gorąco pragnął przez całe życie, zamiast się cieszyć tem teraz i wziąć się z zapałem do tych niezliczonych zmian i urzędzeń, o których marzył, kiedy był tylko tej wsi zastawnikiem, dzisiaj nie znajdował w tem żadnej pociechy. Myśli te, które po powrocie z ostatniej wojny jedynie go zajmowały, a wskutek których nie pragnął już dla siebie nic więcej, jak tylko zamknąć się w swoim dworku i reszty swego tak czynnego, a przecież tak nieszczęśliwego żywota dosnuć w modlitwach i rozmyślaniach — myśli te teraz go opuściły zupełnie i rozpięchnęły się od niego bez śladu. Dłuższy pobyt w stolicy rozbudził go z tego mniszego zamarcia — jego współtowarzysze broni ożywili w nim nanowo jego uśpioną fantazyę — jego umysł rozjaśnił się nowymi widokami — jego serce wskrzesiło w sobie całkiem nowe nadzieje — jego krew się rozmarzła i zakipiała nanowo! Skarbnik już

teraz nie myślał wcale, przeżywszy całe życie z bronią w ręku, na koniu, w ustawicznych walkach i poświęceniach, skończyć to życie jak diad kościelny z różańcem w ręku, albo jak minstrel śpiewający żalosne pieśni pod kratą uwięzionej kochanki. Pięćdziesiąt lat miał dopiero i jeszcze go stać było i dalej na takie samo życie jak dotąd, a przynajmniej go stać było na śmierć inną.

Jakoż był to już jeden powód, dla którego zakupno Bóbrki żadną go nie napawało pociechą. Ale kiedy jeszcze do tego sam przyjechał do Bóbrki i obaczył tam swoich ludzi jeszcze dotychczas w więzieniu, i obaczył krew swego ukochanego Węgrzynka, jeszcze niezakrzepłą w dziedzińcu: jego spodziewana pociecha zamieniła się w smutek, jego dawne przywiązanie do tego miejsca w nieprzewycięzoną odrazę.

— Kiedym wyszedł natenczas przed ganek — mówił on nieraz o tem w czasach późniejszych — zawsze mi się zdawało, że widzę, jak mordują moich pocziwych ludzi; kiedym postąpił parę kroków w dziedziniec, zawsze wstawał przedemną mój ukochany Węgrzynek, z rozciętą głową, z krwią buchającą mu strumieniem z piersi. Nie! gdyby mi kto był dodał jeszcze dwadzieścia wsi naokoło na własność, byłbym tam za nie nie siedział. Wieś ta, tak kochana niegdyś przezemnie, obmierzła mi wtedy na zawsze. A to był drugi powód, dla czego mu to kupno nie sprawiło teraz żadnej pociechy.

Jakoż obliczywszy się z sobą, wezwał panów Grabowskich do siebie i po krótkiej umowie odstąpił im Bóbrkę na własność. Sam zaś, zabrawszy swoje sprzęty co lepsze i inwentarze, nie zapominając piwnicy, przeniósł się do Zagórza do swojej siostry.

— Kupię ci tutaj jaką wioskę przyległą i do Zagórza przyłączę, a ty mnie za to będziesz żywić do śmierci. Spodziewam się, że źle na tem nie wyjdiesz, bo trudno ja teraz podobno będę długo siedział na jednym miejscu.

Tak sobie skarbnik postąpił tymczasowo w swych interesach.

Śród tego czasu odebrał on także list od Flawiusza,

z którego się dowiedział, że jego poszukiwania żadnego nie osiągnęły skutku. Wiadomość ta zasmuciła go trochę. Chciał on szczerze temu człowiekowi dopomódz i czy to w ten, czy w ów sposób, nadać jego życiu jakiś prosty i pewny kierunek. W tym celu pojechał on sam do Jaćmierza i sam ze starym jegomością pogadał o tem obszer nie — a lubo zaprzeczył jaknajsołenniej jego domysłowi, jakoby Flawiusz był od starosty przysłany po ów doku ment, nie powiedział mu jednak kto był właściwie ten Fla wiusz. — Żądał on tylko od starego zwrotu owego dokumentu, jako swojej własności. Ale ten dokument w sa mej rzeczy gdzieś się zatracił. Szukał go sam ojciec Ję drzeja po wszystkich swoich kryjówkach, ale go nigdzie nie znalazł. Skarbnik tedy z niczem odjechał. Smutno mu było — ale zresztą i nie bardzo się tem frasował. Podług jego widzenia rzeczy świat był teraz otwarty dla starych, za cóżby nie miał być takim dla młodych? — Skarbnik spodziewał się widzieć niebawem z Flawiuszem i udzielić mu ustnie swych myśli co do dalszego prowadzenia się w ważnej sprawie z starostą i jeszcze daleko ważniejszej sprawie własnego życia.

Kiedy więc Jędrzej z swojej podróży powrócił, zastał i podkomorzynę i skarbnika w Zagórze.

Było wiele pociechy, wiele szczęścia. Wszyscy się czuli zadowoleni, swobodni, pełni najpiękniejszych nadziei na przyszłość.

Nie pozostało im nie już, jak tylko te nadzieje jak najprędzej urzeczywistnić, ażeby ich szczęście było zupełne.

Ale to się nie mogło stać tak prędko.

Kiedy się żeni człowiek zamożny, zamożnością swoją i stanowiskiem w społeczeństwie do pewnych form oka załych tradycyjalnie obowiązany, zawsze potrzebuje pe wnego czasu na to, ażeby się we wszystkim do swego nowego położenia urządzić, ale Jędrzej potrzebował tego czasu jeszcze daleko więcej. Jędrzej nie miał właściwie domu w tej chwili. Miał pałac urządzony przyzwoicie, a nawet bogato w Jaćmierzu i miał dom kawalerski w Gór kach — ale jak ten był i zanadto opuszczony i szczupły,

aby można doń żonę wprowadzić, tak znowu tamten był obecnie przez macochę zajęty, a zatem tak jakby nie jego. Jędrzeja tedy zamiarem było zrobić jakieś pakta z macochą i od niej opróżnienie palacu uzyskać. A że doprowadzenie tego zamiaru wedle jego rozumienia rzeczy miało przed sobą nie mało trudności — więc rozumiało się samo przez się, że ślub Stasi miał się odwlec jeszcze na czas dłuższy i wcale nieoznaczony.

Ta odwłoka nie podobała się wprawdzie niecierpliwej podkomorzynie, uznała ona nawet potrzebę ile możności się temu sprzeciwiać — ale sprawiedliwość uwag Jędrzeja była tak jasną, że się wszyscy inni na nie z góry zgodzili — i podkomorzyna musiała się także zgodzić na końcu.

Tu musimy zrobić uwagę iż, lubo z dalszych wypadków zdawaćby się mogło, że gdyby ta odwłoka była nie miała miejsca, toby nie miały miejsca i następne wypadki, tak jednak w samej rzeczy nie było. Bo ślub w żadnym razie nie mógł nastąpić bez żadnej zwłoki — do takiego nagłego i niezwyčajnego kroku nie było żadnego powodu — a czy przygotowania do niego byłyby się odwlekły na parę miesięcy, czy na czas nieoznaczony, nie zmieniłoby to było dalszych losów Jędrzeja ani o jedną jotę. Ślub ten zresztą musiał się odwlec koniecznie, bo Jędrzej nie mógł go odbyć teraz z odpowiedniami swojemu towarzyskiemu położeniu formami, a podniesienia się nad te formy, co w dzisiejszych czasach już wszyscy umieją, nie rozumiał nikt jeszcze natenczas. Była tedy w samych wypadkach jakaś niewidoma ręka, która je prowadziła, niezawisłe od ludzi, temi odwiecznymi drogami, na których każda przyczyna musi pociągnąć za sobą tylko odpowiednie swojej naturze skutki. Tę niewidomą rękę, wywierającą swoje przeważne wpływy na nasze losy, widzimy wszędzie — każdy z nas, choćby nie wiedzieć jak samodzielny w swoich myślach i czynach, musi jej podlegać koniecznie — a jeżeli kędy nie dostrzega jej nasze oko, nie jest tego przyczyną jej nieistnienie, tylko niedoniosłość naszego wyroku.

Ale powróćmy do zdarzeń.

Owo więc Jędrzej, zamierzając wejść w jakieś układy z swoją macochą o ustąpienie pałacu, myślał nad tem, jakaby jej miał za to ofiarować zamianę — a tymczasem siedział w Zagórze. Każdego dnia miał nibyto stamtąd wyjeżdżać, ale żaden nie przyszedł taki, w którymby wyjechał istotnie — w takim położeniu tak się zdarza podobno wszystkim.

Wszakże już po upływie dni kilku zaszedł wypadek, który miał na później ważne wywołać skutki. Był to wypadek prosty; skarbnik jakieś listy odebrał, jeden ze Lwowa, a drugi od kogoś aż z Mołdawskiej granicy.

Coby zawierały te listy, nikt o tem nie wiedział. Skarbnik je tylko Jędrzejowi odczytał i potem długą miał z nim rozmowę. Lubo ta rozmowa toczyła się w obecności podkomorzynej i Stasi, nie mogły jednak one z niej wyrozumieć wszystkiego. Widziały tylko, że skarbnik był zdecydowany zaraz jutro wyjeżdżać do pana Waleryana Dzieduszyckiego, który mieszkał w Jabłonowie, w dzisiejszem Czortkowskiem — Jędrzej chciał jechać z nim także — skarbnik go od tego odwodził — ale młodzieniec wpadł w taki zapał, że stary żołnierz go tylko uściśkał — i nawet Stasia nie mogła się powstrzymać, aby go nie ścisnąć za rękę.

Jędrzejowi podobno chodziło więcej o przyzwolenie Stasi, niżeli o przekonanie skarbnika — jakoż jak tylko to otrzymał, posłał zaraz do Jaćmierza po świeże konie i bagaże podróżne — a nazajutrz rano już ich obudwóch nie było w Zagórze.



Wyjechali oni tylko na parę tygodni — ale minął jeden miesiąc i drugi — a ich jeszcze nie było.

Stasi było tęskno, podkomorzyna zaczęła się niecierpliwić — obydwie wyczekiwały przynajmniej listu.

Jakoż list nadszedł, ale ten wcale ich nie pocieszył. Skarbnik bowiem pisał z Jass i doniósł, że Jędrzej ni mniej ni więcej tylko do Stambułu pojechał. Ale pocie-

szył ich przecie na końcu, zapewniając że Jędrzej najdalej za trzy tygodnie powróci, a za drugich trzy tygodnie będą obadwa już w domu.

Wszakże minęły i jedne trzy tygodnie i drugie, a ich jeszcze nie było.

Podkomorzyna była zniecierpliwiona do najwyższego stopnia i już nawet zaczęła rozpaczać, — ale Stasia znosiła ten rozdział spokojnie, z poddaniem się, z rezygnacją i męstwem, i umiała nawet jeszcze i matkę pocieszyć, powtarzając jej często:

— Bądźmy spokojne i nie wysilajmy się wcześniej w rozpacz; bo i cóż poczniemy natenczas, kiedy ich jeszcze dłużej będziemy wyczekiwać napróżno?

Stasia miała w tem słuszość, — bo od tego czasu ani listu, ani wieści nawet o nich nie było.

XXIII.

Tymczasem, kiedy nad dworem zagórskim tak ciężki panował smutek, grożąc jeszcze Bóg wie o ile smutniejszymi wypadkami na przyszłość, w świetnym i szklącym pałacu jaćmierskim także nie było wesoło.

Minęła zima nudno, jednostajnie i głucho — a lubo ją kilkutygodniowy pobyt Flawiusza rozweselił cokolwiek, nie czynił on jej jednak ani w najodleglejszem porównaniu do tych zim podobną, jakie tu dawniej bywały.

Po zimie nadeszła wiosna.

Wiosna w Jaćmierzu była daleko piękniejszą niż wszędzie indziej. Starannie utrzymywane ogrody budziły się tutaj z zimowego letargu daleko wcześniej, — i już wszystkie gazony były gęstą okryte zielenią, drzewa poubierane w listki i kwiecie, wiosenne kwiaty w pełni swoich świetnych kolorów, ścieżki wysypane piaskiem i suche, — kiedy gdzieindziej jeszcze wody z stopniałych śniegów stały w wielkich kałużach i czerniały się gęste błota po drogach. Pod koniec maja pałac jaćmierski z swoim pysznym ogrodem mógł się śmiało równać z każdą z najpiękniej-

szych will włoskich — i tylko żyć było tutaj i trzymać czas na uwiezi, aby jak najpowolniej upływał.

Pomimo to jednak nie było tu wesołości, nie było życia. Czas upływał po mału, ale upływał nudno, ekliwo i nawet cierpko. Wszyscy mieszkańcy tego tak pięknego przybytku byli w niedobrym humorze — a sama pani w najgorszym.

Pani Rudnicka zaczęła się przekonywać po mału, że owe piękne dni zabaw i wesołości jaćmierskiej, które jak każde szczęście zdawały się być bez końca, już na zawsze minęły. Wrócić je dzisiaj już nie było sposobu, a gdyby się nawet sposób wynalazł, jużby się same nie powróciły. Nietylko w dziejach, ale i w życiu naszym, raz przerwane, nigdy już potem takie same nie powracają wypadki. Czuła to pani Rudnicka, czuła z goryczą i smutkiem, i nawet już się nie uciekała do złudzeń. Wszakże nietylko to jedno było powodem jej terażniejszej goryczy, — zaszły bowiem i inne zdarzenia, które poszły na wspak jej dotychczasowym widokom. Brat jej, starosta bełzki, był już po zrękowinach i lada dzień miał się ożenić. Z tym bratem swoim nie żyła ona nigdy w bardzo dobrych stosunkach. Wychowani zdaleka od siebie, znający się między sobą prawie tylko tyle jak obcy, nie mieli oni żadnej do siebie sympatii. Zaszły potem pomiędzy nimi spory majątkowe, które wypadły na korzyść starosty, a to ich już rozdziwiło do reszty. Pomimo to jednak pani Rudnicka utrzymywała z nim zawsze listowne, pełne grzeczności relacje — i miała zawsze nadzieję sukcesyi. Nadzieja ta teraz została podkopaną do gruntu i zniknęła na zawsze... Tak samo także rozpierchły się i te widoki, których ziszczenie zależało od jej pasierba. O jej widokach dawnych względem Jędrzeja, których było niemało, niema teraz już co i wspominać. Tamte widoki zamknęły się już natenczas, jak Jędrzej z wojny powrócił. Lecz potem jeszcze, kiedy już z wojny powrócił i nawet zarząd majątku z jej rąk odebrał, miała ona jeszcze nadzieję, że potrafi go skłonić do jakiejś dobrowolnej umowy, która w tych okolicznościach będzie jeszcze dla niej bardzo korzystną. Przy-

kro jej było oswoić się z tą myślą, że w takim razie ten pałac, który do takiej świetności własnymi doprowadziła rękami, przyjdzie jej na zawsze opuścić, — ale cóż było robić? — oswoiła się wreszcie z tą myślą i osłodziła ją sobie tą nadzieją, że za ustąpienie pałacu da jej Jędrzej albo te wioski, które miał na granicy szląskiej, albo przynajmniej jakąś sumę tak znaczną, że za nią będzie mogła kupić i równie ładnie urządzić jakąś nową dla siebie siedzibę... Każda sprawa podobna jeżeliby tylko trochę trudną być miała z bezzennym, to niezawodnie daleko trudniejsza z żonatym, ale już najtrudniejsza bez kwestyi z takim, który dopiero miał przystępować do ślubu. Tacy ludzie zazwyczaj są samolubami w najlepszym stopniu, wszystkie ich myśli dążą tylko do tego, ażeby dla tej uwielbionej przez siebie oblubienicy wszystko co tylko można zgromadzić; gdyby mogli, zabraliby pół świata, aby jej oddać nad nim panowanie i władzę, — niemasz z nimi żadnej sprawy natenczas. Wiedziała o tem pani Rudnicka i to ją w największą pogrążyło zgryzotę.

Te wszystkie zmiany w jej położeniu wywarły na nią wpływ taki zabijający, że ta niedawno jeszcze tak dyspocytna matrona, która z karetki swojej trzęsła całemi setkami ludzi i całą tak obszerną fortuną, dzisiaj nie czuła nawet w sobie siły do jakiegokolwiek oporu... Dawna dumą, energią, niezłomnością woli i nawet wiara w swą władzę opuściły ją teraz zupełnie, — kapitulowała przed nowym władcą i nowemi okolicznościami — i kapitulowała nawet najgorzej, bo na łaskę i niełaskę. Tak kapitulują na końcu wszyscy ci władcy, którym się zdaje, że czas stoi na jednym miejscu i którzy nie pojmują tego, że każdy dzień, każda niemal godzina przynosi ze sobą swa prawa, domagające się uwzględnienia i miejsca. Ale jak niemal każdy z takich wyrzuconych ze swego stanowiska władców, lubo nie czuje już w sobie tej siły, któraby mu mogła berło stracone powrócić, myśli jednak zawsze nad środkami jakiegokolwiek przynajmniej rehabilitacyi, tak i ta władczyni myślała jeszcze także nad tem, czyliby się nie

dało utworzyć choć przynajmniej coś podobnego do straconego przez nią Edenu?

Dziś był to jeden z najpiękniejszych dni, jakie przynieść jest w stanie nasza często tak błada wiosna. Zachodzące słońce świeciło jeszcze w całej swojej jasności na niebie majowem bez chmurki, — po ogrodzie, ocienionym bujnymi klombami drzew i krzewin najwyborniejszych, roznosiła się woń jaśminu, fiołków i róży, — w gęstwie zarosli brzmiały całe chóry drobniutkich ptaszątek, — z kąta ogrodu poczynały się już odzywać pierwsze tony strojącego swą lutnię słowika, — starannie utrzymane gazony podścielały swoje pyszne kobierce aż pod wystawę palacu, — i wszystko było tam tak pełne światła, swobody, życia, że najpiękniejszy salon zdawał się dzisiaj więzieniem.

Pani Rudnicka kazała się też wywieźć w swem krześle na wystawę, Ernestyna koło niej zabrała miejsce i toczyła się między niemi długa i nawet ważna rozmowa.

Macocha Jędrzeja przechodziła dzisiaj szczegółowo wszystkie fazy swojego upadku, od ostatnich dni dawnej swojej świetności i władzy, aż do dnia dzisiejszego, nie mającego już przed sobą nawet żadnej nadziei.

— Tak tedy wszystko — mówiła ona, pełna goryczy i smutku, ale nie próżna przytem zwykłej swej złości, — wszystko nas nakoniec zawiodło! Pan starosta bełzki, a teraz już hrabia, kupuje sobie żonę młodą za moje pieniądze. Zapisał jej najprzód połowę fortuny i oddał jej wszystkie precyozy, które się zostały po mojej matce. Pan starosta się kocha! Szczęśliwy człowiek! Lat pięćdziesiąt i cztery i miłość w tych latach, na to zaprawdę trzeba urodzić się w czepku. Ale niechaj mu Pan Bóg da szczęście!... Żeby tylko kiedy tego szczęścia nie zamąciła jego własna, dziś odtrącona, sponiewierana, opuszczona familia! Żeby tylko kiedyś przed owym wyzłoconym pałacem, który będzie napełniać blask bronzów i luster wiedeńskich, woń kwiatów posprowadżanych z Francji i tony kapeli nadwornej, — żeby tylko przed tym pałacem nie pokazała się kiedyś jakaś stara żebraczka, w łachmanach nędzy, z torbami na plecach, i żeby się nie pokazało, że ta że

braczką, umierającą z głodu, to pana hrabiego rodzona siostra!... I żeby też się nie pokazał kiedy jakiś młodzieniec, może także obdarty i wygłodniały, może zapity i obrukany błotem najszkaradniejszej kloaki, może dopiero co wypuszczony z więzienia i piętnowany, i żeby się nie pokazało, że to syn pana hrabiego!...

— Matko moja! — zawołała na to Ernestyna z zapalem — to być nie może! Słyszałam o tem od mamy już parę razy, ale żeby tak było istotnie, nigdy tefnu nie wierzę. Żeby się ojciec zaparł własnego syna i żeby to zrobił wuj mój, człowiek taki szlachetny, wykształcony, bogaty... oh! cóżby też już nie było na świecie?

— Bo wszystko jest na tym świecie — odpowiedziała na to dobitnie matka — wszystko co tylko myślisz i co się w twojej głowie nie będzie mogło pomieścić, i czego twoje serce przeczuć nie zdoła, wszystko tu jest między nami. O tem wiedz i pamiętaj przez całe życie. Już ja jestem w odwrocie, mnie któż wie wiele lat jeszcze, a może miesiące tylko błąkać się po tej pustyni, i mnie to już nie obchodzi; ale ty, która dopiero wstępujesz w to życie, pamiętaj sobie dobrze tą prawdę, bo ona ci się przyda co dzień, co godzina...

Na wspomnienie matki o blizkiej śmierci, Ernestynie łzy w oczach stanęły, — widząc, to matka ucieła nagle i milczała przez chwilę, — potem znowu zaczęła mówić:

— Żeni się pan starosta, żeni się także pan Jędrzej. Tamten choć wie przynajmniej co bierze, ale ten... Bóg wie po jakiemu. Młody człowiek, dobrego rodu, taki przystojny, takiej pozycji, takiej zresztą fortuny, zamiast się podnieść i uderzyć o jedną z najpiękniejszych famili, zagrzebywać się między szaraczkową szlachtę; zamiast wejść między tych, którzy przez konneksye i tytuły rosną w znaczeniu i nowymi środkami nową dla siebie i dla kraju budują przyszłość, pchać się pomiędzy tamtych, którzy przez upór swój niedorzeczny przy zwietrzałych opiniach niszczejają ciągle i muszą zniszczyć do reszty... a! to, przyznam się, wcale mi się nie zgadza z tym panem Jędrze-

jem, który przecież ma rozum i żyje ciągle w najpierwszym świecie.

— Śmiałabym na to powiedzieć — odezwała się Ernestyna — że Jędrzej musi także wiedzieć co robi. Opinie bywają zwykle różne na świecie, a dopóki są opiniami, jeszcze zawsze nie można wiedzieć, która z nich pozostanie nazawsze opinią, a która przyjmie krew i ciało na siebie. W każdym razie jednak nie można pomówić Jędrzeja przynajmniej o to, żeby nie wiedział co robi...

— Ale gdzie tam wie! nie nie wie. Złapali go i koniec. Panna ma być podobno ładna, młoda, świeci się to, ot! i dał się omamić. A w czym się sam nie omamił, oni go omamili. Podkomorzyna to podobno energiczna kobieta, a ten skarbnik, czy major, to frant kuty na cztery nogi. Plecie Bóg nie wie co, form żadnych, i niby głupi, ale ma on swój rozum. Ta szlachta mała, to tak jak chłopci, — ledwie się z nimi dogadasz, zdaje ci się, że go zaprowadzisz gdzie sama zechcesz, on się niby poddaje wszystkiemu, — ale na końcu przecież się pokaże, że się nie na twojem stało, tylko na jego. Otóż tak także i z Jędrzejem zrobili. — Ale z tego sobie bierz przykład, że wszystko można zrobić kiedy człowiek zechce i umie się poprowadzić. I nie myśl sobie, żeby cokolwiekbyś dobrego mogło się stać dla nas bez naszej pracy. Nic nie przychodzi nam darmo, wszystko trza wypracować, wyrobić. Nawet, ot! widzisz! nawet taki pomierny Flawiusz nie odda się sam dobrowolnie, bo i jego trza wziąć własną ręką...

Tu pani Rudnicka spoczęła chwilkę — a potem mówiła dalej:

— O! co tego Flawiusza, to nigdy nie przeżałuję. Nie jest to to, com dawniej dla ciebie marzyła, i fortuna tam podobno nie taka wielka, jak nam się z początku zdawało, — ale w każdym razie jest to partya przyzwoita, a dziś nawet i bardzo. Fortuna może nie wielka, ale coś on ma, coś my mamy, coś nam da Jędrzej, a nakoniec jeszcze coś przecie wykołacę i od pana starosty, a tak ziarnko do ziarnka, robi się miarka. I miarka dobra na-

wet, za którą będziemy mogli nabyć bardzo okrągłą fortunę. A że na tej fortunie Flawiusz poprowadzi się całkiem inaczej jak Jędrzej, że w inne wejdzie towarzystwo i całkiem inne sobie wyrobi znaczenie, za to ci ręczę. Ale co to mówić napróżno! pojechał i nawet niema nadziei ażeby wrócił...

Ernestyna niechęć westchnęła, a matka tymczasem mówiła dalej:

— Nawet trudno się od kogo dowiedzieć, gdzie się podziewa? Jednak przecież może się jeszcze o nim dowiemy. Wiedząc gdzie jest, nie trudno będzie przez kogoś delikatnie go ściągnąć. Tylko proszę cię wtenczas, miejże już rozum. Trzeba się wziąć jakoś do tego, żeby już przyjść raz do jakiegoś ostatecznego celu...

— Proszę mamy nie mówmy o tem To są rzeczy dalekie, a może nawet i niepodobne... A zresztą co tu mówić? Gdybym się była Flawiuszowi podobala, byłby mi przecież dał to do poznania... a ja o tem nie wiem.

— To, moje dziecko, jeszcze nie dowodzi, bo ty nie rozumiesz tej sytuacji. Flawiusz, jakiegobądź tam jest pochodzenia, choćby nawet kiedyś i nobilitowany tutaj, zawsze się czuje być niższym od ciebie. Jesteś przecie hrabianka! To uczucie tedy odbiera mu śmiałość, zawiązuje mu usta, to uczucie nie pozwoli mu nigdy oświadczyć ci się formalnie, dopóki nie będzie miał z twojej strony dowodu na to, że zostanie przyjętym. Nikomu koszt nie jest miły, każdy rozsądny człowiek unika go, a Flawiusz ma nie tylko rozsądek, ale i rozum. To jest całe położenie rzeczy i trza je rozumieć.

— To być może, ja temu nie przeczę — mówiła na to Ernestyna — ale muszę tu zrobić uwagę, że ile mnie się zdaje, Flawiusz nie ma wcale myśli żenienia się. Ja z nim mówiłam wiele, i, o ile można było, poznałam go. Nie jest on tak łatwy do poznania jak który inny z naszej zwykłej młodzieży; jego uczucia są głębsze, jego myśli sięgają wyżej i dalej, on cały jest jakoś więcej rozrzucony, wielostronniejszy, obracający się w daleko obszerniejszych granicach niż inni. Poznać dokładnie i zgłębić takiego

człowieka, ja nie mogę mieć nawet pretensyi. A przecież zdaje mi się, żem go zrozumiała przynajmniej cokolwiek. A z tego com zrozumiała, widzę aż nadto jawnie, że o ożenieniu się wcale nie myśli. On jest dziś jakiś w sobie nie pełny, czuje brak czegoś, czezość mu się daje uczuwać, czasem nawet jest cały zalany goryczą. Jaka jest temu przyczyna, ja tego nie wiem, ale stan ten pojmuję. Bo tak być może, a u niego nawet powinno... Młody człowiek, pełen sił, pełen zdolności, energii, zapału, mógłby coś robić, czemciś być, coś znaczyć na świecie, a nie robi nic i nie nie znaczy. Czyż w takich okolicznościach może być kontent ze siebie? może nie czuć czezości, a nawet czasem goryczy?... To jest mój domysł i jeżeli ten domysł jest prawdziwy, toż najmniej prawdziwy także jest ten, że nie myśli się żenić. Byłaby to nawet niedorzeczność z jego strony, gdyby myślał. Takich goryczy żona nie osłodzi, takich pragnień nie zadowolni, — na taką boleść lekarstwem może być tylko świat i doświadczenie!

— Ot! jakieś filozofie się ciebie chwytają, których, doprawdy, nie wiem gdzieś się wyuczyła.

Taką rozmowę prowadziły ze sobą te obydwie kobiety, — kiedy wtem, o samym zachodzie słońca, na drodze prowadzącej do dworu, dała się słyszeć trąbka pocztowa.

— Czy słyszysz? — zawołała na to pani Rudnicka — to on, to Fławiusz!

Ernestyna odpowiedziała na to tylko żywym rumieńcem. Tymczasem w samej istocie był to Fławiusz.

Gdzież się Fławiusz przez ten czas cały obracał? co robił? dlaczego teraz znów do Jaćmierza powracał? — Na to wszystko trza nam odpowiedzieć pokrótce.

Owo więc Fławiusz, wyjechawszy z Jaćmierza w marcu, prosto do Wiśnicza pojechał. Tam rzucił on się najpierwej na proboszcza i wikarego, ażeby pomiędzy nimi metryki swojej, wiadomości o ślubie swojego ojca lub jakiegokolwiek innej daty prawnej, odnoszącej się do tego wypadku, odszukać. Jadąc tam, bujnej wyobraźni młodzieniec znowu sobie wymarzył, że wszystko to już gotowe czeka na nie-

go, — ale im czarowniejsze było jego złudzenie, o tyle tylko boleśniesz było rozczarowanie. Przy kościele nic podobnego się nie znalazło. Ostatnia jego bańka mydlana pękła, zostawując przed nim czyste powietrze. Pomimo to przecież Flawiusz jeszcze dni kilka zabawił w Wiśniczu. Szukał on tam najstarszych ludzi, ażeby od nich się czegoś dowiedzieć. Od nich jednak także się nic nie dowiedział. Niektórzy z nich tylko pamiętali jego dziadka-staruszkę, przypominali sobie jego matkę nieboszczkę, pokazali mu domek ten, w którym jego dziadek mieszkał i matka umarła. Flawiusz wszedł do tego domku i oglądał ze czcią jego ciasne izdebki. Z budowy domku i jego objęcia widać było, jak ubodzy musieli być ci ludzie, którzy tutaj mieszkali. Flawiusz oglądał wszystkie jego miejsca, wszystkie kąci. Stawał przy tem oknie, przy którym jego matka siadywała z robotą we łzach i westchnieniach, kazał sobie pokazywać to miejsce, gdzie stało łóżko tej męczennicy, gdzie jego własna kolebka, gdzie wystawiono potem jego matki katafalk! — Wszystkie te przypomnienia, lubo były tylko opowiadane przez jakąś starą siąsiadkę, zdawały się wydobywać z jego własnej duszy, — zdawało mu się, że sam sobie przypomina, że widzi siedzącego staruszkę w kąci, splakanego krwawemi łzami nad swoją niedolą, — widzi młodą, piękną jak anioł, ale jak śmierć wybladłą kobietę, pożywającą chleb czarny ze łzami, — widzi ją potem konającą z nędzy i bólu, widzi światła otaczające jej trumnę.. Przychodzą księża, biorą umarłą i wynoszą na wieczne mieszkanie, — w pustych izdebkach słyhać tylko echa cmentarnych śpiewów i widać błedniejące dymy kadzideł...

Wszystkie te myśli, te przypomnienia, wzruszały jego serce do głębi, podnosiły jego całą istotę. Tak jest, podnosiły go coraz wyżej, a odkrywając mu te strony ludzkiego życia, w których nikną drobniutkie bóle o ród, nazwisko i przypadkową pozycję w jakimś kółku odrębnem, pokazywały mu coraz jaśniej owo niewiadome wewnątrz człowieka, w którym jedynie mieszka jego godność i wartość przed Bogiem. Jesteśmy wszyscy marnym tylko pro-

chem i w proch się obróci to wszystko, co tylko samym świeci się oczom, co mile drażni słuch nasz, co się obraca z pompą w sztucznie uformowanych kołach, z wielkim względem na wszystkie pozory, ale bez względu na wyniosłość naszego ducha, na nieskazitelność sumienia, na czystość uczucia. Nie to, na którym szczyble towarzyskiej drabiny stoimy, nie to, z jakimi dodatkami wymieniamy nasze nazwisko, nie to, co o nas trzymają ludzie; ale to, czem w istocie jesteśmy, czem się wydać możemy przed Bogiem i samym sobą, to jest wartość nasza, której nikt nie ująć ani przydać nie może, i która trwać będzie nazawsze. Tę wartość nabyć, ją wszelkimi siłami, poświęceniem i trudem podnosić, i na tej drodze iść tak daleko, jak daleko siły donieść potrafią, to jest pierwsze i ostatnie, to najwyższe przeznaczenie człowieka.

Takie i tym podobne myśli Flawiusz już dawno i nieraz miał w głowie, — ale teraz odezwały się one z głębi jego własnego serca i zamieniły się w przekonanie. Był to zaprawdę niemały nabytek, był to znamienity postęp w sprawie tego przeobrażenia, które się już od dawna w nim odbywało.

Wskutek takiego postępu musiało się w nim oczywiście wyrodzić to ważne i konieczne już wreszcie postanowienie: dać już raz pokój tym pustym poszukiwaniom, tym próżnym gonieniom za jakimś rajem straconym, który gdyby się nawet i dał odzyskać, to cóż dopiero przyniesie?... Trochę pieniędzy? kawałek nazwiska? pieniądze obrzucone żółcią starosty, — nazwisko otoczone dekoracją skandalu... i czy to warto nad tem stracić choćby tylko chwilę drogiego czasu?

Flawiusz postanowił sobie całkiem zarzucić tę sprawę, — i na tej drodze był to krok jego ostatni.

Ale natomiast trzeba było obierać czem prędzej inną drogę, aby przecie coś zacząć, coś robić i nie stać już dłużej na miejscu. To wszakże nie było wówczas tak łatwo. Były to czasy, w których całe społeczeństwa kończyły swoje dotychczasowe role, całe narody nie widziały dalszej drogi przed sobą, a cóż dopiero się dziać mogło

z pojedynczymi ludźmi? W każdym razie jednak znalezienia jakiejś roli dla siebie nie można się było spodziewać w Wiśniczu; wiedział też o tem Flawiusz i do Krakowa wyjechał, a stamtąd udał się do Warszawy.

Ale i w Warszawie nie było wiele widoku, — miasto to znajdowało się wówczas w stanie przechodnim...

Pomimo to jednak znalazł Flawiusz dla siebie choć tymczasowe zajęcie.

Nie myślał osiadać w Warszawie, kamienica jego nie była mu teraz potrzebną; i owszem, nawet mogła mu się stać tylko zawadą... Sprzedał ją Flawiusz.

Zajęty tą sprawą, nie zaniedbał on wszakże dopytywać się o swoich dawnych znajomych, odszukiwać przyjaciół. Mieszkając tutaj, miał on wielu przyjaciół pomiędzy tutejszą młodzieżą, którzy także tak jak i on natenczas, mieli swoje zajęcie. Jeden z nich, Francuz rodem, pracował przy konsulacie francuzkim, drugi i trzeci był przy urzędzie, czwarty i piąty w wojsku. Wszystkich ich dzisiaj tutaj nie było. Flawiusz dopytywał się o nich i dowiedział się, że tak jak i on także rozprószyli się po świecie. Ale dowiadując się lepiej, dowiedział się także, że każdy z nich, gdziekolwiekbyś się znajdował, coś robił, około czegoś się krzątał, pracował...

Flawiusz z zazdrością dowiadywał się o ich zajęciach i pracy, wszyscy byli czynni, tylko on jeden, założywszy ręce na piersiach, czekał dopóki jakaś manna nie spadnie na niego z nieba...

Wstyd mu było tej bezczynności przed samym sobą. Popisał więc natychmiast listy do tych swoich przyjaciół, ażeby za ich pośrednictwem i dla siebie znaleźć jakieś zajęcie w świecie i prosząc o niezwłoczną odpowiedź, kazał ją adresować do Jaćmierza.

Dlaczegoż do Jaćmierza? — Flawiusz miał do tego powody.

Przed zaczęciem jakiejś nowej karyery swojej, która kto wie, gdzie oprzeć i na czym skończyć się mogła, chciał on koniecznie być jeszcze w Jaćmierzu. Ernestyna zrobiła na nim zanađto głębokie wrażenie, aby je mógł niepa-

mięcią nagrodzić. Po starym skarbniku było to jedno serce ludzkie, które się szczerze otworzyło ku niemu... a w tem sercu było tyle prawdziwej przyjaźni, tyle otwartej sympatii dla niego, że jej nie mógł zapomnieć. Nimby miał rzucić się w ten wir światowy, z którego mógł albo jak gwiazda oczyszczona ognistą kąpielą wypłynąć, albo w nim przepaść nazawsze, nie podobna mu było nie widzieć raz jeszcze tej, która jak lilia wodna wychyliła się przed nim z topielisk i pokazała mu jasną twarz swoją, aby się w niej jak w zwierciadle obaczył. Flawiusz nie mógł sobie odmówić tej jeszcze pociechy i jechał z uczuciem głębokiej czci do Jaćmierza, jechał jakby do matki swojej po błogosławieństwo na drogę nowego życia...

Flawiusz więc z końcem maja znowu do Jaćmierza przyjechał, — i przyjęcie to, jakiego doznał, przeszło jego wszelkie oczekiwania.

Pani Rudnicka witała go jakby swego, — Ernestyna z umiarkowaną, ale nie tajoną uciechą. Cały wieczór im przeszedł na tak ożywionej i serdecznej rozmowie, że biednemu sierocie zdawało się, jakby swoją własną rodzinę odzyskał. Zapomniał nawet w tej chwili o swojej odrazie ku matce Ernestyny; zapomniał nawet o tem, że to była siostra nielitościwego starosty...

Na takich samych serdecznych i ożywionych rozmowach minęło dni kilka — Przez te wszystkie dni było Flawiuszowi tak swobodnie, tak cicho, tak lekko na duszy i sercu, że mógłby był przeżyć tak życie całe, nie czując potrzeby żadnej odmiany. Rozmowy jego, prowadzone z hrabianką o najróżniejszych przedmiotach, zdawały się w niczem nie ustępować granicy pospolicości, — mówiono o tem, co samo z siebie się nasuwało, nie sadząc się ani na myśli osobliwe, ani na wyszukane frazesy, — a przecież w tych rozmowach znajdował Flawiusz tyle wdzięku, tyle uroku i czuł na sobie jakiś wpływ ich tak osobliwy, że zdało mu się, jakby codziennie niebo było więcej błękitne, słońce codzien jaśniejsze, kwiaty i trawki piękniejsze i jakby on sam pośród tego wszystkiego stawał się codzien jaśniejszym i bielszym. Z tych rozmów wszystkich

nie był on w stanie ani jednej myśli powtórzyć, nie przypominał sobie ani jednego szczególniejszego frazesu, a przecież całość ich tak głęboko się zanurzała w jego pamięci, że był pewnym tego, iż na łożu śmiertelnem jeszcze unosić się nad nim będzie ich uroczne wspomnienie...

Wszakże po tych dniach kilku, tak pełnych swobody i szczęścia, a tak próżnych wszelkiej prywaty, zmieniła swoje dotychczasowe zachowanie się — nie Ernestyna, — ale sama pani Rudnicka.

Nabiwszy sobie głowę i poprostu zrobiwszy sobie kaprys z tego, aby Ernestynę za Flawiusza wyswatać, a widząc że Flawiusz sam żadnych dalszych kroków na tej drodze nie robi, — zaczęła mu zrazu zlekka, lecz potem coraz wyraźniej dawać do poznania swe chęci.

Flawiusz z początku jakoś nie mógł tego zrozumieć; lecz kiedy jej przygrywki stały się wreszcie tak jasne jak słońce, musiał zrozumieć.

Wypadek ten zastanowił go bardzo.

Niebardzo jeszcze hartowny w swym odradzającym się charakterze, młodzieniec zaczął się chwiać i namyślać.

Tyle szczęścia i to szczęście tak łatwe i blizkie, że tylko rękę po niego wyciągnąć, aby go dosięgnąć?... Czy można się oprzeć takiej pokusie? — Żona młoda, kochająca, kochana, dostatki, pałace, życie miękkie, wygodne... a wreszcie i jedyna, ostatnia już droga, obiecująca odzyskanie ojca, który przez to stałby się wujem?... Czy można to wszystko odepchnąć?

I odepchnąć na to, aby się rzucić w odmęt losów niepewnych, wstąpić na drogę pełną trudów, niebezpieczeństw i pracy, nie dającą żadnej rękoi mi dobrego końca, a mogącą przynieść głód, nędzę, może kalectwo, a może wieczne wygnanie?... Czy nie byłoby to prawie szaleństwem?

Flawiusz myślał nad tem i chwiał się.

Ale myślał on dzisiaj już wcale inaczej, — bo on sam wcale innym był dzisiaj.

Przypatrywał się więc temu szczęściu z wielką rozkoszą. Było to szczęście, podług jego, mylnego wprawdzie cokolwiek, ale koniecznego wyobrażenia, zaprawdę wielkie

dla niego. Był to prawie ten sam raj marzony przez niego, którego szukał niedawno...

Ale przypatrując się temu szczęściu, przypatrzył się dzisiaj także i sobie. I przypatrzył się okiem czystym, wolnem od uprzedzenia, i osądził się z całą surowością sumienia...

I któż ja jestem? — mówił on do siebie — co zrobiłem dla kraju? co dla społeczeństwa, w którym żyję? co dla bliźnich, którzy są moją rodziną? — Gdzie moje prace, gdzie poświęcenia, gdzie owe trudy, które mi mogą dać prawo do odpoczynku i nagrody?

Niemasz ich nigdzie.

Jestem nędznym robaczkiem, który dopiero co wylazł ze ziemi... jeszcze znać na mnie plamy tych kałuż, w które mnie rzuciły losy zawistne... jeszcze nie masz za mną ani jednego uczynku, któryby mi mógł być policzonym na karb mojej zasługi...

I za to życie, które mi zbiegło w pustych marzeniach, w namiętnych miotaniach się za wpływem, władzą, znaczeniem, w pochuciach za własnem szczęściem bez względu na innych łzy i cierpienia, — za takie życie mam już sięgać po tak świetną, tak wspaniałą, tak czystą nagrodę?

Flawiusz myślał nad tem, i drżał cały ze wzruszenia.

Pierwszy to raz dzisiaj odezwały się w nim takie myśli, pierwszy raz dzisiaj w nim się odezwała *pokora*.

Był to moment nadzwyczaj ważny, najważniejszy w jego dotychczasowem życiu.

Był to punkt kulminacyjny jego rewolucyi wewnętrznej, był to świt nowo wschodzącego słońca dla niego, — był to pierwszy moment nowej epoki życia.

Dziwnie cicho, spokojnie i trzeźwo przepędził on jeszcze dni kilka w Jaćmierzu.

Odbывała się w nim wszakże jeszcze ciągle walka wewnętrzna.

Ale walka ta obracała się ciągle na jego korzyść. Z każdej utarczki z odradzającemi się w nim jeszcze pokusami wychodził zwycięsko, z każdej bitwy wynosił świeże trofea, aż nakoniec pokusom sił i trofeów zabrakło...

Flawiusz wyszedł zwycięsko i przedstawił w samym sobie najwspanialszy fenomen zwycięstwa, jakie można odnieść w tem życiu.

Był on już teraz pewnym, że się nie poniży do bezczynności w tych czasach ciężkiej pracy i trudu, że się nie da karmić, jak niemowlę lub niedołęga, ręką dobroczynnej kobiety, że nie zagrzebie swojej ludzkiej godności w miękkich codziennego życia wygodach, — i czekał już tylko z niecierpliwością na listy.

Wszakże niebawem i te listy nadeszły i było ich dwa odrazu. Jeden datowany z Paryża, z hotelu Diesbach, a podpisany Casimir de La Roche, — a drugi z Lipska z podpisem Eliasza Tremo. Byli to obadwa jego dawni przyjaciele z Warszawy.

Tegoż dnia jeszcze Flawiusz był na wyjeździe.

Kiedy się pani Rudnicka dowiedziała o tak nagłym zamiarze jego wyjazdu, ledwie mogła temu uwierzyć. Jakoż byłby Flawiusz musiał z nią odbyć scenę, która w każdym razie nie mogłaby mu być przyjemną, ale właśnie dlatego że wyjazd ten był tak nagły, dało mu się łatwo rzucić nań takie pozory, które uspokoiły żonę pana podkomorzyca i nie odebrały wcale jej urojonej nadziei.

Jednakże Ernestyna nie dała się ułudzić pozorom.

Zrozumiała ona Flawiusza już dawno — i rozumiała także tę podróż.

I dlatego właśnie, że ją tak rozumiała, przyjęła wiadomość o niej z uznaniem, z rezygnacją, z pokorą.

Była milcząca i w ziemię patrzyła, kiedy Flawiusz żegnał się z matką.

Gdy kolej na nią przysła, słów im brakło obojgu.

Flawiusz tylko patrzył w twarz jej wzrokiem tak przenikliwym, jak gdyby chciał z niej wyczytać wszystkie jej myśli i wszystkie uczucia.

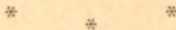
I zdało mu się nawet, jak gdyby słyszał jej słowa...

— Idź — mówiła ona — idź i powracaj czysty, pełen zasługi i chwały. W twoich walkach i trudach będę wszędzie przytomną. Bóg będzie ze mną i z tobą, i po-

wrócisz bez skazy. Lecz powróciwszy, pamiętaj o tem, żem ci rękę podała wtenczas, kiedy wszyscy cię opuścili...

Takie pożegnanie zdawało się słyszeć Flawiuszowi na własne uszy, — i to go skrzepiło, to mu dodało siły, to było jego najpiękniejszym błogosławieństwem na drogę.

Za chwilę potem powóz Flawiusza już się toczył po ubitym gościńcu, — było jeszcze słyhać przez czas jakiś tony trąbki pocztowej, które nareszcie zgasły i ucichły w rozległej dolinie; lecz długo jeszcze było widać Ernestynę, stojącą na najwyższym wzgórku ogrodu i patrzącą błędnemi oczyma na drogę, prowadzącą na zachód.



Po jego odjeździe Ernestyna była przecież szczęśliwszą, niżeli Stasia po odjeździe Jędrzeja. Kiedy bowiem o Jędrzeju i wieść nareszcie zginęła i nie wiadano nawet co myśleć, — o Flawiuszu przecież od czasu do czasu donosiły się jakieś wieści do jaćmierskiego pałacu. I tak wiadano zaraz, że we dwa tygodnie potem był w Lipsku. W miesiącu lipcu widział go ktoś z wojażerów krajowych w Paryżu i nawet przywiózł wiadomość o jego zamiarze powrócenia do Polski. Wiadomość ta jednak nie sprawdziła się, bo Flawiusz z Paryża wyjechał do Burgundyi, a mianowicie do miasta Dijon, gdzie go widziano w mundurze oficera armii francuskiej.

XXIV.

Była to jesień, — najpiękniejsza jesień, jaką kiedykolwiek można widzieć w tym kraju, — najpiękniejsza chwila z całego roku, chociaż tak smutna, niestety.

Jesień ta była jeszcze smutniejszą niż wszystkie...

Patrząc na słońce, zdawało się widzieć bladą twarz konającej dziewczicy, która obejmowała ziemię swemi ramiony, jakby chustą śmiertelną, aby ją uspić na zawsze. Pod promieniami tego konającego światła drzewa traciły ostatnie

swoje listeczki, najpóźniejsze kwiaty chyliły swe zwiędłe głowy ku ziemi, dalekie ściernie białły się jakby straszne pokosy śmierci — gdzieniegdzie snuły się srebrne nitki pajęczyn, wróżąc długą pogodę — gdzieniegdzie wicher się zrywał jak gdyby z pod ziemi, zakręcił liściem suchem i z przeraźliwym świstem leciał na lasy, grożąc ulewą i burzą...

Bóg sam wie, co tam było w powietrzu. Niezamałona pogoda mogła trwać jeszcze długo — ale i każda chwila mogła przynieść ze sobą orkany i zadać ostateczny cios najpiękniejszej nadziei...

Na takim dniu w popołudniowych godzinach, gościńcem prowadzącym od Pokucia ku Lwowu, toczył się powóz otwarty, pięcią tęgich koni ciągniony, i widocznie ile możliwości pospieszał. W tym powozie siedział po prawej stronie jmc pan major Nieczuja, a po lewej Jędrzej Rudnicki.

Przecie już raz powracali z swojej dalekiej podróży.

Powrót ten cieszył niewymownie skarbnika. Obaczysz wieże stolicy, zatarł ręce z radości i rzekł do swego towarzysza podróży:

— Jesteśmy tedy już nareszcie we Lwowie! Zabawimy tu sobie dwa dni, pozałatwiamy nasze sprawunki, uściśkamy naszych przyjaciół, wypijemy *ad felix videndum!* i dalej w nasze ukochane Sanockie! tam dopiero nas czeka pociecha. Bo co to powie jmc pani podkomorzyna, która już pewnie nas oplakała — a nuż dopiero Stasia! Będzie krzyku, hałasu, wiwatów, a może i łez nie zabraknie — bo to u kobiet łyzy ze żalu, łyzy z radości, a czasem nawet i ze złości. Nuż tedy wyprawimy sobie wesele, co daj Panie Boże zdrowie! Choćby mi miała pęknąć cała moja piwnica, nie pożałuję. Trzeba panów braci uraczyć, żeby też i sami pamiętali, i żeby jeszcze ojciec miał co opowiedzieć synowi. A po weselu, moi kochani, *valet!* Bo to świat dziś idzie na wywrot: młodzi do kąta, a starzy w świat!

Ale Jędrzej słuchał tak skarbnika, jakby go wcale nie słyszał. Na jego twarzy malował się jakiś dziwny niepo-

kój, to bladł, to czerwieniał, to wzdychał z głębi piersi, to rzucił koło siebie błędnemi oczyma. Przyznał się nareszcie do tego swemu koledze, mówiąc:

— Coś mi jakoś dziwnie ekliwo na sercu. Prawie mi żal, żeśmy drogę obrócili na Lwów. Tak mi się ciągle zdaje, jakby się tam co złego wydarzyło w Zagórzu. A może znów u mnie jakie nowe historye. Czy tylko ojciec...

— Ale ot! co tam pleciesz! — rzekł na to skarbnik — ekliwo ci, a ja wiem czemu ci ekliwo. Bo tobie nie od dzisiaj już ekliwo. Tobie serce się dwoi. Jedna połowa cię ciągnie do Stasi, a druga za mną. Chciałoby się jeszcze trochę z szabelką pohulać. A co? czy nie zgadłem?

— O nie! wcale nie! — odpowiedział Jędrzej — jakkolwiek nie mam żadnej odrazy do wojny, czego już zresztą dałem dostateczne dowody, jednak jestem zdania, że teraz, mając rozległą fortunę...

— Ale oczywiście! — zawołał skarbnik — to tylko takim proletaryuszom jak ja wolno się awanturować w takich dalekich imprezach...

— Ale że też Flawiusz — przerwał znów Jędrzej — że też ten Flawiusz w takich czasach tak się błąka bez celu! Jeżeli starosta takie dla niego ma sentymenty, o jakich mi major powiadasz, a których ja się wcale po nim nie spodziewałem, a to plunąłbym dawno na wszystko i nie marnowałbym czasu na bezskutecznych kwerendach. Zwłaszcza też dzisiaj! Czy to może być lepsza dla młodzieży karyera? Toż, jak się dowiadujemy, dwudziestokilko-letni ludzie są pułkownikami, generałami? A gdzie taki jest awans, cóż znów u milion dyabłów, żeby i ja też nie wyrąbał szlifów za kilka miesięcy? A gdyby nawet potem wszystko to się skończyło na niczem, toż zawsze szlify, w tej czy owej armii zyskane, mają swoje znaczenie. Szlify zasługują się walecznością, a waleczność wszędzie jest w cenie.

— Bądź-no o Flawiusza spokojny — rzekł na to skarbnik — wezmę ja jego ze sobą.

— Ale gdzie tam weźmiesz — odpowiedział przesądny młodzieniec z przekąsem — piórka skrobać, finansiki

praktykować, fulminować po kątach, a nakoniec w burdzie ulicznej wziąć chorągiewkę do ręki, to jest; ale gdzie działa grzmia, gdzie ziemia drży, gdzie krew strumieniami się leje, chciałbym go widzieć dopiero.

— A jak obaczysz?

— A! to zapewne uwierzę.

Z temi słowami wjechali obadwa podróżni do domu zajazdowego koło kościoła oo. Bernardynów.

Zabrawszy pierwsze lepsze z próżnych pomieszkań, jak tylko im walizy przyniesiono na górę, przebrali się obadwa czempredzej i wybiegli w miasto. Każdemu z nich było pilno za różnemi sprawami, które trza było jaknajprędzej załatwić, ażeby też zyskać jeszcze cokolwiek wolnego czasu dla przyjaciół i dobrych znajomych. Osobliwie zaś Jędrzej miał mnóstwo rzeczy na głowie Straciwszy tyle czasu na tej nieprzewidzianej podróży, był już sam teraz przekonany, że jakkolwiekby się obróca jego tranzakcye z macochą, nie czas już dłużej odwlekać ślubu. Uradzili obadwa ze skarbnikiem przez drogę, ażeby ten ślub odprawić w dzień św. Katarzyny — a gdyby się to żadną miarą zrobić nie dało, to najdalej już na Trzech Króli, bo skarbnik ani sobie mówić dał o tem, aby miał jeszcze dłużej zabawić w kraju, a chciał przecie być świadkiem końca tej sprawy, która jego samego kosztowała tyle zachodu. Jednakże Jędrzej postanowił sobie wszystko poświęcić, aby dzień św. Katarzyny połączył go ze Stasią. Była to właśnie rocznica dnia tego, w którym ją poznał w Warszawie — od tego czasu już minęło dwa lata! I od tego czasu nawet, kiedy obietnicę jej ręki uzyskał, już minęło pół roku, które Jędrzej z uszczerbkiem swojego szczęścia sprawom publicznym poświęcił: zdało mu się, że przecież już dosyć i zasługi i trudu, i czas jest wielki po nagrodę osiągnąć. Jakoż do tego, aby się ten ślub odbył w dzień św. Katarzyny, nie było żadnej innej przeszkody, oprócz jednej macochy, z którą pakta o ustąpienie pałacu jeszcze nie były zrobione. Te pakta wszakże zdały mu się już teraz dość łatwe, postanowił bowiem w tym nagłym razie zaproponować pani Rudnickiej mieszkanie we Lwowie

z odpowiednią wymaganiami pensją i był pewnym, że jej się to teraz dosyć podoba. Po rozpedzeniu Francuzów, Jąćmierz się stał dosyć nudnym, rok cały samotnego w nim pobytu zrobił go jeszcze nudniejszym — Lwów był zabawnym, a o ileby Lwów mógł być w ustach pani Rudnickiej jeszcze nie dosyć zabawnym, miał zamiar Jędrzej rozweselić go podwyższeniem pensyi. I tak ta niegdyś dość trudna sprawa była teraz w rozumieniu Jędrzeja tak jak skończona — chodziło mu tylko o to, aby znaleźć zaraz odpowiednie dla macochy we Lwowie mieszkanie, nająć je i mieć je gotowem na zawołanie.

Za tem też najpierw wybiegł do miasta, i już doszedł do Bernardynów... kiedy wtem jakiś tłum ludzi zwrócił jego uwagę.

Gawieź uliczna zgromadziła się tłumnie i z hałasem i z krzykiem otaczała jakąś kobietę. Kobieta ta, z piersią i szyją otwartą, z rozpuszczonymi włosami, trzymała cały pęk zielska i kwiatów w ramionach, i z różnymi dziwacznymi gestami przemawiała coś do otaczającej ją pustej gawieźi. Zdawało się, jakby to była jakaś kobieta szalona...

Zajął to uwagę Jędrzeja i zbliżył się do tego tłumy. Kobiety tej widzieć nie mógł, bo gęsty tłum ją otaczał, przez który trudno się było przecisnąć, a więc stanął tylko jak mógł najbliżej i słuchał. Jakoż słyszał wyraźnie te słowa:

— Puśćcie mnie! puśćcie! ach! jacy wy niedobrzy, nieczuli! I czegoż mnie tutaj trzymacie? czemu mnie nie dajecie iść w moją drogę? Puśćcie mnie! patrzcie! tam panienka moja śpi w zimnej pościeli, tam trupy koło niej, tam straszno! Puśćcie mnie, niech ją przynajmniej otoczę kwiatami... niech ziela naściele pod głowę... ach! puśćcie mnie! puśćcie!

I płakała biedna kobieta. A gawieź rozpustna, półdzika, jak każda gawieź na świecie, zdziwiła się nad nią.

— Waryatka, na! — wołano na nią — masz kwiatów dla twojej panienki! masz! pościel jej łóżko!

Ale Jędrzeja mrowie przeszło od stóp do głowy. Ten głos zdawał mu się znajomy. Przecisnął się gwałtem przez

tłumy i zajrzał w twarz tej kobiecie. Zajrzał i skostniał na miejscu.

To była Krzywiecka.

Na widok tej służącej Melanii z rozdartą piersią, z rozpuszczonym warkoczem, z pomieszanymi zmysłami, oddanej na pastwę swawolnej gawiedzi, Jędrzejowi samemu wszystkie zmysły się pomieszały.

— Co to jest? — pytał on siebie samego, przyciskając zimną dłoń do rozpalonego czoła.

Ale w tym momencie dały mu się znów słyszeć słowa:

— Panienska moja śpi w zimnej pościeli, tam trupy koło niej, tam straszno...

— Przebóg żywy! — zawołał Jędrzej — i wiedział już wszystko.

Melania umarła.

Ledwie sobie przytomny, wrócił on powolnym krokiem do siebie.

Ale wszedłszy do swego pokoju, zatoczył się już tylko jak pijany do kąta i upadł na sofę bez zmysłów.

Wszakże w owej chwili, kiedy Jędrzej się zbliżył do tego tłumu gawiedzi, aby obaczyć co się tam działo — skarbnik, który razem z nim wyszedł był z domu i jeszcze nie był odszedł daleko, zbliżył się także do tego tłumu po drugiej stronie.

Przypatrywał on się tej kobiecie szalonej, przysłuchiwał się temu co mówiła, ale nie rozumiał. Ciekawy jednak, coby to była za kobieta, obejrzał się koło siebie, a widząc jakiegoś podeszłego mieszczanina, zbliżył się do niego i spytał:

— Mosanie! a co to jest za kobieta?

— Szalona, panie.

— Ja widzę, że szalona, ale nie wiesz waść, co za jedna?

— O! a cóżbym nie wiedział? przecież ją znałem, kiedy była przy zmysłach. Ot! pocziwe kobiecisko! słuzzyła ona niegdyś u nieboszczki wojewodzianki inflanckiej.

— Jakto u nieboszczki? Alboż jmc panna wojewodzianka umarła?

— O! i kiedy! będzie już więcej jak dwa miesiące.

Wiadomość ta i skarbnika przeraziła cokolwiek. I żal mu było, i zniepokoiło go to do wysokiego stopnia. Chciałby był wiedzieć przynajmniej, co o tem mówią? — jakoż spytał znowu po chwili:

— Proszę kogo, taka młoda osoba! A nie wiesz waść, co to było? czy chorowała?

— O! jużci bez choroby nie było, ale taka to była choroba! Ja tam nie wiem tego dokładnie, ale tak powiadają, że ze zgryzoty umarła.

Skarbnik na to brwi ściągnął, lecz pytał dalej:

— A cóż ją tak zgryzło?

— Już to nie wiedzieć dokładnie, ale tak mówią, że dwie przyczyn było odrazu. Jedna ta, że ją jej kochanek porzucił, a druga, że ją zmusili iść za innego. Otóż jak tylko odbyły się zrekowiny, jak się położyła do łóżka, to już więcej nie wstała... Szkoda jej panie! Dobra to była pani, nie daleko ja od niej mieszkałem, toż napatrzyłem się nieraz ile dobrego ludziom czyniła. A i tej szkoda! boć i to było poczeiwe pannisko. A jużci pewnie, że musiała być poczeiwa i wierna, kiedy po śmierci swojej pani aż rozum straciła.

Wszystko to skarbnika jeszcze bardziej zmartwiło i zniepokoiło już teraz do najwyższego stopnia. Zaczął się obawiać, aby wypadek ten, kiedy dojdzie do wiadomości Jędrzeja, nie wywarł na nim jakich szkodliwych skutków. Skarbnik myślał nad tem, jakby temu zaradzić — i zarządzenie to zdawało mu się sprawą tak ważną i nawet pilną, że postanowił dla niej wszystkie inne teraz poświęcić, zmyślić jakiś nagły powód do wyjazdu i zabrawszy Jędrzeja, natychmiast ze Lwowa wyjechać.

Takie postanowienie wzięwszy, nie szedł już nigdzie do miasta, tylko prosto wrócił do domu.

Wszakże tam już zastał Jędrzeja.

Siedział on teraz na sofie, z wyciągniętymi przed sie-

bie nogami, z załamanemi przed sobą rękami, z oczyma wpatrzonemi nieruchomie w posadzkę.

Kiedy skarbnik wszedł, on ani spojrzał na niego, jakby go wcale nie widział.

To jeszcze więcej zniepokoiło skarbnika. Przystąpił do niego i spytał:

— Cóż tobie jest? dopiero co wyszedłeś i już powróciłeś.

Ale Jędrzej nie odpowiadał. Skarbnik go chwycił za ramię.

— Jędrzeju! na Pana Boga! co tobie jest? czy tylko nie jakie plotki... czy może spotkałeś ten tłum gawiedzi przed kościołem?!...

— Czy i pan go spotkałeś? — zapytał Jędrzej.

— Stamtąd powracam.

— Umarła!? — zawołał Jędrzej, chwytając silnie skarbnika za obydwa ramiona i patrząc mu w oczy tak, jakby się jeszcze spodziewał zaprzeczenia od niego.

Ale skarbnik milczał.

Wszakże w tej chwili Jędrzej odskoczył od niego i zakrywszy oczy obydwiema rękami, takim gwałtownym zaniósł się płaczem, jakiego nikt nigdy nie widział. Zatoczył się zaraz napowrót na sofę i jeszcze płakał.

Skarbnik patrzył z żalem i współczuciem na niego, ale mu nie przeszkadzało.

Łzy ulgę przynoszą — myślał skarbnik — i pragnął w duszy, aby tych łez było jaknajwięcej, bo łzy stają się czasem nawet i lekarstwem.

Ale nie na wszystko łzy być mogą lekarstwem — są takie bóle, w których łzy nawet ulgi przynieść nie mogą. Takiego też bólu pełen był w tej chwili i Jędrzej. Jakoż wkrótce łzy jego całkiem ustały. Wstał ze sofy i zaczął chodzić po izbie. Przechodząc się niespokojnymi i coraz więcej się chwiejącymi krokami, niby co chwila chciał coś mówić — rękę podnosił do góry, otwierał usta i obracał się do skarbnika — ale nigdy nie powiedział ni słowa. Zdawało się, jakby mu głos zamarł w piersiach na zawsze...

Skarbnik patrzył na niego z niewymowną boleścią. A boleść ta była jeszcze o tyle głębszą, ile że pod wrażeniem tego tak strasznego wypadku i wobec takich cierpień Jędrzeja, nie czuł nawet w sobie dość odwagi i siły, aby się choćby słowem odezwać...

Wszakże w godzinę potem Jędrzejowi rozwiązały się usta i głos się znalazł. Ale był to głos daleko straszniejszy, niżeli poprzednicze milczenie. W milczeniu bowiem widać było, że zabijającemi go uczuciami targany młodzieniec, krwawy bój toczył z niemi; w tym boju mógł on jeszcze zwyciężyć: ale głos jego przekonywał dowodnie, że bój skończył się najstrasliwszą klęską dla niego. Jędrzej zaczął mówić, ale mówił od rzeczy...

Przeraziło to skarbnika jeszcze daleko więcej. Ale teraz już nie pozostał bezczynnym. Rozebrał go prawie gwałtem, położył do łóżka i po lekarzy rozesłał. Jednakże i ta pomoc, lubo tak dzielna i prędką, nie przyniosła żadnego skutku. Jędrzej zapadł w tak silną gorączkę, że nie tylko musiano w niej widzieć zapowiedź dłuższej niemocy, ale w pierwszej chwili obawiano się nawet utraty zmysłów...

Wszakże w kilka dni potem obawy te ustąpiły zupełnie. Paroksyzm ten gorączkowy był raczej moralny, niżeli fizyczny. Organizm ciała służył mu tylko za pole do objawienia się, ale sam został nienaruszony. Z całej choroby pozostało tylko wielkie zmęczenie, które jednak także było głównie moralne. Jędrzej porzucił łóżko, ale nie wychodził z pokoju. Był blady, zmyślony, smutny, siedział prawie na jednym miejscu i milczał.

Przez cały czas tej choroby i teraz jeszcze, skarbnik nie odstępował go ani na jedną chwilę. Stan jego terazniejszy był mu dokładnie znajomy. Był to ból olbrzymiego rozmiaru, była to gorycz, równająca się prawie truciźnie, która się rozlała po całej jego istocie — były to skutki odebranej wiadomości o śmierci Melanii, ale dlaczego te skutki do tak wysokiego doszły stopnia, nie mógł sobie tego wytłumaczyć wuj Stasi. Siłąc się na wytłumaczenie sobie tego wypadku, wpadł na różne wnioski,

na rozmaite domysły... Przy takich domysłach rzucał on nieraz dziwnemi oczyma na cierpiącego młodzieńca... ale milczał. Szanował jego boleść, miał współczucie dla jego cierpień.

Po kilku dniach wszakże zaczął się sam Jędrzej cokolwiek odzywać. Mówił o Melanii i zdawało się, jakby miał do niej pretensyę o to, że z nim nie postąpiła otwarcie. Wspomniał o wojewodzie i składał wprost całą winę na niego.

Skarbnik słuchał tego wszystkiego z uwagą, a lubo stąd jeszcze nie zyskał żadnego pewnego przekonania, jak się ta sprawa miała w istocie, widział stąd jednak, że jeżeli Jędrzej nie jest całkiem niewinnym tej śmierci, to ma przynajmniej współwinnych. W każdym zaś razie będąc przekonanym, że żał po niewczasie do żadnego słusznego nie wiedzie celu, pomagał Jędrzejowi ze wszystkich sił swoich, aby go podnieść nad to smutne zdarzenie i jego omdlałe siły do dalszej drogi w tę mozolną wędrówkę życia umocnić.

Jednak pocieszające słowa skarbnika nie wielki jeszcze odnosiły skutek. Jędrzej bowiem był to jeden z tych ludzi samodzielnych, niepodlegających nikomu oprócz sobie samemu, których tylko własne, tylko wewnętrzne pobudki mogą skłonić do jakiegoś przekonania lub czynu. A w nim samym jeszcze teraz toczyła się walka. Widać było po nim, że już odzyskał władzę nad sobą, lecz widać było także, że jeszcze sam nie wiedział, do czego by miał użyć tej władzy.

Wszakże jednego z dni następnych przechyliła się w nim widocznie ta gra niepewna. Po długiem i mozolnem myśleniu przetarł ręką zachmurzone swe czoło i tak mówił:

— I czegoż ja myślę? czegoż się tak z sobą móżę? Czy potrafię powrócić dzień choćby tylko wczorajszy? czy zdołam wskrzesić umarłą? — Co się stało, Bóg widzi najlepiej i On kiedyś będzie nas sądził. On powie, kto jest winien tej śmierci, która wydarła z pomiędzy nas taką ofiarę. Gdybym był mógł to przewidzieć, byłbym pewnie

wszystko poświęcił, aby ją uratować; ale dziś już za późno. Czyż mam własną śmiercią nagrodzić tę stratę, której przeszkodzić nie byłem w stanie?... Dajmy więc pokój próżnej żałobie. Odeszła od nas, a myśmy zostali. Kto wie, kto z nas szczęśliwszy?

Widząc w nim skarbnik taki zwrot myśli i uczuć, dopomógł mu całym sercem i całą wymową. Jędrzej się zbierał coraz lepiej na siłach, mówił za sobą coraz wdzięczniej i coraz wymowniej, a na koniec dodał:

— Bo i cóż mi zresztą zostaje? Pomodłę się jutro na mszy świętej o wieczny spokój dla jej męczeńskiej duszy, odwiedzę grób jej... a pojutrze dalej w drogę, póki i nam także nie krzykną *Staviator!* i nie połączą nas z tymi, którzy już spoczywają.

Takie postanowienie było rezultatem tej niebezpiecznej choroby i długiej walki, której koniec przez kilkanaście dni był tak niepewny.

Jakoż nazajutrz rano odprawiała się msza żałobna w kościele Bernardynów za duszę Melanii. Obadwa podróżni byli na niej przytomni. Obadwa modlili się, klęcząc przez całą mszę świętą, a Jędrzejowi nawet po kilka razy tak obfite łzy się puszczały z oczu, że musiał przerywać modlitwę i chustką twarz przed widzami zasłaniać.

Wszakże po mszy wyszedł on całkiem spokojny i nawet swobodny z kościoła. Skarbnik patrzył na niego z niewymowną radością. Poszli razem do miasta, zamawiali mieszkanie dla pani Rudnickiej na zimę, załatwiali inne sprawunki, a potem obiadowali z kilku przyjaciółmi u restauratora i byli wszyscy nawet bardzo weseli. Po obiedzie skarbnik poszedł do miasta za dalszymi sprawunkami, a Jędrzej wziął dorożkę i pojechał na cmentarz.

Był to dzień mroźny cokolwiek, ale jasny i piękny jak cała jesień owego roku. Ale Jędrzej nie zważał wcale na czas i powietrze, on był cały w sobie zamknięty, cały oddany jaknajtkliwszym wspomnieniom przyjaciółki swojego dzieciństwa. Jego serce było pełne czci religijnej dla tej nieszczęśliwej ofiary, pełne owej spokojnej uroczystej żałoby, jakiej są zdolne tylko dusze czyste i wzniosłe.

W jego głowie była tylko myśl jedna, a ta myśl o tej rzewnej, głębokiej, z wnętrza serca wydartej modlitwie, którą odmówi na grobie Melanii...

Tak przejechał on całą Łyczakowską ulicę, zakręcił po za klasztor Pijarów i ani spostrzegł, kiedy stanął przed bramą cmentarną i domkiem grabarza.

Ledwie wysiadł z powozu, usłużny grabarz sam wyszedł przeciwko niemu, oświadczając gotowość na jego usługi.

Jędrzej zapytał o grób wojewodzianki inflanckiej i kazał się doń zaprowadzić.

— Grób ten — odpowiedział mu grabarz — jw. pan sam znajdzie z łatwością. Leży on pod samą kaplicą po prawej stronie, stoi za nim krzyż wielki kamienny, na nim głaz stary, któryśmy położyli tymczasem, nim kamieniarze nagrobek skończą, a koło głazu jest cała fura zielska i kwiatów, którą tam naznosiła służąca nieboszczki.

— To ta służąca często tutaj przychodzi? — zapytał Jędrzej z rozrzwiniem.

— Codziennie, panie, ani jednego dnia nie opuści. Nie wiem co to będzie, jak przyjdzie zima...

Nie odpowiedziawszy nic na to, poszedł Jędrzej na cmentarz. Pomiedzy sarkofagi kamienne, szczerbione krzyże, drzewka smutne bez liści i brzozy płaczące, z których się składało to milejące miasto umarłych, wszedł on pełen najtkliwszego wzruszenia i drżąc cały pod wrażeniem tych uroczystych uczuć, które przepełniały mu serce. Był on teraz w jednej z najpoważniejszych chwil swego życia: szedł powitać Melanię w grobie i pożegnać na zawsze... szedł oddać jej teraz tę cześć świątobliwą, której nie oddał za życia...

Wszakże nie długo trwała ta jego wądrówka. Wkrótce bowiem spostrzegł on ten krzyż wielki kamienny, który stał za jej grobem, obaczył grób świeży i całe pęki zielska i kwiatów około niego. Ale na grobie obaczył także jakąś kobietę.

Była to niewątpliwie Krzywiecka. Jędrzej ją poznał odrazu. Siedziała ona na owym starym głazie, który po-

łożono tymczasem, miała rozpuszczone warkocze, szyję i piersi otwarte, i z kwiatów i ziela wiała wieńce na swoich kolanach.

Obaczywszy ją, Jędrzej zastanowił się chwilę. Tej drugiej ofiary tego strasznego zdarzenia nie spodziewał on się tu spotkać. Widok jej zrobił na nim jakieś dziwne i prawie rozstrajające wrażenie. Owa cześć świątobliwa, owo pragnienie modlitwy, które jego serce przepęniało do tego momentu, pomieszało się w nim teraz z jakimś nieopisanym uczuciem, w połowie żalu, w połowie trwogi. Była to wszakże tylko chwilka. Jakoż niebawem wysunął on się z po za drzewek, za którymi się był zatrzymał, i zbliżył się wolnym krokiem do grobu i do Krzywieckiej.

Nieszczęśliwa służąca rzuciła nań okiem, ale nie przerwała przez to wcale swojej roboty, którą była niezmiernie zajęta — zdawało się, jakby ją przytomność jego wcale nie obchodziła.

Nie tak wszakże było z Jędrzejem. Jego widok tej nieszczęśliwej, która aż do tego stopnia straciła zmysły, że nawet jego nie poznała, napęłnił jeszcze tem głębszą litością nad tą drugą ofiarą. Patrzył na nią prawie ze łzami i sam nie wiedział, co mówić. Wszakże rzekł do niej po chwili:

— Och! biednaś ty, moja Krzywiecka! Kto wie, czyli nie nieszczęśliwsza jeszcze niż twoja pani.

— Pani, pani! — odpowiedziała na to Krzywiecka, nie odwracając wcale uwagi od wieńców — panienka trzeba mówić, bo to była panienka. Ale i pani także, o wielka pani! wiele miała pereł, brylantów, złota, aż oczy się śmiły. Ale jak umarła, to jej to odebrali. Zabrał, zabrał sobie to wszystko ten obrzydliwy starosta; bodajby nie żył! Ale on żyje i panuje jak dawniej, a moja biedna panienka w grobie. Tutaj w tym grobie zimnym, w jednej tylko atłasowej sukience, w którą jam sama ją ubierała. Zimno jej tam, biedaczce, straszno jej tam między trupami, oh! gdyby mnie tam puścili do niej! byłybyśmy znów razem, tak jakeśmy były za życia. Jabym wzięła dla niej ze sobą futerko gronostajowe, w którym chodziła

w pokoju, i płaszcz sobolowy, w którym wyjeżdżała do miasta, ubrałabym ją, otuliła, ochuchała, i byłoby jej ciepło przynajmniej...

— I w szaleństwie nawet pocziwa! — rzekł Jędrzej do siebie z współczuciem i spytał: — powiedzże mi, moja Krzywiecka, i długo twoja pani chorowała?

— Och! nie długo, nie długo! Jak tylko się zaręczyła z starostą, zaraz się położyła do łóżka i już więcej nie wstała. Powiedziała mi wtenczas: „Moja Krzywiecka! rozbierz mnie jak możesz najprędzej: mam nadzieję, że mnie nie prędko będziesz znowu ubierać; raz mnie tylko ubierzesz, a potem... i już ja będę szczęśliwą.“ I jak się położyła natenczas, to już tylko gasła, gasła aż i zgasła na koniec!

— I cóż mówiła podczas choroby? nie skarżyła się na kogo? nie chciała widzieć jeszcze kogo przed śmiercią?

— O! nie skarżyła się nigdy! nie skarżyła się nawet na tego, który ją zabił...

Jędrzej zadrżał. Ale w tej chwili zmienił się głos tej nieszczęśliwej kobiety i powiedziała dalej:

— Ale jam się skarżyła, skarżę się dzisiaj przed Bogiem, kiedy przed Nim stanę w dzień śmierci!

Te straszne słowa wstrząsły całą istotą Jędrzeja. Dreszcz straszliwy go przeszedł od stóp do głowy, ciemno mu się zrobiło w oczach. Zdawało mu się, że już ta skarga zaniesiona jest przed Boga, że już się ziemia pod nim rozwiera. Całej chwili potrzeba mu było na to, aby do siebie powrócił.

Odzyskawszy przytomność, patrzył jeszcze przez chwilę na Krzywiecką, a potem dziwnie łagodnym, prawie błagalnym tonem zapytał:

— I za cóżbyś ty się skarżyła na niego?

— Za co!? — wykrzyknęła Krzywiecka szalonym głosem i zerwała się z miejsca, patrząc w oczy niepoznanemu dotychczas przez siebie Jędrzejowi. A kiedy tak patrzyła, straszne jej oczy zaczęły się coraz bardziej otwierać, twarz jej się wykrzywiła i nabrała okropnego wy-

razu, poczem wyciągnawszy rękę ku jego piersi, zawołała przerażającym głosem:

— Ty!?... tyś zabójca mojej panienki!... — i z temi słowami runęła jak nie żywa na ziemię.

Nie będziemy już dalej świadkami tej sceny. Przejdźmy do skarbnika.

Owo więc, kiedy to się działo na Łyczakowskim cmentarzu, skarbnik, nie wiedząc o niczem, ani się spodziewając czegobądź złego, biegał jeszcze za ostatkami sprawunków aż do wieczora. Wieczór odszukał swoich przyjaciół i kolegów i z nimi się zabałamucił do późna. Była już prawie północ, kiedy do siebie powrócił — ale jakież było jego zdziwienie, kiedy pomimo tak późnej godziny przecież jeszcze Jędrzeja nie zastał. W pierwszym momencie objęła go jakaś trwoga, jakieś niedobre przeczucie, zdawało mu się, że Jędrzej go oszukał, że nie strawił w sobie swojego bólu i pobiegł szukać nań lekarstwa gdzie za morzami. Obawiając się zaś zanadto mocnego oporu z jego strony, wyjechał bez pożegnania. — Przypuszczenie to jednak było tylko chwilowe. Zastanowiwszy się nad niem chłodniej, nie podobna było przy niem pozostać: Jędrzej nie był dzieckiem, miał obowiązki na sobie, o taką dezercyę nie można go było posądzić. Wszakże ta słuszną uwagę tylko tym większym niepokojem napęłniła skarbnika. Myślał, myślał i nie nie mógł wymyśleć...

A tymczasem minęła pierwsza godzina, minęła druga, szło już na trzecią. O trzeciej wreszcie sen zmorzył staroego i zasnął. Zasnął twardo i nie zbudził się, aż kiedy słońce już było wysoko. Pierwsze miejsce, na które spojrzał swemi zaledwie przetartemi oczyma, było łóżko Jędrzeja — ale łóżko to było próżne. Niespokojność jego doszła do najwyższego stopnia. Zebrawszy się jak mógł tylko najprędzej, wybiegł na miasto. Ale dobiegłszy do Bernardynów, zastanowił się.

— Gdzież idę? do kogo? — pytał sam siebie skarbnik, i w niespokojnem zamyśleniu nazad do swojej kwatery powrócił. Rzucił czapkę na stolik i rzekł do siebie:

— Ha! niech się dzieje co chce, tutaj już mi czekać

na niego. Czy on, czy wiadomość o nim, tu tylko przyjsć może.

Ale tak czekał jeszcze jedną godzinę i drugą i trzecią i wszystkie napróżno.

Aż nareszcie koło południa wszedł Jędrzej.

Obaczywszy go, skarbnik ledwie mu się nie rzucił w objęcia, ale wzięwszy go lepiej na oko, zatrzymał się.

Nie mogło być inaczej. Przed tym Jędrzejem, który teraz wchodził do tej komnaty, każdy byłby się musiał zatrzymać — tak postać jego była poważną, tak wzniosłe tragiczną.

Był on blady jak śmierć. Na jego twarzy był wyryty wyraz najgłębszej boleści. Ale w tej twarzy było widać zarazem, że duch jego, lubo przygnieciony olbrzymim ciężarem, dźwiga jednak ten ciężar — z najwyższem wysileniem, ale i z największą godnością. Gdyby go było teraz zamienić w posąg, byłby to najwspanialszy pomnik, jakiego duch ludzki kiedykolwiek się może doczekać na ziemi. Człowiek, dźwigający na sobie cały świat bólu i nie uginający się pod tym ciężarem — owóż ten pomnik.

Z taką wzniosłą powagą przystąpił on do skarbnika i położywszy rękę na jego ramieniu, mówił głosem pełnym najgłębszej żałoby, ale zarazem uroczystym i silnym:

— Słuchaj mnie, panie majorze, z uwagą, bo przychodzę do ciebie z mojem ostatniem słowem. Nie sprzeciwiaj mi się, nie odpowiadaj, bo ci powiem — jest nieodmienne. Bóg jest świadkiem moim, żem śmierci Melanii nie winien! Nie starałem się nigdy obudzić w niej miłości dla siebie, nie powiedziałem jej nigdy, żebym ja miłość czuł dla niej, nie dałem jej nigdy prawa do tego, aby liczyła na mnie. A przecież tak się stało! Melania umarła wskutek zawiedzionej miłości. Jam tej miłości nie winien, jam i śmierci nie winien — ale jestem tu czegoś koniecznie winien, bo czuję ciężar na sobie. Ja z żadnym takim ciężarem żyć nie potrafię! Serce mi się krwawi, pierś ściska — trzeba mi powietrza, trza burzy, trza ognia, bo inaczej zgniję sam w sobie i zginę!... Idę więc w ogień! — Ale ja jestem zobowiązany względem twej siostrzenicy. Nie

mogę jej się oddać jak jestem; bobył jej oddał półtrupa — a obiecałem człowieka. Rozwiązuję ją zatem ze wszystkich mi danych przyrzeczeń! Niech idzie za mąż i niech będzie szczęśliwą. Jeżeli wrócę i zastanę ją zamężną, błogosławić jej będę i będę szczęśliwy jej szczęściem. Tu masz spisana moją ostatnią wolę, oddaj ją gdzie należy. A teraz bądź zdrow! W burzy i w ogniu, w życiu i w ostatniej chwili skonania, pamięć wasza będzie mi najdroższą pociechą!

To rzekłszy, objął skarbnika w swoje ramiona, złożył gorący pocałunek na jego twarzy — i wydarłszy się z jego objęcia, zniknął z komnaty.

Skarbnik był jak odurzony.

Widząc Jędrzeja, biegnącego szybkimi krokami do drzwi, wyciągnął tylko ręce za nim, jakby go chciał jeszcze zatrzymać — ale na próżno. Za kilka sekund słyszał już turkot powozu, który właśnie wyjeżdżał z oberży, unosząc ze sobą Jędrzeja nazad w te same strony, z których niedawno powrócił.

XXV.

Tymczasem kiedy taki niespodziewany obrót brały losy Jędrzeja we Lwowie — w Zagórzu panował ciągły smutek, niespokojność, obawa, a często nawet i trwoga.

Niecierpliwa podkomorzyna, będąca w dolegliwych zdarzeniach częstokroć nawet sama z sobą w niezgodzie, nie tylko nie umiała swych ustawicznych wzruszeń zwyciężać, ale nawet nie była w stanie przemileć tych myśli, jakich jej też wzruszenia napawały co chwila. Dziwna też, na jakie osobliwe nieraz wpadała domysły. Więc raz jej się zdawało, że skarbnik z Jędrzejem obadwa razem popłynęli do Francji i tam się zaciągnęli do wojska — i wtedy całą winę tego szalonego postępu przypisywała bratu. Drugi raz znowu wpadała skądś na domysł, że ich nie wierni Turcy pojmali w Stambule, powrzućli do więzień, powbijali na pale, poprzęszewali strzałami, lub jakąś inną

męczeńską zabili śmiercią — a wtedy już sama nie wiedziała, na kogo się skarżyć. Wszakże najczęściej i najmocniej ze wszystkich obaw podobnych, straszyla ją myśl o tych strasznych chorobach, które często panują w Mołdawii i całej Turcyi europejskiej. Takiej choroby ofiarą padł i jej mąż nieboszczyk, kiedy za podobnemi sprawami, jak skarbnik i Jędrzej, do tych fatalnych Jassy się zapędził. Myśl o takim wypadku, mogącym łatwo i tych obudwóch napotkać, zdawała się jej najpodobniejszą do prawdy ze wszystkich — a Mołdawia, Jassy, żółte febry, zabijające gorączki, były prawie codziennie w jej ustach.

Pomimo to wszystko jednak — pomimo rzeczywistych powodów do niecierpliwości i pomimo takiego przykładu w matce — Stasia, lubo Bóg wie sam tylko ile w głębi serca cierpiała, umiała jednak znosić te cierpienia z wytrwałością, z pokorą i męstwem.

Może się to dziwnem wydawać komu, że młodziutka i zaledwie rozwijająca się dopiero latorośl była już w swojej młodości silniejszą od tego drzewa, któremu zawdzięczała istnienie i życie: może się to dziwnem wydawać komu, ale pomimo to tak było w istocie — i tak było nie tylko tutaj, ale w całej Polsce natenczas. Pokolenie to, które się wychowało i wzrosło za panowania Stanisława Augusta (jakiegokolwiek panowanie tego króla przyniosło skutki gdzieindziej), było jednak we wszystkie moralne zasoby nieporównanie bogatszem od pokolenia tego, które się wychowało i wzrosło za Sasów. Z pierwszego z tych pokoleń nadzwyczajne okoliczności wycisnęły wszystkie złe i dobre jednostki na widownię publiczną — drugie nie miało już tak koniecznego ani skoncentrowanego pola do swoich popisów, i widzimy je rozrzucone prawie po całym świecie; — a okoliczność ta staje się bardzo ważną, a dla niektórych nawet nieprzepartą przeszkodą do sprawiedliwego tych obudwóch pokoleń porównania ze sobą i słusznego osądu. Lecz jeżeli obeznani dokładnie z dziejami tych obudwóch pokoleń weźmiemy je bez uprzedzenia na oko, nie możemy inaczej powiedzieć, jak tylko, że pierwsze z nich było zrębem pni odpróchniałych i starych,

po między którymi pozostało jeszcze cokolwiek drzew wspaniałych i świetnych — drugie zaś było młodym wprowadzie posiewem, ale pełnym siły żywotnej, energii i życia.

Jakoż jak Jędrzej był pod każdym względem doskonałym i wyższym od swego ojca, nawet natenczas, kiedy ten ojciec niby to walczył w konfederacyi — jak Melania w zimne klasyczne formy ojca-ministra potrafiła wlać żywe uczucie i poświęcenia — jak Ernestyna w marnotrawnych podróżach swej matki potrafiła znaleźć dla siebie naukę, a w jej licznych przywarach przestrogę — jak Flawiusz wreszcie znalazł dość siły w sobie, aby wyrzucić ze swego wnętrza brudną po starości puściznę — tak i skromna i więcej zagonowa niżeli wielkoświatowa Stasia, przynajmniej w tem przewyższyła swą matkę, że wyrobiła w sobie większą cierpliwość, większą pokorę i większą siłę do cierpień, która tak jej, jak i jej wszystkim rówieśnym, była, niestety! jeszcze daleko więcej potrzebną, niżeli ich ojcom i matkom.

Nie wiemy jeszcze, jakie losy spotkają tę młodziutką dziewczynę w dalszym ciągu jej życia, nie wiemy zatem, o ile ta cierpliwość, pokora i siła być może jeszcze potrzebną — ale i teraz już widzimy, że bez niej byłaby się zaledwie obeszła. Z nią zaś — lubo może jeszcze tak upaść jak każda inna, bo któż nie upadnie nareszcie pod ciosami srogich przeznaczeń? — jednak trwa jeszcze a nie poddając się sama swoim cierpieniom i utrzymując jeszcze matkę przy siłach, coraz się wyżej wznosi, uszlachetnia, uzacnia i oddaje ze siebie samej najpiękniejszą cześć Panu Bogu, który ją między najwspanialsze swe dzieła policzył.

Tak stały rzeczy w Zagórze, kiedy nareszcie dnia jednego skarbnik przyjechał.

Na jego widok podkomorzyna rzuciła mu się z konwulsyjnym krzykiem radości na szyję — Stasia przybiegła do niego i chwyciła go z zapalem za rękę — omal że go nie rozdarły pomiędzy sobą uradowane kobiety.

Jednakże radość ta wkrótce się uśmierzyła, kiedy się spostrzeżono, że niemasz ze skarbnikiem Jędrzeja.

Z nadzwyczajną niespokojnością, z obawą, z trwogą,

pytały o niego po kolei i podkomorzyna i Stasia — a ta trwoga zamieniła się nawet w przest్రach gwałtowny, kiedy skarbnik nie mógł jakoś naprędcie słów dobrać, któremiby im mógł najskuteczniej niebytność jego wytłumaczyć i usprawiedliwić.

Obydwie kobiety były pewne, że Jędrzeja już nie masz na świecie. Żadna z nich nie śmiała tego wymówić, ale widać to było w ich głosie i twarzach.

Jakoż, widząc to skarbnik, zniecierpliwił się wreszcie i rzekł dobitnie:

— Ale proszę was, nie desperujcie napróżno, kiedy wam mówię wyraźnia, że niema czego. Jędrzej żyje i jest zdrów jak lew, zdrowszy daleko odemnie. A że nie przyjechał ze mną, miał do tego powody i nawet słuszne, bo inaczej byłbym się temu sprzeciwił. Dlaczego zaś nie przyjechał i to wam powiem, tylko proszę was, dajcie mi przynajmniej odetchnąć.

Niespokojne kobiety już uwierzyły temu, że Jędrzej żyje, ale przecież jeszcze spoglądały z niedowierzaniem na skarbnika, a Stasia nawet odezwała się na to:

— Ach! ale czemuż przynajmniej coś nie napisał!

— Otóż w tem masz dowód najlepszy — rzekł prędko skarbnik — że były to słuszne powody, dla których wyjechał, kiedy były tak nagłe, że nie miał nawet czasu napisać.

Był to wprowadzić argument, ale przecież niedostateczny dla Stasi — jednakże już tylko z ciekawością spytała:

— A czy był on teraz z wujaszkiem we Lwowie?

— Był zemną we Lwowie i ze Lwowa wyjechał.

Stasia patrzyła z niedowierzaniem na wuja. Spostrzegł to skarbnik i rzekł:

— Nie wierzysz mi? Otóż cię zaraz przekonam.

To mówiąc, dobył paczkę papierów z zanadru, rozwinął ją i wzięwszy testament Jędrzeja do ręki, zakrył cały tekst jego, a pokazując Stasi tylko datę i podpis, rzekł do niej:

— No cóż to jest? jego to podpis, czy nie?

— Jego...

— A data?

— Dwunastego nowembra...

— Kiedyż to było?

— Dzisiaj mamy piętnastego, to trzy dni temu...

— A więc widzisz — zawołał skarbnik — trzy dni temu żył jeszcze i był przecie zdrów i cały, kiedy się własną rękę i tak pięknie podpisał.

— Ale gdzież on pojechał? On gdzieś daleko pojechał. On może na wojnę pojechał?

— Nie -- rzekł skarbnik stanowczo — na wojnę nie pojechał, ale pojechał nie blisko.

— Gdzież on pojechał?

— On pojechał do Stambułu...

— O! Boże! -- zawołała Stasia — znowu do tego szkaradnego Stambułu... znowu na takie niebezpieczeństwa...

— Ale cóż za niebezpieczeństwa! chyba nigdy nie nie słyszałaś o Stambule? To najpiękniejsze miasto z całego świata... A zresztą on w Stambule długo nie zabawi, bo stamtąd zapewne do Wenecyi popłynie, a z Wenecyi już łodem do nas powróci.

— Do Wenecyi jeszcze popłynie? — pytała z coraz większem wzruszeniem Stasia — wujaszku! on nie do Wenecyi, on na wojnę francuzką pojechał.

— Ale nie! kiedy ci mówię, że nie!... A zresztą, gdyby się nawet i gdzie pobił troszeczkę, to czyż to zaraz ma ginąć? Moje dziecko! ja nie mam tyle włosów na głowie, w ilu bitwach już byłem — a przecież żyję. I jeszcze się bić będę, i jeszcze da Pan Bóg nie zgine, i złożę kości moje w ojczystej ziemi..

Stasia słuchała tego wszystkiego ze drżeniem, patrząc niepewnymi oczyma to na wuja, to na matkę; lecz kiedy skarbnik jakoś w tej chwili widocznie jej wzroku unikał, a matce tylko się ciężkie z piersi wydobywały westchnienia, nie mająca już o nic ani o nikogo oprzeć się Stasia, zachwiała się i rzuciwszy się z głośnym płaczem siedzącej matce do kolan, zawołała prawie rozzwierającym głosem:

— Matko moja! ja go nigdy już nie obaczę!

Długiego czasu potrzeba było na to, nim zdołano uspokoić rozżaloną dziewczynę. Podkomorzyna sama, lubo także zniepokojona do najwyższego stopnia, zajęła się nią jednak z całą troskliwością macierzyńską.

Za pomocą skarbnika i różnych argumentów, to naciągniętych do okoliczności, to zupełnie kłamliwych, uspokojono ją przecież przynajmniej o tyle, że przestała się skarżyć i zamknęła się w samej sobie ze swojemi myślami i uczuciami. Podkomorzyna znalazła już także tyle siły w sobie, żeby przynajmniej niepotrzebnemi lamentacyami nie przerywać powszechnego milczenia.

I tak zasiadła znowu cisza w zagórskim dworze, cisza poważniejsza daleko, niżeli była tu kiedykolwiek — ale była to cisza najsmutniejszej żałoby.

Tymczasem skarbnik pośród tej ciszy, ustawicznie się krzątał i był ciągle czemciś zajęty. A lubo wszystkie jego teraźniejsze zajęcia były tak grubą tajemnicą pokryte, że nawet siostrze swojej, zawsze niespokojnej i zawsze ciekawej, nie dawał o nich żadnych objaśnień — to jednak, co mimo jego woli było widoczne dla wszystkich, naprowadzało na takie domysły, które nie mogły być niezgodnymi z rzeczywistością.

Owo więc sprowadził on najpierw kilka brył pięknych kamieni, sprowadził zarazem i kamieniarzy, i zamknawszy ich w osobnej w oficynach izdebce, nikogo do nich nie wpuszczał. Lubo ci kamieniarze mieli najsurowszy nakaz nie powiadania nikomu, co robią, i z początku cały dwór się domyślał, że skarbnik każe kuć dla kogoś kamienny grobowiec; dowiedziano się jednak od nich powoli, że kują tylko wielkie drzwi kamienne z herbem i napisami. Jednocześnie też z nimi kowal zagórski robił drzwi wielkie żelazne na olbrzymich wrzeciądzach z zamkiem podwójnym i sztucznym. Kiedy się to działo, skarbnik bardzo często zachodził do blizkiego oo. Reformatów klasztoru, tam z mnichami i przełożonym miewał długie narady, tam jakąś celę dolną oglądał i w tej celi kazał drzwi wybić większe, nową kratę wmurować w okno, nową nawet dawać podłogę. Domyślano się tedy z pewnością, że te drzwi

i odrzwi do tej celi się robią i tak powiadano, że skarbnik myśli tam złożyć swe skarby i oddać je mnichom w opiekę. Czy zaś ma zamiar i sam tam zamieszkać, czy tylko chce tam swe skarby złożyć dlatego, że ma jakąś daleką i może niebezpieczną podróż przed sobą? — o tem jeszcze rozmawiać mówiono.

Jego inne zajęcia wszakże zdawały się za tem drugim przemawiać.

Śród tego czasu bowiem był on ciągle czynnym i za domem i w domu. W domu, czego nigdy nie robił przez całe życie, przesadywał często po parę godzin z piórem w rękę, pisząc listy, rozsyłając posłańców i wyprawiając całe pakiety korespondencyi na pocztę. Kiedy się podkomorzynie zdarzyło czasem w lot uchwycić posłańca i adresy tych korespondencyi odczytać, znachodziła na nich zwykle miejsca bardzo dalekie, a najczęściej Paryż, Strasburg, Dijon, Bazyleę, Wenecyę — osoby zaś, do których te listy były adresowane, były zawsze obce i nieznajome. Dziwiło ją to niezmiernie, skąd jej brat, taki dotychczas domator, przyszedł do tak rozgałęzionych zagranicznych stosunków? — ale wiedząc z góry, że się o tem nie dowie od niego, milczała.

Jednakże przy tem nie zapomniał on i o stosunkach bliższych krajowych. Jakoż pomimo takiego piórowego zajęcia, ledwie dzień który był taki, ażeby skarbnik gdzieś nie wyjeżdżał. Czasem pojechał i bawił trzy dni, czasem cały tydzień nie było go w domu, a lubo sługa jego tak zawzięcie milczał o każdej podróży jak i on sam, wiadano przecież, że śród tego czasu był raz we Lwowie i był nawet w Krakowie. Kiedy zaś się zdarzyło, że w domu siedział, to i bez gościa się nie obeszło. Osobliwie młodzież sąsiedzka i dalsza często go odwiedzała, skarbnik ich przyjmował w swoich osobnych komnatach, bawił się z nimi i był zwykle bardzo wesoły, a często nawet wesołość jego dochodziła do tego stopnia, że z piwnicy swojej co najprzedniejsze specyały dobywał, z których potem próżne wynoszono butelki. Jednakże skarbnik,

który zawsze tak skąpił win starych i dobrych, teraz wcale ich nie żałował i nawet mówił nieraz przy siostrze:

— Szkoda to tych sektów wybornych, które się tak długo w mojej piwnicy chowały, ale niech ich tam Pan Bóg!... kto wie czyje jutro? a na wesele Stasine jeszcze mi ich zawsze zostanie.

W owym czasie był skarbnik także parę razy w Jaćmierzu. I o tych odwiedzinach nie nie wspominał przed siostrą i siostrzenicą, — lecz kiedy ostatnim razem powrócił, tak mówił:

— Byłem też wczoraj w Jaćmierzu, ale jakoś niedobrze tam idzie. Jegomość się trochę opamiętał i powstał na nogi, ale pije zawsze jak suseł. Dawniej pił na frasnęk — a dziś na fantazyę. Jednego dnia nawet tak ta fantazyja się w nim nasrożyła, że chciał żonę precz z domu wyganiać; ot! do czego to przyszło! Ale już tam nie masz co i wymagać. Jejmość bowiem zastałem haniebnie cichą i pokorniutką. Rozniemogła się nawet w tych czasach na piękne, a tuż już maj za plecyma. Kto wie co to być może? bo to mówiono dawniej: kiedy baba w maju słaba, pacierz mów. Pamiętajcież mi o tem, żeby w takim razie jakoś Ernestynkę pocieszyć. Ona biedna, ona jest teraz sierota przy matce — a cóż dopiero byłoby wtenczas, kiedy i tej matki nie stało?

Stasia słuchała tego z niewymownem zajęciem i prawie z rozrzewnieniem, a kiedy skarbnik skończył, zapytała z zapalem:

— My ją weźmiemy do siebie!

— Zapewne że ją będziemy mogły wziąć do siebie — rzekła na to matka — przecież nam miejsca dla niej i chleba nie braknie.

— Bo ja nie wiem, mamó — odezwała się na to tem ośmielona Stasia — czemu my dotychczas przynamniej choć raz nie były w Jaćmierzu. Siedzimy tu jak w klasztorze, nie bywamy nigdzie, nie przyjmujemy nikogo u siebie, i jeszcze sobie odmawiamy nawet stosunków z tymi, którzy tak blizcy są Jędrzejowi. Jestem pewną, że bywając

w Jaćmierzu i przyjmując tych państwa u siebie, mielibyśmy w tem bardzo wiele pociechy.

— A zapewne... trzeba będzie tam kiedy pojechać...

— Jedźcie tam, jedźcie — rzekł na to skarbnik -- kiedy się zostaniecie same, będziecie się wzajem pocieszać, aż póki my nie wrócimy i nie poczną się dnie naszego wesela i szczęścia.

Stasia tylko westchnęła, a podkomorzyna spytała:

— A czy już i ty nas myślisz opuścić?

— Jestem już gotów ze wszystkim... jeszcze was tylko czemciś pocieszę, a potem bywajcie zdrowe!

Jakoż istotnie skarbnik był już gotów ze wszystkim, co mu pozostawało do ułatwienia. Kamieniarze już dawno skończyli swoją robotę, a owe drzwi i zamki przeniesiono z oficyny do klasztoru. Co więcej, wszystkie rzeczy kosztowniejsze skarbnika, jego srebro domowe, kryształy, broń, zbroje stare i wszystkie cenniejsze ubiory, były popakowane w skrzynie wielkie, a te skrzynie, pozamykane szczelnie, poprzenosiły się także już zwolna pod opiekę sług Bożych. W pomieszkaniu brata podkomorzynnej pozostała już tylko jedna skrzynia żelazna, najmniejsza, lecz podobno najważniejsza ze wszystkich, którą wszakże jakiby miał los spotkać na końcu, jeszcze nikt nie wiedział, ani się nawet domyślał.

Wszakże niebawem już, bo prawie w parę dni potem, skarbnik, powróciwszy rankiem z jakiejś niedalekiej wycieczki, popołudniu posłał konie i powóz do zagórskiego klasztoru. Tym powozem i tymi końmi przyjechało trzech najstarszych mnichów do niego. Jeden z nich był to gwardyan, a dwaj drudzy najpoważniejsi i najstarsi z braci-szków. Skarbnik ich witał u progu z wielkiem poszanowaniem — a potem zaprowadził do swojej komnaty i zamknął się z nimi.

Zamknawszy się, naprzód ich częstował staropolskim zwyczajem i długo bardzo, zacie i statecznie z nimi rozmawiał, — aż nareszcie do rzeczy przystąpił i tak mówił:

— Przewielebni ojcowie! Przez ten czas, jak tu mieszkam u mojej siostry i tak pilnie korzystam z waszego

zaczego sąsiedztwa, mieliście niejednokrotną sposobność przekonania się, ile mi zależało na tem, abym waszą trwałą przyjaźń pozyskał. Pozyskawszy ją i wzbudziwszy między nami ufność wzajemną, pokochałem was tyle i upodobałem sobie w świętym przybytku waszym do tego stopnia, żem postanowił uprosić sobie u was kącik maleńki i w nim, w waszej bliskości, w spółnych z wami modlitwach i rozmyślaniach, resztę mego żywota dokończyć. W zwykłym waszem miłosierdziu dla bliźnich, wzywających w imię Chrystusa Pana waszej pomocy, a w osobliwszej przyjaźni dla mnie, zezwoliliście na to i oddaliście mi jedną celę waszą na moje mieszkanie. Ta cela już jest opatrzona dostatnio, pomieszczona w niej moja cała chudoba i nie pozostaje już nic, jak tylko mnie samemu się do niej sprowadzić. Czy tak? jakże myślicie?

— A jużci tak — odpowiedzieli mnisi — oczekujemy jegomości z upragnieniem.

— Dziękuję wam bardzo — rzekł na to skarbnik — za wasze serca takie przyjazne dla mnie, ale wam muszę powiedzieć z żalem, że tak nie jest w istocie. Jeżeli Pan Bóg łaskawem okiem spojrzał i pobłogosławił tę przyjaźń, która się zawiązała pomiędzy nami, to nas pewnie na końcu i tem pocieszy, że nas znowu razem ze sobą sprowadzi: ale teraz jeszcze to bardzo daleko do tego.

— Jakto? to jegomość myślisz gdzieś jeszcze wyjeżdżać — zapytali mnisi z zdziwieniem.

— Tak jest, moi kochani ojcowie — rzekł skarbnik — jadę, i to w drogę taką daleką, że kto wie, ażali z niej kiedy powrócę?

— Ależ panie majorze. — zaczął mnich jeden; ale major mu przerwał, mówiąc:

— Nie sprzeciwiajcie się temu, bo taki jest palec Boży i takie jest przeznaczenie. Nim się na tę drogę, może już moją ostatnią, zdecydowałem, zastanawiałem się niepomału, ażali tak być powinno. Ale znalazłem nieodmiennie, że być nie może inaczej. I słuchajcie mnie, zaraz wam powiem, dlaczego. Kiedym był młody i ojciec mi się kazał sposobić do różnych zawodów, jak to zwykle czynią za-

pobiegliwi ojcowie, mnie ani w głowie nie było myśleć o innym zawodzie, jak o rzemiośle rycerskiem. Ale ojciec mi mówił: — „Piękny to zawód, ba! najpiękniejszy na świecie; toż i ja go praktykowałem niemal przez całe życie. Aleć to zawód jest taki, do którego trzeba okazyi, a czasem mija i więcej niż życie człowieka bez takowej okazyi. Trzeba tedy mieć i drugi jakiś zawód za pasem“. — Tak mówił ojciec, a wskutek tego ksiądz Dutkiewicz mnie zaraz zasadził do Pandektów i Voluminów Legum. Piękne to rzeczy i te pandekty, i one są obywatelowi potrzebne, ale natenczas jakoś dziwnie mi te bibuły śmierdziały, bo mi się zdawało tak, że kiedy się ich wyuczę, to już pewno się na wiekuistego torbifera przestroję, a moja szabla zardzewieje na wieki. Sfrasowany tem najhaniebniej, ułożyłem się do snu. Długo sen mi przyjść nie chciał, ale nareszcie przyszedł i przyszedł taki, że warto było na niego czekać. Bo owo w tym śnie pokazał mi się anioł wielkiej potęgi i dziwnej piękności, który na sukni białej miał pancerz skłący jak słońce, na głowie hełm wspanialszy niżeli hetmański, a w ręku miecz potężny i długi. Jakoż dotknął mnie on tym mieczem, ażem się zbudził. Obudziwszy się, kiedy obaczyłem taką postać wspaniałą przed sobą, ukląknęm. Ale anioł mi rzekł: — „Wstań, a spojrzij na ową drogę“. — Powstałem i popatrzyłem. Jakoż istotnie ujrzałem precz daleko przed sobą piękny, bity gościniec, a na nim całe chorągwie pancerne i piechoty i działa, które biegły i tam sam i spotykały się z nieprzyjacielem, a ten gościniec jak w jedną stronę, tak w drugą nie miał ani początku, ani końca. Tedy ów anioł wskazał mi mieczem ową daleką drogę i rzekł głosem wspaniałym: — „Po owej drodze będziesz chodził *usque ad finem*“. — A potem zniknął. Owóż taki był sen. — Za małowczko potem jużem był w samej rzeczy na owej drodze, — i Bóg mi świadkiem, ażalim nie trwał na niej statecznie. Kiedy tylko jeden żołnierz pokazał się na niej, kiedy tylko strzały doszły do moich uszu, pewno mnie tam nie brakło. I tak było prawie trzydzieści lat! — Kiedy z ostatniej wojny powrócił, myślałem sobie: owóż

i *finis*! Jużem i szablę rzucił do starej skrzyni, już mnie też i rany rozebrały na dobre i jakoś starość zaczęła się była we mnie odzywać. Aleć niebawem wygoiły się rany, umilkła starość, rozglądałem się po świecie, obmacałem sobie ramiona, popróbowiałem szabli; ba! jeszcze to jakoś idzie, jeszcze to nie jest *finis*. Tak więc powiedzcież sami, przewielebni ojcowie, czy godzi mi się brać różaniec do ręki, kiedy ta ręka godna jeszcze szablę udźwignąć? Czy nie pokarałby mnie Pan Bóg za to, żem zwątpił przed czasem? A co by powiedział ów anioł na to, który mi kres oznaczył wyraźnie, mówiąc: *Usque ad finem*? — Zważcież to sami, przewielebni ojcowie, i wedle natchnienia waszego osądźcie — a jeśli tak osądzicie, że to już *finis*, to ja natychmiast od mej imprezy odstąpię i pójdę do was, na pacierze za dusze zmarłe...

Ale ojcowie milczeli.

A wtedy skarbnik wstał z miejsca i pokazał im ową skrzynię żelazną i rzekł:

— Owóż to jest jeszcze jedna skrzyneczka, którą wam także oddam w opiekę. Ludzie światowi ulegają rozmaitym kolejom, a ich pomieszkania zniszczeniu — a domy Boże, za Boską i ludzką pomocą, są bezpieczne i wieczne. Dlatego wam powierzam tę skrzynkę. Jest to moja chudoba ostatnia, — są tu pieniądze. Chcę to zachować dla siebie. Kiedy Pan Bóg pozwoli kiedyś cało powrócić, nie chciałbym też ręki do nikogo wyciągać. Powrócę wtedy do was i zostanę już z wami, a chciałbym, żebym miał jeszcze coś dla siebie i dla was. — A to jest mały woreczek, który za łaskę waszą i przyjaźń raczcie przyjąć odemnie. Będzie tu trzy tysiące czerwonych; pokryjcie sobie klasztor nowym dachem, wymurujcie bramę nową i opatrzcie ją lepiej, a zresztą postąpcie sobie, jak chcecie. Proszę tylko, aby każdej soboty była odprawiana msza przed św. Marcinem na moją intencję. Jest też tu także w tej skrzyni mój testamencik, a to na każdy niespodziewany wypadek. Respektowały mnie jakoś kule dotychczas, a chociaż która się przybliżyła, to mnie tylko liznęła, — ale teraz kto wie, jak będzie? Inne kule, inaczej lecą;

inne też lata, inna fortuna. Kiedyby więc przyszła pewna wiadomość o mojej śmierci, to macie sobie powiedzieć: raz! — a kiedyby przyszła druga wiadomość, to drugi raz! — a za trzecim zaproście siostrę moją, albo siostrzenicę, albo kto będzie żywy z tej linii, a do niej dwóch zacnych sąsiadów, odrywajcie pieczęcie, otwierajcie drzwi i tę skrzynię, a dobywszy z niej testamentu, rządzcie tak, jak tam jest napisano. A o siebie się także nie bójcie, bo i o was tam pamiętano. To jest moja ostatnia wola. Tedy jutro na godzinę dziewiątą ranną proszę o mszę piękną, proszę o spowiednika i proszę mnie czekać u siebie — na pożegnanie. A teraz bywajcie mi ichmość zdrowi, bo jeszcze mam co do mówienia z moimi.

To rzekłszy, pożegnał osmuconych mnichów i sam został w komnacie.

W chwilę potem wziął list jakiś ze stołu i poszedł do komnat swej siostry. Obydwie kobiety siedziały w wielkim smutku w kąciu, bo już ze wszystkiego widziały, że lada chwila i ta ostatnia pociecha, którą znajdowały w skarbniku, usunie się od nich i pozostaną same tylko, ze swojemi łzami i tą nadzieją, którą położyą w Bogu.

Ale skarbnik wszedł do nich z miną wesołą i trzymając list w ręku, rzekł do Stasi:

— Otóż masz nareszcie i pewną pociechę. Czytajże sobie i powiedz sama, czy nie mam słuszności, zaręczając ci, że cię Pan Bóg pocieszy.

Stasia pochwyciła prędko list z rąk wujowskich, rozwinęła go i czytała jak następuje:

„Na wyżynach Monte-Zemonto 28 germinal r. IV.

Najukochańszy majorze! Twój list mnie doszedł w Nicei i sprawił mi niewymowną pociechę. Byłem wtenczas odarty i głodny, jak najnędzniejszy żebrak, jak cała armia nasza — ale twój list mnie okrył i nasycił na długo, taką moc miały twoje słodkie słowa nademną! — Co mi piszesz, że mnie tam z upragnieniem wyczekują serca kochające i wierne, wierzę, — czuję to, ile szczęściabym i im i sobie przyspożył, gdybym do nich powrócił, — ale jeszcze nie zaraz to będzie...”

(Tu kilka wierszów jest jakoby zalanych i wytartych w tym liście. Zdaje się, jakby były wytarte umyślnie, skąd sam ze siebie nasuwa się domysł, że musiało tu być jakieś wspomnienie o Melanii, które skarbnik zalał i zatarł umyślnie. Dalej zaś stoją następujące słowa:)

... „I nie mogłoby to być nawet w żadnym wypadku, bo któż kiedy, zdrów będąc, opuszczał taką kampanię? Nie przesadzam nic, jeśli mówię, że ledwie w rzymskiej historyi znajdują się blade przykłady takich wojen, jaką jest terażniejsza. Od czasu, jakem twój list otrzymał, ledwie w parę tygodni odprawiliśmy całą kampanię. Bitwy pod Montenotte, Millesimo i Dego, nie były to bitwy zwycięskie, ale najświetniejsze tryumfy!... A wszystko to jest dziełem generała Bonapartego, który się zdaje być w samej istocie jakimś stworzeniem wyższem. Dwadzieścia i sześć lat ma dopiero, mały jak żaczek szkolny, chudy jak szczyпка, a taki duch potężny w nim mieszka! W kilku tygodniach stał się on całej armii półbogiem. Dostyc jest dla niej wiedzieć tylko że on prowadzi, aby pójść za nim chociażby w piekło: a cóż dopiero, kiedy go przed sobą obaczy? — Wierzę teraz w wielkie wypadki. Ciągniemy dalej — i kto wie gdzie się oprzemy! — Jeżeli kiedy warto było pierś swoją narazić na kule i miecze, to teraz. Starym jesteś żołnierzem, ale ani ci się śniło o podobnych zwycięztwach. Jeżeli zatem nie powróciłeś nazad do twojej dawnej myśli zamienienia kul ołowianych na różańcowe kaliwa, to czempredzej przybywaj. Wszyscy tu przybywają. Nawet Flawiusz jest tutaj i służył w artyleryi z początku, ale pod Milesimo widziałem go sam z karabinem w ręku... Rozproszonych kilkadziesięciu Francuzów nawrócił i poprowadził w ogień. Ranny podobno, ale jest między tymi, których awansowano po bitwie. A kiedy tak, to zapewne pójdzie i dalej. Cieszę się z tego, że ci to mogę donieść i z niecierpliwością oczekuję tej chwili, kiedy mu będę mógł podać braterską rękę. Ale kto wie, kiedy się to stanie? Nie mamy czasu jeść ani spać — a cóż dopiero szukać siebie wzajemnie? — Ja służyłem z początku w kawaleryi, ale z koniem to kło-

pot. Liche konie, a i tych nie było czem żywić. Przeszedłem więc do piechoty i w Nicei już byłem podporucznikiem, po Montenotte raz, a po Millesimo drugi raz awansowałem i dziś prowadzę kompanię. Czwarty raz jestem ranny pod Dego, ale się trzymam; nie masz tu czasu chorować. Drugi list może nie tak łatwo mnie dojdzie jak ten — a zatem ciebie samego oczekuję z niecierpliwością. Jeżeli żyć będę, w dywizyi Augereau zawsze mnie znajdziesz. Piszę pod gołym niebem, prawie wśród marszu, w obecności Alp, śnieżnymi głowami grających w morzu szafirów i promieni słońca... i stąd serdeczne pozdrowienie posyłam tym wszystkim, którzy choćby kiedyś tylko kochali moje to serce niewdzięczne!“

Jędrzej.

Kiedy Stasia ten list przeczytała, zalała całą twarz swoją cichemi łzami. Były te łzy jakby modlitwą dzięczynną Bogu za odebrany dar tak wielkiego znaczenia.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli.

Stasia, całym duchem swoim, sercem i wszystkimi myślami przeniesiona na wyżyny gór włoskich, nie wiedziała nic, co się koło niej działo w tej chwili. Trzymając list w ręku, zbliżyła się machinalnie do siedzącego na krześle skarbnika i objęła go prawą ręką za szyję, zdawało jej się zapewne, że będąc bliżej swojego wuja, który tak blizkie stosunki miał z Jędrzejem, będzie tem samem bliżej Jędrzeja.

Podkomorzyna przechodziła się w zamyśleniu po komnacie i także milczała. Wszyscy byli podobno teraz na wyżynach Monte-Zemoto, w obecności Alp szczytnych, grających śnieżnymi głowami w szafirach i słońcu, w obecności młodej armii francuskiej, niosącej swoje zwyciężkie sztandary na Północ i Wschód.

Jednakże podkomorzyna była pierwsza, która milczenie przerwała.

— Dziwne to drogi — mówiła ona — obiera dla siebie ten świat dzisiejszy! Młody człowiek, takiego imienia, fortuny, znaczenia i wszystkiego szczęścia około siebie, porzuca z rezygnacją to wszystko, porzuca ojczyznę, porzuca

oblubienicę swoją, ażeby w krwawych trudach i znojach szukać zasługi i sławy! Dziwne to rzeczy, niebawale jeszcze w tym kraju!

— Dziwne to rzeczy zaprawdę — rzekł na to skarbnik — ale zawsze nie takie, aby ich pojąć nie można. Dawniej narody i państwa żyły dla siebie i ludzie żyli także dla siebie; dzisiaj narody bratają się z sobą, toż i ludzie się także bratają. Jakoż nie dość jest dzisiaj być pocziwym i zacnym w ciasnych granicach swojego zagonu, — pole się rozszerzyło, — trzeba też coś uczynić i dla całej ludzkości, której wszyscy, z tego czy owego narodu, jednakowemi jesteśmy dziećmi.

A kiedy na to nikt nie odpowiadał, skarbnik objął kibić Stasi, zawsze przy nim stojącej, i popatrzywszy jej w oczy, zapytał:

— I cóż ty na to, moja biedna Stasienko! Jakiegolwiek bądź temu wypadkowi towarzyszą okoliczności i względy, sądę jednak, że przecież ci to być musi przyjemnem, że twój Jędrzej na takim wielkiem i pięknem polu zdobywa sobie sławę i zasługę.

A Stasia pochyliła na to główkę z pokorą i rzekła:

— Przy takich wielkich rzeczach jestem tak mała, że mi nie pozostaje nic, jak tylko powtórzyć owe święte słowa, które mówią: Jestem najniższą służebnicą mojego Pana, nie moja ale Jego wola niechaj się spełni nademną.

Wtedy skarbnik pocałował ją w czoło i rzekł:

— Zachowujesz się tak, jakieś powinna i dlatego możesz być pewna, że cię Pan Bóg nagrodzi.

I mówił potem dalej.

— Jakoż myśli Pan Bóg już o tem, bo myślą także i ludzie, a do tych i ja też należę. Jestem bowiem zdania, że jakkolwiek Jędrzej już awansował dwa razy i nieby mu to nie szkodziło, gdyby się dobił i generalskiej godności, jednak mu to niepotrzebne. Nie wiem co go tam zapędziło aż na tę wojnę, bo miał być tylko w Wenecyi, ale tak sądę, że krew jego własna, że chęć nienaganna i piękna pokazania się także na owym prawdziwym wielkim świecie, nie dała mu patrzeć spokojnie, jak tam inni się

bili. Ale tego już dosyć, bo nie to jest jego powołaniem. Kto ma taką fortunę, kto jest jednym z najpierwszych obywateli kraju, kto ma już i osobiste obowiązki na sobie i kto zresztą w tak młodym wieku tyle już poniósł trudów na drodze zasług publicznych: ten nietylko już może, ale powinien pamiętać o sobie i pamiętać o innych. Postanowiłem tedy pojechać za nim, odszukać go i wam go tu przysłać, a ponieważ do tej podróży mam już wszystko gotowe, więc dziś was żegnam a jutro jadę.

Wiadomość ta nie była niespodziewaną dla podkomorzynej i Stasi, a kiedy jeszcze do tego skarbnik w taki sposób cel tej podróży objaśnił, nie zrobiła ona na nich żadnego gwałtownego wrażenia. Nie wiedziały one same, czy smucić się odjazdem skarbnika, czy się cieszyć obiecany powrotem Jędrzeja — i obydwie mileżały.

Skarbnik korzystał z tego i uspokoił je jeszcze więcej.

W tej mowie swojej wyłożył im zarazem i inne powody swojej podróży i powody, dla których przed tą podróżą rozporządza tak wszystkiem, jakby przed śmiercią. Jednak i o to je uspokoił, mówiąc:

— O mnie zaś samego nie bardzo się bójcie. Nie w moim to wieku czas rozpoczynać nową rolę na świecie i w nowej armii dosługiwać się nowych zaszczytów. Jeżeli się uda kontynuować starą rolę na starej drodze, to jestem gotów, ale we francuzkich szeregach pewno mnie nikt nie obaczy. Może tedy i razem z Jędrzejem mnie tu obaczycie.

Potem zaś przystąpił do głównego rozporządzenia swoim majątkiem. W owej skrzyni żelaznej zostawił on bowiem tylko część swej fortuny, i to część taką, od której prowizya mogłaby go wyżywić, kiedy na dewocyi osiedzie, — większą zaś część oddał zaraz podkomorzynie. Oddając zaś, prosił aby ta suma spoczywała w jej rękach na wypadek jakiej potrzeby, czy to podkomorzynej, czy jego własnej, o czemby jej dał wiedzieć z swojej podróży. Oddał także podkomorzynie resztę swoich inwentarzów i ruchomości — i tak cały wieczór już przeszedł na rozporządzeniach na różne przewidzieć się dające wypadki.

Nazajutrz rano wszyscy udali się do klasztoru. Tam,

w kościele tamtejszym, skarbnik się spowiadał i przyjmował Przenajświętszy Sakrament; była także msza święta, której wszyscy z nabożeństwem słuchali.

Po mszy świętej skarbnik zaprowadził siostrę swoją i siostrzenicę do owej celi, którą wybrał na teraz na schowanie dla swojej chudoby, a na potem na przytułek dla siebie samego.

Była to cela wielka, jasna, najpiękniejsza ze wszystkich. Prowadziły do niej odrzwi kamienne, bardzo pięknie i misternie wykute. Nad nimi był wryty herb familijny skarbnika, a pod nim napis wielkimi literami w wypukłorzeźbie: *Grób Nieczui*.

— Ten mój przytułek doczesny — mówił skarbnik do siostry, czytającej ze łzami w oczach ten napis — nazwałem grobem, bo, da Pan Bóg kiedyś szczęśliwie powrócić, w nim się żywy zagrzebie. Pożegnawszy moich braci zbrojnych, wejdę pomiędzy braci pobożnych i będę z nimi jak w grobie, póki Pan Bóg dozwoli żyć i nad grzechami tego żywota rozmyślać. Cela ta zresztą powinna być dla każdego, jako grób jest dla wszystkich, bo jej nikt nie ma tykać, jak grobu.

Wszedł potem z siostrą i starszymi mnichami do owej celi i pokazywał im wszystkie skrzynie, opowiadając, co z nich która zawiera i jak się z czem mają obchodzić na wypadek jego śmierci.

Potem zaś zamknął drzwi żelazne na obadwa zamki, jeden klucz oddał gwardyanowi, drugi podkomorzynie, a na zamki pokładł swoje pieczęcie.

Po tej pracy skończonej czekało ich wszystkich w refektarzu śniadanie. Lubo ojcowie zastawili przed swoich gości co mieli najlepszego, jednak mało kto co jadł, ledwie który co mówił. Nie chciał też skarbnik przedłużać tej chwili, która była przykrą dla wszystkich i pożegnawszy się prędko, prawie zniknął z klasztoru.

*

*

*

Po jego odjeździe podkomorzyna ze Stasią bawiły długo jeszcze w refektarzu klasztornym.

Nie chciało im się wcale odjeżdżać do domu, — tak ten dom teraz zdawał im się pustym, wyludnionym i smutnym.

Jakoż od tego czasu z największem upragnieniem wyglądały każdego dnia sobotniego. W dniu tym jechały bowiem zwykle do klasztorne go kościoła i tam słuchały mszy świętej odprawiającej się regularnie na intencję skarbnika. Po mszy oprowadzał je gwardyan po klasztornym ogrodzie i rozmawiał z nimi to o skarbniku, to o wojnach włoskich i różnych owoczesnych wypadkach, o których zawsze miał świeże i bardzo szczegółowe nowiny. Tak częścią nabożeństwo na intencję skarbnika, częścią wiadomości z tych miejsc, do których uciekały wszystkie ich myśli i wszystkie uczucia przywiązywały w ich oczach do każdego dnia sobotniego tyle przyjemności i tyle uroku, że im te dni były najmiłsze i najpiękniejsze ze wszystkich. W tem sieroctwie i utrapieniu była też to jedyna, pozostała dla nich pociecha.

XXVI.

Było to w roku 1797, na wiosnę.

Sławna ta wojna, w której największy geniusz Francyi, jak gdyby słońce z pian morskich, na widownię zaburzonego świata wypłynął, — wojna, znana powszechnie pod nazwiskiem pierwszej kampanii włoskiej, była już tak jak skończona.

Kiedy generał Bonaparte przed rozpoczęciem tej wojny przybył do Nicei, ażeby objąć główną komendę nad armią konsystującą we Włoszech, zastał w niej ledwie trzydzieści tysięcy ludzi, odartych, głodnych, swawolnych i niemających żadnego widoku. Stając na czele tych wiotkich i ledwie na nogach się trzymających szeregów, tak do nich przemówił:

„Żołnierze! jesteście głodni i nadzy. Rząd winien wam wiele, ale nie dać nie może. Cierpliwość i wytrwałość, która was nawet pośród tych skał nie opuszcza, zasługuje na podziw, ale nie daje sławy. Ja was zaprowadzę w naj-

żyźniejsze równiny świata. Bogate kraje, wielkie miasta w wasze ręce popadną i przyniosą wam bogactwa i sławę. Żołnierze Włoch! miałożby wam brakować odwagi?”

Jakoż z tą garścią ludzi, nie odebrawszy ani dwudziestu tysięcy posiłków, stoczył on w przeciągu jednego roku czternaście bitew zwycięzkich i siedemdziesiąt potyczek, zniszczył cztery armie cesarza Austrii, zdobył dwa tysiące dział i wziął sto tysięcy jeńca w niewolę, wyjarzmił całe Włochy północne i z nich dwie rzecyzpospolite utworzył — a oprócz wiekopomnych laurów z pod Lodi, Rivoli, Arcole i tylu innych, posłał jeszcze swemu rządowi trzydzieści milionów gotowych pieniędzy i trzysta arcydzieł sztuki, na które się trzydzieści wieków składało. Kapitulacya Mantui wreszcie, bronionej zawzięcie przez sędziwego generała Wurmsera, zamknęła ostatecznie tę najpiękniejszą ze wszystkich wojen, jakie ludzkość dotychczas zapisała w swych dziejach.

Pomimo takich klęsk, jednak niepokonana jeszcze zupełnie, Austria nie omdlała w swoich zawziętych usiłowaniach oporu. Najwaleczniejszy z jej wodzów, młody arcyksiążę Karol, który dotychczas z niemałym szczęściem walczył z armią francuską nad Renem, zebrawszy wszystkie niedobitki nadreńskie i włoskie, ciągnął już ku Włochom zdobytym i zbliżał się do brzegów Tagliamentu i Piawy. Widząc to równie determinowany jak ufny swojemu geniuszowi, zwycięzca postanowił przerzucić się z armią swoją w austriackie granice — i albo ze szczytów Simmeringu, albo od bram cesarskiej stolicy podyktować punkta trwałego pokoju. Jakoż istotnie w miesiącu marcu przeszedł przez Piawę — a stoczona bezzwłocznie zawzięta bitwa nad brzegami Tagliamentu zniszczyła odrazu wszystkie najpiękniejsze arcyksiążęce nadzieje. Bezoporny już prawie pochód zwycięzcy na austriacką stolicę sprowadził wreszcie cesarskich posłów do głównej kwatery francuskiej — i tak zawarte zostało najpierwej zawieszenie broni w Jundenburgu, a potem podpisano preliminarja pokoju w Loeben, które w sześć miesięcy potem zamienione zostały w Campo Formio w formalny traktat pokoju.

Jednakże kiedy to się działo w granicach Austrii, we Włoszech zjawił się nowy nieprzyjaciel armii francuskiej i ukorzoną dotychczas swą głowę zaczął z coraz większym zuchwalstwem podnosić. A tym nieprzyjacielem nie był nikt inny, jak tylko ów chytrze-dumny i nieugaszenie francuskiej krwi cheiwy senat wenecki. Senat ten arystokratyczno-kupiecki, obawiając się już o swoje posiadłości na stałym lądzie, już o swoje piwnice, napełnione beczkami złota, patrzył od samego początku na te świetne zwycięstwa armii francuskiej z najgłębszą niechęcią, — ale przy braku dostatecznej siły zbrojnej na lądzie umiał tę niechęć równie głęboko zataić. Teraz atoli zmieniła się postać rzeczy — a z nią i wzajemny stosunek sił zbrojnych. Armia francuska znajdowała się teraz w górach Tyrolu i Karyntyi — a we Włoszech pozostały tylko słabe i nie liczne załogi. Przeciwno tamtej armii ciągnął waleczny arcyksiążę, i mógł ją wedle prawdopodobieństwa, branego z dawnych doświadczeń, zetrzeć i zniszczyć w tych górach, — lecz nawet jakibądź obrótby tam wzięło arcyksiążęce szczęście, zawsze ta armia, nową zajęta wojną, nie mogła teraz do Włoch powrócić — a załogi tutejsze były tak słabe, że senat wenecki mógł się z nimi nawet i własnymi siłami pomierzyć. Była to tedy rzeczywiście najlepsza pora do zniszczenia wszystkich zwycięstw francuskich we Włoszech odrazu, i zdawało się nawet, że się istotnie tak stanie. Pomimo to wszystko jednak, bardzo arystokratyczny, ale zupełnie nierycerski senat nie podniósł otwartej wojny. Zawsze podstępny i chytry, i teraz tylko podstępem i chytrą postawą postanowił wojować. Jakoż zawiązawszy tajemne związki z duchowieństwem włoskiem i szlachtą drobną, na żołdzie rządowym żyjącą, za ich skrzętną pomocą poburzył lud wiejski i miejskie pospólstwo. Zaspianą gawiedź dała się z łatwością rozbudzić, a kiedy szlachta i księża dali jej z samych siebie przykłady, — zaczęły się mordy, nocne napady i rzezie. Zaprzysiężono śmierć wszystkiemu co było francuskie — gdziekolwiek się mundur francuski pokazał, mordowano — gdzie były mniejsze załogi, napadano nocą i wycinano do nogi. Strach

i popłoch się rozszedł po całym wojsku konsystującym we Włoszech, kraj tak wielki, lud w nim tak liczny, załogi tak rozrzucone a rdzeń armii tak od nich daleko!

Wszakże nie dosyć na tem. Niepowściągliwy bowiem w swej zemście senat, zrobiwszy próbę na małą miarę, postanowił zrobić ogólne powstanie i w jednym czasie wytepić nawet ślad francuzki w całych Włoszech. I powstanie to już się zaczęło udawać. Bergamo, Brescia, Salò, Cremona już powstały... i już zaczęła się burzyć nawet sama Weroną.

W tem ostatniem mieście, jako jednym z największych, zanosło się nawet na rzeź najokropniejszą ze wszystkich. W tem mieście, opatrzonem naówczas w baszty obronne i bramy mniej więcej silne a przerzniętem na dwie części Adygą, stał generał Balland z dosyć słabą załogą. Uprowadzony o tem co się działo po innych miastach i w kraju, miał on się na baczności: jakoż pozostawiwszy tylko silniejsze cokolwiek posterunki przy bramach, cofnął się z całą swoją załogą do baszt obronnych i zapowiedział już ruszającej się i niespokojnej gawiedzi: „że na pierwszy odgłos gwałtu miasto w perzynę obróci!“ Pomimo to jednak ruch zwiększał się ciągle, przez wszystkie bramy napływały całe tłumy uzbrojonego ludu, po ulicach występowali mówcy, podniecający nienawiść i pomstę, na Piazza d'Signori sami księża nawet, w komżach, z krzyżami w ręku, kazali zemstę i wołali: Śmierć Jakóbinom! — Działo się to w sam drugi dzień Wielkiej Nocy; — po południu zaczęła się rzeź. I była to rzeź istotnie najgwałtowniejsza ze wszystkich dotąd uskuteczionych we Włoszech. Nietylko bowiem wymordowano wszystkie posterunki, pozostawione przy bramach, nietylko pozabijano wszystkich Francuzów znajdujących się w mieście, ale nie wiano się nawet napaść szpitale, gdzie pozabijano rannych i konających, i wywleczone stamtąd ich trupy powrzucano do zakrwawionej Adygi. Na pierwszy widok wybuchu generał kazał dać ognia z dział i śmigownie, — ale to w pierwszej chwili nie odniosło żadnego skutku. Bomby i kule latały po mieście, niektóre domy stały w płomieniach,

starszyzna miasta drżała ze strachu, — ale obcy miastu i obojętni na jego całość górale nie robili sobie nic z tego i prowadzili rzeź swoją dalej, póki jej nie doprowadzili do końca. Wieczorem ustała rzeź, ustał ogień działowy i zaczęły się parlamentacye, które trwały przez całą noc. Parlamentacye te jednak prowadzone w imieniu miasta przez wysłańców weneckiego senatu, nie sprowadziły żadnego pomyślnego skutku — a nazajutrz rano, kiedy jedna część buntowników napadała załogi rozłożone po przedmieściach i okolicach miasta, a druga w mieście poczęła strzelać do Francuzów stojących na basztach, działa się musiały odezwać nanowo i dzień ten był tak samo straszliwy jak i wczorajszy.

Wszakże kiedy ten krwawy bunt trwał jeszcze w mieście, a łuny pożaru znaczyły jego ślad straszny na niebie, wiadomość o nim rozniosła się lotem błyskawicy po komendach rozłożonych dokoła. Generał Kilmaine miał główne nad temi komendami dowództwo. Nie było tu do stracenia ani jednego momentu. Jakoż ordynował on zaraz generałów Chabran i Lahoz, Victor i Baraguay d'Hilliers, ażeby ruszyli z miejsc swych i z wszystkich stron razem uderzyli na zbuntowaną stolicę. Pierwszy, który się z swoją dywizją zbliżył ku miastu, był generał Chabran. Podstawiając pod bramę, nazwaną Porta Nuova, a zrujnowaną podczas wczorajszych zaburzeń, znalazł ją obsadzoną regularnem wojskiem weneckiem, do zawziętej obrony gotowem. Zakomenderował do szturm — a nim jeszcze komenda doszła do uszu wszystkich, pierwszy batalion piechoty już się rzucił na zastępy weneckie. Ale Wenetowie, zanimby mieli dopuścić starcia się na bagnety, przywitali go gradem kul, jednocześnie rzuconym tak ze swoich szeregów, jak z murów... W tym pierwszym ogniu pułkownik, wiodący ten batalion do szturm, Polak, nazwiskiem Liberadzki, pierwszą kulą trafiony, zginął na miejscu. Poginęło i wielu innych — i batalion się zburzył i zachwiał. Ale w tej chwili występuje pierwszy kapitan ze szeregu, młody, wysoki, blondyn, zbiera batalion, szykuje go w okamgnieniu i sam z karabinem w rękę na jego czele rzuca

się na szyki weneckie. Za tym nowym dowódcą podniesiony na duchu batalion uderza z zapalem na zastęp nieprzyjacielski, łamie go, druzgocze na miazgę i wchodzi z tryumfem wewnątrz miasta, ale ów waleczny kapitan dotarł na jego czele tylko do bramy. Pehnięty kilkakroć bagnietami, bez kapelusza, w uniformie podartym, krwią własną zalany, upadł on w samej bramie i został na miejscu.

Tym kapitanem, który pierwszy ostrzem swego bagnetu wybił lukę w szykach nieprzyjacielskich i nie doczekał nawet tej chwili, kiedy je przełamano zupełnie, — był nieszczęśliwy pokutnik za cierpienia Melanii, Jędrzej Rudnicki.

Kiedy w godzinę potem zburzone miasto było już całe w francuzkiem ręku i obliczano się tylko ze stratami poniesionemi w tym szturmie, za owym walecznym kapitanem powszechny żal objął wszystkich i niejedna łza padła nad jego śmiercią. Żołnierze jego kompanii, którzy wszyscy go czcili jak ojca i kochali jak brata, poszli natychmiast na pobojowisko, ażeby jego zwłoki odszukać i oddać mu cześć odpowiednią jego bohaterskiemu zgonowi. Lecz kiedy przyszli w to miejsce, na którym go upadającego widzieli, zwłok jego tam nie znaleźli, — i nie znaleźli ich nigdzie na całym pobojowisku. Szukając jeszcze i jeszcze i zawsze napróżno, powrócili nareszcie do miasta, mówiąc sobie po drodze: — Albo go już zabrał kto inny, albo może nie zginął, boć nie każdy już ginie, który pada na ziemię.

Tymczasem Jędrzej rzeczywiście nie zginął.

Nie znaleźli go jego żołnierze, bo go jeszcze przed nimi znalazł kto inny — i znalazłszy go, zaniósł na swoich barkach w najpiękniejsze miejsce, jakie mógł znaleźć naprędce.

Było to rzeczywiście jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie się mogło znaleźć najbliżej miasta.

Była to bowiem malutka wprawdzie, ale prześliczna willa z białego marmuru, postawiona o paręset kroków od bramy miejskiej. Było to wprawdzie pieścidełko tej wielkiej i nieśmiertelnej architektury, która gdzieindziej sta-

wiała największe bazyliki i najpyszniejsze pałace, ale tutaj postawiła tylko klateczkę. Była to więc jakby drobna piosnka olbrzymiego Goetego, zamieniona w marmur i postawiona w ogrodzie, pełnym róż i słowików, pomarańczowych drzew i kwitnących powojów...

Ale jak huk dział wypłoszył słowiki z ogrodu, tak jeszcze przedtem sama wieść o wojnie domowej wypłoszyła stąd ludzi. Ci ludzie wyszli stąd wcześniej i zabrali wszystko, co mogli unieść ze sobą. W pięknej willi, lśniącej białym marmurem w ogrodzie, jak dziewczicą w kąpieli, było teraz pusto, jak w grobie.

Ale rozpasana ręka domowej wojny nie szanuje czasem i grobów. Jakoż i tu niemal wszędzie były widne barbarzyńskie jej ślady. Połamane kwiaty i krzewiny w ogrodzie, czerepy podruzgotanych urn i potrzaskane tablice stołów, witały przechodnia na samym wstępie. W wielkiej sieni, oświeconej oknami złożonemi z szyb kolorowych, widać było krew na posadzce — krew to zapewne jakiegoś chytrze zamordowanego Francuza... W drugim pokoju i trzecim leżały porozrzucane na ziemi barłogi — prawdopodobnie legowiska zbuntowanych górali... W czwartej sali dopiero, zajmującej całą szerokość budowy, mającej jedną ścianę prawie całą z kryształu i komin precudownej roboty, było widać kilka sprzętów niezbędnych i łóżko wielkie z czarnego drzewa o złożonych kolumnach.

Do tej willi i do tej komnaty wniesiono zaraz po bitwie Jędrzeja. Jakiś oficer wniósł go na swoich barkach i złożył go na tem łóżku wielkiem z czarnego drzewa...

Co się z nim potem działo, jak długo leżał, czy dzień, czy dni kilkanaście? nie o tem nie wiedział. Przez ten czas cały ciął sen gorączkowy, głęboki, trzymał go w swoich objęciach. W takim śnie przeleżymy kiedyś lat tysiące lub więcej — a kiedy nas trąby odwalających groby aniołów zbudzą na sąd ostateczny, będzie nam się zdawać żeśmy dopiero wczoraj umarli...

Ale Jędrzej miał się jeszcze z swego snu zbudzić w tem życiu. Jakoż jednego dnia, wczesnym porankiem,

leżąc na wysoko wyścielonych poduszkach i mając głowę na bok obróconą i zsuniętą na sam brzeg łóżka, odechnął głębiej i otworzył pomału zaspane oczy. Nie widząc wcale gdzie się znajduje i co się z nim dzieje, wyteżył najpierw wzrok swój niepewny przed siebie, nie na to jeszcze, aby coś widzieć, ale ażeby się przekonać, że ma wzrok jeszcze. Wszakże w tej chwili uderzył go w oczy jakiś przedmiot błyszczący, znajdujący się tuż prawie koło jego poduszki. Jędrzej przypatrzył się lepiej i znalazł, że była to epoleta, na której umieszczony był napis w języku włoskim: *Gli uomini liberi sono fratelli*. Zadziwiło go to, epoleta ta bowiem zdawała się jakby wisieć w powietrzu — jednak rozpatrzywszy się jeszcze lepiej, nie trudno mu było rozeznąć, że epoleta ta należała do munduru oficera, który siedział na jakiejś niskiej walizce tuż koło jego łóżka i przechyliwszy się na bok, a nogi wyciągnawszy przed siebie, spał snem takim, jaki zwykł nas nawiedzać rankiem po nocy bezsennej. Jędrzej zaczął się tedy przypatrywać bliżej temu oficerowi — i w krótkiej chwili nie miał już żadnej wątpliwości — był to Flawiusz.

Widok Flawiusza tutaj zrobił na nim zadziwiające wrażenie. Nie mógł on się zrazu połapać, co by to miało znaczyć i jakim się to stało sposobem? — Zaczął tedy przypominać sobie pomału, co mógł sobie przypomnieć. Ostatnia chwila, która stała najpierw przed jego pamięcią, była ta, w której pułkownik Liberadzki padł przed frontem batalionu i w której on zajął jego miejsce i rzucił się na czele tegoż batalionu na szyki weneckie. Pamiętał dalej darcie się jego własnego uniformu na prawem ramieniu i nastąpione zaraz potem silne uderzenie, jedno w prawą rękę, a drugie w głowę. W tym momencie się zachwiał, upadł i kiedy go do reszty opuszczała przytomność, przypominał sobie jakby przez sen że go ktoś porwał na barki i uniósł ze sobą. To było wszystko co mógł sobie przypomnieć — ale było to dostateczne do wyjaśnienia całej zagadki.

Widząc bowiem teraz Flawiusza siedzącego koło jego

łóżka, domyślił się odrazu, że to nie kto inny, tylko on go uniósł z pobojuwiska. Flawiusz, w dzień owej bitwy o samym świcie, przyjechał był z rozkazami od generała Kilmaine do generała Chabran, a nie mogąc już wrócić do swego wodza, bo dywizye w ten moment ruszały w marsz ku Weronie, został przy generale Chabran. Przez czas marszu był on przy sztabie, ale kiedy już pod murami miasta zaczęły się bataliony szykować do szturm, Flawiusz wziął karabin do ręki i tak go widział Jędrzej, rozmawiającego słów kilka z pułkownikiem przed frontem. Flawiusz tedy był zapewne w tym samym batalionie przy szturmie, co Jędrzej — i widząc go upadającego w bramie, rzucił karabin, a porwawszy rannego na swoje barki, uniósł go z placu.

Tak się Jędrzej domyślał — i tak też było w istocie.

Domysł ten wszakże zrobił na Jędrzeju bardzo głębokie i rozrzuwające wrażenie. Patrzył on teraz na tego człowieka, którego zawsze miał za nie, o którym zawsze z przekąsem, a czasem nawet z pogardą wspominał... a ten człowiek uratował mu życie! — Jędrzej myślał o tem i żał go zbierał niezmierny. Żał go zbierał jeszcze tem głębszy, kiedy widział, że Flawiusz miał mundur rozpruty na lewej ręce, a rękę grubą i obwiniętą — ta ręka była raniona. I więcej jeszcze, bo i noga lewa była raniona. I pomimo tych ran, najpoczeiwszy ten człowiek nie dbał o siebie samego, nie spał, nie jadł zapewne i przepędzał całe noce na nogach, ażeby pielęgnować tego, który się nigdy nie starał nawet o przyjaźń u niego! — Jędrzej o tem z głębokim żalem i z religijną skrucą rozmyślał — kiedy wtem Flawiusz chrapnął mocniej i obudził się także.

Spojrzał on na Jędrzeja, a obaczywszy, że ma oczy otwarte, prawie podskoczył z radości:

— Nie śpisz już? — mówił on z twarzą rozpromienioną — a więc *victoria!* jakże się czujesz?

Ale Jędrzej zaledwie mógł odpowiedzieć, tak był wzruszony.

— Czy bardzo słabym się czujesz? — zapytał Flawiusz.

— Nie, przeciwnie, zdaje mi się, że mógłbym wstać nawet natychmiast...

— O! co to, to nie... Ty sam nie wiesz, ile ran masz na sobie... na to potrzeba czasu... ale kiedyś się już obudził, to już dobrze. Wiedz bowiem, że dotychczas byłeś w tym stanie, że mogłeś się na to tylko obudzić, ażeby skonać. Tak mnie zapewnili lekarze. Ale kiedyś się zbudził i jesteś przytomny, zdrow będziesz...

— Ja zdrow będę — rzekł na to Jędrzej z uśmiechem — ale co się z tobą stanie, to nie wiem. Nie śpię już od pół godziny i przypatruję się tobie z uwagą, ale proszę ciebie, czy można też, będąc samemu rannym, tak się poniewierać? — Kiedy kto jest ludzkim bez granic, ten tylko wypełnia jeden z najpiękniejszych obowiązków człowieka: ale kiedy kto się poświęca bez granic... temu już nawet i podziękować nie można, bo na to słów nie ma w języku.

To mówiąc, wyciągnął rękę ku niemu — Flawiusz podał mu swoją — i tak się zeszły przecież nareszcie te ręce, a z niemi razem i serca, niegdyś tak bardzo rozdzielone od siebie.

I cóż ich połączyło ze sobą? Doświadczenia? Nieszczęścia? Przypadki? Nie wcale. Połączył ich bowiem tylko trud krwawy, praca i poświęcenie się dla jednej, wspólnej a tak wzniosłej idei, że wobec niej zniknęły i musiały zniknąć wszystkie te drobnostkowe różnice uczuć i myśli, które w nieszczęściu i beczynności urastają do rozmiarów przepaści, ale wspólnem natchnieniem nikną zupełnie, tak jak w wieku dojrzałym nikną dziecięce wspomnienia.

W takim braterskiem skojarzeniu ze sobą przeżyli oba dwa młodzieńcy, dziś już starzy i doświadczeni żołnierze, dni kilkanaście.

Przeszli oni w pamięci całą kampanię, wszystkie bitwy, w których mieli udział obadwa, wszystkie potyczki, nędze i głody, które przebyli, zadowolenie i szczęście, którego niejednokrotnie doznali... Wszystko to przeszli w gawędkach swoich ze szczegółami, i przeszli także wszystkie

wspomnienia z kraju, z swojej młodości, z lat przeżytych w Warszawie, z wypadków, których byli świadkami i aktorami we Lwowie...

I nie było nic już nareszcie pomiędzy nimi, żadnego uczucia, żadnej myśli tak drobnej, z którejby się nie zwierzyli przed sobą, z którejby się nie wypowiedali do dna sumienia i nie zasięgnęli rady od siebie. Jeżeli były kiedy pomiędzy nimi jakie różnice, jeżeli były jakie gniewy, pretensye, nieporozumienia, urazy, jeżeli mieli z tego powodu kiedyś coś do cierpienia — to teraz wszystko to się wyrównało i wygładziło, a ta przyjaźń, ta harmonia serdeczna, która ich teraz połączyła ze sobą, wytraciła nawet ślady wszelkich nieprzyjemnych wspomnień z tamtego czasu.

Przez te dni kilkanaście Jędrzej, opatrywany fizycznie przez najpierwszych lekarzy, a leczony moralnie przez pielęgniącego go ciągle Flawiusza, wzmógł się na siłach do tego stopnia, że już wstał z łóżka i mógł się po komnacie przechadzać. Jego liczne rany już prawie wszystkie się pogoiliły, siły wracały przyśpieszonymi krokami i gdyby była nagła potrzeba, kto wie, czy już teraz nie byłby był w stanie wziąć karabin do ręki i poprowadzić batalion do szturm. A jużby był teraz mógł od razu prowadzić batalion, bo jego czyn bohaterski przy szturmie Werony przyniósł mu stopień majora.

Już też i pomieszkanie jego i otoczenie wyglądało teraz inaczej. Właściciel willi, zamożny jakiś właściciel z Werony, umiejący cenić tak jak i cały świat poświęcenie się i waleczność, sam był przyszedł do niego, ofiarując mu gościnę w swej willi na tak długo, jak długo jej będzie potrzebował. Przy powroćonym spokoju, nie obawiając się już drugiej wojny domowej, kazał pownosić napowrót sprzęty i umeblować dom cały. Było to umeblowanie przepyszne, od aksamitów i złota do najpiękniejszych kwiatów w marmurowych donicach i żywych fontan wytryskujących w każdym pokoju. Do tego Jędrzej zaopatrzył się w służbę i nie złego kucharza; miewał codziennie gości u siebie, gości zacnych, kochających go i cenią-

cych jego dobre imię i sławę. I goście ci bywali coraz liczniejsi, coraz weselsi, kwiaty coraz wspanialej kwitły w jego ogrodzie, słowiki coraz głośniejsze śpiewały mu pieśni... zgoła wszystko jakby się na to sprzysięgło, aby go otoczyć wesołością, radością, aby żyć szczęśliwie z dnia na dzień i ani myśleć o jutrze...

Pomimo to wszystko jednak Jędrzej nie był wcale wesołym, przeciwnie nawet — był on codziennie smutniejszym. Jego twarz powlekła się jakby widomą i coraz grubszą żalobą, jego rozmowy z Flawiuszem stawały się coraz posępniejsze, a w jego sercu było tyle jakiejś nieodgadnionej goryczy, że nieraz wśród najhuczniejszej biesiady siedział nieruchomy jak mumia za stołem, potem budził się nagle jak gdyby ze snu i uciekał w najodleglejszy kącik ogrodu. Kiedy zaś sam był w komnacie, stawał zwykle przy oknie otwartem i stał tak w zamyśleniu nieraz przez całe godziny. Patrzył niby w równiny, rozścielające się w dali zielono — ale jego myśli były zapewne gdzieś indziej. I niezawodnie nawet gdzieś indziej, bo po takim zamyśleniu zawsze mu się na końcu łyzy cisnęły do oczu, czasem odchodził od okna, ukląkł przed obrazem Madonny i modlił się we łzach i westchnieniach; — gdyby jego myśli były przy nim, w tych pięknych szczęśliwych, nanowoukonstytuowanych Włoszech, czegożby się modlił lub płakał?

Musiały tedy się nasuwać jego pamięci kraje inne, inni ludzie...

Wszakże tę zmianę jego dostrzegł Flawiusz już dawno. Zgryzło to pocziwego i więcej nim niżeli sobą zajętego Flawiusza — wiedział on dobrze tego smutku przyczynę — i postanowił z nim o niej pomówić — postanowił go z niej radykalnie wyleczyć.

Jakoż jednego wieczora, powróciwszy z miasta, kiedy go właśnie zastał na kolanach przed obrazkiem Madonny, siadł niedaleko od niego — a kiedy Jędrzej już się uspokoił po swojej wzruszającej modlitwie, rzekł do niego po prostu:

— Słuchaj mnie, mój Jędrzeju. Powiedzieliśmy sobie

już niby wszystko, a przecież jeszcze nie wszystko. Ty jesteś smutny, ciebie coś trawi, stan ten, w którym się teraz znajdujesz, jest ci nieznośnym... trzeba to o tem pogadać. Czy wiesz, jaka jest tego przyczyna?

— Mam ci powiedzieć?

— Spodziewam się przecież, że nie zechcesz tajemnicy robić przedemną.

— A więc ci powiem, przyznam się raczej, bo tylko przyznać się mogę do tego, co jest słabością, co jest prawie niemocą, której nie mogę w sobie zwyciężyć, Oto pókim był słaby, czułem się silnym; teraz zaś kiedym wyzdrowiał, czuje się słabym, tak zupełnie bezsilnym, że trzeba mi się chyba leczyć na nowo. Ale czy jest na taką chorobę lekarstwo? Czy jest lekarstwo jakie na tę krwawą tęsknotę, która mnie dręczy? Ach! tak mi jest tęskno, tak czegoś smutno, tak mi gorzko na sercu, jak gdybym już miał konać za chwilę i nie widział żadnego ratunku. Dosyć już miałem chwil gorzkich w życiu, ale o takiej goryczy jeszcze nie miałem ani pojęcia.

— Bardzo pojmuję tę gorycz twoją — rzekł na to Flawiusz ze smutkiem — może też i ja nie jestem wolen od niej zupełnie... Ale ja co innego... Tobie trza myśleć o tem, jakby temu zapobiedz.

— Otóż ci się przyznam — rzekł Jędrzej — że myślę o tem.

— Cóż myślisz?

— Myślę to najpierw, co każdy innyby myślał na mojem miejscu. Myślę o podpisanych preliminarjach w Leoben, myślę, że wojna się ukończyła, że się zamknęły odrazu wszystkie i ogólne, i szczególne widoki, że dostałem wprawdzie batalion, ale że odtąd z tym batalionem będę gdzieś leżał na jednym miejscu... Bóg wie dlaczego i Bóg wie także jak długo.

— A no więc o cóż chodzi? Myślisz tak, jak z nas każdy, bo to wszystko jest prawda. Ale cóż stąd wynika?

— Stąd wynikać może tylko rzecz jedna dla mnie, mnie i tobie wiadoma. Ale ja mam jeszcze i o czem innym pomyśleć. Ja mam pomyśleć o tem, czy dosyć już...

— Czy dosyć!? — zawołał Flawiusz na to, zgadując myśl jego pierwej, nim ją zdołał powiedzieć — i ty jeszcze myślisz, czy dosyć?

— Słuchaj mnie! — zawołał w tej chwili Jędrzej, porywając go silnie za ramię i patrząc mu w oczy — słuchaj mnie! robię cię moim kapłanem, sądz mnie tak, jak byś sądził siebie samego. Porzuciłem ojczyznę, fortunę, kochankę... i całe szczęście, jakiego się mogłem spodziewać na ziemi. Poszedłem w kraje obce i stanąłem w szerebach obcych natenczas mojemu sercu: byłem sześćdziesiąt i trzy razy w ogniu, trzy razy wyniesiono mnie z placu boju, mam siedemnaście ran na mojem ciele, padłem narreszcie w objęcia śmierci i tylko tyś mnie jej wydarł... czy to wszystko jeszcze jest mało?

Kiedy Jędrzej mówił te słowa, głos jego drżał, jak struny harfy uderzonej gwałtownie — a kiedy kończył, gorące łzy całą twarz mu zalały. Wszakże niemniej wzruszony był Flawiusz. W pierwszej chwili rzucił on się także ze łzami w jego ramiona i dopiero ochłonawszy na jego piersi, odpowiedział mu głosem urywanym:

— Jedź! o! jedź już czempredzej i oddaj się tym, którzy na ciebie czekają. Jeżeli jeszcze jaki cień grzechu być może na tobie, ja go biorę na swoje własne sumienie...

Jędrzej chodził potem przez długą chwilę po marmurowej komnacie i płakał. Lżej mu było już teraz na sercu, ale przecież jeszcze jakieś cierpkie mu dolegało uczucie. Jakoż stanął niebawem na środku i podniósłszy rękę do góry, zawołał z żalem:

— O! czemuż tych wszystkich trudów niewolno mi było ponieść dla samej sławy! Byłbym bohaterem, byłbym przynajmniej uzacnionym, uszlachetnionym własną zasługą człowiekiem — tak... jestem więźniem, który opuszcza galery. O ileż ty jesteś wyższym, ile szczęśliwszym odemnie!

Było to zaprawdę bardzo smutne uczucie.

Jednak Flawiusz usiłował go wyswobodzić z tego uczucia i zabrawszy głos wymowny i na prawdzie oparty, powiedział wszystko, co było można i co trzeba było powiedzieć o tem.

Jędrzej go słuchał z wielką uwagą.

Czy się przekonał wreszcie — czy zabrał z sobą odrazu przyjemne i miłe, czy tylko pokutnicze wspomnienia z tej tak pięknej, tak wspaniałej, tak heroicznej kampanii? — to nie wiadomo: pewna rzecz jednak, że się rozweselił niebawem i rozmawiał z Flawiuszem, będąc w najlepszym humorze.

Śród tej rozmowy usiłował nawet namówić swojego przyjaciela, aby także już wojnę porzucił i z nim powrócił. Zachęcał go do tego wszelkiemi siłami: przypomniawszy mu sam Ernestynę, obiecywał protekcyę u starosty, ręczył mu nawet za najlepszy obrót tej sprawy; ale Flawiusz się nie dał namówić.

Słuchał on go z żalem i mówił nawet z żalem — widać było po nim jak silnie przyciągało go serce do kraju, ale wola nie pozwalała na to.

— Położenia nasze były zawsze inne — rzekł on na końcu — i dzisiaj są inne. Nie wyrzekam się tego kraju, w którym światło dzienne ujrzałem, i powrócę kiedyś do niego; ale, jeżeli Pan Bóg wysłucha próśb moich, wrócę inaczej.

Jędrzej już nie sprzeciwiał się temu.

Nazajutrz rano tedy zarządzono natychmiast wszystko, co było potrzebne do uzyskania dymisyi. Po podpisaniu preliminarjów pokoju, zwłaszcza dla żołnierza, który tyle ran odniósł w ostatniej bitwie, nie nastroczało to żadnych trudności. Jędrzej tedy dostał dymisję i zabrał się do powrotu.

Chciał on przed wyjazdem widzieć się jeszcze ze skarbnikiem, o którym wiedział, że już jest także we Włoszech — ale było to prawie już niepodobna. Skarbnik bowiem od niedawna znajdował się wprawdzie w Mantui, ale teraz już był w marszu do Rzymu. Zabawił tedy Jędrzej już tylko tak długo w Weronie, póki Flawiusz się nie uwolnił od swojej tymczasowej adjutantury u generała Kilmaine, a kiedy to się stało i młody legionista musiał już ruszać także do Rzymu, obadwa przyjaciele po-

żegnali się z sobą ze łzami i rozjechali się w swoje przeciwnie drogi.

Rozjechali się w szczęściu — jeden w widokach spokojnego życia w objęciach kochającej go żony — drugi w widokach świetnej zasługi i sławy; ale Bóg sam wie tylko, czyli się spełnią te ich widoki... a nawet czyli się jeszcze zobaczą?

XXVII.

Tymczasem, kiedy w dalekich Włoszech takie zachodziły wypadki, jakieśmy opisali w poprzedzającym ustępie — w kraju płynęły dnie, tygodnie, miesiące tak cicho, jak woda.

Nie była to wszakże cisza grobowa.

Ludzie ci bowiem, którzy siedzieli tutaj w tych górach i położystych równinach, żyli, jak zawsze, całą duszą i sercem — tylko w tej chwili przycichli. A przycichli dla tego, ażeby mogli tem lepiej słyszeć odgłosy owych wielkich wypadków, które jakby wulkanem wstrząsały światem, obudzając wszędzie jakieś nadzieje, wszędzie oczekiwania. Nie było jeszcze naówczas tak szybkich dróg do otrzymania wiadomości z całego świata, nie otrzymano nawet gazet po domach: ale pomimo to wiadomości donosiły się do najodleglejszych zakątków, donosiły się ustnie, a im przez więcej ust przeszły, tem się stawały ciekawsze i nawet daleko piękniejsze. Nie szkodziło to jednak nikomu. Jeżeli bowiem jakiś homeryczny rapsod wojenny, opowiadany przez starca-żebraka przy bramie kościelnej, a opisujący ze szczegółami krwawe zapasy niewidzialnych olbrzymów, okazał się potem tylko ludowej fantazyi utworem — jeżeli wieści, opowiadane pod sekretem przez mnicha kwestarza a zapewniające że armie tak liczne jak gwiazdy na niebie już zalały całe cesarstwo niemieckie i rozlegają się po prowincjach słowiańskich, okazały się tylko uprzedzającym wypadki życzeniem — jeżeli w końcu dramatyczne opowiadania szlachty,

że takie a takie odprawiały się sceny między wodzami prowadzącymi wojnę, to powiedział cesarz niemiecki, a tak i tak mu na to odpowiedział Bonapart, były tylko zwyczajną, plastyczną pogadanką szlachecką — toż to nie nie zaszkodziło nikomu. Poetyczne zmyślenia ustąpiły miejsca prawdzie jeszcze dosyć zawczasu — a nie zostawiając po sobie żadnej goryczy ni rozczarowań, zostawiły raczej piękne wspomnienia, zostawiły czasem jakąś piosneczkę, które daleko piękniejsze niżeli znane dotychczas pieśni o „Filonie i Laurze“ lub ukochanej „Justynie,“ przyjmowały się po dworach i chatkach jako kwiatki wiosenne, jako kwiatki cieszyły serca i jako kwiatki niewinne nie szkodziły nikomu.

Taka cisza spokojna, przerywana tylko czasem jakąś potworną wieścią, czasem prawdą, a pomiędzy tem piosnką albo modlitwą, panowała w kraju naówczas — i taka cisza także panowała w Zagórze.

Jednak w Zagórze zaszły niejaki zmiany od tego czasu.

Nie były to wprawdzie zmiany takie, któreby miały swoje źródło tutaj na miejscu, ale się tutaj oparły.

Przyszły zaś mianowicie z Jaćmierza.

W Jaćmierzu bowiem, zaraz w kilka dni po odjeździe skarbnika do Włoch, pani Rudnicka umarła.

Po jej śmierci stary jegomość odetchnął całkiem i zaraz się znacznie odmienił. Przestał pić na frasunek, podszukiwał swoje pogubione miesiące i stał się zgoła dosyć porządnym człowiekiem. Tylko znów dziwnym sposobem chwyciła go się jakaś mania pokuty. Za coby pokutował, sam podobno nie wiedział — rzecz jednak pewna, że się męczył modlitwami i suchotami po dwa razy na tydzień, sprowadzał mnichów do siebie, odprawiał z nimi rekolekcyę, biczował się nawet i zamyślał o murowaniu jakiegoś kościoła. Towarzyszyła mu przytem częstokroć jakaś melancholia tak czarna, że był jakby bliski zupełnego stracenia zmysłów, i wtedy obawiano się nawet o jego życie. Wszyscy ci ludzie owego czasu, którzy z końcem swojego życia doczekali końca owego stulecia — a życie swoje strawili w bezczynności albo w wyobrażeniach fałszywych —

kończyli zwykle taką rozpaczą i skruczą. Były to wszystko bardzo smutne ofiary wypadków, ale jeszcze daleko smutniejsze dlatego, że ich zaledwie można żałować.

Odmienił się tedy stary ojciec Jędrzeja i odmienił się z nim razem cały porządek domowy — ale się odmienił w ten sposób, że Ernestyna nie mogła wcale z nim się pogodzić. Została sama, co wszakże jeszcze byłaby może zdołała przenieść — ale te rekolekcyje, te ciągle śpiewy żałobne, te biczowania okropne, były dla niej taką plagą nieznośną, że ten piękny pałac Jaćmierski, pomimo całej swej wystawności i wielu wspomnień przyjemnych, stał się dla niej gorzej niżli klasztorem, bo prawie grobem.

Jednakże biedna, opuszczona sierota miała już teraz przyjaciół — i miała ich najbliżej w podkomorzynie i Stasi, chociaż o tem nie wiedziała zupełnie. Podkomorzyna bowiem, lubo się jeszcze za bytności skarbnika tam wybierała, nie była jednak jeszcze w Jaćmierzu. Pani Rudnicka rozechorowała się już wtedy śmiertelnie — a niebawem potem umarła. Po jej śmierci podkomorzyna się namyślała, coby miała uczynić — nie знаła ona Ernestyny i nie znała jej usposobień — ale przecież Stasia nakoniec przemogła i obydwie panie pojechały odwiedzić sierotę.

Jeżeliśmy dobrze poznali te obydwie panienki, to nie będziemy wątpić ani na chwilę, że pomiędzy nimi odrazu najżywsza się obudziła sympatya.

Wprawdzie pomiędzy nimi nietylko pod względem niektórych wyobrażeń, ale poprostu pod względem całego wychowania zachodziła wielka różnica. Domorośla Stasia miała bardzo czyste i prawe uczucia, wielką wiarę i religijną pokorę i zresztą dosyć rozsądku — u Ernestyny znajdowało się wszystko to także, ale w bardzo odmiennej mierze, bo wychowanka nowszej, postępowej oświaty, miała prócz tego jeszcze i rozum, miała swoje własne opinie i na pewnych podstawach zbudowane zasady. Była tedy pomiędzy nimi bardzo wielka różnica. Lecz na ich szczęście różnica ta leżała tylko w stopniu ich rozwinięcia się, w obszerności moralnego ich widnokregu, a wreszcie w różnych moralnych przyborach — lecz w gruncie rzeczy

były one jak jedną istotą, to samo serce, ta sama dusza, a ich różnica da się najwłaściwiej w ten sposób określić, jeśli powiemy krótko, że Ernestyna była tylko jakby kontynuacją Stasi. — A więc nie tylko nie było żadnych przeszkód, ale owszem przeciwnie, były już w nich samych jaknajmocniejsze powody, ażeby się pomiędzy nimi szczerza zawiązała sympatya. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że dzisiejsze ich położenia były tak jednakowe, ich tęsknoty, ich smutki, oczekiwania, nadzieje, tak prawie jedne i te same, jak gdyby istotnie nie we dwóch, ale w jednym i tem samem wyrodziły się sercu?

Zawiązała się tedy pomiędzy nimi rzeczywista sympatya, a jak to u młodych nigdy uczucia nie umieją się długo utrzymać w umiarkowanej mierze, tak i u nich z sympatyi wyrodziła się najtkliwsza przyjaźń.

Najpierwszym skutkiem tej nowo zawiązanej przyjaźni było to, że Ernestyna się przeniosła do Zagórza na stałe mieszkanie.

Było to prawdziwe, nieocenione nawet szczęście tak dla Ernestyny, jak i dla Stasi.

Tak tedy już sam Bóg to naprzód zarządził, że jeśli tych pocziwych ludzi miały różne spotykać nieszczęścia, toż w tych nieszczęściach nie zabrakło im także i tyle pociechy, ażeby mogli te nieszczęścia wytrzymać.

Jakoż jeżeli Flawiusz, tam nad brzegami Adygi, uratował swojego przyjaciela od śmierci, jeśli go braterską opieką przyprowadził do zdrowia i nakoniec wskrzesił prawie moralnie, absolvując go od pokuty, Bóg sam wie tylko, o ile urojonej lub sprawiedliwej, to tutaj opuszczone sieroty ratowały siebie nawzajem ciągle, nie od śmierci, ale od zbytanych bólów i cierpień, od niecierpliwości, tęsknoty i skargi...

I tak im minął rok cały, pomimo najślusznieszych powodów do głębokiej żałoby, w żałobie wprowadzie, ale bez łez, bez rozpacz, bez zwątpień, i dlatego minął im prędko, nie zostawiwszy ani śladu po sobie.

Przez ten czas oczywiście dom podkomorzynej był stkiem wiadomości z teatru wojny. Wszystkie wieści, choćby naj-

potworniejsze, wszystkie plotki kwestarskie przynoszone regularnie przez ks. gwardyana, wszystkie anegdoty szlacheckie o Bonaparcie i o legionach, o papieżu, o królach i o książętach Italii, zbiegały się tam najpierwej, — wszystkie się tam gromadziły, szykowały, uzupełniały i stamtąd znowu się rozbiegały po świecie — ale tam także znajdowały swoje sprawdzenie lub zaprzeczenie. Panienci bowiem złożyły się wspólnie i utrzymywały gazety, i dostawały ich kilka niemieckich i polskich przez pocztę, a swoim nieprzebranym dowcipem umiały nawet to zrobić, że dostawały ukradkiem jedną gazetę francuską. Ernestyna czytała je wszystkie z nieustraszoną cierpliwością, a nie wzdrygając się nawet przed biuletynami, publikowanymi przez rząd francuzki, znała wszystkie bitwy i wszystkie potyczki, jakby im była sama przytomną. Stąd mogła ona z wielką łatwością i prawdą prostować wszystkie wieści kłamliwe, i to jej nie mało przynosiło pociechy i dawało jej wielką estymę u szanownych sąsiadów — ale zawsze to jeszcze nie była ta pociecha, której i jej i Stasi było potrzeba. Gazety te bowiem przychodziły najpierwej bardzo późno, i ks. gwardyan dawno już rozповідаł o jakiejś nowej bitwie, nim te gazety jeszcze o poprzedniej zaczęły pisać — a powtórę były one jakieś tak ogółowe w swych sprawozdaniach, że o Flawiuszu i Jędrzeju nie wspominały ni razu. Zawsze tedy jeszcze ze wszystkich, choćby najmisterniejszych środków dostawiania wiadomości z teatru wojny, najświeższe z nich miewał ks. gwardyan. Jakim sposobem do nich przychodził, tego nigdy nie mówił; — kiedy go o to pytano, zawsze tabakę zażywał, po zażyciu zaś kichnął raz regularnie, a czasami więcej razy, z którego to powodu życzo no mu stuletniego zdrowia koleją; nim zaś podziękował wszystkim za tak znaczne życzenia, już i zapomniano o zapytaniu. Tak tedy nie wiadano, skąd miał te wiadomości, ale rzecz pewna, że je miał zawsze i zawsze takie, że jakakolwiek czasem była ich forma i różne dodatki, rzecz jednak sama potwierdziła się potem i gazetami. Jak więc Ernestyna u szlachty, tak znowu gwardyan u panienek był w wielkiem poszanowaniu — przez

ten czas ile haftowanych poduszek, ile dywaników i kwiatów robionych dostał od nich dla swojego kościoła, te-goby nikt nie wyliczył — ale też za to był tak regularnym w swoich odwiedzinach we dworze, że rzadko który dzień minął, aby się po południu nie stawił.

Panny go słuchały zawsze z wielką uwagą, lecz przytem śledziły także pilnie twarz jego — gwardyan bowiem był czasem dziwnie enigmatycznym, nieraz utrzymywał coś takiego, co się zdawało nie mieć żadnej logiki, a częstokroć rzucił słów kilka całkiem niezrozumiałych i potem nie wytłumaczył ich nigdy. I tak w miesiącu marcu, kiedy już całe Włochy północne były zdobyte i wszyscy się tem cieszyli, że już wojna skończona, on był wciąż frasobliwy, a kiedy przyszła wiadomość o nowej wojnie w górach Tyrolskich i Karyneckich, on był w najlepszym humorze i dziwnie wywodził stąd konjunktury. Lecz zato w maju na nowo się zafrasował, przewidywał najgorsze rzeczy i nawet na samego Bonaparta zaczął niezmiernie wymyślać — na Bonaparta nawet, którego dotąd wielbił i pod niebiosy wynosił, chociaż mu nigdy nie mógł zapomnieć jego gróźb przeciw Ojcu świętemu. Wszakże w miesiącu czerwcu jeszcze więcej gorzkim się zrobił. Wtedy bowiem była już pewna wiadomość, że nowo ukonstytuowane legiony pomaszzerowały na Rzym, na Apostolską stolicę — ten wypadek całkiem zatrul gwardyana.

— Obaczycie państwo — mówił on wtenczas — że z tej chmury ledwie mały deszcz będzie, bo takim imprezom nigdy Pan Bóg nie błogosławi. Ja się o Ojca świętego nie boję, bo Namiestnikowi Bożemu i włos z głowy nie spadnie — ale się boję i bardzo boję o tych, którzy ku takiemu świętokradztwu rękę swoją podają. I obaczycie państwo, że kto tylko chrześcianin prawdziwy, ten w takiej armii służyć dalej nie będzie. Pana Flawiusza nie znam i nie o nim nie mówię, ale za pana Jędrzeja ledwiebym nie zaręczył, że go tu lada dzień obaczymy.

Czy gwardyan to mówił wskutek istotnych swoich przekonań, czy może był już natenczas uprzedzonym o powrocie Jędrzeja, to niewiadomo — pewna rzecz je-

dnak, że tak mówił i temi kilku słowy tak się u Stasi zasłużył, że go z Ernestyną odprowadziła aż za bramę i bardzo prosiła, aby ich jutro nie zapomniał odwiedzić.

Ale dnia jutrzejszego właśnie gwardyan nie przyszedł...

Było to przykro panienkom i dlatego z tem większą niecierpliwością oczekiwały go dnia następnego — ale dzień następny już się ku wieczorowi pochylił, a gwardyana nie było. Panny na niego czekały, wyglądały co chwila do okien, wychodziły nawet za bramę, ale to nic nie pomagało; na ścieżce prowadzącej od klasztoru do dworu ani cienia nawet nie obaczyły. Zniecierpliwiło to ich nakoniec i posłały po niego. Posłaniec wrócił niebawem, lecz nietylko gwardyana nie przyprowadził ze sobą, ale przyniósł jeszcze i tę smutną wiadomość, że gwardyan dnia dzisiejszego wyjechał i nie spodziewają go się aż jutro na noc. Na zapytanie, dokąd pojechał? odpowiedziano, że do Jaćmierza podobno — co jeszcze smutniejsze uczyniło na panienkach wrażenie, bo się domyślały, że go stary jegomość wezwał na rekolekcyje do siebie, z których zapewne nie wróci prędzej, jak w niedzielę.

Nie pozostawało im tedy nic, jak zrezygnować z konwersacyi gwardyana na cały tydzień i czekać z niecierpliwością niedzieli.

Ale gwardyan tymczasem zaraz dnia następnego powrócił i natychmiast przyszedł do dworu.

Była to dla panienek niewymowna pociecha, jeszcze większa dla tego, że gwardyan dzisiaj był w osobliwszym humorze, pełen facecyi i żartów, z których sam się śmiał tak serdecznie, że aż ściany się trzęsły. Po chwili wszakże spojrzał na zegarek, siadł z powagą na krześle, umilkł i zaczął swoją tabakierę obracać w rękę. Był to znak nie bardzo dla panienek pocieszny, bo gwardyan, kiedy tabakierę wydobył, kichnął i poważne powinszowania odebrał, zawsze już potem do poważnych przystępował przedmiotów i najczęściej wtedy z podkomorzyną o dawnych czasach rozmawiał.

Rzekła więc na to natychmiast Stasia:

— Och! już ta tabakiera nieszczęsna na plac wyje-

żdża, będziemy miały kazanie. Czy ks. gwardyan niema już dla nas nic więcej?

— Może i mam — odpowiedział tajemniczo staruszek.

— No to mówże jegomość! ach! jakież pan jesteś nie-dobry!

— Może co powiem — odpowiedział tak samo gwardyan — ale muszę się pierwej namyślić.

Tu tabakierę otworzył, zażył solennie tabaki, kichnął regularnie jak zwykle i zaczęły się gratulacye.

Panienki przytem znaczącym wzrokiem spoglądnęły na siebie.

Po tej solenności skończonej, gwardyan schował tabakierę za rękaw i tak zaczął:

— Otóż przypominacie sobie asaństwo zapewne, com mówił przed kilku dniami, że to świętokradztwo jest podawać swoją rękę ku temu, ażeby przeciw Ojcu świętemu podnosić wojnę i jego świętą stolicę oblegać.

— No to już wiemy — przerwała Stasia — ale cóż nam tam z tego? Tam są teraz rzeczy ważniejsze. Słyszymy bowiem, że miasta włoskie się zbuntowały, że Wenecya wystąpiła przeciw armii francuskiej, że nowa wojna się wszczyna; czy o tem jegomość nie masz żadnych bliższych szczegółów.

A na to gwardyan statecznie:

— Może też i o tem są jakie szczegóły, ale przyjdą z kolei. Otóż mówiłem asaństwu wtenczas, że kto jest katolik, ten nie zechce służyć dalej w tak świętokradzkich szeregach i na stolicę apostolską nie pójdzie. Czy powiedziałem tak? pamiętacie asindzki?

— Pamiętamy... ale cóż z tego?

— Otóż to z tego, że moja przepowiednia się sprawdza.

— Jakto się sprawdza? nie rozumiemy...

— Sprawdza się tak, że niektórzy żołnierze istotnie występują z szeregów i powracają...

— Ach! żeby to nasi mieli także takie poszanowanie dla apostolskiej stolicy! — rzekła na to Stasia z westchnieniem, spoglądając na Ernestynę.

A gwardyan mówił dalej:

— A niektórzy już się nawet przebijają do domu..

— Skądże ks. gwardyan ma te wiadomości — zapytała podkomorzanka w zamyśleniu.

— A niektórzy już nawet są blisko... jak mi o tem nieodmiennie donoszą. I owóż rzecz! — dodał staruszek, patrząc na Stasię i wskazując ręką jak gdyby na nią.

Stasię przeszło mrowie w tej chwili i serce jej uderzyło gwałtownie, jakoż chwyciwszy gwardyana za rękaw, zawołała:

— Ale bo ksiądz gwardyan coś wie, tylko nie chce powiedzieć... Toż nam powiedz jegomość, czy powraca kto rzeczywiście?

— Wraca.

— Ale któż wraca?

— A powiedzieć asińdźce?

— Ach Boże!... czy Jędrzej wraca?

— Wraca.

— To być nie może! powiedz jegomość! pewnie wraca? gdzie jest?

— Ale kiedy powiadam, że wraca, to wraca, a jest niedaleko...

— Ale gdzież jest na miłość Boga! on już w Jamierzu jest?... jegomość tam jeździłeś do niego?...

Ale gwardyan na to nie odpowiedział, tylko wstał z miejsca i przeszedł się powolnymi krokami ku oknu.

Wszystkie kobiety były jakby na ogniu — spoglądały na siebie i nie wiedziały co mówić... kiedy wtem w bramie dał się słyszeć turkot powozu.

Niepewność, niecierpliwość, oczekiwanie wzrosły do najwyższego stopnia — wszystkie trzy razy pobiegły za gwardyanem do okna.

Ale zaledwie się to stało — kiedy drzwi się otworzyły z łoskotem i wbiegł Jędrzej do komnaty...

Dalej już nie mamy odwagi i nie potrzebujemy nawet opisywać tej sceny.

Lzy, radość, szczęście — jakiego nigdy jeszcze nie było w tym domu.

*

*

*

Kiedy pierwsze upojenia radości minęły, kiedy sobie opowiedziano na prędce co wszystkie ważniejsze ostatnich czasów zdarzenia i podziękowano serdeczną modlitwą Bogu za szczęście, które było jeszcze o tyle większe, o ile mniej spodziewane — pomyślano też teraz o ostatecznem urzeczywistnieniu tego szczęścia, na które wszyscy tak długo czekali.

Nie było teraz już żadnych przeszkód do tego.

A zresztą Jędrzej, nauczony już jedną, choć najślusniejszą i prawie konieczną odwłoką, nie chciał teraz wiedzieć o żadnej. Nawet te parę tygodni, które do zapowiedzi były potrzebne, wydawały mu się za długie — jakoż wyrobiwszy w parę dni indult, przystąpił zaraz do ślubu.

Ślub ten odbył się w kościele zagórskiego klasztoru i odbył się jaknajciszej, prawie nawet bez świadków. Podkomorzyna w uniesieniu swojej radości chciała huczne wyprawić wesele — ale i Jędrzej i Stasia sprzeciwiali się temu stanowczo. Gdzie jest prawdziwe, czyste, głębokie uczucie szczęścia, tam powinna być cisza; — tańce, biesiady, ostentacye, hałasy w chwilach takich solennych, są to zabytki jeszcze tych średniowiecznych czasów, w których ludzie żyli więcej zewnątrz niż wewnątrz i w których nie umieli pomieścić w sobie uczucia szczęścia, bez okazania go światu przy odgłosie trąb i puzonów; — z postępem czasu, kiedy przy wzrastających cierpieniach ludzkie serce się musiało rozszerzyć, rozszerzyło się także i dla uczucia szczęścia, a widząc, że jego cierpień nikt nie podziela, i ono także nie rade dzieli się swoim szczęściem.

Ślub tedy Jędrzeja i Stasi odbył się cicho — a po nim państwo młodzi odjechali wprost do Jaćmierza.

Ernestyna została przy podkomorzynie w Zagórzu.

Pomimo tego rozdziału jednak nie byli oni prawie nigdy rozdzieleni od siebie; kiedy bowiem podkomorzyna z hrabianką nie bawiła w Jaćmierzu, to młodzi małżonkowie przesiadywali u niej — i tak to szczęście, które ich wspólnie kosztowało tyle łez, cierpień i bólów, było

dziś wspólnem ich dobrem, jak gdyby drugie słońce, które oświecało ich życie.



Taki szczęśliwy stan rzeczy trwał przez całe lato i całą jesień.

Przez ten czas wszakże Jędrzej miał nie mało zajęcia. Przyszło mu bowiem regulować swoje majątkowe stosunki, które zastał dosyć w nieładzie. Temu nieładowi był on po największej części sam winien, bo te podróże dalekie, te wojny wreszcie, pochłoneły mu wszystkie gotowizny ojcowskie. Do tego jeszcze stary jegomość podczas jego niebytności pozwoił sobie także nie mieć względu na przyszłość, i stąd znalazły się nawet i długi. Mógł on mieć wprawdzie łatwy ratunek, sprzedając majątek swój położony na granicy śląskiej, ale ten majątek przeznaczył on dawno dla Ernestyny i nie chciał go tykać. Znalazł się tedy w tem położeniu, że znowu chciał sprzedawać całe jaćmierskie państwo i już nawet kroki ku temu poczynił. Ale przeszkodziła temu i oparła się stanowczo podkomorzyna. Jakoż z jej woli sprzedano Zagórz natenczas — i tak Jędrzej nie tylko oczyścił się z długów, ale zaopatrzywszy się we wszelkie zasoby, zapewnił sobie jeszcze i z tej strony spokój i dobre powodzenie prawie na zawsze.

Pomimo to wszystko jednak — pomimo tego szczęścia, które się zdawało już tak być ugruntowaniem i zaokrągleniem, że mu nie brakowało nic zgoła, Jędrzej nie był jednak szczęśliwym zupełnie.

Nie było tego widać po nim otwarcie — ale przecież jakaś chmurka osiadająca na jego czole, jakaś przemijająca tęsknota w oku, jakieś mimowolne westchnienia zdradzały go często — a zdradzały go przynajmniej w oczach kochającej go Stasi.

Obawiając się, aby przez to nie ściągnąć jakiejś rzeczywistej i dla wszystkich widomej chmury na pogodny horyzont ich szczęścia, nie pytała go ona otwarcie o przyczynę jego westchnień chwilowych, ale odtąd zaczęła go

śledzić z pilną uwagą. Jakoż dostrzegła niebawem, że westchnienia dobywały się z jego piersi tylko natenczas, kiedy dłuższy czas sam na sam z Ernestyną rozmawiał, albo kiedy mowa była o wojnie i wspomniano Flawiusza. To dostrzeżenie rozwiązało jej całą zagadkę. Jakoż tak się rzecz miała w istocie.

Jędrzej sam był szczęśliwym tak dalece, jak tylko można być szczęśliwym szczęściem domowem — ale Jędrzej miał ludzi bardzo blizkich i bardzo przez siebie kochanych, ci ludzie mogli i powinni byli być także szczęśliwi a nie byli — a to przekonanie otwierało taką próżnię w jego nieznaną sobkostwa sercu, że w niej nie mogło się nic innego wyradzać, jak tęsknota i smutek. Tymi zaś ludźmi, których szczęście go obchodziło tak blisko, nie był nikt inny jak Ernestyna i Flawiusz.

Ernestyna nie była właściwie Jędrzejowi nawet i krewną, ale pomiędzy nimi zawiązała się jeszcze w latach dziecięcych tak dźwięczna, tak głęboka i tak wszechstronnie wykształcona miłość siostrzana, że Jędrzej nietylko ją zawsze kochał jak siostrę, ale tak ją znał całą, że umiał każdą myśl, każde najdrobniejsze uczucie czytać jawnie w jej twarzy. Ernestyna w dzisiejszem położeniu swojem zachowywała się tak, jak tylko mogła się zachowywać najszlachetniejsza istota pod słońcem: nietylko bowiem nie zaniedbała żadnego środka, którym mogła okazać, jak jest szczęśliwą szczęściem Jędrzeja i Stasi, ale starała się nawet im ustawicznie dowodzić tego, że do jej szczęścia nic jej nie brakuje, nie jej więcej nie trzeba. Będąc jedną struną tej harfy, która grała ustawiczny hymn wesołości szczęścia, nie wydawała ona ze siebie nigdy ani jednego tonu, któryby nie był strojnym do wspólnej harmonii: w jej oczach błyszczała ustawiczna wesołość, na jej ustach była zawsze swoboda i dowcip, ciągły uśmiech na twarzy, ona była najweselszą, najswobodniejszą ze wszystkich. Te zewnętrzne oznaki oszukały zupełnie podkomorzyńkę i Stasię — ale nie oszukały Jędrzeja. Ernestyna mogła oszukać wszystkich, prócz niego. Jędrzej czytał w jej sercu, jakby w księdze otwartej — a im więcej w tem

sercu wyczytywał szlachetnego zaparcia się siebie dla innych — im więcej przez to znachodził ją godną nagrody — tem go więcej bolało, że tej nagrody sam jej przysposobić nie może, że ta jedyna możliwa nagroda tak jest daleko...

Jednak jeżeli nie pomału go smucił obecny stan Ernestyny, to jeszcze prawie głębiej go dojmowały losy obecne Flawiusza. Wprawdzie Flawiusz znajdował się dziś na takiej drodze, że niby nie można było na nią narzekać. Flawiusz służył w wojsku i była wojna — czyż trzeba więcej? — Tak, istotnie, więcej nikomu nie trzeba. Ale pomiędzy wojskiem a wojskiem, pomiędzy wojną a wojną bywa często wielka różnica. A pomiędzy wojną prowadzoną w północnych Włoszech a wojną rzuconą do Włoch południowych i w najodleglejsze ich kąty, była zaprawdę różnica. Pokój zresztą, w Campo-Formio zawarty, nietylko tę różnicę jasno wyświecił, ale głowom myślącym otworzył także oczy na rzeczy inne. Inne i bardzo inne, bo innym jest wielki bohater występujący w obronie wielkiej idei — a innym wtedy, kiedy frymarczy temi samemi krainami, których się zbawcą ogłosił... Te i tym podobne, z samego ówczesnego położenia legionów wynikające uwagi, postawiły w oczach Jędrzeja i położenie terażniejsze Flawiusza w innem zupełnie świetle i zdało mu się, że Flawiusz nieby na tem nie stracił. To przekonanie, oparte w samej istocie wówczas na bardzo prawdopodobnych wnioskach, było powodem, że Jędrzej jeszcze o tyle więcej zaczął się zajmować Flawiuszem. Młody ten człowiek, jego tak szczery, tak szlachetny przyjaciel, jego wybawca od śmierci, pasujący się ciągle z głodem, nędzą i krwawym trudem wojennym, bez żadnego pewnego widoku przed sobą... Młoda dziewczyna, usychająca z tęsknoty tutaj i niewidząca szczęścia dla siebie gdzieindziej, jak w urzeczywistnieniu swojej miłości tracącej już prawie ostatki rozproszonej nadziei... Połączenie tych dwojga ludzi ze sobą, zapewnienie im bytu i szczęścia i nagrodzenie tem szczęściem tylu ich cierpień i bólów, znoszonych z taką szlachetnością a tak zupełnie bez winy — było tedy na te-

raz jedynem Jędrzeja marzeniem, było jego nieugaszonem pragnieniem, które kto wie jaką byłby opłacił ceną, gdyby je mógł był ugasić.

Jakoż czynił on ku temu celowi różne zabiegi, różne usiłowania.

Ale niestety! wszystkie te usiłowania były z winy okoliczności tego rodzaju, że już z góry niewielką zapowiadały nadzieję.

Najpiękniejszą byłoby rzeczą, gdyby był Jędrzej mógł się dostać do serca starosty bełzkiego i jego przyjąć do wspólki w swoich usiłowaniach do sprowadzenia Flawiusza do kraju, — ale to było niepodobna. Starosta bowiem zaraz po śmierci Melanii wyjechał do Paryża i do dziś nie powrócił. Bliżsi znajomi jego powiadali nawet, że z Paryża wyniósł się do Marsylii i tam się stale osiedlił. Wszystkie listy Jędrzeja, pisane do niego, zostały bez odpowiedzi.

I tak także bez odpowiedzi zostały listy do Flawiusza pisane. Zgłaszania się do niego na ręce prywatne nie przyniosły także żadnego skutku. Stan całej Europy był wtedy taki, że nie było żadnej pewnej komunikacji, — i stąd miał Jędrzej, pomimo najlepszych chęci, jak najzupełniej związane ręce.

Tak minęło dwa lata z górą — i nadszedł nareszcie rok ostatni ubiegłego stulecia.

Ten rok był w ogólności taki sam prawie, jak te trzy lata, które go poprzedziły. Zmniejszył on nawet jeszcze oczekiwania, a powiększył zwątpienia. Do głównych wypadków bowiem przybyła wprawdzie egipska wyprawa i 18 brumaire, — ale przybyło także owo smutne rozproszenie legionów, którego sceną była Marsylia, a które tyle goryczy rozlało po wszystkich sercach. Co miało dalej nastąpić, któż mógł odgadnąć? któż mógł odplatać tę powikłaną siatkę zamierzonych wydarzeń, której wszystkie końce składających ją nici zbiegały się coraz więcej w rękę jednego człowieka?

Jednak jakkolwiekbydź, — jeżeli tylko Flawiusz nie przyłączył się do wyprawy na San Domingo, o czem

wszakże godziło się powątpiewać, — to była to teraz najstosowniejsza pora do sprowadzenia go do ojczyzny. Jakoż, jak tylko wiadomości nadeszły o owym smutnym stanie, w jakim się znajdowały resztki legionów, rozłożone po okolicach Marsylii, Jędrzej zaraz nowe kroki poczynił ku temu. Porozpisywał listy do Flawiusza, do skarbnika i różnych innych kolegów, porozysłał je rozmaitemi drogami, posłał nawet pieniądze na ręce jednego z paryzkich bankierów. Wszystko to porobił on jeszcze z końcem roku 1799, — ale od tego czasu minęło kilka długich i najnudniejszych miesięcy, nadszedł ostatni rok minionego stulecia, zbliżała się już wiosna, przyszła już nawet nakoniec, — ale na wszystkie listy nie odpowiedziało nawet ani najgłuchsze echo. Cały dwór jaćmierski był w humorze pośepnym a często nawet i w smutku.

A tymczasem w Jaćmierzu była już wiosna.

I był to jeden z najpiękniejszych jej dni, — dzień taki sam prawie, jakim był ten, kiedy Flawiusz tu po raz ostatni przyjechał, ażeby Ernestynę jeszcze raz tylko obaczyć i pożegnać na zawsze...

Więc tak samo jak wtenczas, zachodzące słońce świeciło jeszcze w całej swojej jasności na niebie majowem bez chmurki, — po ogrodzie, ocienionym bujnymi kłombami drzew i krzewin najwyborniejszych, roznosiła się woń jaśminu, fiołków i róży, — w gęstwie zarośli brzmiały całe chóry drobniotkich ptaszątek, — z kąta ogrodu poczynały się już odzywać pierwsze tony strojącego swą lutnię słowika, — starannie utrzymane gazony podścielały swoje pyszne kobierce aż pod wystawę pałacu, — i wszystko było tak pełne światła, swobody, życia, że najpiękniejszy salon zdawał się dzisiaj więzieniem.

Wszystkie też osoby, składające nieliczną pałacową załogę, wyniosły się do ogrodu i zabrały miejsca właśnie na owym najwyższym wzgórku, z którego Ernestyna niegdyś po odjeździe Flawiusza tak długo jeszcze patrzyła na drogę prowadzącą na Zachód.

Na tym wzgórku stało w kole osiem ogromnych jaworów, które niegdyś stanowiły najdzikszy ustęp ogrodu

i były tylko jego naturalną ozdobą. Ale pomimo to, miejsce to było jednym z piękniejszych, — stąd można było przejrzeć jakby na dłoni całą wielką, kilkumilową równinę, rozścielającą się aż pod Beskidy, — stąd było widać drogę wiodącą ku Zachodowi, — z Zachodu cały dwór tutejszy oczekiwał spełnienia swoich najpiękniejszych nadziei, — i Jędrzej sobie upodobał to miejsce. Kazał tedy oczyścić i usypać ścieżkę wygodną do niego, — boki wzgórzka obsadził wiecznie kwitnącymi kwiatami, — pomiędzy drzewami popostawiał kanapki, na środku stolik duży kamienny, — i nazwał to miejsce, jak był zwyczaj u nas natenczas, Wzgórkiem Oczekiwania.

Tutaj tedy i dzisiaj całe towarzystwo zasiadło i prowadziło jak zwykle swoją codzienną rozmowę. Rozmowa ta, jeżeli jakich świeżych wiadomości nie było, kończyła się zwykle na tem, że Jędrzej zaczął opowiadać jakąś scenę z kampanii, albo opisywać kraje i miasta, które widział podczas podróży i wojny. I dzisiaj także tak było.

Ale wtem, podczas jego opowiadania, dała się słyszeć na dalekim gościńcu trąbka pocztowa. Wszyscy zwrócili na to uwagę, bo nie chodziła tedy natenczas tylko piesza poczta listowa, — ale zwrócili uwagę tylko na tony trąbki, które rozchodząc się po szerokiej dolinie, z dziwnym jakimś urokiem i dźwiękiem odbijały się o gęste lasy szpilkowe, okrywające góry za pałacem jaćmierskim. Jednakże na Ernestynie odgłos tej trąbki zrobił jakieś dziwne wrażenie. Cała twarz jej się zmieniła, oddech zaparł się w piersi i oczy mimowolnie opadły ku ziemi. Zdawało się w tej chwili, jakby była w modlitwie. Ale nikt tego nie uważał...

Tymczasem tony trąbki się coraz więcej zbliżały, — a nareszcie pokazał się powóz wielki podróżny, uprzążony czterema końmi, i powóz ten skręcił na drogę prowadzącą ku pałacowi.

Widząc to, Jędrzej rzekł do przytomnych:

— Mamy jakiegoś gościa. Ale któżby to mógł być taki?

— Ktoś zdaleka — zauważyła Stasia.

— A zapewne, że zdaleka — rzekł Jędrzej — kiedy nie swymi końmi; ale w każdym razie chodźmy go witać.

Z temi słowami zebrali się wszyscy i poszli ku pałacowi.

Powóz podróżny już był wtedy przed gankiem, wychodzącym w dziedziniec.

Jakoż nim jeszcze doszli do wystawy pałacu, wychodzącej na ogród, — na tej wystawie pokazał się jakiś człowiek, po francuzku i całkiem czarno ubrany, który stanął na wschodach, rozejrzał się po ogrodzie a obaczywszy towarzystwo idące wolnym krokiem po ścieżce szerokiej, zaczął biedz prawie ku niemu.

Za chwilę gość ten spoczywał w ramionach Jędrzeja, — był to Flawiusz.

Flawiusz wyglądał dzisiaj całkiem inaczej. Zmęźniał do niepoznania, — różrósł się w barkach i zrobił się muskularnym i silnym, — na jego twarzy spalonej, oprócz wąsów i bakenbardów, widać było kresę głęboką, — i zgoła cały nie wyglądał już dzisiaj jak owa blada i wiotka roślina, wypielegnowana sztucznem ciepłem marzeń i namiętności drobniutkich, ale jak mąż dojrzały, wychowany wśród trudów rzeczywistego życia i czynów.

Przybycie jego sprawiło wszystkim mieszkańcom jałmierskiego pałacu niewymowną uciechę. Prócz Ernestyny, umiejącej bezustannie panować nad sobą, wszyscy też tę uciechę okazywali jawnie i oddawali się niepohamowanej radości.

I Flawiusz także cieszył się z nimi serdecznie i jawnie, widać było po nim, ile mu dzień dzisiejszy przynosił szczęścia, — ale przecież przy tej radości zachowywał tyle powagi, tyle wstrzemięźliwości, że zdawało się, jakby do zupełnego szczęścia jeszcze mu czegoś nie dostawało, albo przynajmniej, że ta powaga stała się jego stałym przymiotem.

Taką samą powagę czy wstrzemięźliwość zachowywał on także i we wszystkich swoich rozmowach. Co się týczyło wojny, legionów, kolegów, przyjaciół i tak dalej, nie miał on nic do zatajenia przed nikim; ale co do swojej

osoby, nikomu nie powiedział. Nawet dla Jędrzeja był on pod tym względem do tego stopnia zamkniętym, że nie zdradził przed nim ani jednej ze zwoich dzisiejszych myśli, ani jednego uczucia — a kiedy go Jędrzej po kilkakroć to z tej, to z owej strony o niego samego zapytał, tak prędko i tak widocznie zawsze odpowiedź ominął, że jego przyjaciel stracił na koniec nawet odwagę zapytywania go o cokolwiek.

Było to Jędrzejowi niezmiernie przykro. Chciał on koniecznie przyczynę tego odgadnąć, ale było to niepodobnem. Wpadło mu na koniec w oko to całkiem czarne Flawiusza ubranie, które, ile że teraz już wcale nie modne, bardzo przypominało żałobę, — jednak myśl o tem jeszcze tem mniej go mogła naprowadzić na jakiś domysł prawdopodobny, i Jędrzej, mimo całej niecierpliwości, musiał umilknąć nareszcie i czekać cierpliwie, póki to, co mu się zdawało jakąś tajemnicę ukrywać, samo z siebie się nie rozwiąże.

Tak minęło dni kilka a może zresztą i więcej.

Przez ten czas wszakże, uważali to wszyscy, Flawiusz, lubo nadzwyczaj poważny i coraz więcej milczący dla innych, nadzwyczajnie rozmownym i uprzedzającym był dla hrabianki. Jego oczy obracały się za nią wszędzie jak słonecznik za słońcem, szukał jej towarzystwa widocznie i nawet skwapliwie, a kiedy mu się udało zawiązać z nią rozmowę sam na sam, mijały czasem całe godziny, nim potrafił ją skończyć.

Spostrzeżenie to cieszyło Jędrzeja i wszystkich, — jakoż kto tylko żył w domu, każdy do tego pomagał, bo też nie było nikogo, ktoby sobie z całego serca nie życzył jak najprędszego zbliżenia i połączenia się tych dwojga ludzi na zawsze.

Sprawa ta nawet zdawała się istotnie brać jak najlepszy kierunek, — Flawiusz się stawał codziennie mniej poważnym a więcej serdecznym, — na Ernestynie nie było już ani śladu dawnego smutku, — o czem Jędrzej, przekonawszy się z wszystkich najpierwszy, z coraz większą

pewnością oczekiwał dnia tego, w którym staną przed nim oboje i zapowiedzą mu swoje szczęśliwe postanowienie.

Jakoż istotnie dnia jednego z południa, właśnie w tej chwili, kiedy Jędrzej w swoim gabinecie z żoną i matką o tem rozmawiał, jak już ma wszystko przygotowane do tego, ażeby szczęście swoich młodych przyjaciół zapewnieniem im dobrego materyalnego bytu uzupełnić i ugruntować, — cali promienni szczęściem i ręka w rękę ze sobą stanęli przed nim Flawiusz i Ernestyna.

Obaczywszy ich tak wchodzących, i Jędrzej i podkomorzyna i Stasia domyślili się zaraz, że ta chwila solenna, której tak gorąco pragnęli, już nadeszła — i powstałi wszyscy z miejsc swoich, drżąc pod wrażeniem miłego oczekiwania. Jakoż Flawiusz zaraz głos zabrał, mówiąc:

— Kochany Jędrzeju! zastępujesz pannie Ernestynie ojca i matkę, jeżeli nie masz nic przeciw naszemu związkowi, udziel nam twego błogosławieństwa.

To mówiąc, chcieli przed nim uklęknąć, — ale Jędrzej ich schwycił oboje i przycisnąwszy razem do swojej piersi, jak dziecko się nad nimi rozpłakał.

Przy tej scenie nikt się nie mógł od łez powstrzymać, — i trwała chwila milczenia, w której było słyhać tylko łzy głośnie i wzajemne uściski.

Wszakże wśród tych łez jeszcze i serdecznych uścisków, Jędrzej głos swój odzyskał i tak mówił:

— Błogosławię was z całej duszy mojej... z całego serca... Bóg widzi, ile szczęścia wam życzę... Bóg widzi także, że gdyby wam miało go braknąć, zawsze będę gotów połowę mego własnego odstąpić... Ale mam nadzieję, że tego nie będzie potrzeba... Wy sami posiadacie to wszystko obficie, co stanowi fundament szczęścia w małżeństwie — a czego wam nie dostaje, bierzcie odemnie. Więc Ernestyna niechaj sobie zaraz odbierze majątek szlązki, a ciebie, kochany Flawiuszu, proszę na wszystko, ażebyś mi pozwolił zastąpić ci opiekuna i ojca...

To mówiąc, podał mu rękę. Flawiusz ją objął i z całej siły uściśnął, ale odpowiedział na to:

— Z całego serca ci dziękuję i wdzięcznym będę do

śmierci za twoje najlepsze, nieporównane chęci. Wiem jakąbyś ci sprawił uciechę, przyjmując twoją ofiarę — i przyjąłbym ją pewnie, bo od takiego przyjaciela każdą pomoc przyjąć się godzi. Ale niestety! okoliczności są takie, że ani ja, ani Ernestyna nie od ciebie przyjąć nie możemy. Jesteśmy bowiem, jak na takie sieroty, jakiemiś byli dotąd, aż zanadto bogaci...

Te słowa zrobiły na słuchających osobliwsze wrażenie. Nikt się ich nie spodziewał, nikt nawet nie rozumiał. Jędrzej stał jakby zdumiony — i nie wiedział, coby miał mówić.

Widząc to Flawiusz, ujął za klapę swej sukni i rzekł do niego:

— Ty się dziwisz temu, bo nie wiesz skądbyś mógł tak nagle przyjść do majątku. Ale patrz, jestem w żałobie. Ta żałoba przyniosła mi niewymownie wiele boleści, największą może, jakiej kiedykolwiek doznałem w życiu; ale ta żałoba zrobiła mnie także bogatym...

— Przez Pana Boga! — zawołał Jędrzej więcej zdziwiony, niż przestraszony — miałażby ta żałoba być po twym ojcu?

— Tak jest — odpowiedział Flawiusz, spuszczać oczy ku ziemi — po moim ojcu, który umarł na moich rękach w Marsylii dnia piętnastego marca...

Tu Jędrzej chciał rozpytywać dalej Flawiusza, ale dalsza rozmowa stała się niepodobną; Flawiuszowi bowiem, po niedawnych łzach radości i szczęścia, stanęły teraz w oczach łzy bólu, z którymi, aby nie wywołać podobnego uczucia u wszystkich, musiał wyjść na chwilę do przyległego salonu. Kiedy uspokojony cokolwiek znowu do towarzystwa powrócił, już go nikt o nie takiego nie pytał, co by choć tylko zdaleka przypomniało śmierć jego ojca, jakoż później dopiero opowiedział on Jędrzejowi, jakim sposobem zeszedł się przecie nakoniec ze starostą i jakie były jego ostatnie chwile.

Była to długa i może nawet ciekawa historia — walka ta bowiem, jaka się w starym, zakamieniałym grzeszniku odbywa pomiędzy jego złymi nałogami a resztkami nie-

dobitego jeszcze sumienia, przedstawia zawsze zajmujący fenomen; — w tym razie jednak wystarczy także, jeżeli opowiemy ją krótko.

Owo więc śmierć Melanii sprawiła na staroście bardzo głębokie wrażenie. Oprócz mimowolnego ożenienia się z matką Flawiusza, chciał on się żenić dwa razy, dwa razy był już swego celu tak blizki, że tylko miał przystąpić do ślubu — ale obadwa razy jakaś ręka straszna, choć niewidoma, oderwała go gwałtem od ostatecznego spełnienia swoich nadziei. I oderwała go w sposób taki, jakby mu wyraźnie chciała powiedzieć, że nie powinien się kusić o takie szczęście: bo raz swoją pokusę omal że nie opłacił własną śmiercią na wojnie, drugi raz opłacił ją śmiercią swej narzeczonej. Opatrzność chciała koniecznie zrobić z niego pocziwego człowieka — ale on nie chciał. Ostatnie jednak zdarzenie otworzyło mu oczy i rozbudziło w nim oniemiały już prawie głos jego sumienia. Ażeby ten głos zagłuszyć, pojechał on do Paryża. Miasto to bywało niegdyś niezłem na takie choroby lekarstwem — ale nie stało się niem dla starosty. Nie był to bowiem już wówczas ów Paryż dawny, Paryż królewski, w którym starosta przepędził kilka lat swojej młodości... jakoż dzisiaj nie mógł on w nim znaleźć żadnej dla siebie pociechy. Wyjechał więc stamtąd na południe i osiadł w Marsylii. Ale głos jego sumienia powstawał coraz zuchwalej a opanował go już prawie zupełnie, kiedy mu przyszły w pomoc inne wypadki. Wypadkami zaś tymi była najpierwej jego własna starość, która przy roztrwonionem zdrowiu sprowadzała za sobą coraz większą niemoc fizyczną — a powtórę ciągle i bardzo korzystne wieści o Flawiuszu, który się znajdował naówczas w południowych Włoszech, doprowadził już do stopnia podpułkownika i adiutantując przy głównym sztabie, znany i ceniony był prawie powszechnie. Tak, to własnem sumieniem, to widokiem niedalekiej już śmierci, a zresztą i głównie osobistemi zaletami Flawiusza niewolony z kolei, postanowił narreszcie starosta uczynić zadość swemu obowiązkowi i zawezwał swego syna do siebie. Lubo pewny tego, że Fla-

wiusz na pierwsze wezwanie zaraz do niego przyleci, byłby się jednak zawiódł na nim starosta — bo Flawiusz miał już teraz pewną drogę przed sobą i nie myślał wcale z niej zbaczać — ale tymczasem skończyła się właśnie kampania w południowych Włoszech i Flawiusz w marszu przyszedł do Marsylii. Tak więc sam los spełnił nareszcie to, co już tak dawno oczekiwało spełnienia — i spełnił właśnie natenczas, kiedy z każdego względu była najstosowniejsza pora do tego.

Jednakże, lubo Flawiusz tak niespodziewanie i w jednej chwili odzyskał ojca, imię i znaczną fortunę, nie przyniosło mu to takiej pociechy, jakiejby się można spodziewać, przypominając sobie, z jaką gorączkową namiętnością niegdyś odzyskania tego wszystkiego pragnął. I była to rzecz bardzo naturalna. Dzisiaj bowiem był on wcale innym człowiekiem, i nie tylko inaczej się zapatrywał na znaczenie takich i tym podobnych dóbr doczesnych w tem życiu, ale też i położenie jego dziś było inne. Dzisiaj nie potrzebował on już koniecznie dziedzicznego imienia, bo je miał własne, własną pracą i trudem zdobyte — nie potrzebował także koniecznie fortuny, bo i tę znalazł w swoim stopniu wojskowym i swoich zdolnościach — jeżeli więc, które z tych dóbr odszukanych mogłoby mu było przynieść rzeczywistą pociechę, to tylko pierwsze, tylko odzyskanie dla siebie straconego ojca. Ale tego ojca odzyskał on w ten sposób, który go nie mógł wcale pocieszyć, odzyskał go bowiem prawie li na to, aby go pochować. Najszcześniejszy tedy obrót tej sprawy, która mu się niegdyś zdawała najważniejszą kwestyą życia, nie przyniósł mu takiej pociechy, na jaką teraz już z każdego względu zasłużył — ale musiało to być koniecznem, a nawet i sprawiedliwem, kiedy się z woli Bożej tak stało.

Jednakże, jeżeli te odziedziczone bogactwa, nie ucieszyły Flawiusza, to jeszcze mniej ucieszyły Jędrzeja. Nie dlatego, ażeby mu Jędrzej bogactw nie życzył, o czem nawet nie można pomyśleć — ale dlatego, że ta sukcesya odebrała jemu sposobność udowodnienia Flawiuszowi czynnem jak dalece go teraz kochał i cenił. Tą nadzieją, tą

myślą Jędrzej się cieszył jakby najdroższym swego serca klejnotem — chwili tej, w której Flawiusza z Ernestyną połączy i własną ręką zbuduje podstawę ich materialnego bytu, oczekiwał on tak jakby swego zbawienia — a tymczasem ta chwila nadeszła i pozwoliła mu być tylko świadkiem tego szczęścia, którego pragnął być sprawcą. Kto sam na sobie tego doświadcza, jaką to jest rozkoszą czynić dobrze swym przyjaciołom, ten pojmie z łatwością, jaki to może przynieść smutek, kiedy już przygotowanego takiego czynu spełnić nie można — ale na taki zawód musiał sobie Jędrzej także czemsiś zasłużyć, bo Opatrzność lubo w dziwne nieraz sposoby wymierza nagrody i kary, nie jest przecież nigdy niesprawiedliwą. Takie więc jeszcze drobne zawody i smutki towarzyszyły ostatniemu rozwiązaniu wypadków.

Były one wszakże zanadto drobne, ażeby mogły stanowczo zamącić to szczęście, które stanowiło o losie życia.

Jakoż do ostatecznego spełnienia tego szczęścia przystąpiono jak można było najspieszniej.

Do ślubu Flawiusza z Ernestyną potrzeba było jeszcze dyspensy, bo hrabianka była mu ciotecznie-rodzoną siostrą — ale tę dyspensę, przy pierwszym o niej wspomnieniu, Flawiusz dobył gotową ze swojej teki podróżnej, bo będąc w Rzymie naprzód ją sobie wyrobił. Wypadek ten mógł wprawdzie rzucić na niego podejrzenie o zanadto wielką pewność siebie, a stąd może nawet o zarozumienie; ale ponieważ ten wypadek jeszcze daleko jawniej dowodził tego, jak Flawiusz zawsze niezmiennie myślał o tem, aby do Ernestyny powrócić — więc przyniosło to wszystkim tylko tem więcej pociechy.

Już więc w parę tygodni potem przystąpiono do ślubu.

Flawiusz i Ernestyna, czując tak dobrze jak Jędrzej, ile błyszczące pompy i niepotrzebne hałasy nie odpowiadają takiej solennej chwili, chcieli także, ażeby ich ślub się odbył w cichości — ale Jędrzej, zawiedziony we wszystkich swoich dobroczynnych nadziejach, nie chciał w żaden sposób odstąpić od tego, aby ich nie uczcić przynajmniej suto weselem.

Jakoż istotnie, kilkodniowe festyny, huczne biesiady i tańce z iluminacją ogrodu, przy której Wzgórek Oczekiwania jaśniał tysiącami lamp najpiękniejszych, uświetniły ślub młodej pary — i uświetniły go w sposób tak rozgłośny i dla wszystkich pamiętny, że jeszcze do dziś dnia błakają się tu i owdzie szczegółowe o nim wspomnienia.

Po ślubie państwo młodzi wyjechali do dóbr swoich, rozrzuconych w Lubelskiem i Bełzkiem, obiecując wszakże odwiedzać często swoich przyjaciół w Jaćmierzu i nawzajem ich zapraszając do siebie, aby ile możliwości wspólnie się cieszyć tem szczęściem, które się nareszcie spełniło, ale kosztowało tyle poświęceń i ofiar.

EPILOG.

Taką jest tedy ta powieść, która się wplotła w życie Ostatniego z domu Nieczujów, przed jego wyjściem na wojnę.

Kończąc opowiadanie ostatnich jej zdarzeń, nie wspomnieliśmy nic o nim samym.

Nie stało się to przez zapomnienie, — tylko dlatego, że wtedy nie było o nim żadnej wiadomości tak pewnej, żeby ją warto było powtórzyć. Wiadomo było, że miał udział w kampanii prowadzonej w południowych Włoszech, — był w Rzymie i na brzegach Sycylii, — przybył potem wraz z innymi do Marsylii, — ale coby się z nim stało po owoczesnem rozprószeniu legionów, nikt z pewnością nie wiedział.

Od tego też czasu wieść o nim zginęła zupełnie, i na długo.

W długiej ciszy mijały lata.

W tych latach, zwłaszcza natenczas, kiedy wojny francuzkie przerzucały się w środek Europy, a nakoniec i dawnej Polski dosięgły, przybiegały czasem jakieś echa niepewne o nim, — ale te echa były tak rozmaite, że z nich nie można było przyjść do żadnej pewności.

Przyzwyczajono się wreszcie do tego, aby nie o nim nie wiedzieć, — i wspominano go już tylko jakby jakąś pieśń lub legendę, którą niegdyś wszyscy znali i umieli

na pamięć, lecz z czasem, nauczywszy się nowych, zapomnieli...

On już sam wtedy stał się jakby legendą. Wyobrażenia nowego świata napierały się gwałtem w krainę rzeczywistego życia, rugując wszystko, co z niemi nie licowało, w krainę podań i pieśni. Tak i o nim opowiadano sobie, już prawdziwe, już pomyślane powieści. Ową celę zagórskiego klasztoru, grób jego, oglądano ze czcią wprawdzie, takim pamiątkom należną, — ale i z ciekawością także, młodemu pokoleniu właściwą, pragnącą nietylko słyszeć, a wreszcie widzieć, ale i *wiedzieć* także, co się znajduje pod tym napisem, co zamykają drzwi żelazne na takie zamki zamknięte? — Jakoż namawiano niejednokrotnie mnichów, aby otworzyli tę celę i rzeczy bezużyteczne leżące oddali na użytek publiczny. Budziły się bowiem już natenczas w ludziach te żądze, bardzo rozumne, ale niemniej materyalne, które przed wszystkim innem pragną *pożytku*, a z których później wyrobił się duch i charakter dziewiętnastego wieku... Ale mnichowie zagórscy byli to ludzie starzy, mniej mający rozumu a więcej serca, mniej żądzę pożytku a więcej czci dla cudzej i własnej godności, — i nie pozwolili póty otwierać celi, póki by nie przyszła wieść potrójna o śmierci skarbnika...

I tak minęły wszystkie lata wojen i owych walk tytanicznych, w których się pasowały ze sobą główne żywioły dwóch światów.

I przyszedł wreszcie rok 1813.

Była to późna już jesień. Niebo się obciągnęło ciężkimi, deszczowemi chmurami, pod ustawicznymi słotami cała roślinność zwiędła i upadła ku ziemi, drogi porosły błotem, a na polach stały całe jeziora pełne błotnistej wody, cała ziemia pływała jakby w mgłach nie przejrzystych i zmroku: zdawało się, jakby się cały świat Boży, niedawno jeszcze tak słoneczny i jasny, cofnął w owe wieki pochmurne, o których nam tylko niezrozumiałe bajki przynoszą dzieje...

Owóż na takim dniu jednym owej chmurnej jesieni, drogą wiodącą od Sanoka ku Zagórzowi, jechała furka

chłopska, uprzężona parą maleńkich koników. Na tej furce, za plecyma ciągle batogiem ćwiokającego parobka, siedział starzec jakiś, czerstwy jeszcze, ale już białowłosy, wyprostowany niby, ale już przygarbiony. Miał on na sobie jakiś rodzaj kapoty, do starodawnego żupana podobnej i ciemnego koloru czworograniastą czapkę na głowie, i w tem ubraniu siedział na owej furce, oglądając się z wielkiem zajęciem po okolicy. Niektórym miejscom, niektórym górcom przypatrywał się z takim wyrazem na twarzy, jakby je znał niegdyś dawniej, i teraz się dziwił, że to wszystko jeszcze stoi na swoim miejscu. Wszakże jak po tej krętej pagórkowatej drodze co moment inne się jego oczom przedstawiały wyrazy, — w jego sercu zapewne coraz inne się malowały uczucia, — staruszek był jakby w ustawicznym wzruszeniu. Kiedy klasztor zagórski obaczył, spojrział na niego z żywym zajęciem i zastanowił się na chwilę, wszakże niebawem się ocknął i kazał czempredzej pośpieszać do dworu, sam zaś przeżegnał się, złożył ręce przed sobą i zaczął mówić modlitwę. Czy dziękował za coś swojemu Stwórcy, czy prosił o coś, trudno było odgadnąć.

Wkrótce potem furka się zbliżyła do dworu. Wszakże staruszek nie dał jej zajechać przed ganek, tylko się zatrzymał przy bramie, mówiąc do swego woźnicy:

— Zaczekaj tutaj przy bramie. Ja tam sam pójde pierwszej — i dodał z westchnieniem — może mnie nie poznają? może ich już nie masz przy życiu!

Z temi słowami zlaźł z wozu i poszedł wolnym krokiem w dziedziniec.

W dziedzińcu odbywała się wtedy jakaś robota. Kończono budowę nowego szpichrza i dużo ludzi kręciło się koło tego. Pod wielkiem drzewem, na darniowej ławeczce, siedział ekonom, który tej roboty doglądał. Była to potężna, barczysta figura, o czerwonych policzkach, sitarskim wąsie, w lisiej czapce na głowie, w półciemnym kubraku, na którym kurta z lisami, w jednej ręce bizun boćkowski, w drugiej różaniec. Do tej tedy figury zbliżył się staruszek i powitał ją jak zwykle po Bogu. Ekonom oddał

mu powitanie, lecz nie ruszając się z miejsca, zaraz zapytał:

— Czegoż waść żądasz?

— Chciałbym się z państwem zobaczyć — odpowiedział staruszek — czy są w domu?

— Tu niemasz żadnego państwa — rzekł na to ekonom — tu ja sam mieszkam i koniec. Państwo siedzą w Tarnawie.

— Jakto? to pan Rudnicki, pani podkomorzyna sędowska zakupili Tarnawę!

— Pan Rudnicki! Pani podkomorzyna sędowska! — powtórzył jakby z ironią ekonom — waść widzę obcy tu jesteś. A toć pan Rudnicki nigdy tutaj nie mieszkał... jak mieszkał dawniej, tak i dziś mieszka w Jaćmierzu.

— Tedy w Jaćmierzu mieszka Rudnicki — powtarzał znowu z kolei staruszek — a pani podkomorzyna, zapewne bawi przy dzieciach?

Wszakże kiedy to mówił podróżny starzec, zbliżyła się do niego jakaś młoda i wcale piękna kobieta, która bardzo skromnie lecz czysto ubrana, przypatrywała mu się już od niejkiej chwili z wielkiem zajęciem. Kiedy zaś postawił to zapytanie ostatnie, ona się jeszcze więcej zbliżyła do niego i zapytała prawie naiwnie:

— A dlaczego się jegomość pytasz o panią podkomorzynę?

— Tak... — rzekł staruszek, przypatrując się nieznamomej kobiecie — chcę się z nią widzieć.

— A czy jegomość znałeś kiedy panią podkomorzynę?

— Czy ja ją znałem?... moje dziecko, dawniej ją znałem, niżeli ty jesteś na świecie.

— Ej! — zawołała na to młoda kobieta, uderzając w ręce przed sobą i zaglądając w twarz staruszkowi — czy jegomość nie jesteś dawny pan z Bóbrki? jp. skarbnik dobrodziej?

— Czy mnie znasz, moje dziecko?

— A jegomość to jesteś? — zapytała naiwna kobieta, chwytając go z radością za rękę.

— Tak, moje dziecko, ja jestem skarbnik, ale któż ty jesteś?

— Ach! to jegomość to jesteś! — wołała teraz nieznajoma kobieta, ściskając go za obydwie ręce — jakże mi serce skacze z radości! Oh! toż ja jegomości przecie raz widzę! A jużem się tak modliła co soboty w kościele i tak Pana Boga prosiłam, żebym też choć raz jegomości widziała! Otóż Pan Bóg mojej prośby wysłuchał, — i już widzę teraz mego dobrodzieja! Bodajże jegomości Pan Bóg dał zdrowie i panowanie na wieki!

— Ale któż ty jesteś? moje kochanie — pytał skarbnik więcej rozczulony, niżeli zdziwiony tą pocziwą uciechą nieznajomej kobiety; ale ona przerwała mu prędko, mówiąc dalej:

— A jegomość mnie nie znasz? nieprawda? bo mnie też i nie możesz znać, boć ja byłam jeszcze w kolebce natenczas, kiedyś jegomość się był przybrał na wojnę. Otóż ja powiem jegomości, że ja jestem Marcyanna, córka jegomościennego dyspozytora z Bóbrki, a wnuczka podstarościego. A teraz już pamiętasz jegomość? Toż to ja i jegomościna córka jestem po prawdzie, boś mnie jegomość do chrztu trzymał przez mego dziadka i dlatego mi dano na imię Marcyanna, bo jegomości Marcin przecie? nieprawda! I jegomość dałeś mi wtenczas sto pięćdziesiąt czerwonych na krzyżmo, to żeby jegomości Pan Bóg dał za to zdrowie! bo wiedz jegomość, że mnie te pieniądze szczęście przyniosły: dostałam dobrego męża, który jest tutaj leśniczym, trzymamy sobie folwarczek, Pan Bóg nas błogosławi z jegomościenną łaską i jesteśmy szczęśliwi. A codzień sobie jegomości z moim mężem przypominamy i co sobota regularnie bywamy w kościele, gdzie się msza święta odbywa za jegomości, aby zdrowo i prędko powrócił. Otóż jegomość taki wrócił! niechże jegomości Pan Bóg da zdrowie!

Jak umiała, tak okazywała swoją radość serdeczną tą pocziwą kobietą, a lubo przemowa jej nie była ani bardzo gładka, ani wymowna, trafiła ona skarbnikowi tak dobrze do serca, że mu aż łzy stanęły w oczach. W tem

rozzewnieniu ujął on ją obydwoma rękami za głowę i rzekł:

— Niechże i tobie Pan Bóg da zdrowie, że mnie tak witasz pocziwie. Jeszcze też świat może nie zginie, kiedy takie serca się na nim chowają.

To mówiąc, patrzył na nią z głębokiem rozzewnieniem.

Marcyanna przypatrywała mu się ciągle z wielką radością, ale w tej chwili twarz jej obciągnęła się jakby wyrazem smutku, przyczem złożyła ręce przed sobą i zapytała głosem już niewesołym:

— Tak jegomość do nas powrócił!... ale cóż jegomość poczniesz teraz ze sobą? Bo ja muszę jegomości powiedzieć, ale niech się jegomość nie martwi... muszę jegomości powiedzieć, że pani podkomorzynnej już niema na świecie...

— Niemasz jej! — krzyknął skarbnik — umarła! i dawno już jak umarła?

— Oh! już będzie lat może ze trzy — odpowiedziała ze smutkiem Marcyanna — ej! ale niech się jegomość nie martwi, taka była wola Pana Boga, cóż my biedacy możemy zrobić przeciwko temu?...

— Umarła siostra moja!... — powtórzył jeszcze raz skarbnik — a córka jej, a zięć, przecież żyją?

— O! państwo młodzi żyją i zdrowi i dobrze im się powodzi... ale niechże się już jegomość nie martwi. Ot! patrz jegomość! i mnie także moi pomarli. Dziadek już dawno, no! już też był w wieku! ale mój ojciec, taki młody jeszcze, a umarł! i matka moja, jeszcze młodsza, a także już nie żyje! pochowaliśmy ją w tym roku. Pan Bóg tak chciał, to i cóż robić! Ot i jegomość się nie martw, i nie martw się tem, co teraz poczniesz ze sobą. Słuchaj mnie jegomość! co tam jegomości szukać gdzie u cudzych pożytku, chodź jegomość do nas, my go przyjmujemy z chęcią, z radością, my jegomości tak pielęgnować będziemy, jak ojca. Niemasz tam u nas pałacu, ani dworu, ale mamy dwie czyściuteńkie izdebki i jedną zaraz uprzątniemy dla jegomości, a już co tylko w domu się znajdzie, a choćby też i z miasta sprowadzić, wszyskiem będziemy gościć od

serca. Będiesz jegomość u nas jak u Pana Boga za drzwiami. Jać tam wiem o tem, że ojcowie chowają dla jegomości celę w klasztorze, ja się jej przypatrzyła, bo mi ją pokazano, — ej! ale na co to jegomości! Tam drzwi takie straszne, żelazne jak w turmie, tam i brzydki napis nad niemi. Kiedym go wyczytała, aż mnie mrowie przeszło po plecach. Jegomości by tam sam nie chciał mieszkać... A co jegomość? ot! furka stoi, siądziemy zaraz i pojedziemy, a obaczy jegomość, że się jegomości u nas spodoba...

I to biedactwo chciało się koniecznie dzielić swoim kawałkiem chleba z tym starcem, który niegdyś prawie niechący wyrzucił kilkadziesiąt dukatów dla niej na krzyżmo. Ale taka wdzięczność bywa prawie zawsze w sercach prostych a prawych. Skarbnik słuchał tych słów z rozczeniem, ale tej ofiary przyjąć nie mógł i nie miał zresztą potrzeby. Jakoż podziękował tylko serdecznie pocziwej Marcyannie za jej chęci najlepsze i obiecawszy ją niebawem odwiedzić, wsiadł na furkę i kazał się wieźć do klasztoru.

To był tedy w samej istocie skarbnik.

Jego żelazne zdrowie, jego niezłomny charakter, jego serce zresztą nie umiejące pojąć życia bez poświęcenia, wytrzymały wszystkie te trudy wojenne, na które przez lat kilkanaście składały się nietylko krwawa praca żołnierska, ale nieraz głody i nędza, czasem rany i dokuźliwe choroby.

I wytrzymał on to wszystko w tym wieku, w którym inni już ssą grzanki pod piecem i popijając je piwkiem lub miodem, rozmawiają tylko o wojnach, wysyłając na nie swoich młodych sąsiadów.

Starzec białowłosy i przygarbiony, wracał on dzisiaj z tych wojen tak dalekich i krwawych... oh! gdyby był przynajmniej powrócił do swojego własnego ogniska! ale on wracał do ciasnej, cudzej, zatrzymanej z łaski dla niego izdebki, w której zaledwie było tyle miejsca, ażeby się jeszcze raz na tej zapłakanej ziemi pomodlić i skonać.

Ale i to już było w owej chwili nagrodą, — inni jego towarzysze i tego nie mieli.

Jakoż nie skarżył się na to zrezygnowany skarbnik.

Tylko przedsięwziął sobie zamknąć się zaraz w tym grobie swoim i więcej nigdy już z niego nie wyrzeć.

Tak mu było tęskno, tak smutno na sercu, — jego dawni znajomi i przyjaciele tak już wszyscy wymarli, — cały świat jakoś zrobił się tak całkiem inny, że sam nie wiedział, coby mógł jeszcze mieć do czynienia na tym świecie.

Takiemi uczuciami napojony już od tego momentu, jak przestąpił granicę kraju, a utwierdzony w nich jeszcze lepiej na dziedzińcu dworskim w Zagórze, — nie chciał on już nawet widzieć nikogo, — nie chciał nawet widzieć Jędrzeja i Stasi, — i zmierzał czempredzej do swojego klasztoru.

Tu te smutne uczucia jeszcze bardziej się w nim utwierdziły; z całego bowiem zgromadzenia mnichów, których wszystkich znał dawniej, dziś już ani jednego nie było. Stary gwardyan dawno już umarł, — obadwa ci starzy ojcowie, którzy z gwardyanem odbierali od niego jego depozyt, już także nie żyli; a reszta braciszków poczęści wymarła, a poczęści przeniosła się do innych klasztorów. A lubo jego cela była nietkniętą i nowy gwardyan przyjął go jak można najgrzeczniej, jednak celi otworzyć nie chciał i nawet nie mógł, bo go nie znał zupełnie i nigdy nie widział na życiu. Trzeba tedy było do tego koniecznie Jędrzeja i trza było jechać do niego...

Podróż ta zdała się skarbnikowi niezmiernie przykrą, chciał ją już nawet listownie załatwić: tak nie pragnął nic więcej, oprócz spokoju. Ale gwardyan go przecie nakoniec namówił i zabrawszy go na swoją brykę klasztorną, sam zawiózł do Jaćmierza.

Można sobie wyobrazić z łatwością, jaką jego przybycie sprawiło radość tym ludziom poczeiwym, którzy go tak kochali i prawie czcili.

Jędrzej nie mógł mu miejsca znaleźć w całym swoim pałacu; Stasia nie odstępowała go ani krokiem, a cóż do-

piero dzieci, których było większych i mniejszych kilkoro, a które wszystkie, nie widziawszy go nigdy, znały go przecież jak siebie samych i recytowały mu, jakby pacierze, różne historyjki z jego własnego życia.

Dom ten, pełen staropolskiej zacności, choć może trochę odmienną formą okrytej, to tak serdeczne przyjęcie, to zresztą tak oczywiste dowody, jak go tu ciągle kochano i wspominano, odżywiły zachmurzonego skarbnika. Jego twarz się wypogodziła na nowo, na jego ustach osiadł uśmiech zadowolenia, jego serce było pełne radości i tego szczęścia, jakie mogło być jego udziałem.

Pomimo to jednak, w dłuższych i poważniejszych rozmowach z Jędrzejem, objawiał on tylko smutne myśli i równie smutne uczucia. Uważał to Jędrzej i widząc go trwającego przy swoim dawnym zamiarze zamieszkania w klasztorze, usiłował go odmówić od tego, ofiarując mu u siebie mieszkanie, a zresztą podsuwając mu myśl kupienia dla siebie jakiejś wioski na własność. Wszakże staruszek nie zgadzał się ani na jedno, ani na drugie.

— Żyć między wami — mówił on wtedy — możeby mi było bardzo przyjemnie, ale tylko na krótko. Z czasem, i ja wami, i wy mną byście się tylko znudzili. Nie masz już dzisiaj tych ludzi, z którymibym mógł żyć tak samo, jak żyłem z tymi, którzy się ze mną razem porodzili i wychowali. A zresztą już mi też nie do życia!

Słyszając to Jędrzej i widząc, że skarbnik ma nie całkiem prawdziwe wyobrażenie o ludziach, którzy dziś społeczeństwo składali, sprosił cichaczem wszystkich sąsiadów i wydał niespodziewanie sutą fetę na cześć skarbnika.

Zjechała się szlachta okoliczna tłumami, — skarbnik ich wszystkich poznał odrazu.

Było to prawie całkiem już nowe pokolenie.

Przypatrywał on mu się z początku z wielkiem niedowierzaniem i ciekawością, — ale przypatrzwszy im się z blizka, niebawem niedowierzanie porzucił. Była to bowiem prawie kubek w kubek taka sama szlachta, jaką była ta, która żyła za jego czasów. Taka sama wesołość, taż serdeczność, te same sentymenta, te same gardła na-

wet do starodawnego kielicha, — tylko strój inny, formy cokolwiek inne i może inne powietrze...

Uważał to wszystko skarbnik i rozweselił się z nimi, był serdeczny, rozmowny i opowiadał różne wspomnienia z niedawnych wojen i dawnych czasów. W niektórych chwilach jego wesołość podnosiła się prawie do tego samego tonu, jak za najlepszych czasów; musiał mieć zapewne wtedy złudzenie, że ma i tamte czasy i tamtych ludzi około siebie, ale niestety! było to tylko złudzenie. I spostrzegł się w tem dosyć wcześnie staruszek.

Jakoż jak tylko skończyła się feta i porozjeżdżali się goście, i on do Jędrzeja z pożegnaniem przystąpił, mówiąc:

— Dobrze mi tu między wami, że mi już nie może być lepiej: ale wyście młodzi, jam stary. Wam do świata, a mnie już do grobu. Żyćcie tedy, bawcie się, jeżeli możecie i niech was Bóg błogosławi, — a ja pójdę do mojej celi i będę Pana Boga prosił, ażeby życie wasze nie było tylko samą zabawką.

Wszystkie usiłowania Jędrzeja, aby go odwieść od tego zamiaru, nie przyniosły żadnego skutku.

Skarbnik trwał stale przy swoim, — i wyniósł się do swojej celi klasztornej.

Tam mieszkał i trawiąc czas na pobożnych modlitwach i rozmyślaniach, długo, bardzo długo nie wydalał się ani za mury klasztorne.

Później dopiero, kiedy wojny ówczesne całkiem się skończyły, kiedy się już przetrwały ich skutki i znowu się odbudowała jakaś niby spokojna równowaga w umysłach i sercach, — staruszek zaczął się od czasu do czasu pokazywać po okolicznych dworach i dworkach.

Przypatrywał on się natenczas z uwagą żyjącym ludziom, badał ich uczucia i myśli, porównywał ich z ludźmi dawnych wieków i opowiadał często dłuższe i krótsze powieści z życia ich ojców i dziadów.

Był on wtedy jak gdyby patriarchą tej górnej krainy, był żyjącą kroniką wszystkich zdarzeń publicznych i familijnych, a poświęcając się jeszcze i w zgrzybiałej starości pocziwej służbie około dobra swych bliźnich, nie usu-

wał się od żadnej choćby najdrobniejszej usługi — i jeśli nie był zachęcającym przykładem do naśladowania cnót starożytnych, to był przynajmniej żywym ich przypomnieniem, rozjemcą sporów rodzinnych, a często nawet sędzią do rozgraniczenia wiosek sąsiednich, które znał wszystkie, jakby swoją książkę nabożną.

Jak długo tu żył jeszcze na tej czynnej dewocyi, nie mogliśmy dojść żadnym sposobem.

Rok jego śmierci jest niewiadomym.

Pewna jest jednak, że żył jeszcze długich lat kilka, tu umarł i pochowanym był w tutejszym kościele, gdzie, jak wieść niesie, postawiono mu bardzo piękny nagrobek, z szczegółowym jego prac i służb wszystkich napisem.

Wszakże niebawem potem klasztor tutejszy się spalił i wszystkie jego pamiątki, wszystkie nawet groby zagrzebane zostały w popiołach!

Takiemu losowi uległ także i grób tego rycerza-rolnika, który, straciwszy życie całe w krwawych trudach i poświęceniach, tutaj nakoniec odpoczął i zasnął w Bogu na wieki.

KONIEC TOMU ÓSMEGO.



WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA w KIELCACH
BIBLIOTEKA

68568

Biblioteka WSP Kielce



0182246